



# Wróć za mną

A. Meredith Walters

VAE

A. Meredith Walters

## Wróć za mną

przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Tytuł oryginału: *Follow Me Back*

Copyright © 2014 by A. Meredith Walters

Originally published by Gallery Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Dorota Konowrocka-Sawa, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

# Spis treści

Dedykacja

Prolog -Aubrey-

Rozdział pierwszy -Aubrey-

Rozdział drugi -Aubrey-

Rozdział trzeci -Maxx-

Rozdział czwarty -Aubrey-

Rozdział piąty -Aubrey-

Rozdział szósty -Aubrey-

Rozdział siódmy -Aubrey-

Rozdział ósmy -Aubrey-

Rozdział dziewiąty -Maxx-

Rozdział dziesiąty -Aubrey-

Rozdział jedenasty -Maxx-

Rozdział dwunasty -Aubrey-

Rozdział trzynasty -Aubrey-

Rozdział czternasty -Maxx-

Rozdział piętnasty -Aubrey-

Rozdział szesnasty -Maxx-

Rozdział siedemnasty -Aubrey-

[Rozdział osiemnasty -Maxx-](#)

[Rozdział dziewiętnasty -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy -Maxx-](#)

[Rozdział dwudziesty drugi -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty piąty -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty szósty -Maxx-](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy -Aubrey-](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty -Maxx-](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty drugi -Maxx-](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty piąty -Maxx-](#)

[Rozdział trzydziesty szósty -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy -Maxx- Trzy godziny wcześniej](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy -Aubrey-](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty -Maxx-](#)

[Epilog -Aubrey- dwa lata później](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Dla Gwyn*

*Pamiętaj, że prawdziwa miłość powinna być bezwarunkowa.*

## Prolog -Aubrey-

Zaufanie.

Wiara.

Pewność.

Są podstawą każdego związku. Bez tych trzech słów wszystko się rozsypuje. Nie miałam przekonania, czy kiedykolwiek stały się udziałem moim i Maxxa.

Jak miałam wejść w przyszłość bez opoki, na której mogłabym ją budować? Jak miałam uwierzyć w życie, które ledwie się rozpoczęło, skoro nie miałam pewności, czy mogę zaufać mężczyźnie, z którym je budowałam?

Chciałam. W głębi serca żywiłam niezachwiane, optymistyczne przekonanie, że tym razem będzie inaczej. Że my jesteśmy inni.

Nasza przeszłość była jednak paskudna i pokręcona. Trudno było się z niej wyrwać, niezależnie od tego, jak bardzo chcieliśmy. Przyczaiła się w oczekiwaniu na chwilę, kiedy nabierzemy przekonania, że w końcu udało nam się wypędzić nasze demony.

Właśnie wtedy uderzały. Nieufność. Podejrzliwość. Zwątpienie. Zatrwały nasze dusze i groziły obróceniem wszystkiego wniwecz. Ale światło *istniało*. Z naszych ciemności przebłyskiwała szansa. Nadzieja. I była nie mniej potężna.

Lecz chociaż bardzo starałam się zaufać, nie potrafiłam tak naprawdę zapomnieć. Nie pozwalało mi na to wzbierające tą nielogiczną nadzieją serce.

Jak zbudować życie na tak chwiejnych podstawach? Kładąc jedną bolesną cegłę po drugiej. Z nadzieją, że jednak czeka nas szczęśliwe zakończenie.

Zanim nasza przeszłość obróciła je w zgliszcza.



## Rozdział pierwszy -Aubrey-

– Panno Duncan, została tu pani dziś zaproszona w celu omówienia zarzutów postawionych pani ze względu na pani zachowanie wobec członka grupy wsparcia, którą pomagała pani prowadzić. Zarzuty te opisują osobistą, niewłaściwą relację, która jest bezsprzecznym pogwałceniem naszego kodeksu etycznego.

Patrzyłam nieruchomo na trójkę ludzi siedzących za stołem przede mną. Skubałam skórki przy paznokciach i starałam się nie wiercić na siedzeniu. Musiałam wypić to piwo.

Denerwowałam się. Tylko idiota by się nie denerwował. Prawdopodobnie był to kres moich marzeń i aspiracji. Trzy lata ciężkiej pracy poszły na marne. Lecz to nie strata miejsca w programie terapeutycznym Uniwersytetu Longwooda nie pozwalała mi zasnąć przez ostatnie dwa tygodnie. To nie ona ciążyła mi kamieniem na sercu i kazała łzom obsychać na policzkach.

Mój wstrząs emocjonalny można było przypisać tylko jednemu: punktowi zwrotnemu, który rozdarł mi duszę i zagroził unicestwieniem.

Rozstałam się z Maxxem Demelo. Przedłożyłam własne zdrowie psychiczne nad jego ból. Opuściłam go, gdy potrzebował mnie najbardziej. I chociaż nasza dysfunkcyjna miłość prawie mnie zniszczyła, wciąż nie potrafiłam się pozbyć wyrzutów sumienia.

A jednak nie zostałam pokonana. Teraz musiałam zachować się jak dorosła i śmiało zmierzyć z konsekwencjami swoich katastrofalnych wyborów. Straciwszy człowieka, dla którego zrezygnowałam ze wszystkiego, nie miałam innego wyjścia.

Doktor Lowell, moja opiekunka naukowa, siedziała obok swoich uniwersyteckich współpracowników i ze stoickim spokojem przeglądała trzymane w rękach dokumenty. Usta miała ściągnięte,

a brwi zmarszczone. Była zmartwiona i rozczarowana. I miała do tego pełne prawo.

Byłam jej najbardziej obiecującą studentką. Miałam dobrą średnią. Weszłam na szybką ścieżkę prowadzącą do wspaniałej kariery terapeuty uzależnień od substancji psychoaktywnych. Traktowałam swoją przyszłość poważnie.

Do dnia, w którym na spotkaniu grupy wsparcia pojawił się Maxx Demelo i kompletnie rozwalił mi życie. A teraz doktor Lowell patrzyła na mnie i widziała już tylko kogoś kompletnie przegranego. Czułam się z tym fatalnie.

– Przeczytaliśmy pani oświadczenie na piśmie. Wygląda na to, że nie zaprzecza pani oskarżeniom. Zgadza się, panno Duncan? – zapytał kierujący Katedrą Terapii Uzależnień doktor Jamison i zacisnął wargi. Spojrzał na mnie sponad krawędzi okularów w drucianej oprawce, a na całej jego twarzy odmalował się wyraz potępienia. Najwyraźniej wyrobił już sobie opinię na mój temat. I nie była ona korzystna.

Wyprostowałam się i ściągnęłam łopatki. Wzięłam głęboki oddech i przygotowałam się. W tej chwili mogłam być już tylko całkowicie i bezwarunkowo uczciwa. Już dawno powinnam była zafundować sobie solidną dawkę uczciwości.

– Zgadza się, panie doktorze. Przyznaję, że zaangażowałam się w niestosowną relację z uczestnikiem grupy wsparcia dla osób uzależnionych od substancji psychoaktywnych. Tak jak napisałam w swoim oświadczeniu, byłam świadoma, że moje działania są pogwałceniem kodeksu etycznego i akceptuję wszystkie nałożone na mnie kary dyscyplinarne.

Byłam dumna z tego, że głos mi nie zadrzał. Nie płakałam, nie jęczałam, nie płaszczyłam się, gotowa przyjąć wymierzoną mi karę, jaka by ona była. W głębi ducha byłam jednak kompletnie załamana.

Doktor Jamison spojrział na profesor Bradley, drobną kobietę z wyraźnie farbowanymi na brąz włosami i paskudnym zwyczajem łączenia pasków z kratką, i powiedział coś do niej półgłosem. Następnie odwrócił się do doktor Lowell. Nie podniosła głowy, ale

skinęła nią, zaciskając dłonie na blacie przed sobą.

Przez chwilę rozmawiali między sobą półgłosem, ja tymczasem skubałam nitkę zwisającą z rąbka mojej spódnicy. Spojrzałam na zegar na ścianie. Było kilka minut po pierwszej. Siedziałam na tym krześle przed sędzią i ławą zaledwie od trzydziestu minut, a wydawało się, jakby to trwało całą wieczność.

Wiedziałam, że na korytarzu czekają na mnie przyjaciele: Renee Alston i Brooks Hamlin. Brooks pewnie krążył od ściany do ściany, a Renee wykręcała sobie ręce na podołku. Niemal wyczuwałam przez ściany ich zdenerwowanie.

Powinnam je podzielać... gdyby nie kłujące mnie w piersi odpryski złamanego serca.

Minęło piętnaście dni, odkąd ostatni raz rozmawiałam z Maxxem Demelo. Piętnaście dni, odkąd powiedziałam mu, że nie mogę stać i patrzeć, jak się wyniszcza, popadając coraz głębiej w uzależnienie, od którego próbowałam go uwolnić. Piętnaście dni, odkąd Maxx prawie umarł.

Przekonywałam samą siebie, że odchodząc, postąpiłam słusznie. Trwanie u jego boku, gdy powoli tracił kontrolę nad własnym życiem, zrujnowałoby moje. Nie mogłam patrzeć, jak dokonuje takich samych fatalnych wyborów, jakie wiele lat temu przyniosły śmierć mojej siostrze Jayme.

A tak w ogóle to nigdy nie powinnam była się w nim zakochiwać.

– Aubrey – głos doktor Lowell wyrwał mnie z duszących macek wyrzutów sumienia. Zamrugałam, próbując znów skupić się na własnym położeniu. – Doktor Jamison, profesor Bradley i ja zgadzamy się, że zachowałeś się w sposób zarówno nieprofesjonalny, jak i niewłaściwy. Swoim postępowaniem nie tylko zszargałeś sobie opinię w naszej katedrze, ale też naraziłeś na szwank reputację katedry w społeczności uniwersyteckiej.

Z trudem przełknęłam ślinę, ale nie spuściłam wzroku pod spojrzeniem ulubionej wykładowczynie.

– Postawiłaś mnie i resztę katedry w bardzo trudnej sytuacji. Mimo twoich znakomitych osiągnięć akademickich nie możemy okazać ci pobłażania, zwłaszcza uwzględniając powagę wykroczeń,

jakich się dopuściłaś – obwieściła doktor Lowell surowo. – Zdecydowaliśmy, że zostaniesz zawieszona, dopóki wszystkie strony nie wyrażą zgody na dopuszczenie cię do dalszego uczestnictwa w programie.

Zamrugłam oczami, niemal przestając oddychać. Stało się. To się naprawdę, kurczę, stało.

A więc potencjalnie zaprzepaściłam swoją karierę akademicką w zamian za marzenie o przyszłości z człowiekiem, który samolubnie je odrzucił. Poczułam ucisk w piersiach i ogarnęła mnie panika.

Co miałam teraz zrobić?

Jak mogłam wyczołgać się na powierzchnię, tak twardo uderzywszy o dno? Czy to w ogóle było możliwe? Poczułam, jak zatrzasują się przede mną drzwi, i chociaż przygotowałam się na taką ewentualność, w gruncie rzeczy wcale nie byłam na nią gotowa.

Nie zamierzałam jednak płakać, zdecydowana nie dać się zamienić w łkającą kupkę nieszczęścia. Aubrey Duncan ulepiona była z twardszej gliny, choć przecież myśl o zwinięciu się w ciasną kulkę wydawała się niewiarygodnie kusząca.

– Jednakże... – zaczęła doktor Lowell, a we mnie serce zamarło. W tonie jej głosu usłyszałam delikatną zmianę. Jej słowa podszyte były odrobiną czegoś, co nie było niezadowoleniem. – Pozytywne wzmocnienie jest równie skuteczne jak negatywne konsekwencje, a moim zdaniem istotne jest, żebyś dostała szansę zapracowania sobie na powrót do programu. Zawieszenie nie musi mieć charakteru bezterminowego, ale to będzie zależało już od ciebie. Musisz nas zapewnić, że ten związek nie powinien już budzić naszego niepokoju, a ty przyjmujesz odpowiedzialność za swoje działania. W mojej opinii twoje wykroczenie, pomimo swojej powagi, nie powinno zniweczyć lat ciężkiej pracy włożonej przez ciebie w te studia. Kara nie musi być bezterminowa.

Miało mi ulżyć, że oto wykładowcy dają mi drugą szansę? Miałam się puścić w prysyudy, radując się ze sposobności odzyskania ich akceptacji?

Poczułam mimowolne ukłucie gorzkiego rozżalenia wobec tych

siedzących przede mną ludzi, patrzących na mnie z góry ze świętoszkowatą dezaprobatą. Jak łatwo przychodziło im ferowanie wyroków. Właściwie miałam świadomość tego, że sobie na to wszystko zasłużyłam, ale jakaś zbuntowana, przekorna część mnie miała ochotę krzyknąć.

Zdławiłam impulsywną potrzebę wyłożenia im, co o nich naprawdę sędzę, i skinęłam głową; była to jedyna odpowiedź, jakiej mogłam udzielić, nie pogarszając swojej sytuacji.

Doktor Lowell obserwowała mnie przez kilka minut. Wiedziała, że wyczuła moje sprzeczne emocje. Zawsze mnie rozumiała – była moją mentorką, kobietą, którą podziwiałam. Erozja jej pozytywnego stosunku do mnie była najtrudniejszą pod wieloma względami konsekwencją całej tej sytuacji.

– Twoje godziny pracy ochotniczej zostaną anulowane i jeśli po jakimś czasie odzyskasz prawo uczestnictwa w programie terapeutycznym, będziesz musiała jeszcze raz odpracować swój staż, co może poważnie odsunąć w czasie uzyskanie przez ciebie dyplomu, który planowo powinnaś złożyć wiosną. – Doktor Lowell zerknęła z powrotem na trzymane w dłoni papiery, jakby dalsze patrzenie na mnie stało się dla niej zbyt dużym obciążeniem. – Pozostałe zajęcia będziesz dalej zaliczać normalnie, wymagania stawiane ci w zakresie wykształcenia ogólnego pozostają bez zmian. Nie będziesz jednak brała udziału w żadnych zajęciach psychologicznych ani terapeutycznych. Obowiązkowe jest natomiast twoje uczestnictwo w zajęciach doktora Jonesa *Granice i etyka terapii*.

– Ukończyłam te zajęcia zeszłej jesieni, pani doktor. Dostałam czwórkę – wtrąciłam.

Doktor Lowell spojrzała na mnie z góry i ciągnęła, nie zwracając na mnie uwagi.

– Mamy poczucie, że przyda ci się odświeżenie tej wiedzy. Oczywiście nie muszę dodawać, że nie będziesz miała absolutnie żadnej bezpośredniej styczności z klientami. Kiedy zawieszenie zostanie cofnięte, porozmawiamy o tym, jak możesz nadrobić stracony czas i jakie dalsze kroki powinnaś podjąć.

Nie byłam pewna, czy wobec niemożności ukończenia kursu

terapeutycznego w ogóle uda mi się nadrobić powstałą lawinę zaległości. Jak miałabym uzyskać dyplom w terminie, skoro w gruncie rzeczy będę zaczynać ten rok od początku?

– Wymagane będą również od ciebie cotygodniowe spotkania ze mną w celu oceny dokonywanych postępów i omówienia dalszych możliwości. Wszystko to jest obligatoryjne, o ile chcesz wrócić do programu terapeutycznego. Myślę też, że nie muszę wspominać o tym, że jakiegokolwiek kontakty z Maxxem Demelo są absolutnie zakazane, dopóki jest on uznawany za klienta korzystającego z naszego programu terapii.

Z ostatniego zdania miałam ochotę się roześmiać, wiedząc, że akurat *to* konkretne zastrzeżenie nie będzie stanowiło problemu. Doktor Lowell zdjęła okulary, złożyła je powoli i położyła na stole. Doktor Jamison robił notatki, a profesor Bradley wydawała się odliczać minuty do końca tego krępującego przesłuchania.

– Aubrey, nie będę już powtarzać, jak twoje postępowanie odbiło się na reputacji katedry w społeczności akademickiej. Nadwerężyło nasze relacje z zarządem usług uniwersyteckich, który przez ponad piętnaście lat był naszym partnerem w zakresie świadczenia usług na terenie kampusu. Nie zmienia to jednak faktu, że jesteś inteligentną, utalentowaną młodą kobietą... której zdarzyło się popełnić błąd. Błąd, który mógłby zakończyć karierę, zanim się jeszcze na dobre rozpoczęła. – Doktor Lowell skrzywiła wargi. – Mam nadzieję, że wykorzystasz tę szansę. Szansę udowodnienia po raz drugi nam, katedrze, a przede wszystkim samej sobie, że potrafisz odłożyć na bok osobiste odczucia i postąpić w sposób zarówno profesjonalny, jak i stosowny.

– Tak, pani doktor. Obiecuję – wypaliłam pospiesznie, niezdolna określić, czym dokładnie były targające mną wściekłe emocje.

Rozczarowanie? Na pewno. Gniew? Najprawdopodobniej. Ślad ulgi, że po tym wszystkim wciąż mogę mieć odrobinę nadziei na wydobyć się z bagna, w którym sama się pogrążyłam? Zdecydowanie tak.

– Wyślemy pani oficjalną pisemną decyzję komisji. Zostaną w niej określone wymogi pani zawieszenia i oczekiwania wobec pani. Czy

ma pani jakieś pytania, panno Duncan? – zapytał doktor Jamison.

– Nie, panie doktorze – odparłam z nadzieją, że nie zemdleję. Chciałam już tylko przeżyć te kilka ostatnich chwil i wydostać się stąd.

Doktor Jamison skinął głową i tym sposobem zostałam odprawiona. Prędko zgarnęłam torebkę i pospiesznie wyszłam na korytarz. Brooks, tak jak podejrzewałam, krążył w tę i z powrotem, a Renee obgryzała paznokcie. Kiedy otworzyłam drzwi, oboje podnieśli głowy. Renee zerwała się na nogi i rzuciła w moją stronę.

– No i co? – spytała prawie tak rozgorączkowana, jak sama się czułam.

Wciąż oszołomiona, popatrywałam to na nią, to na Brooksa. Renee potrząsnęła mną lekko.

– Do cholery, Aubrey, co się stało? – zapytali nagłoco jednym głosem mój najlepszy kumpel i moja współlokatorka.

– Zawieszona. Zostałam zawieszona. – Słowa zaszeleściły mi sucho w uszach.

– Kurde. Wywalili cię? – Brooks ścisnął mnie za ramię.

Wydałam z siebie piskliwy chichot, który mnie samej wydał się iście maniakałny.

– Owszem, wywalili. Ale doktor Lowell twierdzi, że mogę odzyskać swoje miejsce w programie terapeutycznym. No wiesz, jak się trochę wysilę.

Brooks uśmiechnął się do mnie krzepiąco.

– Ej no, brzmi nieźle. Czyli klamka nie zapadła.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem, Brooks.

Nie byłam jeszcze gotowa na jego słowa otuchy. W głębi ducha wciąż zastanawiałam się, czy ostatecznie to nie on powiedział Kristie współprowadzącej grupę wsparcia o moim związku z Maxxem.

Renee wsunęła mi rękę pod ramię, a ja mimowiednie oparłam się na niej, doceniając tę oznakę solidarności.

– Och, daj spokój. Udało ci się, dziewczyno. Jedno na pewno można o tobie powiedzieć: zawsze spadasz na cztery łapy. I z tego

też się wykaraskasz.

Brooks przytaknął skinieniem głowy.

Świeżo odzyskane poczucie siły napełniło mnie otuchą. Doktor Lowell miała rację: potrzebowałam trochę czasu, żeby sobie wszystko poukładać. I udowodnić wszystkim, że nie jestem kompletnie szurnięta.

Brooks szedł po mojej drugiej stronie, metr czy dwa od nas. Jego obecność niosła zaskakującą pociechę, biorąc pod uwagę, jak napięte były ostatnio nasze relacje. Kiedy dowiedział się o moim związku z Maxxem, nasza przyjaźń została wystawiona na próbę. To, że Brooks nie aprobował Maxxa, było zupełnie zrozumiałe, a sytuacji nie poprawiał fakt, że Brooks był kiedyś moim chłopakiem.

Wówczas ta jego krytyka doprowadzała mnie do furii, ale od początku miała rację: budowałam związek z mężczyzną, który uporczywie dążył do samozagłady. I ten związek mi wszystko rozwalił – szkołę, przyjaźnie, szacunek do samej siebie. Na końcu Maxx prawie się przekręcił, a ja nieomal wszystko straciłam. No i proszę, stałam teraz na zgliszczach, próbując się zorientować, jak mam to wszystko z powrotem poskładać.

Popatrzyłam na Renee, która uśmiechnęła się do mnie krzepiąco, i uzmysłowiłam sobie, że efektem całej tej paskudnej historii jest jedna dobra rzecz: nasza przyjaźń – silniejsza niż kiedykolwiek. Łączyło nas coś, czego wcześniej między nami nie było.

Jeśli ktokolwiek potrafił zrozumieć, jak trudno wyzwolić się z destrukcyjnej relacji, była to Renee. Podobnie jak ja próbowała odbudować życie, które wykoleiło się niebezpiecznie w efekcie miłości do niewłaściwego mężczyzny.

Brooks wyciągnął rękę i złapał moje ramię, zatrzymując mnie lekkim szarpnięciem.

– Hej, wszystko będzie dobrze. Niewiele znam tak silnych osób jak ty. Nie dopuścisz, żeby *ktokolwiek* czy *cokolwiek* cię zatrzymało. – Ujął mnie za rękę i ścisnął lekko. – Wiem, że wciąż masz wyrzuty sumienia, ale chyba już czas, żebyś całe to gówno zostawiła za sobą. Musisz iść dalej. Najwyższy czas – poradził, a ja wiedziałam, że ma



rację.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni serwował mi tę mówkę już wielokrotnie w rozmaitych wersjach, ale nie byłam gotowa go posłuchać. Wychodząc jednak z budynku wydziału psychologii i przeżywając jeden z najtrudniejszych momentów w życiu, chyba wreszcie go usłyszałam. W końcu do mnie dotarło.

Uśmiechnęłam się do niego lekko, ale szczerze, po czym rozplątałam nasze palce i wsunęłam rękę do kieszeni. Doceniałam jego wiarę we mnie, ale ten fizyczny wyraz uczucia wprawiał mnie w zakłopotanie. Nie trzymaliśmy się za ręce od czasu, gdy przed kilku laty chodziliśmy ze sobą, a jego dotyk, mimo upływu czasu znajomo intymny, wydawał mi się dziwny. Nie do końca zły, ale też nie całkiem dobry.

Moja skóra wciąż pamiętała dotyk dłoni, za którymi tęskniłam rozpaczliwiej, niż powinnam.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy – powiedziałam szczerze.

– No to skoro u ciebie wszystko w porządku, to muszę lecieć na spotkanie mojej grupy naukowej. Mogę wpaść później... jeśli chcesz – zaproponował Brooks, a w jego głosie zabrzmiało wahanie. Jakby nie był do końca pewien, czy w ogóle powinien składać taką propozycję.

Wyszarpnęłam rękę z ukrycia w kieszeni kurtki i z powrotem ujęłam jego dłoń, chcąc go w jakiś sposób upewnić. Musiałam się zmusić, żeby wziąć go za rękę. Moje palce, jakby obdarzone własną wolą, niemal wzdrygnęły się na ten dotyk.

To tylko Brooks. Zależy mi na nim. Nie ma nic złego w dotykaniu go w ten sposób.

Dlaczego miałam wrażenie, jakbym samą siebie musiała przekonać? Co właściwie chciałam udowodnić?

– Oczywiście, że chcę, żebyś wpadł. Ale tylko pod warunkiem, że przyniesiesz nowy film Nicholasa Sparksa – powiedziałam zaczepnie, próbując pozorami normalności zagłuszyć kłębiące się we mnie nienormalne uczucia. Podniosłam wzrok na Brooksa, na ciemne włosy wpadające mu do oczu, i zastanowiłam się, czy kiedykolwiek znów poczujemy się we własnym towarzystwie

swobodnie. Niezręczność tej sytuacji działała mi na nerwy.

Brooks przytrzymał moją dłoń chyba odrobinę zbyt długo. Serce we mnie zamarło, coś mnie ścisnęło w żołądku i natychmiast się odsunęłam. Kiedy zrobiłam widoczny krok w tył, w oczach Brooksa błysnęło coś na kształt rozczarowania.

Obdarzył mnie krzywym, wyraźnie wymuszonym uśmiechem.

– No to załatwione – powiedział, po czym zarzucił sobie torbę z książkami na ramię i spojrzał na moją milczącą współlokatorkę.

– Nara, Renee – rzucił nonszalancko i odwrócił się do odejścia.

Westchnęłam i otuliłam się ciasniej szalikiem, by odpędzić wieczorny chłód. Byłam zmęczona tym bolesnym zimnem. Przenikało mnie od środka i tęskniłam za tym, by znów poczuć ciepło.

Nie wiedziałam jednak, czy to możliwe.

Renee szła obok mnie, wcisnąwszy brodę w kołnierz kurtki.

– Będzie lepiej, Aubrey. Uwierz mi. To twoja druga szansa. Twój czas na coś *więcej*.

Miałam nadzieję, że ma rację. Rozpaczliwie pragnęłam i potrzebowałam jakiegoś pomyślnego obrotu zdarzeń.

„Mogę stać się dla ciebie kimś o wiele bardziej znaczącym. Chcę być wszystkim, czego kiedykolwiek mogłabyś pragnąć”.

Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd Maxx, wbijając we mnie spojrzenie swoich intensywnie błękitnych oczu, wypowiedział te słowa i podarował mi swoje serce. Zaledwie kilka tygodni, odkąd złożył obietnice, których nie był w stanie dotrzymać. Wydawałoby się, że to zbyt krótko, by zmienić całe moje życie.

A jednak moje życie *się zmieniło*. Teraz mogłam już tylko pogodzić się z tym i pójść dalej. Gdyby to tylko było takie proste.

Moje spojrzenie przyciągnął ceglany mur biegnący skrajem trawnika. Żywe niegdyś kolory graffiti autorstwa Maxxa zbladły, ale wciąż można było dostrzec obraz kobiety rzucającej się z urwiska. Słowo „Compulsion” zostało wplecione w jej znajome blond włosy. Wszystko to było jakąś drobną częścią skomplikowanego mężczyzny, którego własnością wciąż pozostawałam. Maleńkie, kunsztowne ikсы ukryte tu i ówdzie na obrazie wydawały się na mnie krzyczeć.

Drwiły ze mnie samą swoją obecnością.

Maxx, nawet po swoim odejściu, był wszędzie. Jego sztuka. Jego miłość. Jego chaos.

Nie mogłam przed nim uciec. I bałam się, że w najczarniejszych odmętach serca nadal nie chciałam.

## Rozdział drugi

-Aubrey-

Monotonia.

Rutyna.

Zblazowana powtarzalność.

Do tego sprowadzało się moje życie.

Kiedyś chciałam, żeby określały je te rozkosznie prozaiczne przymiotniki. Szukałam tego, co pospolite i bezpretensjonalne. Lecz odkąd w ostatniej klasie gimnazjum straciłam siostrę, Jayme, nie potrafiłam już być spontaniczna i podekscytowana. Potwornie zaczęłam się bać impulsywności.

Jayme tańczyła na krawędzi i spadła. Dlatego chciałam stać mocno obiema nogami na ziemi. Potrzebowałam wiedzieć, co mnie czeka. Mieć pewność, że po A następuje B. Każdego dnia, wychodząc z domu, wiedziałam dokładnie, czego się spodziewać. Więc zrobiłam się nudna. No i ekstra.

Dopóki w moje życie nie wdarł się Maxx i nie wywrócił go do góry nogami. Jego intensywność mnie przerażała. Wciągał mnie pod wodę siłą swojej namiętności, a kiedy rzuciłam się w jego dziki świat, znalazłam ten fragment siebie, który od zbyt długiego już czasu leżał uśpiony. W jakimś sensie Maxx przywrócił mnie do życia, a ja kochałam go za wskrzeszenie dziewczyny, która zniknęła dawno temu. Kiedy jednak straciliśmy kontrolę, kiedy Maxx uderzył o twarde dno, a ja skotłowałam się razem z nim, zdecydowałam, że w moim życiu nie ma już miejsca na chaos i spontaniczność.

Ale tęskniłam za tym. Życie na krawędzi było uskrzydlające. Teraz, kiedy Maxx zniknął, zostałam zmuszona dopasować się na powrót do życia, z którego już wyrosłam. Stać się kobietą, którą nie potrafiłam już być. I te buty, choćbym nie wiem jak próbowała się w nie wcisnąć, chyba już na mnie nie pasowały. Pod powierzchnią nadal czaiła się jakaś cząstka mnie wskrzeszona przez Maxxa.

– Dziewczyno, żyjesz? – zapytał Brooks, szturchając mnie w ramię ze swojego miejsca obok na mojej wysłużonej kanapie.

Skupiłam wzrok na przyjacielu, który patrzył na mnie z mieszanką niepokoju i jawnego niedowierzania. Rozciągnęłam usta w karykaturze uśmiechu, a Brooks zamrugął, wyraźnie wytrącony z równowagi tym psychopatycznym grymasem.

– Sorry, po prostu zamyśliłam się na chwilę – powiedziałam nieco zbyt radośnie, po czym sięgnęłam do miski popcornu, którą trzymał na kolanach.

Czułam się tak, jakby Brooks i Renee przez większość czasu pilnowali, czy się czasem nie załamie i nie posypię. Uczciwie rzecz biorąc, nie był to niepokój nieuzasadniony. Byłam jedną wielką czerwoną flagą zbliżającego się nieuchronnie nieszczęścia.

Brooks zaśmiał się nieszczerze i stało się jasne, że on również próbuje rozpaczliwie zmusić się do wejścia w rolę, która niekoniecznie nadal na niego pasuje.

– No to jak, jesteś już gotów do złożenia dyplomu? – zapytałam, kierując rozmowę na tory, które wydawały się normalne, i natychmiast zaczęłam modlić się, żeby nie przyszło mu do głowy odwrócić tego pytania.

„Dokąd zmierza twoje życie, Aubrey?”. Przerwać manewr! Przerwać manewr! Przed nami przerażające planowanie życia! Zmienić kurs na błogosławioną ignorancję!

– Chyba tak. Zajmie mi to pewnie jeszcze z miesiąc, ale chyba mam wszystko ogarnięte. A ty? Myślałaś o tym, co będziesz robiła po złożeniu dyplomu w przyszłym roku? Nadal myślisz o aplikowaniu do programu LPC? – Brooks mówił o prowadzonym w Longwood programie przygotowującym do prowadzenia licencjonowanej zawodowej terapii. Sześć miesięcy temu właśnie taki miałam plan i dlatego odrabiałam wszystkie te godziny pracy ochotniczej: były kluczowe dla uzyskania dyplomu *oraz* wyglądały znakomicie w aplikacji na studia magisterskie.

Wzięłam długi, uspokajający wdech.

– Nie jestem pewna, czy aktualnie mam taką opcję, biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło. Wątpię, czy doktor Lowell albo

ktokolwiek z katedry będzie się w najbliższym czasie wyrwał, żeby mnie rekomendować – powiedziałam z ledwie dosłyszalną nutką rozgoryczenia.

– E tam, nigdy nie wiadomo. Przeczekaj zawieszenie, rób, co trzeba, i nie wychylaj się. Ani się obejrzysz, jak znów będziesz ukochaną prymuską doktor Lowell.

– To się okaże. A co z tobą? Nadal Longwood jest twoim uniwersytetem pierwszego wyboru? Nie znudził cię już nasz mały kampus?

Zaskoczyła mnie informacja o tym, że Brooks zamierza robić studia magisterskie na Uniwersytecie Longwooda. Magisterski program terapeutyczny był tu całkiem przyzwoity, ale z jego średnią mógłby przebierać w ofertach. Wiedziałam, że za moją chęcią pozostania na uniwersytecie kryła się potrzeba zapuszczenia korzeni w miejscu, w którym dobrze się czułam. Oczywiście zanim pozostanie w tym samym maleńkim kampusie oznaczało mierzenie się każdego dnia z konsekwencjami własnych idiotycznych posunięć.

W tym momencie zmiana nie wydawała mi się już wcale takim złym pomysłem, a myśl o wyjeździe nie odbijała mi się zgarą. W gruncie rzeczy wydawała się najlepszym możliwym posunięciem.

– Nie wiem. Podoba mi się tu. Lubię wykładowców. Myślę, że pozostanie tu wiąże się z szeregiem korzyści. – Brooks zerknął w moją stronę, ledwie na ułamek sekundy zawieszając na mnie spojrzenie.

– A ja myślę, że to wariactwo, Brooks. Zaczynam dostrzegać wiele korzyści płynących z wyjechania w cholerę z Dodge – wypaliłam.

– Daj sobie trochę czasu, żeby sobie to wszystko poukładać, Aubrey. Może wtedy zaczniesz to odbierać inaczej – mitygował mnie Brooks.

„Daj sobie trochę czasu, żeby sobie to wszystko poukładać” Słowa odbiły mi się echem w czaszce i wytatuowały na mózgu. To była moja mantra, odkąd rozstałam się z Maxxem. Byłam przekonana, że potrzebuję tylko czasu. Nawet jeśli dręczyły mnie wątpliwości, czy się nie okłamuję.

– Pewnie. Może masz rację – zgodziłam się, usilnie próbując

przekonać nas oboje, chociaż wiedziałam, jak groteskowe jest mówienie komuś, żeby *dał sobie trochę czasu*. Żadne słowa w historii nie okazały się mniej pomocne. Kiedy przechodziłeś jakiś koszmar, ostatnią rzeczą, jaką chciałeś usłyszeć, było to, że pewnego dnia, za jakiś czas, poczujesz się lepiej. Chciałeś poczuć się lepiej *od razu!*

Mój telefon zaczął dzwonić, a ja spuściłam wzrok, żeby odczytać numer błyskający na wyświetlaczu. Właśnie tego numeru unikałam przez ostatnie trzy tygodnie. Mógł wepchnąć mój na razie średnio gówniany dzień w prawdziwe szambo. Gapiąc się na wibrujący ekran, usłyszałam w głowie melodramatyczny werbel.

– Uch – jęknęłam, podnosząc komórkę i zawieszając palec nad przyciskiem „Odrzuć”.

– Znów mama? – zapytał Brooks.

Skinęłam głową. W ciągu kilka ostatnich dni Brooks wielokrotnie widział, jak przełączam jej telefony na pocztę głosową.

– A rozmawiałaś już z rodzicami od czasu przesłuchania? – zapytał, z góry znając odpowiedź.

– Nie.

Telefon mamy zaskoczył mnie przed kilkoma dniami; najwyraźniej doktor Jamison zadzwonił do moich rodziców przed posiedzeniem komisji dyscyplinarnej. Stwierdzenie, że moja matka nie ucieszyła się na wieść o wszystkim, co miało miejsce, byłoby dramatycznym niedopowiedzeniem. Musiałam wysłuchać czterdziestopięciominutowej tyrady o jej rozczarowaniu. Rozmawialiśmy po raz pierwszy od miesiący, co wkurzyło mnie podwójnie. Miałam poczucie, że rodzice stracili jakiegokolwiek prawo wyrażania opinii na temat mojego życia, wzięwszy pod uwagę, że od śmierci Jayme nie interesowali się nim w najmniejszym stopniu. Konieczność siedzenia w milczeniu i wysłuchiwanie jadu sączącego się z ust matki prawie zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

Choć bardzo starałam się nie dopuszczać do siebie jej paskudnych słów, nie mogłam się oszukiwać, że mnie nie zabolowały. Uderzyła mnie od razu w najczulszy punkt. Była bezlitosna. Przeżarta nienawiścią. „Jayme nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Powinnaś się zachowywać lepiej – dla niej, skoro nie potrafisz dla siebie”.

Jak szybko moja matka zapomniała o tym, kim naprawdę była moja piętnastoletnia siostra. Spuściła zasłonę milczenia na żalobę, w której Jayme pogrzyżyła całą naszą rodzinę. I chociaż kochałam siostrę i codziennie za nią tęskniłam, nie zapomniałam jeszcze, dlaczego już jej z nami nie było. Miałam jednak wrażenie, jakby moi rodzice przeformułowali sobie jej śmierć w głowach, przerabiając ją na coś, z czym mogli dalej żyć.

Siedzący we mnie terapeuta rozumiał to i akceptował, ale już siedząca we mnie córka nie do końca. Ogarniały mnie złość, rozżalenie i absolutna niechęć do fundowania sobie po raz kolejny tego konkretnego rodzaju bólu, który gwarantowało mi odebranie telefonu od matki.

– Nie sądzisz, że powinnaś odebrać? Wiesz, że będzie dzwoniła, dopóki tego nie zrobisz. Może lepiej mieć to już za sobą? To jak zrywanie plastra – poradził Brooks, a ja przewróciłam oczami, myśląc z nienawiścią o jego wyważonym rozsądku.

– No to lepiej już idź. Bo to raczej nie będzie rozmowa, przy której chciałabym mieć dodatkowych słuchaczy – powiedziałam w chwili, w której telefon przestał dzwonić. Wiedziałam, że za kilka minut odezwie się znowu. W tym tygodniu dzwonienie do mnie weszło mojej matce w nawyk.

– Pewna jesteś? Mogę zostać, jeśli mnie potrzebujesz – zaproponował. Doceniałam jego troskę, ale wiedziałam, że nic nie pomoże mi zmierzyć się z tym, co moja matka miała mi do powiedzenia – cokolwiek to miało być.

– Nie. Idź. Spotkamy się w stołówce na kolacji, OK? – zasugerowałam, kiedy telefon znów zaczął dzwonić.

Brooks spuścił wzrok na aparat, po czym utkwił go w mojej twarzy. Jego spojrzenie złagodniało.

– Dobra. Jakbyś mnie potrzebowała, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jestem zawsze. Nie zapominaj o tym.

– Dzięki, Brooks – powiedziałam, kiedy pochylił się, by pocałować mnie w czoło, odrobinę zbyt długo dotykając go wargami. Zignorowałam implikacje tego nie do końca niewinnego gestu i obdarzywszy go niepewnym uśmiechem, sięgnęłam znów po



telefon, by zasygnalizować, że zamierzam go odebrać.

– Powodzenia, mała! – zawołał od wyjścia.

Głośno wydychałam powietrze przez nos i przyłożyłam telefon do ucha.

– Halo? – powiedziałam pogodnie.

– Dostałam pocztą informację o wynikach twojego przesłuchania. Chciałam z tobą o tym porozmawiać – powiedziała matka bez wstępów.

– Dlaczego? – zapytałam, wiedząc, że moja postawa ją zirytuje. Ale jakoś nie byłam w nastroju, żeby się tym przejąć.

– Co się z tobą dzieje, Bre? To poważna sprawa. Co ty, na litość boską, teraz zrobisz?

Aż się skuliłam, słysząc, jak zwraca się do mnie przezwiskiem nadanym mi przez siostrę. Zawsze się tak kuliłam.

– Magisterkę z wyplatania koszyków? – zapytałam sucho.

Dosłownie usłyszałam, jak zwierza szczęki.

– Myślę, że powinnaś przyjechać do domu. To oczywiste, że sytuacja wymknęła ci się spod kontroli. Straciłaś z pola widzenia, co robisz i dokąd zmierzasz.

– A co dokładnie robię? – odparowałam, wiedząc aż za dobrze, że moja matka nie ma bladego pojęcia o moich planach na przyszłość. Dotąd ani razu nie zapytała mnie, co chcę zrobić ze swoim życiem. Tego rodzaju dyskusje wypadły z harmonogramu, kiedy trumnę z ciałem mojej siostry opuszczono do grobu, a serce, które kiedyś kochało obie córki, uszło i przestało czuć cokolwiek.

– Może właśnie o tym powinnyśmy porozmawiać. Musisz wrócić do domu. Chociaż na kilka dni. Twój tata i ja chcielibyśmy się z tobą zobaczyć. – W jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie, które mnie uderzyło. Przez bardzo krótką chwilę mówiła jak kobieta, która trzymała mnie w ramionach po moim pierwszym zerwaniu z chłopakiem, gdy miałam czternaście lat. Kobieta, która opatrywała moje zadrapania i przykładła lód na siniaki. Kobieta, która co roku w dniu moich urodzin podawała mi na śniadanie domowej roboty słone ciasteczka z białym sosem pieczeniowym i kielbasą, bo było to moje ulubione danie.

Nie mogłam sobie jednak pozwolić na pielęgnowanie złudzeń, że się zmieniła. Że może – może! – znów próbowała być matką, jakiej potrzebowałam. Przeżyłam wystarczająco wiele paraliżujących rozczarowań, żeby starczyło mi na całe życie.

– Równie dobrze mogę wysłuchać przez telefon tyrady o tym, jak to zawiodłam pamięć Jayme, mamó – powiedziałam cicho, starając się nie zwracać uwagi na rosnącą mi w gardle gulę.

Moja matka przez chwilę nic nie mówiła, co mnie zaskoczyło. Byłam przygotowana na pełną nienawiści ripostę. Siedziałam jak na szpilkach, czekając na jakąś kąśliwą uwagę.

– Aubrey, martwimy się o ciebie – powiedziała innym już tonem, w którym zabrzmiało coś na kształt troski. Coś, co nie mogło być autentyczne. W końcu już dawno temu przestała wyrażać cokolwiek poza wściekłym niezadowoleniem.

– Ta sprawa z chłopakiem z grupy wsparcia... Prawie wywalili cię z programu na uczelni... To do ciebie zupełnie niepodobne.

– A czy ty orientujesz się jeszcze, mamó, jaka ja w ogóle jestem? Od lat nie zadajesz sobie trudu dowiedzenia się o mnie czegokolwiek! – krzyknęłam, tracąc panowanie nad emocjami. Nie byłam przyzwyczajona do prowadzenia z mamą tego rodzaju dyskusji. Nie wiedziałam już, jak mam z nią rozmawiać.

– Przestań krzyczeć, Bre – warknęła, a ja niemal poczułam ulgę, słysząc jej zwykłą irytację. Z tą kobietą potrafiłam sobie radzić. Nie trawiłam natomiast aktów zatroskanego macierzyństwa. Nie teraz, gdy wszystko było i tak kompletnie popaprane.

– Nie przyjadę do domu. Jeśli jest coś, co ty albo tata chcielibyście mi powiedzieć, powiedzcie mi to teraz. – Mówiłam jak rozkapryszona dziewczynka, ale nic na to nie mogłam poradzić. Najwyraźniej moja matka wydobywała ze mnie to, co najlepsze.

– Dlaczego musisz wszystko tak utrudniać?

– Muszę już iść, mamó. Mam życie do spieprzenia – powiedziałam, kończąc rozmowę, zanim zdążyłyśmy się jeszcze trochę pounieszczęśliwić.

Rzuciłam telefon na kanapę, podniosłam poduszkę, wtuliłam w nią twarz, po czym wrzasnęłam ze wszystkich sił w plusz, topiąc

w nim całą intensywność swojej złości. Wykrzyczawszy się do ochrypnięcia, podniosłam się na nogi, roztrzęsiona i niespokojna.

– Jestem jedną wielką, pieprzoną pomyłką – wymamrotałam, po czym złapałam klucze i wyszłam z mieszkania, wiedząc, że jeśli zostanę w nim choćby chwilę dłużej, zacznę rzucać przedmiotami. I chociaż uwielbiałam sprzątać, miałam już dość robienia porządków po swoich nieprzemyślanych działaniach.

Wsiadłam do samochodu, nie wiedząc do końca, dokąd właściwie się wybieram. Po prostu musiałam usiąść za kółkiem. Znaleźć miejsce, w którym mogłabym spuścić parę.

Nie powinnam być zaskoczona, że wylądowałam pod Quikki Martem. Boczna uliczkę prowadzącą do mieszkania Maxxa zalegał złowróźbny cień. W jakiś przedziwny sposób fakt mojego zjawienia się tutaj był zupełnie zrozumiały. To było jedyne miejsce, w którym potrafiłam odpuścić i być sobą. Być kochana przez jedyną osobę, która akceptowała mnie bez zastrzeżeń. Mimo mrocznej, skomplikowanej natury mojego związku z Maxxem jego mieszkanie było miejscem, w którym czułam się bezpiecznie.

Zaparkowałam samochód i nagle uderzyła mnie obezwładniająca myśl.

A jeśli... Maxx był w domu?

Nie zastanawiałam się nad tym podczas tej bezmyślnej jazdy, ale teraz siedziałam w samochodzie pod jego blokiem, korciło mnie, żeby wejść do środka... i mdliło na myśl o spotkaniu z Maxxem.

Wyobraziłam sobie gęste blond włosy i przeszywające błękitne oczy. Silne ramiona, które z taką łatwością zagarniały mnie do siebie. Pełne usta, które idealnie pasowały do moich warg. Roztaczał wokół siebie przemożny, wybuchowy czar. Czy kiedykolwiek zdołam oprzeć się jego magnetycznemu przyciąganiu?

A jednak pchana nagłym impulsem wysiadłam z samochodu, weszłam w wąską przestrzeń między budynkami i szybko wspięłam się po schodach prowadzących do drzwi mieszkania, przez które przechodziłam tyle razy wcześniej.

Na klatce schodowej zalatywało śmieciami i stęchłym moczem. Z mieszkania obok dobiegał łomot klubowej muzyki. Pogmerałam

w kluczach, aż wreszcie znalazłam ten, którego wciąż nie oddałam.

Nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Jak mogłam oczekiwać, że powita mnie z radością, skoro ośmielałam się wtargnąć w ten sposób na jego terytorium? Jak mam usprawiedliwić swoje pojawienie się tutaj?

Zostanę tylko chwilkę. Sprawdzę, czy wszystko u niego w porządku, i sobie pójdę. Nie ma o czym mówić. Tu chodzi tylko o pewne zamknięcie. Jeśli się dowiem, co zamierza, łatwiej mi będzie pokonać tę wielką przeszkodę na mojej drodze.

Nie chciałam przyznać nawet przed sobą, że z daleka trąciło to urojeniami.

Wejście w mrok mieszkania Maxxa było jak cios w splot słoneczny. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o ścianę, próbując uspokoić oddech.

Dlaczego tu przyszłam?

Czemu to sobie robiłam?

Jak zdołam się zmusić, żeby stąd wyjść?

Wymacałam na ścianie włącznik i pstryknęłam. Ciasne mieszkanko wypełniło się światłem, a ja wepchnęłam pięść do ust, by zdławić szloch, który ścisnął mnie za gardło.

Nie było go tu. Od dawna, sądząc z wyglądu pomieszczeń. Musiało upłynąć sporo czasu, odkąd czegokolwiek tu dotykano. Mieszkanie było puste i wydawało się pozbawione życia. Miałam wrażenie, jakbym nasłuchiwała echa osoby, która je niegdyś zajmowała. Nogi mi się ugięły pod naporem fali przytłaczającego rozczarowania.

Ale szczerze mówiąc... czego się spodziewałam? Co miałam nadzieję zyskać, bezceremonialnie wchodząc do jego mieszkania zaledwie kilka tygodni po tym, kiedy się z nim rozstałam?

Na oparciu wysłużonej kanapy leżał rzucony T-shirt Maxxa. Na niskim stoliku stał styropianowy kubek, a obok niego talerz z niedojedzoną kanapką pokrytą czymś kędzierzawym.

W powietrzu unosił się ciężki zapach zepsutego jedzenia. Powoli przeszłam przez pokoje, włączając po drodze światła.

Nagle coś sobie uzmysłowiłam i serce stanęło mi w piersiach. Jeśli Maxxa tu nie było, to *gdzie był?*

Może odwiedzał swojego brata? Albo zatrzymał się u przyjaciół?  
No jasne. A może uciekł i przyłączył się do trupy cyrkowej?

Każdy z tych scenariuszy wydawał się równie mało prawdopodobny. Przez głowę przeleciały mi obrazy Jayme – tego, jak wyglądała, gdy wezwano mnie do zidentyfikowania jej ciała. Niemal osunęłam się na kolana.

Gdyby coś mu się stało, wiedziałabym o tym, prawda? Landon, młodszy brat Maxxa, skontaktowałby się ze mną. Gorączkowo obracałam w głowie wszystkie możliwe wyjaśnienia jego nieobecności, próbując się uspokoić. Nie mogłam sobie pozwolić na wyobrażanie sobie najgorszego. Utraciłabym resztki zdrowego rozsądku i wybiegła stąd, próbując go odnaleźć.

Moje życie nie kręciło się już wokół Maxxa. Nie mogło.

A jednak... nie potrafiłam się zmusić, żeby wyjść. Poszłam w głąb korytarza i pchnęłam zamknięte drzwi. Przez okno przesączało się światło z ulicy. Ten pokój nie cuchnął stęchlizną ani zepsutym żarciem. Pachniał jak on.

Jak Maxx.

Nie włączyłam światła. Przeszłam ostrożnie przez sterty ubrań i dotarłam do łóżka. Usiadłam powoli i pozwoliłam dłoniom opaść między kolana. To było jakieś szaleństwo, że pomimo wszystkiego, co ten mężczyzna mi zafundował, w jego domu, w jego przestrzeni czułam się wciąż tak dobrze.

Niemal bezwiednie sięgnęłam po poduszkę, zanurzyłam w niej twarz i głęboko wciągnęłam powietrze. Tkanina przesiąkła jego zapachem. Pod zamkniętymi powiekami ujrzałam jego zrozpaczoną twarz, błagalne spojrzenie niebieskich oczu, blond loki potargane dziko moimi palcami. Pamiętałam zachłanne, rozedrgane słowa.

„Ja chcę ciebie, Aubrey. Całej ciebie. Każdej najmniejszej, idealnej części. Chcę, żebyś należała do mnie, tylko do mnie, żebyś nigdy nie mogła odejść. Proszę, nie odchodź”.

A jednak *odeszłam*.

Rzuciłam poduszkę z powrotem na łóżko i raptownie poderwałam się na nogi. Wparowałam do kuchni i otworzyłam szafkę pod zlewem. Ucieszyłam się na widok kilku butelek tanich środków

czyszczących. Chwyciłam papierowe ręczniki i przyciągnęłam stojący pod ścianą pojemnik na śmieci.

Zaczęłam zgarniać resztki ze stołu i wrzucać je do kosza, po czym wzięłam się do spryskiwania blatów i szorowania ich do czysta. Znalazłam szczotkę i systematycznie zamiotłam podłogę z pozostałości jedzenia i innych śmieci.

Skończywszy, rzuciłam się na sterty brudnych naczyń, myjąc je, wycierając i odkładając na miejsce. Nie zamierzałam dopuścić, by mój rozum zaczął snuć domysły na temat tego, gdzie jest Maxx i co robi. Nie mogłam zagłębiać się w rozważania, jak bardzo ta niewiedza mnie niepokoi.

Po prostu sprzątałam dalej.

Po półgodzinie kuchnia była czysta jak łąza, ale ja wcale nie skończyłam. Przeniosłam się do salonu, zbierając brudne ubrania i wkładając je do kosza na bieliznę. Maxx nie miał odkurzacza, więc musiała mi wystarczyć szczotka.

Ułożyłam porządnie poduchy na kanapie i startłam niski stoliczek, powstrzymując mdłości przy zbieraniu spleśniałego jedzenia. Nie byłam pewna, dlaczego to robię. Sprzątanie zawsze mnie uspokajało. Wydawało mi się najlepszą metodą uzyskania odrobiny kontroli w świecie, który utracił swój wewnętrzny porządek.

Być może w głębi ducha chciałam uczynić to miejsce na powrót czystym i bezpiecznym. Może szorując naczynia i piorąc jego ubrania, pozbywałam się resztek chaosu określającego życie nas obojga. Może łudziłam się, że odłożenie rzeczy na miejsce pozwoli mi pozbyć się duchów niedawnej przeszłości. Wygoi rany i odegna uporczywą tęsknotę.

I może kiedy – jeśli w ogóle – Maxx już wróci do swojego czystego, ślicznego mieszkania, zdoła odmienić swoje życie?

„Przestań się zastanawiać, co by było, gdyby, Aubrey! To bez znaczenia!” – skarciłam się w duchu.

Ze środkami czyszczącymi w objęciach wróciłam do jego sypialni. Włączywszy światło, mogłam tylko stać tam i rozglądać się wokół, zaatakowana tysiącem obezwładniających wspomnień.

Nocny stolik leżał przewrócony, po pokoju walały się puste

butelki. Oczywiście duszy zobaczyłam Maxxa szukającego rozpaczliwie swoich narkotyków, a potem, wobec fiaska poszukiwań, zwracającego się ku substancji, która go prawie zabiła.

Niewiele dzieliło go od śmierci w wyniku przedawkowania heroiny. Nie zdawałam sobie sprawy, że eksperymentuje z twardymi dragami. Wystarczającym złem były prochy – wstrzykiwanie sobie towaru w żyłę to coś zupełnie innego. Jaką byłam hipokrytką, przymykając oko na łykanie przez niego tabletek na receptę i zgłaszając zdecydowane weto wobec strzykawki wypełnionej herą.

Wyrzuty sumienia obezwładniły mnie nieznośnym wspomnieniem naszej ostatniej rozmowy i Maxxa błagającego niespokojnie, żebym została. Odmówiłam mu jedynej rzeczy, której tak bardzo pragnął.

Zaczęłam ostrożnie zbierać i wrzucać do zabranej z kuchni torby na śmieci puste buteleczki po lekach. Po podłodze walało się ich przynajmniej ze trzydzieści. Trzydzieści małych, brudnych przypomnień o tym, jak poważnie Maxx był uzależniony.

Zbierałam je po kolei i zimny plastik dosłownie palił mi opuszki palców. Budziły moje obrzydzenie. Maxx budził moje obrzydzenie.

Brzydziłam się sama siebie.

Skupiłam się na zalegających wszędzie stosami ubraniach. Niektóre wrzucałam do kosza na brudną bieliznę, żeby je później uprać. Te, które wydawały się czyste, układałam w szufladach w zgrabnych, porządnym stosikach. Porządkowałam ubrania, zanurzając dłonie w skarpetkach i koszulkach i ocierając się palcami o ich chłodną gładkość.

Nagle znalazłam pogniecione zdjęcie Maxxa i jego rodziny. Patrzenie na jego niewinną, chłopięcą twarz okazało się nieznośnie bolesne. Szybko wsunęłam fotografię z powrotem na miejsce, nie radząc sobie z widokiem rodziny, która została zniszczona, i chłopca, który wyrośnie na mężczyznę dążącego z uporem do samozagłady.

Uporawszy z ubraniami, w końcu podeszłam do łóżka. Skotłowana pościel wyglądała tak, jakby Maxx ledwo co się z niej wydobył. Drżącymi dłońmi zaczęłam naciągać kołdrę i układać poduszki.

Przed oczami przemknęły mi ulotne obrazy. Wspomnienia o tym, jak leżeliśmy zaplątani w tej pościeli, Maxx owinięty wokół mnie. Słowa miłości szeptane w spotniałą skórę.

„Całe życie na ciebie czekałem”. Jego słowa oplotły moje serce i bezlitośnie zacisnęły się na nim. Uzależniłam się od tych momentów szczerości i bezbronności, które zdawały się odsłaniać prawdziwego mężczyznę kryjącego się pod maską.

Zamrugalam oczami i odsunęłam od siebie tę myśl, zanim zdążyło mnie zaatakować kolejne wspomnienie.

Leżał na boku, z twarzą przyciśniętą do podłogi. Odsłonięte lewe ramię miał wyciągnięte wzdłuż ciała i obwiązane ciasno zaciągniętym tuż powyżej łokcia cienkim kawałkiem białej gumy, który pozwalał uwydatnić żyłę. Przyłożyłam ucho do jego piersi, nasłuchując wysiłonego bicia serca. Moje łzy zostawiały mokre ślady na jego koszulce, gdy patrzyłam, jak jego oddech zamiera, a klatka piersiowa przestaje się unosić.

I wtedy się rozsypałam.

Kompletnie się rozsypałam.

Osunęłam się na łóżko, zwinęłam w kulkę i mocno przycisnęłam jego poduszkę do piersi.

Kiedy to wreszcie przestanie tak koszmarnie boleć?

Miłość była bezwzględna.

Bezlitosna.

Okrutna.

I kompletnie do dupy.

Gdy wreszcie zabrakło mi łez, ciało zaczęło się rozluźniać i odkryłam, że po ataku rozpacz może przyjść kojące odprężenie. Niezależnie od tego, jak dręcząca była obecność Maxxa w moim świecie, największy spokój odczuwałam w jego mieszkaniu, otoczona jego zapachem.

W łóżku mężczyzny, którego kochałam i straciłam, zasnęłam z wyczerpania.



## Rozdział trzeci

-Maxx-

W tynku na suficie była kilkunastocentymetrowa rysa.

Jeśli wpatrywałem się w nią odpowiednio długo, wydawała się rosnać i poruszać na moich oczach.

Mrugałem i przestawała. A potem wszystko zaczynało się od początku.

W tej chwili ta pieprzona rysa była najbardziej interesującym elementem mojego życia.

Co za dołujące odkrycie.

– Czas na grupę, Maxx.

Nie wysiliłem się nawet, żeby spojrzeć w stronę głosu dobiegającego od drzwi. W powietrzu unosił się duszny zapach potu i zbyt dużej ilości wody kolońskiej Axe. Dominic, mój współlokator, tłusty amator zioła, sądził chyba, że zlewanie się tym głównym niweluje konieczność brania prysznicza.

To był osiemnasty dzień w Barton House, państwowym ośrodku odwykowym, który przez krótki moment wydawał się przepustką do rozpoczęcia wszystkiego od początku.

Dopiero teraz zaczynałem sobie to wszystko na nowo układać w głowie.

Nietrudno było podjąć decyzję o przyjeździe tutaj. Najpierw przeszedłem najgorszy detoks w życiu. Wciąż o zawrót głowy przyprawiała mnie myśl o tym, że prawie umarłem i że opuścili mnie wszyscy ci, których kochałem.

Byłem sam.

Zupełnie sam.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Przyszedłem więc tutaj, sądząc, że dostaję w ten sposób nowe życie. Szansę, by pokazać wszystkim, że jednak nie chcę skończyć jako kolejna przerażająca statystyka w broszurze o uzależnieniach.

Zwalczę to gównem, zanim ono zwalczy mnie.

Potem dni zaczęły zlewać się ze sobą, a kiedy zabrakło początkowej desperacji, ogarnęły mnie wątpliwości.

Fizyczne objawy uzależnienia dawno ustąpiły, co było kwestią siedemdziesięciu dwóch godzin spędzonych na oddziale detoksykacyjnym.

Teraz walczyłem ze wszystkimi żądzami, jakie pojawiły się po odzyskaniu przez moje ciało stanu równowagi. Tymi, które były już tylko w mojej głowie. Tymi, które sprawiały, że naprawdę trudno było mi tu zostać.

Bo im dłużej tu siedziałem, odgrywając rolę wychodzącego na prostą narkomana, tym trudniejsza była perspektywa zmierzenia się ze wszystkim, co czekało na mnie *tam*.

Z tym wszystkim, za czym tak potwornie tęskniłem.

Aubrey.

Landonem.

Klubem.

Pieprzonymi dragami.

Zawsze, zawsze te dragi.

– Maxx. Poważnie. Chodź.

Poirytowany, westchnąłem z teatralną emfazą, po czym zwiesiłem nogi z łóżka i powoli usiadłem. Rozmyślnie nie spojrzałem na Pete'a, pomocnika rehabilitanta. Wpadające do oczu włosy przeczesalem dłońmi. Powinienem je przyciąć, ale w tym miejscu nie było szans na to, żeby ktoś dał mi do ręki nożyczki. Zapewne podcięcie sobie żyłki czy dwóch było zbyt dużą pokusą.

„Nie, nie mogę udostępnić wychodzącemu z uzależnienia narkomanowi ostrych przedmiotów”.

– Łapanie doła jest normalne... – zaczął mówić Pete.

Chryste Panie, zabijcie mnie od razu!

Nie wiedziałem do końca, na czym polegała praca Pete'a w ośrodku. Nie był terapeutą. Nie prowadził żadnej grupy wsparcia. Chodził po prostu to tu, to tam i próbował rozmawiać z pacjentami o ich uczuciach. Był zadufany w sobie i chyba sądził, że ma specjalny wgląd w mechanizmy naszych uzależnień. Biło po

oczach, że utknął w jakiejś zawodowej ślepej uliczce, i niezależnie od liczby modnych terminów, jakimi się posługiwał, zawsze mówił jak ktoś, kto zdecydowanie za mocno się sili.

Zmrużyłem oczy i wbiłem w niego nieustępliwe spojrzenie. Był niewiele starszy ode mnie, ale rzednące włosy i żalosna zaczeska sprawiały, że wyglądał na faceta w średnim wieku. Biedny skurwiol, niewątpliwie padł ofiarą kiepskich genów. Przyglądałem się, jak słyszalnie przełyka ślinę i robi widoczny krok w tył, z powrotem na korytarz. Onieśmielałem go. Przez krótką chwilę czerpałem z tego jakąś chorą satysfakcję, a potem poczułem lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, że napawam się tym jego zakłopotaniem.

Dawny Maxx byłby zachwycony jego reakcją i obróciłby to jawne onieśmienie na swoją korzyść. Ale *ten* Maxx nie robił takich rzeczy. Szczerze mówiąc, właściwie nie wiedziałem, jak powinienem się zachować. Nie wiedziałem, jak funkcjonować, nie będąc pod wpływem narkotyków. Musiałem się nauczyć bycia tym obcym, który stopniowo rozgaszczal się w mojej skórze. Musiałem rozwinąć osobowość nieuzależnioną od narkotyków. Nie miałem pewności, jak to zrobić, skoro moja tożsamość w tak dużej mierze wiązała się ze środowiskiem, do którego porzucenia próbowałem się zmusić.

– Nie jestem zdołowany, tylko znudzony – powiedziałem. Podniosłem się i wyszedłem za nim na korytarz.

Zapisałem się na odwyk z przekonaniem, że dokonuję słusznego wyboru. Cholera, innego prawdopodobnie w ogóle nie miałem. Kiedy wyszedłem ze szpitala, schodziły ze mnie następstwa przyspieszonej detoksykacji. Miałem osłabiony organizm i beznadziejnie wątplę zdolności kojarzenia. Czułem się koszmarnie – zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek upadł tak nisko. Lecz jedyną rzeczą, o jakiej potrafiłem myśleć, było naprawienie tego wszystkiego.

Aubrey mnie zostawiła. Złamała mi cholerne serce i odeszła, nie oglądając się za siebie, za co jednocześnie nienawidziłem jej i ją kochałem.

Czułem się bez niej nieszczęśliwy, ale dała mi impuls, którego

potrzebowałem, żeby zdecydować się na poważne zmiany. Po raz pierwszy w życiu chciałem czegoś poza dragami. Wciąż marzyłem o narkotykowym haju i bałem się, że tak już będzie zawsze, ale niczego nie pragnąłem tak mocno jak tego, żeby do mnie wróciła.

Byłem więc przekonany, że potrafię się zmienić. Mogę być lepszym człowiekiem. Tutaj, w Barton House, wyczyszczę sobie kartotekę, a potem wyjdę i zwałę Aubrey Duncan z jej zdecydowanie za dobrych dla mnie nóg.

Tyle że pierwotna, desperacka chęć uporządkowania sobie życia, która pozwoliła mi przetrwać tu pierwszy tydzień, szybko zgasła, gdy zaczęła do mnie docierać istota tego dołującego, beznadziejnego miejsca.

W podświadomości zaczęła odzywać się pokusa dawnego życia. Przypominała mi, że ono wciąż tam jest i na mnie czeka. Im dłużej tkwiłem zamknięty w tych ścianach, tym bardziej wahałem się między pragnieniem naprawienia wszystkiego a chęcią powrotu do życia, które niegdyś wiodłem. Tego, w którym nie czułem się taki mały i bezradny.

Tego, które dawało mi poczucie kontroli.

Bo tutaj zdecydowanie nie miałem nad niczym władzy.

Każda sekunda każdego dnia była monitorowana i rozliczana. Nie mogłem się wysikać, żeby ktoś nie sprawdzał, gdzie jestem i co robię. Utrata – poza wszystkim innym – kontroli i *autonomii* okazała się bliska granic mojej wytrzymałości.

Kiedy jednak przypominałem sobie, jak wygląda twarde dno, stawałem na głowie, by uciszyć wewnętrznego zgreda i pójść na spotkanie grupy. Zmuszałem się, by na nim wysiedzieć, i przyrzekałem, że nigdy więcej nie dopuszczę do tego, by stać się znów tamtym człowiekiem.

Każdego dnia rozgrywała się nowa bitwa między starym a nowym Maxxem. I nigdy nie wiedziałem, który z nich wygra.

– Czy twój brat przyjeżdża w tym tygodniu? – zapytał Pete ledwie dosłyszalnie, gdy szliśmy korytarzem w kierunku sali, w której odbywały się spotkania grupy wsparcia.

– Co? – odparłem.

– Czy twój brat przyjeżdża cię odwiedzić w tym tygodniu? To byłaby znakomita okazja do rozpoczęcia terapii rodzinnej. To bardzo ważna część programu. Mógłby to być znaczący krok dla was obu.

Ręce zacisnęły mi się w pięści i najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się od gwałtownej reakcji na to niewinne pytanie.

Moje uczucia do młodszego brata były jednym wielkim chaosem. Wyrzuty sumienia, wstyd, złość. Ropiejące bagno kłębiących się we mnie mrocznych myśli.

Wspomnienie wizyty w szpitalu, Landona patrzącego na mnie z absolutnym obrzydzeniem, gdy leżałem na tamtym łóżku, każdego dnia nieustannie ciążyło mi w pamięci.

Próbowałem jakoś do niego przemówić, ale mnie nie słuchał. Po kilku minutach niezręcznej ciszy odwrócił się i wyszedł.

„Wreszcie zobaczył w tobie bezwartościowe gówno, którym jesteś. Będzie cię nienawidził do śmierci, Maxx. Na co, kurwa, zasługujesz”. Tak właśnie powiedział mój wuj David, po czym uśmiechnął się szyderczo i wyszedł za moim bratem z sali.

Wtedy właśnie widziałem Landona po raz ostatni. W ciągu minionych paru tygodni kilkakrotnie próbowałem się do niego dodzwonić, ale za każdym razem zrzucał mnie na pocztę głosową. Wiedziałem, że robi to celowo.

Unikał mnie. Nie to, żebym go winił. Rozczarowałem go. Rozwiąłem pieśczołą przez niego iluzję zdolnego, kompetentnego starszego brata. Przestałem być facetem, na którego mógł liczyć, i stałem się wyłącznie porażką. Świadomość tego, że wiem, co czuje wobec mnie – wobec prawdziwego mnie – była dla mnie źródłem największego wstydu.

Nie chciałem, żeby kiedykolwiek poznał prawdę o mnie. Odpowiadałem za niego od śmierci naszych rodziców i nie chciałem go w żaden sposób zderzać z paskudną rzeczywistością, w której żyłem. Ale stało się. I właśnie dlatego postanowił nie mieć ze mną nic wspólnego.

– Nie, nie przyjedzie – uciałem, zgryzając słowa w ustach jak szkło. Koniec z gadaniem o nim.

– Dlaczego nie? To byłaby znakomita sposobność...

Przerwałem mu wściekłym burknięciem.

– Nie przyjeżdża, OK?

Moja odpowiedź najwyraźniej zbiła Pete'a z tropu. Niczego nie wyjaśniając, wzruszyłem ramionami i zostawiłem go, paplającego coś o korzyściach płynących z usług terapeutycznych czy jakichś innych bzdetach. Nie powinienem tak na niego warczeć. Wykonywał po prostu swoją pracę, na czymkolwiek miałyby polegać. Ale nie potrafiłem ani z nim, ani z nikim innym rozmawiać o Landonie. Wszedłem do sali i znalazłem sobie miejsce w kręgu krzeseł.

Tutejsza grupa wsparcia pod wieloma względami podobna była do tej, do której uczęszczałem ostatnio w kampusie LU. Te same tematy, te same egzaltowane zagadnienia do dyskusji, te same nużące ćwiczenia mające nas skłonić do „przemyśleń”. Istniała tylko jedna zasadnicza różnica sprawiająca, że siedzenie tu dzień po dniu było skrajnie trudne.

„Bardzo cię kocham, Maxx. Naprawdę. I dlatego właśnie nie mogę patrzeć, jak się zabijasz. I nie będę”.

Minęły tygodnie od mojej ostatniej rozmowy z Aubrey, ale ból pozostał. Do tego nie potrafiłem myśleć o Aubrey, nie myśląc o innych sprawach. Gash. Marco. Klub. Świat, w którym żyłem, był w takim samym stopniu obsesją, w jakim mogła się nią stać Aubrey.

A to oczywiście skłaniało mnie do rozmyślania o dragach, co w sumie nie było zaskakujące. Zawsze myślałem o dragach. O tym, jak rozpuszczały się na języku. Jak paliły w gardle. O tych potwornych, błogosławionych chwilach, gdy czekałem, aż mną zawładną. O dreszczu, gdy zabierały mnie ze sobą.

Jeśli strata Aubrey prawie mnie zniszczyła, to strata dragów prawie mnie, kurwa, rozdarła na strzępy. Rozstanie z tą częścią życia zabrało mi osobę, którą stawałem się przez lata. Bez dragów, bez klubu – kim, do cholery, byłem?

Kim był Maxx Demelo teraz, gdy nie miał nikomu nic do zaoferowania?

– Proszę wszystkich o zajęcie miejsc.

Stacey, specjalistka od uzależnień narkotykowych, gestem poleciła wszystkim usiąść. Uznałem za stosowne nie nawiązywać z żadnym z moich sąsiadów kontaktu wzrokowego. Nie potrafiłem jednak nie gapić się na laskę siedzącą po drugiej stronie sali, która wyglądała tak, jakby chciała wyleźć ze skóry, do krwi obgryzając sobie paznokcie.

Wyglądała tak, jak ja się czułem. O krok od szaleństwa.

– Cześć, stary.

Jakaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Zadziałałem odruchowo, strącając ją i warcząc wściekle.

– Ej! Ja się tylko przywitałem. Dobrze się czujesz? – Dominic spojrzał na mnie z niepokojem. Przewróciłem oczami, ale zmusiłem się do niezobowiązującego uśmiechu. Może od niego zalatywało, ale nie chciałem, żeby się przeze mnie posikał.

Było dość oczywiste, że Dominic chce się ze mną zaprzyjaźnić. Przyciągałem spragnionych uczuć facetów, tak samo jak kobiety.

Kilka miesięcy temu zachwyciłby mnie reprezentowany przez niego gatunek uczniackiej tępoty. Kompletnie nieogarnięty student żyjący za kasę mamusi i tatusia, dysponujący zerowymi zasobami życiowego doświadczenia. Potrafiłbym mu wcisnąć gram w cenie trzech, a on by nawet nie kwiknął.

Kiedyś zjadałem koleśki takich jak Dominic na śniadanie.

Wiedziałem, że znalazł się tutaj, bo jego rodzice uznali, że jego nawyk popalania trawki jest jakimś problemem. Śmiać mi się chciało. Naprawdę, pojęcia nie miał, do czego posunęłaby się część z nas, byle zaspokoić głód. Jak łatwo było stracić wszystko dla jednego odlotu.

– Musisz opanować pojęcie granic strefy osobistej. Zanim stracisz rękę – ostrzegłem, starając się zaśmiać na koniec, żeby nie zabrzmiało to zbyt ostro.

Obdarzył mnie szerokim uśmiechem, który nieporadnie odwzajemniłem.

– Słusznie. Granice strefy osobistej. Łapię – zachichotał. – Odrobiłeś pracę domową? Kiedy wczoraj wieczorem poszedłeś do łóżka, to napisałem z pięć stron w swoim dzienniku. Wiedziałeś, że

mówisz przez sen? Całkiem, kurczę, zabawnie. Dużo gadasz o jakiejś dziewczynie. Aubrey. Kto to jest? Twoja dziewczyna? Kimkolwiek jest, często powtarzasz jej imię. Powinieneś mi o niej opowiedzieć. Najwyraźniej jest dla ciebie bardzo ważna. Przynajmniej nie chrapiesz. Kolega z bursy mi mówił, że chrapię. Chrapię? Spoko, nie obrażę się.

Twarc zaczęła mnie palić. Co jest, kurwa? Momentalnie wyparowało ze mnie naciągane od początku pozytywne nastawienie do mojego wścibskiego współlokatora. Dźwięk jej imienia w jego ustach wzbudził we mnie niemal mordercze instynkty.

– Idziesz potem na lunch? Chyba podają dziś fajitas. Kurczę, uwielbiam meksykańskie żarcie. Jak chcesz, możesz opowiedzieć mi o Aubrey. Przyjaciele tak robią. Rozmawiają o różnych sprawach.

Gapiałem się na niego z mieszanką irytacji i dezorientacji, bo co mi właściwie pozostało? Zastanowiłem się przelotnie, czy nie ma więcej problemów psychicznych niż rzekome uzależnienie od marihuany.

– Dominic – powiedziałem cicho.

– Tak? – zapytał, nachylając się nade mną i wpatrując we mnie wyczekująco.

– Zamknij się i trzymaj się, kurwa, ode mnie z daleka. Rozumiem, że lubisz sobie pogadać. Ja nie. I nie jestem tutaj po to, żeby się zaprzyjaźniać. Chcę po prostu odpękać swoje i wrócić do domu. Jasne?

– Och... dobra... ale jakbyś chciał pogadać czy coś... mieszkamy razem i nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic...

– Dominic, poważnie, odpierdol się wreszcie ode mnie. – Potarłem się w czoło, czując nadchodzący ból głowy. – I przestań mi się przysłuchiwać, jak gadam przez sen, bo to, kurwa, nie jest normalne.

Nic już nie powiedział.

Stacey zaczęła nam rozdawać arkusze ćwiczeń. Wziąłem jeden i podałem plik osobie siedzącej po lewej. Spuściłem wzrok i stłumiłem jęk.

„ABC uzależnień. Zrozumienie mechanizmów wyzwalaających uzależnienie”.



Rozejrzałem się po twarzach siedzących wokół mnie osób i natychmiast tego pożałowałem. Nikt nie wyglądał na uszczęśliwionego obecnością w tym miejscu. W tej grupie marnował się nawet mój niebagatelny urok osobisty.

Poza dziewczyną maniakalnie obgryzającą paznokcie i odmawiającym kąpania się Dominikiem była tu starsza kobieta, która najwyraźniej uznała heroinowy szyk za pełnoprawną stylówkę. Dalej siedział jakiś podstarzały motocyklista, któremu brakowało większości zębów, i wychudzony amator mety, który co kilka minut niekontrolowanie się wzdrygał. Popatrzyłem na tę pojebaną brać i aż mnie zemdlilo.

Zjawili się tutaj z różnych powodów i każdy z nich był przetrącony na swój indywidualny sposób. Najbardziej chujowe było to, że chociaż patrzyłem na ich nędzę z wyższością i pogardą, to w każdym z nich widziałem siebie.

Nagle mnie oświeciło, że może właśnie z tego powodu tak serdecznie ich nie znośłem: w głębi ducha musiałem przyznać, że są do mnie podobni. Do tego, czym niemal się stałem. Czym nadal mogłem się stać.

Serce załomotało mi w piersi, płuca skurczyły się boleśnie i nagle zabrakło mi tchu.

Strzeliłem wzrokiem po sali, zawieszając spojrzenie na obgryzającej paznokcie metamfetaministce. Musiała wyczuć, że na nią patrzę. Uniosła martwy wzrok i napotkała mój.

Wstałem tak gwałtownie, że moje krzesło przewróciło się z brzękiem na podłogę. Cofnąłem się, uderzyłem o nie nogami i prawie się wywaliłem.

– Maxx? Wszystko w porządku? – zapytała Stacey. Na twarzy miała przyklejony niczym maskę wyraz profesjonalnej troski. Czy naprawdę cokolwiek ją obchodziło, że ja tu zaraz zeświruję?

Poważnie w to wątpiłem. Dla niej to była tylko praca. Co mogło ją obchodzić, czy banda walniętych ćpunów pozbiera swoje życie do kupy, czy nie? Właściwie dla niej to nawet lepiej, żebyśmy tu ciągle wracali.

Poczułem pustkę na myśl o tym, że właśnie ci ludzie, których

faktycznie kiedykolwiek obchodziłem, zostali przede mną najbardziej oszukani. I właśnie oni odeszli.

Nagle zapragnąłem już nie być sam, mając do towarzystwa tylko własne demony.

„Gdybym tylko miał kilka tabletek, od razu poczułbym się lepiej – zamruczał mi kojąco w duszy nieodparty głos mojego nałogu. – Tylko jedna tabletkę, może dwie. To wszystko, czego tak naprawdę potrzebuję. To byłoby całkiem proste, wyjść stąd i znaleźć to, czego chcę...”.

Nie!

Nie potrzebowałem tabletek! I nie wyjdę! Przypomniałem sobie znów, jak leżałem na szpitalnym łóżku, chory i samotny. Pomyślałem o Landonie, który nie chciał ze mną rozmawiać, i o Aubrey, która mnie zostawiła.

Nie chciałem tabletek! I nie zamierzałem sobie pozwalać na takie chciejstwa. Ale przecież nie mogłem tu siedzieć, otoczony ludźmi reprezentującymi moje absolutnie najgorsze cechy. Rozejrzałem się po grupie, czując, jak wszystko podchodzi mi do gardła.

Dosłownie wybiegłem z sali, uciekłem, waląc stopami po linoleum. Na szczęście nikt mnie nie gonił. Wpadłem do swojego pokoju i rzuciłem się na łóżko. Oblewał mnie zimny pot, ale duszności bardzo powoli zaczęły ustępować.

Jasna cholera! Byłem prawie pewien, że właśnie przeżyłem atak paniki.

Musiałem wziąć się w garść. Pragnienie spakowania rzeczy było niemal nie do zniesienia. Tak byłoby najprościej. Uciec od trudności. Zanurzyć się w świecie, który kiedyś znałem. Zatracić się w starych nawykach. Jezu, marzyłem o tym. Ale wiedziałem, że wyjeżdżając stąd, udowodniłbym tylko ludziom, na których mi zależało, że nie biorę tego wszystkiego poważnie.

A ja chciałem to traktować serio. Musiałem.

Bo ostatecznie robiłem to wszystko tylko z jednego powodu. Dla Aubrey. I dla Landona. Dla przyszłości, którą chciałem przeżyć z obojgiem. I tej, która nie stanie się moim udziałem, jeśli nie zdołam wytrwać do końca i pokazać im, że nie ściemniam. I że kiedy

ich skrzywdziłem, było mi naprawdę przykro.

Więc zostanę. Spróbuję. Zmuszę się do tego, żeby budzić się rano i nie myśleć o tym, jak bardzo chcę stąd uciec.

Ale coś sobie obiecałem: że kiedy to się skończy, wyjdę stąd i odzyskam Aubrey. Pokażę jej, że nie musi ode mnie uciekać. Że potrafię się nią zaopiekować. I zatroszczyć się o siebie.

Odzyskałem pewność siebie i dobrze się z tym czułem.

Kiedy serce przestało mi walić, a oddech odzyskał miarowość, zacząłem myśleć o różnych innych sprawach poza tymi, które udało mi się tak zawodowo schrzanić.

Zacząłem myśleć, jak poskładać te kawałki z powrotem do kupy.

Uwięziony w klatce tygrys mojego nałogu warczał mi wściekle w głębi duszy – uwięziony, lecz hałaśliwy.

*Aubrey.*

Samo jej imię uciszyło ten głos w mojej głowie, który pragnął czegoś zdecydowanie bardziej niszczącego.

*Aubrey.*

Przerażająca prawda była taka, że nie mogłem tego zrobić bez niej.

I zdecydowałem, że nie będę musiał.

## Rozdział czwarty -Aubrey-

– Tak bardzo cię kocham, Aubrey – wymruczał Maxx, a jego wargi zsunęły się z mojej skroni na policzek. Czułam, jak jego usta odciskają się na mojej skórze. Przeszedł mnie lekki dreszcz, gdy zawędrowały jeszcze niżej.

Wzięłam głęboki wdech, wciągając w płuca jego zapach. Oczy miałam zamknięte. Nie widziałam go, choć naprawdę miałam ochotę. Chciałam spojrzeć w jego błękitne oczy i dostrzec, jak bardzo mnie pragnie. Jak bardzo mnie kocha.

Lecz nie mogłam otworzyć oczu. Byłam uwięziona w świecie ciemności.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – wyszeptał.

Jego oddech musnął mi twarz. Zsunął dłonie po mojej koszulce i poczułam, jak pewnie obejmuje palcami moje piersi. Rozluźniłam się pod znajomym dotykiem. Tęskniłam za nim aż do bólu. Każda komórka, każdy nerw odpowiadał na niego, tylko na niego.

Chciałam wymówić jego imię. Powiedzieć mu, że go kocham. Że za nim tęskniłam. Że bez niego moje życie jest strasznie marne.

Ale moje usta, podobnie jak oczy, wydawały się ściśle zamknięte. Byłam ślepa. I niema. Czułam tylko, jak Maxx pociera moje sutki, ostry ból, kiedy uszczypnął je niemal złośliwie, a potem znów lekkie, wielbiące pocieranie. Delikatny nacisk niewypowiedzianych przeprosin.

– Jesteś moja, Aubrey. Zawsze moja. – Ściągnął mi koszulkę przez głowę i dosłownie zdarł stanik z mojej rozpalonej skóry, a w jego głosie zabrzmiały złość i pretensja. Wpił się ustami w moją pierś i poczułam ostre uktucie, kiedy jego zęby wbiły się w moje ciało.

Maxx mnie gryzł! I to mocno!

Próbowałam unieść dłonie i odepchnąć go, ale nie mogłam. Wszystko wokół było czarne. Nie mogłam krzyczeć. Nie mogłam się poruszyć.

Czułam tylko, jak mężczyzna, którego kochałam, zdziera mi zębami

*skórę z kości. Potrzeba krzyku boleśnie paliła mnie w gardle..*

*Poczułam język Maxxa zlizujący płynącą z rany ciepłą krew. Wiedziałam, że nie przestanie. Nie przerwie, dopóki nie pochłonie mnie do końca.*

*Pożerał mnie. Zjadał mnie żywcem.*

*– Okłamałaś mnie, Aubrey. Powiedziałaś, że ze mną zostaniesz. Powiedziałaś, że mnie kochasz. A jednak odeszłaś. Zostawiłaś mnie samego – zawarczał, a jego palce wbiły się w moje plecy i zatopily w skórze.*

*Rozdzierał mnie na strzępy.*

*Dostownie.*

*A ja, bezradna, nie potrafiłam go powstrzymać.*

*– Miałaś mnie ocalić, Aubrey! – Jego udręczone wycie wbijało mi się w głowę jak czekan. – Kocham cię! Dlaczego ci to nie wystarczyło? – ryknął Maxx i zatopił zęby w moim sercu.*

\*

Usiadłam raptownie na łóżku, ze świstem wciągając powietrze. Skórę pokrywała mi cienka warstewka potu, serce trzepotało się wściekle w piersi. Drżącymi dłońmi odgarnęłam włosy z twarzy.

Mój Boże, to było mocne.

Położyłam dłoń na piersi i dotknęłam gładkiej skóry. Wciąż czułam ostre szarpnięcie wyśnionych zębów Maxxa. Ciepło własnej krwi. Słyszałam jego gniewny, a jednocześnie spanikowany głos.

Wzięłam głęboki wdech i włączyłam stojącą przy łóżku lampkę. Spojrzawszy na zegar, przekonałam się, że jest dopiero trzecia nad ranem.

Wiedziałam, że tej nocy już nie zasnę, więc wstałam i wsunęłam stopy w znoszoną parę kapci wystających spod kołdry, która spadła mi na ziemię.

W ciągu kilku ostatnich tygodni bezsenność i ja bardzo się ze sobą zaprzyjaźniłyśmy. Kiedy wreszcie udawało mi się zasnąć, spokojny sen nie trwał długo – pilnowały tego moje nocne koszmary. Podświadomość atakowała mnie, gdy byłam najbardziej bezbronna.

Przypominała o wszystkim, czego powinnam się wstydzić.

Dziwne, ale w mieszkaniu Maxxa zasnąłam głębokim snem, w którym nie dręczyły mnie koszmary. Po raz pierwszy od dawna udało mi się przespać porządnie kilka godzin i ani razu nie obudziłam się drżąca i zlana zimnym potem.

Nie chciałam koncentrować się zanadto na tym, co też to może znaczyć.

Usiadłam na kanapie, włączyłam telewizor i przerzuciłam na kanał, który powinien pokazywać powtórki serialu *Kocham Lucy*.

– Też nie możesz spać, co?

Podniosłam wzrok na wchodzącą do pokoju Renee. Rude włosy miała ściągnięte w kucyk, oczy ciemno podkrążone. Wyglądało na to, że nie ja jedna próbowałam zgładzić swoje demony, gdy spały.

Poklepałam poduszkę obok.

– Siadaj i obejrzyj ze mną Lucille Ball – powiedziałam, przywołując na twarz blady uśmiech. Kiedy sprawy z Maxxem tak potwornie się zabagniły, Renee czuwała na posterunku. A kiedy łkanie przyjaciółki wytrąciło mnie z mojego uzalania się nad sobą, pocieszałam ją tak, jak potrafią tylko ludzie o złamanych sercach: z całkowitym i bezwarunkowym współczuciem.

Nauczyłyśmy się sobie pomagać i przynajmniej w pewnym stopniu sklejać swoje potrzaskane kawałki.

Renee odwzajemniła się zmęczonym uśmiechem i usiadła na kanapie, podkulając nogi pod siebie. Nic nie powiedziała, a ja dostrzegłam w niej ten sam ból, który rozgościł się w mojej piersi. Czasem obserwowanie mojej najlepszej przyjaciółki przypominało przeglądanie się w lustrze. Nienawidziłam tego bólu u siebie, a u niej jeszcze bardziej.

Po wielomiesięcznym obserwowaniu, jak się zatracą, przyglądanie się jej zmartwychwstaniu było inspirujące. Devon nie był z tych, co znikają bez słowa, i wiedziałam, że prośbą i groźbą próbuje ją skłonić, żeby się poddała i do niego wróciła.

Wysłuchiwałam jego płaczliwych wiadomości. Oglądałam liściki i kwiatki, które zostawiał przed drzwiami wejściowymi. I chociaż nie uroniła za nim ani jednej łzy od dnia, w którym uzyskała zakaz

zbliżania się do niej, wiedziałam, jak trudno jest jej odwrócić się plecami do człowieka, którego kochała – jakkolwiek by był podły.

Renee rzadko mówiła o Devonie. Poruszyłam ten temat tylko kilkakrotnie i zawsze trwała w zamiarze trzymania się od niego z daleka.

– Przychodzi taki moment, Aubrey, że człowiek po prostu nie jest już w stanie znieść więcej. I chociaż serce podpowiada mi co innego, rozum wie, że lepiej mi bez Devona.

W jej słowach była moc. Zazdrościłam jej tego, jaka jest silna.

Bo ja każdego dnia wahałam się między silnym postanowieniem a pobożnymi życzeniami, z odrobiną urojonej nadziei.

Skupiłam się z powrotem na ekranie, mając nadzieję, że błazeństwa Lucy przygłuszą choć na krótką chwilę całe cierpienie, przed którym żadna z nas nie potrafiła uciec. Siedziałyśmy w milczeniu, oglądając czarno-biały program, ale tak naprawdę nie zwracałyśmy uwagi na to, co dzieje się na ekranie.

– Czy to kiedykolwiek przestanie boleć? – zapytałam cicho po chwili, dotykając bolesnego punktu na sercu, który nigdy nie przestał mi doskwierać.

Mówi się, że czas leczy rany. Ktokolwiek wypowiedział te konkretne słowa, nie zmagął się z życiowym huraganem wywołanym przez Maxxa Demelo. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by czas mógł tu cokolwiek zmienić na lepsze. Najwyżej pogłębiał poczucie pustki w mojej piersi, wypełnionej wcześniej jego miłością.

Renee wyciągnęła rękę i objęła mnie ramieniem. Zastygłam, niepewna, jak odwzajemnić ten fizyczny wyraz serdeczności, uwięziona w tym dziwnym miejscu między potrzebą pociechy a pragnieniem wyparcia się tej potrzeby. W końcu przysunęłam się bliżej i tak sobie siedziałyśmy w przedłużającym się bezruchu naszej bezgłośnej męki.

– Wierz mi, mam taką nadzieję – odszepnęła moja przyjaciółka i w tym prostym zdaniu usłyszałam niewypowiedziane zrozumienie. Żadnych fałszywych zapewnień. Żadnych nieszczerých deklaracji.

Tylko zwykła prawda przekazywana jednemu złamanemu sercu przez drugie.

Dodawanie czegokolwiek nie miało sensu.

\*

Już wczesnym wieczorem stawałam się chodzącym zombi. Funkcjonowanie przy czterech godzinach snu okazywało się naprawdę niełatwe. Nie wysypiając się, zrobiłam się strasznie drażliwa.

Kroczyłam przez kampus ze zwieszoną głową. Nigdy nie byłam osobą specjalnie towarzyską, ale teraz, po tym wszystkim, co zdarzyło się z Maxxem, byłam jeszcze mniej skłonna podnosić głowę i nawiązywać z kimkolwiek kontakt wzrokowy.

Ciągle miałam poczucie, że wszyscy się na mnie gapią. Wiedziałam, że wpadam w paranoję, a przekonanie, że kogoś interesuje moje życie, można przypisać tylko wybujałemu narcyzmowi, nie potrafiłam jednak odsunąć od siebie potwornych podejrzeń, że oni wszyscy wiedzą.

Właśnie starałam się możliwie szybko minąć budynek psychologii, gdy otoczyła mnie gromada ludzi wylewających się przez drzwi wejściowe.

Natychmiast rozpoznałam otaczające mnie twarze.

To była uniwersytecka grupa wsparcia dla osób uzależnionych.

Szlag.

Wcisnęłam brodę w kołnierz i próbowałam wtopić się w tłum. Niestety, próba odegrania panny Niewidzialnej była dramatyczną pomyłką.

– Hej, Aubrey!

Zagryzłam zęby, zastanawiając się, jak żałośnie wyglądałaby ucieczka ile sił w nogach.

– Cześć, Twyla – odpowiedziałam, próbując się uśmiechnąć, ale wyszedł mi tylko jakiś nieokreślony grymas. Skinęłam głową jej przyjaciółce Lisie, kolejnej członkini grupy wsparcia, którą próbowałam prowadzić jeszcze kilka tygodni temu. Zainteresowałam się, nie po raz pierwszy, jak Kristie wyjaśniła moją nieobecność.



Na odpowiedź nie musiałam długo czekać.

– Przykro mi z powodu twoich *spraw osobistych* – powiedziała Twyla z nutką protekcyjnej wzdargy.

Nigdy tak naprawdę nie nawiązałam serdeczniejszej relacji z żadnym członkiem grupy. Nie licząc Maxxa. Ale to nie była relacja, jaką terapeuta powinien nawiązywać ze swoim klientem. Bałam się, co to mówi tak naprawdę o mnie i mojej zdolności sprawdzenia się w roli terapeuty.

– *Spraw osobistych?* – powtórzyłam głupio.

Twyla i Lisa wymieniły ciężkie od podejrzeń spojrzenia.

– No cóż, tak Kristie wyjaśniła nam to, że już nie pojawiasz się na grupie. No wiesz, „sprawy osobiste” – wtrąciła Lisa, gestem zawieszając w powietrzu wymowny cudzysłów.

Odchrząknęłam, żeby odrobinę zyskać na czasie.

– No cóż, ja... hm... – zaczęłam bełkotliwie.

Lisa i Twyla znów wymieniły spojrzenia. Naprawdę były klinicznym przykładem podłych suk z korporacji studenckich. Ze swoimi idealnymi włosami, błyszczącymi zębami i nieskazitelnym manikiurem nosiły się z pewnością siebie, która przychodziła naturalnie tylko tym, którzy byli fajni i atrakcyjni zupełnie od niechcienia. Z ich wyglądu nikt by się nie domyślił, że są równie popieprzone jak my wszyscy.

– A, rozumiem, nie masz ochoty o tym gadać. Jak tam sobie chcesz.

Twyla machnęła ręką, jakby znudziła ją ta rozmowa. Reszta grupy już odeszła, ale nie umknęło mi twarde spojrzenie jednej konkretnej osoby.

Evan i jego sponiewierana dziewczyna, April, zwolnili i przeszli obok nas niespiesznie. Evan wysilił się na swoją opatentowaną formę zastraszania: zmrużone oczy, zaciśnięte zęby.

– Wiesz, gdzie jest Maxx? – zapytała Lisa, odrywając moją uwagę od Evana i April i przenosząc ją na ten zdecydowanie grząski grunt.

– A o co pytasz? – zapytałam, wściekła, że głos mi drży, choć bardzo starałam się nad nim panować.

– Przestał pojawiać się na grupie, jeszcze zanim odeszłaś.

Wydawało się, że jesteście blisko, więc pomyślałyśmy, że może ci coś powiedział. – Patrzyła na mnie uważnie. Jej niewinne słowa ledwie maskowały ukryty głębiej sceptycyzm.

Maxx nie wrócił do grupy.

Ta informacja mnie nie zaskoczyła, ale spotęgowała moje obawy. Miejsce pobytu Maxxa okazywało się coraz bardziej niepokojące. Nie pojawiał się w mieszkaniu. Nie wrócił na spotkania grupy. Właściwie po prostu zniknął.

Gdzie, do diabła, był Maxx? Wyprostowałam się i obdarzyłam dziewczyny nieszczerym uśmiechem, zdecydowana nie udzielać im poufnych informacji o moich wewnętrznych rozterkach.

– Prawie nie znam Maxxa. Skąd miałabym wiedzieć, gdzie jest? – skłamałam z trudem. Moje słowa zabrzmiały fałszywie nawet w moich własnych uszach. Byłam marnym kłamcą. I właściwie miałam pewność, że Twyla i Lisa nie dały się zwieść.

– Okej, dobra, jakbyś go zobaczyła, to powiedz mu, że o niego pytałyśmy. Jestem mu winna kawę – powiedziała Lisa, a ja miałam ochotę wydrapać jej te głupie gały. Siedząca we mnie irracjonalna, zazdrosna harpia podniosła ohydną głowę. Chciałam zapytać ją o tę tak zwaną kawę, złapać ją za kudły i zmusić do wyznania mi jak na spowiedzi, jak dobrze знаła mojego byłego chłopaka.

Ale wzruszyłam tylko ramionami, siląc się na beztroskę.

– Nie sądzę, żebym miała go spotkać – rzekłam. W moim głosie zabrzmiała irytacja, choć w sumie wyglądało to tak, jakbym tłumaczyła się z rzeczy oczywistych. Gdybym miała odrobinę dumy i instynktu samozachowawczego, nie kłapałabym dziobem, a przede wszystkim nigdy więcej nie wymówiłabym imienia Maxxa Demelo.

Więc dlaczego moje zdradzieckie serce wściekle wybijało mi w piersi jego imię?

*Maxx. Maxx. Maxx.*

Lisa i Twyla wymieniły znaczące spojrzenia.

– No dobra, w takim razie zapomnij o tym. Musiało nam się coś pomylić – odpowiedziała krótko.

Na jej twarzy przyklejony był taki sam sztuczny uśmiech jak na mojej. Twyla kiwnęła ręką w moją stronę, kiedy odchodziły.

Odetchnęłam i podniosłam wzrok na zaciągnięte niebo.

Maxx, gdzie jesteś?

Cholera! Złościło mnie, że tak się tym wszystkim przejmowałam. Żałowałam, że nie umiem się zamknąć i wyłączyć, jak potrafiłam to zrobić wcześniej.

Wiedziałam jednak, że nie przestanę się martwić ani zastanawiać. Maxx, chociaż zniknął z mojego życia, wciąż absorbował moje myśli.

Nic nowego, prawda?

– Aubrey, co ty tu robisz? – zapytał jakiś głos, w którym pobrzmiwało wyraźnie oskarżenie.

Kristie Hinkle zatrzymała się przede mną. Nie widziałam jej od tamtego koszmarnego spotkania, na którym zostałam słusznie oskarżona o swoje przewinienia. Nie wyglądała na zachwyconą, delikatnie mówiąc, moim widokiem, ale profesjonalizm powstrzymał ją od powiedzenia mi, że bym stąd zjeżdżała.

– Po prostu tędy przechodziłam.

– Masz nie kontaktować się z członkami grupy – stwierdziła dobitnie, jakby musiała przypominać mi o tym, co wolno, a czego nie wolno mi robić.

Kiedy zaczęłam pojawiać się na grupie wsparcia jako współprowadząca, podziwiałam Kristie, która z kolei bardzo chciała pomóc mi opanować podstawy. Z biegiem czasu widziałam coraz wyraźniej, że jest skłonna do ferowania pochopnych wyroków i mało wyrozumiała dla ludzkich błędów. Zwłaszcza moich.

– Ja się z nikim nie *kontaktuję*, Kristie. Szłam do domu, kiedy Twyla i Lisa zapytały mnie, gdzie byłam. Nie miałam okazji gruntownie wytłumaczyć im kwestii moich *spraw osobistych* – powiedziałam, niezdolna powstrzymać ledwie skrywanego sarkazmu.

Kristie wydała z siebie gardłowy dźwięk, coś pomiędzy kasznięciem a prychnięciem, trudno powiedzieć. Miałam ochotę przewrócić oczami, ale uznałam, że lepiej nie. Nie miało sensu dolewanie oliwy do nieźle już buchającego ognia. Kristie pokręciła głową, zeszła po stopniach wiodących do budynku psychologii i zaczęła mnie mijać. Zanim jednak odeszła na dobre, zatrzymała się

na chwilę i spojrzała na mnie przez ramię.

– Pamiętaj po prostu, że o każdym złamaniu przez ciebie zasad zostanie poinformowana doktor Lowell i Katedra Terapii. Nie sądzę, by którakolwiek z nas chciała znów znaleźć się w tej sytuacji – powiedziała szorstkim, stanowczym głosem, choć zanim odwróciła głowę, na jej twarzy dostrzegłam cień żalu. Otworzyłam usta, żeby się odciąć, ale zmieniłam zdanie. – Miłego wieczoru – dodała sztywno i zaczęła się oddalać.

Jakby za podszeptem diabła otworzyłam na powrót usta. Popłynęły z nich absolutnie najgorsze możliwe w tym momencie słowa:

– Czy Maxx już nie przychodzi na spotkania grupy?

Ramiona Kristie zeszywniały, a w jej matowych brązowych oczach błysnęła dezaprobata. Och, dlaczego, dlaczego zadałam jej to pytanie? Gdzie się podział mój zdrowy rozsądek, gdy tak bardzo go potrzebowałam?

Ale nie potrafiłam się powstrzymać. Potrzebowałam czegoś... czegokolwiek, co byłoby wskazówką co do miejsca pobytu Maxxa.

– Aubrey, zadawanie przez ciebie takich pytań jest absolutnie niewłaściwe. – Kąciki ust Kristie opadły w wyrazie potępienia, ale moja obawa o Maxxa przeważyła nad poczuciem dumy czy instynktem samozachowawczym.

– Nie próbuję zachowywać się niewłaściwie. Chodzi tylko o to, że kilka tygodni temu miał wypadek i po prostu się martwię... – zawiesiłam głos, czując, że robię z siebie idiotkę.

– Jestem doskonale świadoma zajścia tego *wypadku*. A jeśli chodzi o jego aktualne leczenie, to nie jest to twoja sprawa – powiedziała sucho.

– A więc jest na leczeniu? – Musiałam zadać to pytanie, chwytając się okrucha informacji, której Kristie bardzo wyraźnie wcale nie chciała mi udzielić.

Czy właśnie tam pojechał? Czy takie było wyjaśnienie jego nagłego zniknięcia? A jeśli tak, to co to dla niego oznaczało? Co to oznaczało dla mnie? Dla ultimatum, które mu postawiłam?

Kristie pokręciła głową, a potem odwróciła się i szybko odeszła

w kierunku parkingu. Choć jej opinia na mój temat nie powinna mieć znaczenia, idąc powoli w stronę swojego mieszkania, poczułam się zawstydzona. Silniejsza okazała się jednak nienawiść do tego wściekłego trzepotania nadziei zbudzonej informacją, która wymknęła się Kristie.

Ale nie mogłam jej zlekceważyć. Chyba trudno pozbyć się utrwalonych nawyków. Trudno odsunąć od siebie myśl, która się zakorzeni. Istniała szansa, że Maxx, gdziekolwiek się aktualnie znajduje, robi właśnie to, czego od niego oczekiwałam: zbiera się do kupy.

Przyspieszyłam kroku, po czym ruszyłam sprintem.

Przez rozgorączkowany umysł przelatywały mi słowa, które wypowiedziałam do Maxxa przed wieloma tygodniami podczas tej ostatniej, brzemiennej w skutki rozmowy: „Weź się do kupy, Maxx. I zrób to dla siebie, wyłącznie dla siebie. I wtedy być może zdołam nauczyć się znowu ci ufać i zaufam sobie na tyle, by móc z tobą być”.

Jeśli Maxx był na odwyku, to znaczy, że mnie posłuchał. Przyjął moją radę i zdecydował się wprowadzić ją w życie.

Co to oznaczało?

Dlaczego miałyby cokolwiek oznaczać?

I już pędziłam przed siebie ze wszystkich sił jak ścigana myślami, które wydawały się deptać mi po piętach.

Wpadłam do mieszkania zdyszana i czerwona jak burak. Potrzebowałam spokoju własnych czterech ścian, by uporządkować rozszalałe myśli.

– Hola, hola! Gdzie się pali? – zapytał Brooks, wychodząc z kuchni.

Spochmurniałam.

– Co ty tu robisz? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale nie mogłam teraz dyskutować z Brooksem. Nie z tymi niepokojącymi pytaniami o Maxxa w głowie.

Zza pleców Brooksa wyłoniła się Renee z torebką marchewki pokrojonej w słupki i słoikiem dipu w rękach. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na moją twarz, by zorientować się, że coś się kroi.

– Okej, no dobra, czy moglibyśmy odłożyć na później oglądanie tego filmu, Brooks? Widzę, że Aubrey nie bardzo się teraz nadaje. Wyglądasz na wykończoną, skarbie – zagruchała Renee, po czym postawiła marchewki i dip na niskim stoliku, przemierzyła pokój i podeszła do mnie, zupełnie tym wszystkim przytłoczona.

Brooks zlustrował mnie tym swoim analitycznym spojrzeniem.

– Co się stało, Aubrey? – zapytał, na szczęście trzymając się ode mnie z daleka. Chyba nie zniosłabym teraz jakiegokolwiek fizycznego kontaktu z jego strony.

– Nic, wszystko w porządku, jestem tylko koszmarnie zmęczona. Nie mam nastroju na towarzystwo, Brooks. Nie bierz tego do siebie – powiedziałam, krzywiąc wargi.

Brooks wyglądał, jakby gotów był się ze mną spierać, ale wziął kluczyki do samochodu i z wymuszonym uśmiechem wyszedł, obiecując zadzwonić później.

– No dobra, testosteron wyszedł, to teraz powiedz mi, co się, u diabła, stało, że wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – zażądała Renee, ujmując mnie pod ramię i prowadząc na kanapę.

Zakryłam twarz dłońmi.

– Jestem cholerną kretynką – jęknęłam, czując, że tą przesadną reakcją wystawiam się na pośmiewisko. – Wpadłam na kilka osób z grupy wsparcia... – zaczęłam.

– To musiało być raczej niezręczne – domyśliła się Renee, a ja przytaknęłam.

– No tak, nie określiłabym tej sytuacji mianem... *komfortowej* – przyznałam, przygryzając dolną wargę. – A potem wyszła Kristie i mało oględnie zjechała mnie za „kontaktowanie się” z członkami grupy. – Przewróciłam oczami i ucieszyłam się, czując, jak zażenowanie ustępuje miejsca złości.

– To niedorzeczne! Przecież nie umówiłaś się z nimi na wyjście do klubu czy coś – rozsądnie zauważyła Renee, a ja z irytacją wyrzuciłam ręce w powietrze.

– Wiem – powiedziałam cicho.

Renee westchnęła.

– Ale to nie dlatego tak wyglądasz. Musiało się stać coś jeszcze.

Przeczesałam dłońmi swoje długie blond włosy i pociągnęłam je lekko, aż poczułam ostre szarpnięcie. Jakimś cudem bolesny impuls pozwolił mi uporządkować myśli.

– Wydaje mi się, że Maxx poszedł na odwyk – powiedziałam wreszcie po chwili milczenia.

Renee nie odpowiedziała. Spuściła wzrok na złożone na kolanach dłonie.

– Od swojego pobytu w szpitalu nie pojawił się na grupie wsparcia – ciągnęłam szeptem.

– Więc... – zaczęła Renee.

– I od tygodni nie był w domu – wyrzuciłam, nie patrząc przyjaciółce w oczy.

Renee zmarszczyła brwi.

– A o tym skąd wiesz?

– Poszłam do jego mieszkania – wyznałam cicho, czując, jak zaczyna mnie palić twarz.

Poczułam się jak stalkerka.

Albo gorzej... jak kompletna idiotka.

Renee odchrząknęła i na szczęście postanowiła nie ustosunkowywać się do mojego żenującego wyznania.

– Sądzisz więc, że to, że nie pojawia się na spotkaniach grupy i nie było go w domu, świadczy o tym, że jest na odwyku? No wiesz, są też inne możliwości, Aubrey. Równie prawdopodobne, chociaż nie tak optymistyczne – zauważyła Renee.

– Tak, wiem. Ale to Kristie powiedziała coś takiego. Coś w tym stylu, że *leczenie* Maxxa to nie moja sprawa.

– I ma rację – odpowiedziała łagodnie Renee.

– Nie! Nie łapiesz! Jeśli to nie moja sprawa, to znaczy, że on faktycznie *jest* na odwyku. Robi dokładnie to, czego chciałam! – podniosłam głos, a oczy zapiekły mnie z frustracji.

Zdecydowanie za bardzo się podniecałam, miałam tego świadomość. Renee pokręciła głową.

– A jeśli jest na odwyku, to co? Co to zmienia?

– *Wszystko* – wyszeptałam, przyznając się do tego, do czego nigdy nie przyznałabym się głośno nikomu innemu.

Renne znów zmarszczyła brwi, między którymi utworzyły się dwie cienkie zmarszczki.

– Jak pobyt Maxxa na odwyku może cokolwiek zmienić, Aubrey?

Splotłam palce i wykręciłam sobie ręce, niepewna, czy zdołam wykrztusić z siebie to, co leżało mi na sercu.

– Nie wiem! – wydusiłam wreszcie i zasłoniłam twarz dłońmi. Byłam rozzłoszczona. Zdezorientowana. Ogarnięta irytującą nadzieją.

Byłam całkowicie pojebana.

Renee łagodnie odsunęła mi ręce od twarzy i ścisnęła je. Nagie współczucie malujące się w jej rysach zmroziło mnie. Wiedziałam, co sądzi.

Uważała, że tanecznym krokiem zmierzam właśnie z powrotem ku miejscu, które ledwie co zostawiłam za sobą. I że obserwowanie, jak tracę głowę dla człowieka, z którym przyrzekłam nie mieć nic wspólnego, dowodziło tylko, jak niezdolna byłam do rozstania się z nim na zawsze.

Czy miała rację?

Owszem, kurczę blade, miała.

– A gdybym ci powiedziała, że Devon pracuje nad swoim gniewem? Że chodzi na terapię? Czy to automatycznie unieważniłoby wszystko, co mi zrobił? Zmieniłoby fakt, że razem tworzyliśmy niezdrową, dysfunkcyjną relację? – zapytała Renee cicho.

– To są zupełnie inne sytuacje – zaproponowałam ostro.

Dlaczego tak się broniłam? Do czego próbowałam ją przekonać? A może chciałam przekonać samą siebie, że wiadomość o tym, że Maxx być może poszedł na rehabilitację, mogła otworzyć na powrót zamknięte drzwi.

Co było ze mną nie tak?

– Naprawdę? Wiem, jakiej odpowiedzi udzieliłabyś mi trzy miesiące temu. Nie pozwoliłabyś mi trzymać się nierealistycznej nadziei, że człowiek, który tak bardzo mnie skrzywdził, kiedykolwiek się zmieni. To nie jest romans Jane Austen, Aubrey. Miłość nie rozwiązuje wszystkich problemów. Niezależnie od tego,



jak bardzo byśmy tego chcieli. – Twarz Renee była mokra, usta jej drżały. – Przez ostatni rok patrzyłaś, jak zatracam się w związku, który prawie mnie zniszczył. Nie widziałam szkód wyrządzonych moją miłością do Devona. Ale teraz, kiedy jestem po drugiej stronie, łatwo dostrzec te same błędy popełniane przez kogoś innego. Aubrey, Maxx cię kocha. Nie wątpię w to. Ale nie jest kimś, na kim mogłabyś polegać. Przynajmniej nie teraz. Odchodząc, dokonałaś słusznego wyboru. Nieomal wszystko straciłaś, a teraz musisz skupić się na sobie i naprawić to, co poszło nie tak w twoim życiu.

Potrzebowałam tego jej realizmu. Tej solidnej dawki zdrowego rozsądku. Musiałam przełknąć tę pigułkę, choćby nie wiem jak była gorzka.

– Nie myśl o Maksie i o tym, co teraz robi. Nie możesz o tym teraz myśleć. Musisz się skupić wyłącznie na sobie – powiedziała Renee stanowczo.

Wiedziałam, że ma rację. Oczywiście, że miała. Ale słuchanie tego naprawdę bolało. I nie pozwalało zapomnieć o wstydzie, który czułam dlatego, że pozwoliłam samej sobie na jedną krótką, wariacką chwilę zanurzyć się z powrotem w chaos, który potrafił stworzyć tylko Maxx.

Pomyślałam o tym, jaka się czułam bezradna, patrząc, jak Maxx zatracca się w narkotykach. Skazałam się na izolację, do tego stopnia angażując się w jego dysfunkcje, ale byłam szczęśliwa, zanurzając się w nim, bo był wszystkim, czego pragnęłam.

No i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło. Nie chciałam stać się znów tą dziewczyną. Potrzebowałam zdecydowanego cięcia. Gdzieś w głębi ducha wiedziałam, że trzymam się kurczowo bolesnej nadziei, że Maxx wróci jako inny człowiek, a ja znów będę mogła stracić dla niego głowę.

Nagle dotarło do mnie, że czekałam na okruchy potwierdzenia, że Maxx otrzymał pomoc. Mimowolnie żyłam w zwodniczej bajce z wypaczonym happy endem, gdy tymczasem tym, co tak naprawdę musiałam zrobić, była rezygnacja z niego, zanim znów się całkowicie zatracę. Chwyciłam klucze i zabręczałam nimi w rękę, nie mogąc opanować wzburzenia.

– Muszę wyjść. Przewietrzyć głowę. Za jakiś czas wrócę – wyjaśniłam, nie patrząc Renee w oczy.

Musiałam pozbierać myśli. Usunąć Maxxa z organizmu, zanim się uduszę.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – zapytała, wstając.

Pokręciłam głową.

– Nic mi nie będzie. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić – odparłam.

Kąciki ust Renee uniosły się w bladym uśmiechu. Denerwowała się z mojego powodu i żałowałam, że nie potrafię jej przekonać, że nie musi tego robić. Że dam sobie radę.

– Czy tak brzmi twoja oficjalna diagnoza? – zażartowała.

– Zdecydowanie – powiedziałam cicho.

Nie mogłam jej jeszcze powiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Ale wkrótce będę już mogła.

Zamierzałam się o to zatroszczyć.

## Rozdział piąty

-Aubrey-

Odkąd zdobyłam prawo jazdy, wyjechanie na drogę za miastem stało się dla mnie stuprocentową metodą na wzięcie się w garść. Niezależnie od tego, czy chodziło o zły stopień, kłótnię z przyjaciółką, czy pogodzenie się ze śmiercią ukochanej młodszej siostry, wsiadałam za kółko i jeździłam godzinami. Często bez konkretnego celu.

Uwielbiałam zimny wiatr targający mi włosy i dudnienie muzyki w głośnikach. Z łatwością brałam nieznane zakręty na jakimś odludziu, a moje myśli ciążyły ku tematom, które w każdych innych warunkach były zakazane. Moim rodzicom. Jayme.

*– Och, daj spokój, Aubrey! Pozwól mi iść ze sobą! – Jayme zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się do mnie. Była to bezwstydna próba manipulacji, której nigdy nie potrafiłam się przeciwstawić, o czym dobrze wiedziała.*

*Właśnie tego dnia dostałam prawo jazdy i w nagrodę tata dał mi kluczyki do swojego samochodu i powiedział, że mogę się przejechać po mieście. Byłam podekscytowana. Pierwszy raz miałam znaleźć się w samochodzie bez któregoś z rodziców. Czułam się taka dojrzała. Stawiałam ten pierwszy, decydujący krok w kierunku dorosłości. Aż mi się kręciło w głowie z emocji. Jayme była podniecona moim nowym prawem jazdy tak samo jak ja. Zawsze wzajemnie świętowałyśmy swoje sukcesy i podobnie było tym razem, choć wiedziałam, że ma to równie wiele wspólnego z faktem, że jej dni jeżdżenia do szkoły autobusem dobiegły właśnie końca.*

*Uśmiechnęłam się szeroko do mojej małej siostrzyczki; nigdy nie potrafiłam jej niczego odmówić. Pokiwałam jej palcem przed nosem.*

*– Jeśli chcesz ze mną jeździć samochodem, Jay, musisz przestrzegać pewnych zasad – ostrzegłam, drażniąc się z nią.*

*Jayme przewróciła oczami.*

– Dobra, dobra, żadnego rapu ani R&B, łapię – uprzedziła mnie. Nasze odmienne upodobania muzyczne były jednym z kilku punktów zapalnych.

Zachichotałam.

– No dobrze, cóż, skoro mamy jasność...

– Jupii! No to idziemy! Może zatrzymamy się na lody? – pisnęła Jayme, chwytając mnie za rękę i ciągnąc do drzwi.

Bezwiednie uśmiechnęłam się na to wspomnienie. W tle czało się zawsze ukłucie żalu, ale nie potrafiło stłumić radości, która mnie ogarniała, gdy przypomiinałam sobie swoją siostrę. To było niesamowite uczucie. Odkryłam, że nie chcę się zmuszać do tego, by zapomnieć o Jayme. Chciałam o niej pamiętać. Wyrwa w moim sercu zaczęła się zasklepieć... odrobinę.

A potem pomyślałam o Maksie. Radość zniknęła, a wyrwa w piersiach na powrót otworzyła się szeroko. Próbowałam pokierować myśli ku ciemnej stronie Maxxa, klubowi, uzależnieniu, które nim zawładnęło. Musiałam stale sobie przypominać, że dopuszczenie go z powrotem było niebezpieczne.

Klub Compulsion był stałym elementem sceny undergroundowej od połowy lat dziewięćdziesiątych. Opowieści i plotki o nim krążyły już jako miejskie legendy. Najważniejszym wabikiem była aura tajemniczości – klub nigdy dwukrotnie nie pojawiał się w tej samej lokalizacji.

I tutaj właśnie wkroczył Maxx. Kiedy wiele miesięcy temu zostałam wprowadzona na scenę klubową, nie zdawałam sobie sprawy, że to Maxx był tajemniczym „X” i że to jego kunsztowne dzieła street artu, na które można było natrafić przypadkowo w całym mieście, w każdy weekend dostarczały wskazówek dotyczących lokalizacji klubu.

Wystarczyło znaleźć graffiti, by znaleźć Compulsion. Instrukcje zaszyte w malowidłach nie przypominały niczego, z czym miałam okazję do tej pory się zetknąć. W tym wcieleniu Maxx wyrobił sobie niezłą renomę, nie tylko jako twórca przejmujących dzieł, ale też jako człowiek, do którego warto było się zwrócić, jeśli szukało się konkretnego rodzaju zapomnienia.

Handlował dragami i niszczył elewacje, a tymczasem ja byłam całkowicie nieświadoma, że mój Maxx to tak naprawdę niestabilny i niebezpieczny X.

Potem było już za późno i moje usidlonie serce nie miało już odwrotu. Ale Compulsion dał mi coś, czego bezwiednie szukałam: ucieczkę.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że właśnie tam muszę pojechać.

Musiałam się tylko dowiedzieć, gdzie tej nocy miał swoją siedzibę ten cieszący się złą sławą klub. Dotarło do mnie, że znalezienie obrazu nie tylko doprowadzi mnie do Compulsion, ale i odpowie prawdopodobnie na zżerające mnie pytania.

Musiałam się dowiedzieć, czy Maxx wciąż tu gdzieś jest, robiąc to samo, z powodu czego go zostawiłam.

Potrzebowałam klamry; miałam nadzieję, że uzyskane odpowiedzi, niezależnie od tego, jakie będą, pozwolą mi w końcu pójść naprzód i raz na zawsze zamknąć ten rozdział.

Zaczęłam bez celu jeździć w kółko. Zaglądałam w mroczne zaułki i przyglądałam się ścianom budynków, próbując znaleźć ulotny malunek X.

Prawie godzinę później byłam już bliska poddania się. Węzeł w moim żołądku wcale się nie rozluźnił, lecz zmuszona byłam przyznać, że chyba nie znajdę tego, czego szukam.

Wjechałam na stację benzynową, żeby zatankować. Jeździłam na tyle długo, że znalazłam się niebezpiecznie blisko rezerwy. Odkręciłam korek i chwyciłam za końcówkę dystrybutora.

– Proszę – powiedział jakiś koleś, wciskając mi w rękę ulotkę, po czym odszedł, żeby kolejne wetknąć za wycieraczki.

– Eee, dzięki – powiedziałam, gniotąc w rękę ten dowód marnotrawstwa przemysłu drzewnego. Zanim jednak zdążyłam wyrzucić ulotkę do śmieci, moją uwagę przyciągnęły jaskrawe kolory i maniackalne pismo. Wygładziłam ją na masce samochodu i prawie zaśmiałam się z ironii losu.

Słowo „Compulsion” wypisane było łukiem nad reprodukcją jednego z bardziej wyrafinowanych malowideł Maxxa. Na dole podano adres, niezbyt odległy od miejsca, w którym akurat byłam.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby ten klub rozdawał ulotki. Oznaczało to, że Maxx nie malował swoich obrazów.

Pomyślałam, żeby zadzwonić do Renee – tylko po to, by powiedzieć jej, co zamierzałam zrobić. Nieomal chciałam, żeby ktoś mnie ściągnął z tego parapetu. Powiedział mi, że wyprawa do klubu, w którym Maxx dawał upust swoim najmroczniejszym popędom, była najgłupszym, co mogłam zrobić.

Lecz zamiast tego wetknęłam ulotkę do schowka na desce rozdzielczej i ruszyłam w kierunku nieznannej przyszłości.

\*

Wylądowałam pod starym budynkiem Longwood Residential Center, który przed niespełną trzydziestoma laty był domem spokojnej starości. Rozległe, chaotycznie rozrzucone zabudowania były opuszczone i zaniedbane, a gdzieniegdzie kompletnie się waliły. Wyglądało na to, że już wydano na nie wyrok, co czyniło je idealnym miejscem na klub.

Byłam zaskoczona, jak blisko położone było centrum miasta. Trochę za bardzo rzucało się w oczy, niż przystało undergroundowemu klubowi. Wsiadłam z samochodu i natychmiast dopadło mnie déjà vu. Dudniące basy słychać było z daleka. Stojący przede mną budynek wydawał się emitować zwałającą z nóg falę energii.

Grupki ludzi szły naprzód, nęczone syrenim śpiewem szaleństwa i złudzeń obiecywanych przez Compulsion. Na chwilę opanował mnie lęk, przelotnie pomyślałam o tym, żeby wsiąść z powrotem do samochodu i ruszyć do domu, ale poczułam już przyciąganie muzyki i świadomość, że to, co czekało na mnie w środku, nie przypomina niczego, co miałam okazję przeżyć wcześniej. Uprzytomnienie sobie, jak łatwo będzie się zapomnieć, nie dawało mi już takiego odprężenia jak kiedyś, lecz mimo to byłam wobec tego bezbronna.

Kolejka wiła się między drzewami, a kolejne osoby wpuszczano do środka albo odprawiano z kwitkiem. Jak zwykle przybyły tłumnie rozmaite ekscentryczne typy: począwszy od kobiety, która

wydawała się ubrana wyłącznie w plastikową pelerynę i muszkę, a skończywszy na chłopaku, który całą twarz pokrytą miał tatuażem. Wszyscy zrobili, co mogli, by wydawało się, że tu pasują. Bo właśnie tego szukali.

Chcieli gdzieś *pasować*.

Spojrzałam na swoje żałosne klubowe wdzianko i prawie się roześmiałam. No i proszę, znów się tu znalazłam, czekając, aż mnie wpuszczą do środka, ubrana jak chodzący i gadający katalog J.Crew.

Mimo to stanęłam w ogonku, czekając na swoją kolej. Rozpoznałam bramkarza Randy'ego i Marca, znajomego Maxxa, zbierającego pieniądze przy wejściu. Mogłam mieć tylko nadzieję, że przynajmniej jeden z nich mnie rozpozna, chociaż nie byłam pewna, czy warto na to liczyć. Każdego wieczoru spotykali setki ludzi, a z Markiem rozmawiałam właściwie bardzo krótko i przelotnie. Poważnie wątpiałam, czy którykolwiek z nich mnie zapamiętał.

W nagłym przypływie zdenerwowania zrolowałam w palcach rąbek koszulki. Jak mogłam pomyśleć, że to dobry pomysł?

– Pogięło cię? – warknął Randy, wyrywając mnie z zamyślenia. Zamrugałam, nieco zdezorientowana jego otwartą wrogością.

– Przepraszam? – pisnęłam.

Randy wskazał na mój bezpłciowy strój.

– Nie możesz wejść w tym łańchu – zadudnił, a słowa utonęły w jego gęstej brodzie.

– Wpuść ją. Muszę z nią porozmawiać – wtrącił się Marco, stając przed Randym i gestem przepuszczając mnie do środka.

– Dzięki – wymamrotałam, podnosząc wzrok na Marca.

Rzuciłam mu nieśmiały uśmiech, ale mina mi zrzędnęła, gdy uzmysłowiłam sobie malującą się na jego twarzy irytację. Z mojego powodu? A co *ja* takiego zrobiłam?

– Zastąp mnie na kilka minut – powiedział do Randy'ego, który tylko skinął głową. Marco z powrotem spuścił wzrok na mnie; jego oczy skrywał cień, a metalowe ćwieki w wardze i brwi załśniły w ponurym świetle. Nie wyglądał na zwyczajnie zirytowanego. Był wkurzony.

I budził lęk.

Chwycił mnie za ramię i niemal wciągnął do klubu. Muzyka zawibrowała mi w kościach, kiedy zostałam wepchnięta do ciemnej wnęki nieco oddalonej od parkietu.

Próbowałam się wysliznąć z kleszczowego chwytu Marca, ale mnie nie puszczał.

– To boli! – zaprotestowałam, próbując przekrzyczeć dudniące basy.

– Gdzie on jest?! – wrzasnął mi Marco w twarz.

Jego pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.

– Co?

– X czy tam Maxx, jak zwał, tak zwał. Gdzie on, kurwa, jest? Szukają go tu jedni, i to nie z tych, co to sobie można z nich żarty stroić. – Marco spiorunował mnie spojrzeniem, jakbym to ja była odpowiedzialna za to, że Maxx zaginął w akcji.

– A skąd mam wiedzieć? – zaproponowałam, chociaż pytanie Marca było w pewnym sensie potwierdzeniem, którego szukałam.

Maxxa tu nie było. Nie było go tu już od jakiegoś czasu.

I chociaż to wciąż nie dawało odpowiedzi na pytanie, gdzie się podział, mogłam przynajmniej pocieszać się świadomością, że nie wrócił *tutaj*.

Marco lekko potrząsnął mnie za ramię.

– Posuwał cię od dobrych paru miesięcy. Domyślałem się, że wycofuje się ze względu na ciebie. Przecież widzę, jak komuś cipa zaczyna przesłaniać jasność widzenia. No to teraz, gdzie, do chuja pana, zniknął ten mały sukinkot?

Przypomniawszy sobie kilka staromodnych zasad samoobrony, stanęłam Marcowi na stopie, po czym od serca zasunęłam mu w sam środek klatki piersiowej, odpychając go i zmuszając do tego, żeby puścił moje ramię.

Rozmasowałam uciśniętą skórę i cofnęłam się o kilka kroków.

– Więcej mnie tak nie łap! Nie mam, do cholery, pojęcia, gdzie jest Maxx! – zakipiałam i skrzywiłam się, trafiając palcami na niewątpliwego siniaka.

Najwyraźniej jednak moje oburzenie przeważało obawy przed



tym budzącym lęk swoim wyglądem mężczyzną.

Rozejrzałam się, ale nie doświadczyłam już tego samego przyływu energii co kiedyś. Compulsion nie był już dla mnie tym zagadkowym, kuszącym światem. Nie przejmował mnie już pulsujący rytm ani obietnica zapomnienia.

Teraz to miejsce wydawało się zwyczajnie ciemne i przerażające. Bez Maxxa, bez jego enigmatycznej, ale stałej obecności wydawało się zimne i puste. Ludzie kołyszący się w gorączkowym rytmie sprawiali wrażenie zdesperowanych i oderwanych od rzeczywistości. To miejsce było ułudą, której nie potrafili przejrzeć.

To nie była ucieczka, tylko pułapka. Wszystko tu wydawało się zupełnie nierealne.

To była maska ukrywająca paskudną rzeczywistość. Rzeczywistość, która prawie zabiła Maxxa.

Rzeczywistość, która prawie zniszczyła mnie.

Marco natarł na mnie, ponownie wkraczając w moją strefę osobistą.

– Słuchaj, wcale nie zależy mi na tym, żeby wyjść na dupka. Jestem po prostu facetem, który próbuje zachować twojego chłopaka w jednym kawałku. I mówię ci, jeśli on się tu wkrótce nie pojawi, to są takie jednostki, których nic nie ucieszy bardziej niż obicie mu tej jego ślicznej mordki – ostrzegł.

Odetchnęłam z ulgą, że tym razem nie rwał się do mnie z łapami.

Przycisnęłam się do ściany, zastanawiając nad tym, jakie miałabym szanse, gdybym zwyczajnie kopnęła go w jaja i dała nogę.

Oparł się jedną ręką o ścianę obok mojej głowy i nachylił bliżej. Owionął mnie smród wypalonych petów zmieszany z zapachem gumy miętowej. Lekko mnie zemdliło.

– Kryłem go latami. I co za to dostaję? Po dupie. Powiedz mu, że jest mi dłużny. I to więcej, niż sądzi – powiedział Marco cichym głosem, a mnie przeszedł dreszcz niepokoju.

Marco odsunął mi włosy z szyi i nachylił się jeszcze bliżej.

– Sporo dla ciebie zaryzykował. Mam nadzieję, że jesteś tego, kurwa, warta – syknął i odepchnął się od ściany.

Stałam sparaliżowana w ciemnym kącie. Przyjście do klubu okazało się bardzo złym pomysłem.

Miałam wrażenie, jakby stopy wrosły mi w ziemię. Trzęsłam się tak okropnie, że wydawało mi się, że za moment upadnę. Kiedy wreszcie mogłam zrobić krok, nie chwiejąc się na nogach, powolutku przeszłam do wielkiej, otwartej sali, w której klubowicze bawili się w najlepsze. Światła błyskały dziko, tworząc efekt stroboskopowy. Przez to wydawało mi się, że poruszam się w zwolnionym tempie.

Prześliznęłam się wzrokiem po tańczących, ale nikogo nie rozpoznałam.

Nie miałam ochoty tańczyć. Nie ciągnęło mnie, żeby zagubić się w masie poruszających się i napierających na mnie ze wszystkich stron ciał.

Skończyłam, do cholery, z tym wszystkim.

Zagadkowość tego świata przestała robić na mnie wrażenie, kiedy przejrzałam jego prawdziwą naturę. Dla stwierdzenia tego, pomimo scysji z Markiem, warto było odbyć całą tę wyprawę.

Kusząca kłamra tkwiła tam, na wyciągnięcie ręki. I wreszcie poczułam się wystarczająco silna, by po nią sięgnąć.

Uznałam, że już najwyższy czas, żeby się stamtąd wreszcie, do diabła, zabrać.

Zanim zaczęłam przepychać się z powrotem w tłumie, ktoś na mnie wpadł. Poleciałam do przodu, wyciągając ręce tuż przed zderzeniem z bardzo twardą podłogą.

I dokładnie tak samo jak wówczas, gdy pierwszy raz pojawiłam się w Compulsion, przeszła mnie obawa, że dosłownie dwie sekundy dzielą mnie od zatratowania na śmierć.

Ktoś chwycił mnie dość bezceremonialnie za ramię i poderwał na nogi. W niczym nie przypominało to delikatnych dłoni, które przyszyły mi wówczas z pomocą.

Pozbierałam się niepewnie i wtedy ktoś mnie brutalnie popchnął. Potknęłam się znów i byłabym upadła, gdyby nie świeżo odzyskane poczucie równowagi. Wbiłam wzrok w nieprzeniknioną ciemność i aż się wzdrygnęłam na widok ostatnich ludzi, których miałabym

ochotę oglądać.

Gapili się na mnie April i Evan, nieprzystosowana społecznie parka z grupy wsparcia dla osób uzależnionych. April miała na wpół drwiący, na wpół skruszony wyraz twarzy. Na twarzy Evana malowały się nienawiść i pogarda.

Zaczełam się cofać, chcąc uniknąć jakiegokolwiek konfrontacji, ale oparłam się o ścianę kołyszących się tancerzy.

– Dziś całkiem sama, co? – krzyknął Evan, a światło zamigotało w jego bezdusznych oczach. Dłoń zacisnął na nadgarstku swojej dziewczyny jak żelazne wnyki.

– Co? – zapytałam, uzmysławiając sobie, że tego wieczoru ciągle to powtarzam. Instykt nakazywał mi zwiewać.

Evan roztaczał wokół siebie aurę osoby czerpiącej przyjemność z krzywdzenia innych. I z jakiegoś powodu od pierwszego dnia zapalał do mnie szczególną niechęcią.

Puścił April i podszedł bliżej. Próbowalam się cofnąć, ale znów natrafiłam na zwarty mur ciała.

– Twój chłopak, Maxx. Gdzie on jest? Od dłuższego czasu go nie widziałem, a mam do niego kilka spraw.

Zamrugalam zszokowana. Czy wszyscy, do jasnej cholery, prowadzili jakieś interesy z Maxxem? Nie próżnował, trzeba przyznać.

I wtedy uprzytomniłam sobie, o co konkretnie Evan mnie pyta.

Szlag.

Wiedział.

– Nie wiem, o czym mówisz – skłamałam, przekrzykując muzykę.

Evan schylił głowę. Kiedy jego usta znalazły się dokładnie na wysokości mojego ucha, wzdrygnęłam się ze wstrętem.

– Wiedziałem od początku, że jesteś zwykłą szmatą. Powinnaś była pomyśleć, dla kogo rozkładasz te swoje śliczne nóżki. Sprawy mogą przybrać naprawdę paskudny obrót, kiedy człowiek nie uważa. Ale już się pewnie zorientowałaś, nie? Ludzie po prostu nie są szczególnie wyrozumiali, jeśli chodzi o pewne relacje.

Cofnęłam się, jakby Evan mnie uderzył. Patrzył na mnie z sadystyczną uciechą, oblizując usta i gapiąc się na mnie

podejrzliwie.

April zniknęła w tłumie i poczułam się, jakbym była z Evanem sama, chociaż ze wszystkich stron otaczał nas tłum ludzi.

I wtedy do mnie dotarło. Wiedziałam już dokładnie, kto powiedział Kristie o mnie i Maksie. To nie był Brooks. Pomyliłam się.

– Lepiej uważaj, suko. Mam twój numer – Evan wyłożył te słowa jak broń, każda sylaba była oczywistą groźbą.

Łokciami utorowałam sobie drogę w tłumie. Nie zwalniając kroku, przebiegłam całą drogę do samochodu, niepewna, czy dostałam taką kłamrę, jakiej szukałam.

## Rozdział szósty

-Aubrey-

Zawsze byłam pilną studentką, dziwaczką czerpiącą przyjemność z pisania prac naukowych, wkuwającą do czwartej nad ranem do egzaminu. Ale moja pasja, mój *entuzjizm* dla terapii, wybranej przeze mnie ścieżki kariery, przygasły.

Świadomość, że ludzie, którzy dotychczas mnie wspierali, podważają moje zdolności i zaangażowanie, była dla mnie wstrząsem. A teraz siedziałam w gabinecie doktor Lowell i czekałam, aż skończy swoje popołudniowe zajęcia, żebyśmy mogły odbyć nasze pierwsze indywidualne spotkanie od chwili otrzymania przeze mnie oficjalnej nagany.

Umierałam ze strachu.

Rozglądałam się po znajomym wnętrzu i uzmysławiałam sobie, jak odmienne niż kiedyś są moje odczucia związane z przebywaniem w nim. Nadal miałam dla mojej opiekunki naukowej wyłącznie szacunek, ale między nami pojawiło się niezręczne napięcie, którego wcześniej nie było. Nic nie potrafi spieprzyć relacji równie skutecznie jak zrujnowanie własnego wizerunku w czyichś oczach.

Poprawiłam zapiętą na nadgarstku szeroką mankietową bransoletę i przesunęłam palcem po grawerowanym srebrze. Mały symbol nieskończoności otarł mnie szorstko o skórę i zastanowiłam się, co mnie podkusiło, żeby właśnie dziś założyć tę konkretną ozdobę.

Pamiętam, jak podniecona była Jayme, podarowując mi ją na moje szesnaste urodziny. Przez całe lato pracowała w lokalnej cukierni, żeby na nią zarobić. Prawie sześć miesięcy wcześniej pojechaliśmy do galerii handlowej i tam na witrynie niewielkiego sklepiku zobaczyłam tę właśnie szeroką bransoletę. Ogromnie mi się spodobała, ale gdy tylko zobaczyłam cenę, zrozumiałam, że nie będę sobie mogła na nią pozwolić.

I Jayme, która miała wówczas zaledwie czternaście lat, uznała, że do niej należy dopilnowanie, żebym ją dostała. Takie właśnie byłyśmy. Poszłybyśmy za sobą na koniec świata. Nigdy się nie kłóciłyśmy. Byłyśmy dla siebie najlepszymi przyjaciółkami. I dlatego tak bardzo bolało, gdy wszystko się nagle zmieniło.

Bo ostatecznie – i to dość raptownie – nasze stosunki się popsuły i Jayme przestało obchodzić moje zdanie na jakikolwiek temat. W ciągu ostatniego miesiąca dziwnym trafem łatwiej mi było przypomnieć sobie dobre chwile z Jayme niż pogrążyć się w mrocznych wspomnieniach. Wciąż odczuwałam jej stratę równie dotkliwie jak zawsze – to był ból z rodzaju tych, które nigdy tak naprawdę nie ustępują – ale jakimś cudem zaczęłam przestawiać swoje myślenie na nowe tory, zostawiając więcej miejsca na kultywowanie dobrych wspomnień. Po przejściach z Maxxem uzmysłowiłam sobie, że skupianie się wyłącznie na negatywach będzie mnie powoli zżerać. Doświadczyłam już wystarczająco wiele cierpienia jak na jedno życie. Teraz musiałam dopuścić do głosu lepsze fragmenty mojej przeszłości.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak Jayme rozbłysły oczy, gdy rozpakowałam prezent. Jeśli się dobrze skupiałam, wciąż potrafiłam usłyszeć jej śmiech, gdy przymierzyłam ozdobę i wykonałam z radości głupkowaty taniec.

Mama uwieczniła na zdjęciu, jak się ściskamy, a tata zawołał nas do kuchni na kawałek ciasta. Mama zamówiła moje ulubione: tort czekoladowy z nadzieniem malinowym.

Kilka tygodni później mama oprawiła to zdjęcie w ramki i podarowała mi je. Wyjeżdżając do Longwood, nie wzięłam go ze sobą; dość kretyńsko pomyślałam, że zostawiając je w domu, ucieknę przed wspomnieniami. Celowo nie zapakowałam żadnych rodzinnych zdjęć. Teraz pożałowałam, że go nie mam, że wyjeżdżając z domu na studia, okazałam się tak krótkowzroczna. Dotarło do mnie, że w tym momencie najbardziej na świecie pragnęłam spojrzeć znów na twarz mojej siostry i przypomnieć ją sobie taką, jaka była *przed* narkotykami. *Przed* Blakiem.

Zanim zostałam zmuszona do zidentyfikowania w kostnicy jej

ułożonego na stole ciała.

Te urodziny były znaczące pod wieloma względami. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, żeby jeszcze kiedykolwiek potem cała moja rodzina była razem szczęśliwa. We wrześniu rozpoczęła się szkoła i Jayme poznała Blake'a, a potem nic już nie było takie jak wcześniej. Nie wychwyciłam subtelnych zmian w jej osobowości, które teraz, z perspektywy czasu, wydawały się tak oczywiste. Łatwo analizować po fakcie, ale wówczas wszystko wydawało się idealne. Cieszyłam się, mogąc teraz rozpamiętywać tamtą chwilę.

– Mam nadzieję, że nie czekałaś zbyt długo. – Głos doktor Lowell wyrwał mnie z zamyślenia i stanowczo przywołał do terażniejszości.

Wyprostowałam się nieco na krześle, nerwowo wygładziłam spódnice i założyłam sobie włosy za uszy.

– Nie. Niezbyt długo – skłamałam. Siedziałam tam już od ponad dwudziestu minut, ale zwracanie na to uwagi nie miało sensu.

Doktor Lowell przyjęła moją odpowiedź skinieniem głowy. Zrobiła sobie kawę, a ja dostrzegłam fakt, że mnie już jej nie zaproponowała. To drobne uchybienie mocno mnie zabolowało; było kwintesencją wszystkiego, co zmieniło się między doktor Lowell a mną. Obeszła biurko i usiadła na swoim krześle, sięgając po kremową teczkę leżącą na stercie dokumentów.

Nie było żadnej wymiany uprzejmości. Żadnych niezobowiązujących wstępów ani pytań o to, jak mi mija tydzień. Tylko zimna cisza i ponure wyczekiwanie. Ze zdenerwowania, niezdolna stłumić obsesyjny tik, zaczęłam skubać skórki przy paznokciach. Trudno przełamać utrwalone nawyki. Wiedziałam o tym doskonale.

Po kilku minutach doktor Lowell podniosła wzrok znad teczki i poprawiła okulary, które zsunęły się jej na czubek nosa. Uśmiechnęła się. Była to wysilona karykatura tego, czym zwykle mnie obdarowywała.

– Jak się miewasz? – zapytała szorstko.

Zamrugłam kilkakrotnie, zastanawiając się, na ile szczerości mogę sobie pozwolić wobec kobiety, która jest moją mentorką. Doktor Lowell założyła ręce przed sobą i nachyliła się ku mnie.

– Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała – zauważyła.

Odchrząknęłam i zakreśliłam bransoletką na nadgarstku, jakby to był jakiś talizman. Dziwnym sposobem ucisk w żołądku faktycznie jakby zelżał.

– Rzeczywiście, niezbyt dobrze spałam – przyznałam, nie potrafiąc jej spojrzeć prosto w oczy.

– I straciłaś na wadze – ciągnęła doktor Lowell, sokolim wzrokiem rejestrując wszystkie szczegóły. Była zdecydowanie zbyt spostrzegawcza, bym mogła zachować spokój ducha.

Znów odchrząknęłam, żałując, że nie mam choćby szklanki wody.

– Tak, chyba tak.

– Niepokoję się o ciebie, Aubrey – stwierdziła, a jej głos odrobinę złagodniał.

– Niepokoi się pani? – Nie byłam pewna, jak mam się odnieść do tego stwierdzenia.

– Wiem, że w ostatnich tygodniach wiele przeszłaś. Straciłaś azymut. Zboczyłaś z kursu. Czy używam właściwych eufemizmów? – Jej usta wygięły w nieco naturalniejszym uśmiechu, lecz chociaż doceniałam jej wysiłki, nie potrafiłam ich odwzajemnić.

Czytała we mnie jak w otwartej księdze i kompletnie wytrącało mnie to z równowagi.

– Chyba tak – odparłam cicho.

– Jak doszło do tego, że znalazłaś się w takim położeniu, Aubrey?

Pytanie doktor Lowell budziło niepokój bezpośredniością. Wiedziałam, do czego zmierza. Fundowała mi psychoterapię. Widziała we mnie pacjentkę. Klientkę. Świadomość, że budowany przeze mnie latami wizerunek silnej kobiety właśnie legł w gruzach, była upokarzająca. Nikogo już nie mogłam zwieść, a najmniej doktor Lowell.

Faktycznie: jak do tego doszło? Chryste, sama się nad tym zastanawiałam, odkąd zobaczyłam Maxxa walczącego o życie na podłodze tej obrzydliwej łazienki.

W tej krótkiej chwili przez głowę przeleciały mi tysiące pytań bez odpowiedzi. W ułamku sekundy uzmysłowiłam sobie jednocześnie, że mężczyzna, którego kocham, umiera właśnie z powodu własnych



demonów i mojej niezdolności ich dostrzeżenia oraz że tak naprawdę w ogóle nie znam samej siebie.

Zajadłej niż wcześniej potarłam bransoletę.

– Właściwie nie wiem, pani doktor. – Nie próbowałam wymigać się od odpowiedzi, starałam się jedynie być szczerą.

Doktor Lowell potarła zaczerwienienie od okularów widoczne na grzbiecie nosa. Wyglądała, jakby bolała ją głowa. Wiedziałam, że moje działania wywarły wpływ na wiele osób, nie tylko na mnie. Jako moja opiekunka naukowa dostała zapewne ostrą reprimendę za to, że w porę nie zorientowała się w sytuacji. Dokonując takich wyborów, jakich dokonałam, postawiłam na szali nie tylko własną przyszłość. Byłam jednak zbyt samolubna i zajęta sobą, by to dostrzec.

Tyle że wówczas nie miało znaczenia nic poza miłością, którą odkryłam z najgorszą możliwą osobą.

– Jesteś bystrą, młodą kobietą, Aubrey. Masz ogromny potencjał. Zawsze doceniałam szczerść i otwartość, z jaką mówiłaś o swojej przeszłości. O tym, jak wpłynęła na ciebie śmierć siostry. Być może znalazłyśmy się tutaj ze względu na błędy popełnione przeze mnie. Postawiłam cię w sytuacji, w której musiałaś otworzyć się na sprawy, które mogły zadziałać jak wyzwalacz. Wywieranie na ciebie tego rodzaju presji nie było z mojej strony w porządku. Docierały do mnie sygnały ostrzegawcze. Kristie kilkakrotnie zwracała mi uwagę na incydenty, które zbyt pochopnie zbyłam lekceważeniem. Myślę, że ostatecznie jestem winna tej sytuacji w równym stopniu jak ty, Aubrey. – Doktor Lowell wyglądała na zmęczoną, smutną i zrezygnowaną.

– Pani doktor, to nieprawda. Zawsze była pani dla mnie wyłącznie wsparciem. Nigdy nie zdołam się pani odwdzińczyć za wiarę, którą pani we mnie pokładała. To ja nawaliłam, nie pani. Zrobiłam coś, czego niestosowności byłam doskonale świadoma, i ukryłam to przed wszystkimi – powiedziałam, wdzięczna losowi za to, że głos mi się nie załamał.

Doktor Lowell odchyliła się na krześle i popatrzyła na mnie ponad oprawkami okularów.

– I właśnie to cię, Aubrey, wyróżnia.  
– Co ma pani na myśli?  
– Nie możesz cofnąć tego, co się stało. Miałam jedynie nadzieję na to, że weźmiesz za to odpowiedzialność. – Doktor Lowell zdjęła okulary i powoli odłożyła je na biurko. – Pamiętam, jak podczas robienia licencjatu trafiłam na następujący cytat: *Przeciwności losu są najpierwszą drogą ku prawdzie*. Na przestrzeni lat stało się dla mnie jasne, że nigdy nie spotkałam się z prawdziwszym zdaniem. Musisz doświadczyć trudności, żeby uzmysłwić sobie, gdzie powinnaś się znaleźć. Jestem przekonana, że to, jak reagujemy w najbardziej przygnębiających chwilach naszego życia, świadczy o tym, jakim człowiekiem tak naprawdę jesteśmy. – Doktor Lowell znów się uśmiechnęła i tym razem jej uśmiech był szczery, a być może nawet zabarwiony czymś, co wydawało się zbliżone do dumy. – Zaimponowałaś mi, Aubrey.

Ja chyba śniłam. Mówiła serio? Zaimponowałam jej? Czym? Zdolnością podejmowania gównianych decyzji?

– Mogłabyś z łatwością zrzucić winę na Maxxa albo wymyślić milion wymówek usprawiedliwiających twoje zachowanie, a jednak nie zrobiłaś żadnej z tych rzeczy. Stawiłaś się na posiedzenie komisji, zebrałaś baty i przyjęłaś nałożoną na siebie karę. W moim odczuciu dowodzi to prawdziwej siły charakteru.

Odchrząknęłam, niepewna, co odpowiedzieć.

– No cóż, bardzo dziękuję – wydusiłam wreszcie.

– Podczas twojego przesłuchania wspomniano o możliwości zapracowania przez ciebie z powrotem na miejsce w programie. Zakładam, że zapisałaś się na zajęciach *Granice i etyka terapii*, które są dla ciebie obligatoryjne.

Skinęłam głową. Dosłownie tego ranka doniosłam wymagane dokumenty. Pierwsze zajęcia miałam mieć w przyszłym tygodniu.

– Jeśli zaliczysz zajęcia i godziny superwizji ze mną, pod koniec roku katedra ponownie oceni możliwość przyznania ci miejsca w programie. – Doktor Lowell uniosła wzrok znad trzymanej w rękach teczki i napotkała moje spojrzenie. – Mimo wszystko, Aubrey, naprawdę sądzę, że jesteś odpowiednią osobą do udziału

w tym programie. – Doktor Lowell przyglądała mi się niewzruszenie przez dłuższą chwilę. – Jeśli nadal tego chcesz.

Zastanowiłam się nad tym, o co mnie pyta. Kiedyś odpowiedzią byłoby zdecydowane „tak”. Ale moja pewność siebie została porządnie zachwiana. Więc teraz... nie byłam już taka pewna.

– Wahasz się. Sądziłam, że chciałaś być terapeutką – powiedziała.

Spojrzałam przez okno na studentów spieszących na zajęcia. Kiedyś byłam taka jak oni: pewna siebie i bez wahania podążająca obraną ścieżką. Skąd jednak miałam mieć pewność, że moja ścieżka jest słuszna, skoro tak mocno zboczyłam z kursu?

– A jeśli nie jestem do tego stworzona? Sama pani powiedziała, że ze względu na swoją przeszłość łatwo uruchamiam pewne mechanizmy. Jak mogę pomagać innym ludziom, skoro nie potrafiłam pomóc samej sobie? Jaki człowiek zakochuje się w swoim pacjencie? Jaki terapeuta robi to, co ja zrobiłam? – wyrzuciłam z siebie niespokojnie.

Twarz doktor Lowell przybrała wyraz zamyślenia.

– Posłużę się terapeutycznym bełkotem i odwrócę to pytanie. – Wychyliła się do przodu, złożyła ręce na biurku i popatrzyła na mnie spokojnie ciemnymi, poważnymi oczami. – Jak odpowiedziałabyś na te pytania? Czy sądzisz, że jesteś przygotowana, by komuś pomóc, biorąc pod uwagę twoje doświadczenia? Co ci podpowiada intuicja?

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Podpowiada mi, że właśnie ze względu na swoje doświadczenia mogłabym komuś pomóc – powiedziałam, a doktor Lowell kiwnęła potakująco głową. – Ale – ciągnęłam – nie zmienia to faktu, że przekroczyłam granice, pani doktor. Co będzie, jeśli znów nawalę?

Tutaj właśnie tkwiły korzenie mojego problemu. Straciłam zaufanie do samej siebie i nie miałam pewności, czy zdołam je odzyskać.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie za ciebie, Aubrey. Mogę ci jednak powiedzieć, że jeśli traktujesz swoją przyszłość poważnie i chcesz na nią pracować, możemy spróbować pokierować cię z powrotem na właściwe tory. Wiele wysiłku będzie od ciebie wymagało udowodnienie, że jesteś w stanie znów uczestniczyć

w programie. I musisz to potraktować bardzo poważnie. – Doktor Lowell pociągnęła łyk kawy, a ja zastanawiałam się nad tym, co właśnie powiedziała. – Czy jesteś gotowa to zrobić? – zapytała.

Myśl o kolejnej możliwej porażce rodziła we mnie wątpliwości, ale wiedziałam, że nie mogę przepuścić takiej szansy.

– Jestem – odparłam. I naprawdę tak myślałam.

Po tym spotkaniu poczułam się podniesiona na duchu. Miałam przed sobą długą drogę i wiedziałam, że będę musiała wiele dokonać, by dowieść, że zasługuję na swoje miejsce w programie.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że stanę na wysokości zadania. Stawka była wysoka. Odebrano mi wszystko, na co pracowałam. Doktor Lowell kusiała mnie obietnicą odzyskania tego.

W ten sposób zdobyłam coś, nad czym mogłam pracować.

Zdobyłam motywację.

I możliwość skoncentrowania się na czymś, co nie było Maxxem Demelo.

\*

Wchodząc po schodach do własnego mieszkania, usłyszałam śmiech przesącający się na klatkę schodową. Przystanęłam, nasłuchując dobiegającego zza ściany znajomego melodyjnego chichotu mojej najlepszej przyjaciółki. Od bardzo dawna nie słyszałam, by Renee tak się śmiała. Od zbyt dawna.

Ciesząc się tym dźwiękiem, stałam przez chwilę pod drzwiami i aż nie chciałam ich otwierać, by nie przysła chwila, którą Renee tak się cieszyła. Było jednak zimno i musiałam się zabrać do pracy domowej, więc powoli, niechętnie otworzyłam drzwi i natychmiast pożałowałam, że nie mogę się cichcem wycofać.

Renee siedziała na kanapie tuż obok chłopaka, którego nie znałam. Odrzuciła w tył głowę i wyeksponowała długą, białą szyję w charakterystycznym dla siebie flirciarskim geście, którego nie miałam okazji oglądać od pierwszego roku. Obserwowanie jej znów w tej roli zupełnie zbiło mnie z tropu. Przypominało stanięcie twarzą w twarz z kimś, z kim znajomość zupełnie wyleciała nam

z pamięci.

Chłopak był słodki w sposób właściwy prymusom; miał ciemne loki i zza okularów w grubych, czarnych oprawkach obserwował Renee z ujmującym uśmiechem na ustach. Pochyliła się bliżej ku niemu, a jej szeroki uśmiech był szczery i zaraźliwy. Sprawiała wrażenie młodszej o dobre kilka lat. Jakby z jej kruchych barków ktoś zdjął kilogramy bagażu.

Obserwowanie jej w takiej formie było zarówno inspirujące, jak i dziwnie bolesne. Bo chociaż widząc, jak dochodzi do siebie po koszmarnym zawodzie miłosnym, czułam ulgę, jakaś malutka, paskudna cząstka mnie była zazdrosna. Zazdrosna, że to Renee robi te pozytywne kroki naprzód. Że to ona ma uśmiech na twarzy i radość w oczach. Tak mocno pragnęłam tego samego dla siebie i tak bardzo się bałam, że już nigdy nie będzie mi to dane.

Próbowałam bezgłośnie zamknąć za sobą drzwi, żeby im nie przerywać, ale cichy stuk towarzyszący ich zamykaniu pozwolił im się zorientować, że już nie są sami. Renee przestała się śmiać. Zakryła usta, jakby przyłapano ją na czymś niestosownym.

– Aubrey, cześć! – Renee spojrzała z ukosa na siedzącego obok niej chłopaka z wyrazem niemal skruchy na twarzy.

– Cześć – odparłam, kładąc torbę na krześle.

Słodki koleżka w okularach usiadł porządniej i rzucił mi nieśmiały uśmiech.

– No więc to jest Iain. Przyszedł, żeby pomóc mi w nauce – powiedziała, patrząc na niego spod rzęs.

Zaczebne spojrzenia rzucające sobie przez tę dwójkę sprawiły, że zapragnęłam przemknąć do swojego pokoju i zamarynować się w obrzydliwie samolubnym rozgoryczeniu, które właśnie zaczynało we mnie bulgotać.

Nienawidziłam tego, jak się czułam.

Ale tak właśnie było. Jak mogłam żałować mojej najlepszej przyjaciółce szansy, by pójść wreszcie naprzód? Dlaczego miałabym chcieć uwięzić ją tu ze sobą na zgliszczach naszych poprzednich związków? Nienawidziłam Devona Keetona, faceta odpowiedzialnego za jej złamane serce i zawiedzione zaufanie.

Wykorzystał ją, groził jej i nieomal zrujnował jej życie.

Patrzenie na nią, jak się śmieje i flirtuje, było prawdziwą ulgą. Prawda? Więc dlaczego miałam ochotę wrzeszczeć ze złości? Dlaczego chciałam wyć: „Czemu nie ja?!”.

I wtedy wymierzyłam sobie siarczasty mentalny policzek. Bo *mogłam* to mieć. Musiałam tylko zawalczyć, zamiast siedzieć i czekać, aż coś się wydarzy. Nawet jeśli serce ścisnęło mi się na samą myśl o tym, by pokochać kogokolwiek innego niż Maxx Demelo.

– Cześć, Iain, miło cię poznać. Aubrey, współlokatorka Renee – powiedziałam, ruszając w ich stronę z wyciągniętą dłonią.

– Miło cię poznać, Aubrey – powiedział Iain skwapliwie, zdecydowanie ściskając moją wyciągniętą rękę.

Pod względem zarówno wyglądu, jak i osobowości wydawał się całkowitym przeciwieństwem Devona. Patrzył na Renee z uwielbieniem, śledząc wzrokiem każdy jej ruch. Zarumieniła się uroczo, a ja uśmiechnęłam się mimowolnie, zadowolona, że kiedy tak patrzyłam, jak moja najlepsza przyjaciółka kroczy ostrożnie ku temu czemuś rozkwitającemu niepewnie na chwiejnej łodyżce, wyparowują ze mnie resztki zazdrości.

Tak długo stałam jak wmurowana, że wreszcie Iain powiedział:

– Lepiej już pójde.

Najwyraźniej gapiłam się na nich nieproporcjonalnie długo. Renee rzuciła mi nieprzeniknione spojrzenie zabarwione lekkim „*przestań mnie kompromitować*”, po czym wstała i odprowadziła swojego gościa do drzwi.

– Do zobaczenia! – zawołałam i ruszyłam spieszenie w stronę kuchni, by zapewnić im odrobinę prywatności.

Usłyszałam zamykające się drzwi, po czym w wejściu do kuchni pojawiła się Renee z łagodnym uśmiechem na ustach. Litościwie nie wspomniała o moim dziwnym zachowaniu, nie zmuszając mnie do wyjaśniania czegokolwiek.

– A więc... – zawiesiłam głos, czekając, aż dopowie urwane zdanie.

– A więc...? – Renee uniosła brwi.

– Długo to już trwa? Nie wspomniałaś o żadnym *Iainie*.

Renee wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę nie było o czym – powiedziała wymijająco. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej butelkę wody.

Przyglądałam się uważnie, jak pociąga z niej łyk. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Naprawdę była beznadziejnym kłamcą. Jeszcze gorszym niż ja, jeśli to w ogóle możliwe.

– To coś poważnego? – zapytałam i natychmiast pożałowałam.

Bo uśmiech Renee momentalnie zgasł. Zesztywniała i po jej twarzy przemknął ten sam udreńczony wyraz, który przyzwyczałam się oglądać we własnym lustrze.

– Nie mogę nawet myśleć o czymkolwiek na serio. Moje serce by tego chyba nie wytrzymało, przynajmniej na razie – powiedziała cicho.

Aubrey sprzed sześciu miesięcy domagałaby się natrętnie więcej informacji. Aubrey sprzed sześciu miesięcy skarciłaby Renee za obsesję na punkcie skurwiela, który ją skrzywdził.

Aubrey sprzed sześciu miesięcy nie miała o tym wszystkim, kurwa, bladego pojęcia. Więc ta aktualna Aubrey – Aubrey, której serce zostało boleśnie doświadczone – nie drażyła tematu i nie zrzędziła. Aktualna Aubrey po prostu kiwnęła głową i pozwoliła dopowiedzieć resztę milczeniu, które zaległo w kuchni po cichej odpowiedzi Renee. Aktualna Aubrey rozumiała.

Aż za dobrze.

## Rozdział siódmy -Aubrey-

Obudziłam się dziwnie wypoczęta.

Nareszcie przespałam całą noc bez snów o morderczym Maksie.

Nie wiedziałam, czy to kwestia zaskakująco produktywnego spotkania z doktor Lowell na początku tygodnia, czy zdecydowanego postanowienia, by ruszyć naprzód, lecz niezależnie od powodów doznałam odrobiny wytchnienia od niepokojących koszmarów.

Jak dla mnie był to wystarczający powód do świętowania. Lub przynajmniej zwyczajowego spałaszowania w drodze na pierwsze zajęcia kilku pączków Krispy Kreme.

Żułam więc te pyszności w lukrze truskawkowym, pokonując dwie krótkie przecznice dzielące mnie od uniwersytetu. Jak na wczesną wiosnę było zaskakująco ciepło i wokół uczelnianych budynków roiło się od studentów korzystających z pierwszych dni ładnej pogody.

Ciepły powiew budził we mnie poczucie nowego otwarcia. Jakby sama matka natura chciała pomóc mi zmobilizować się i zostawić przeszłość za sobą.

– Ktoś tu wygląda, jakby wstał bardzo prawą nogą.

Podniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie idącego obok mnie Brooksa. Nieźle wyglądał tego ranka w niezobowiązującym T-shircie i zszarganych džinsach. Nie chciało mu się ogolić, a lekki zarost nadawał jego twarzy surowy wyraz, który bardzo do niego pasował.

Nie po raz pierwszy przypomniałam sobie, co mnie w nim urzekło, kiedy się poznaliśmy.

– No. Niesamowite, jak człowiekowi może się poprawić nastrój, kiedy się wyśpi – powiedziałam, uśmiechając się do niego.

Twarz mu się rozjaśniła, a że było to zaraźliwe, wyszczerzyłam się od ucha do ucha. Łatwiej przychodziło mi rozluźnienie się w jego



towarzystwie, gdy już wiedziałam, że to nie on doniósł na mnie Kristie za moimi plecami.

Po spotkaniu w Compulsion wiedziałam już, że to Evan mnie podkablował i że niesłusznie złościłam się na Brooksa.

– Miło cię widzieć w dobrej formie. Trochę to wszystko już za długo trwało – powiedział Brooks, odrywając sobie połowę mojego pączka i wrzucając go do ust.

– Zabieraj te lepkie łapy – warknęłam przyjaźnie, dając mu sójkę w bok.

– Kiedyś moje lepkie łapy ci nie przeszkadzały. – Brooks puścił do mnie oko, a ja zbyłam śmiechem te jego zaloty.

– No, może. Ale to było dawno. Od tego czasu nauczyłam się co nieco na temat stawiania granic – odcięłam się żartobliwie, rozbawiona naszymi przekomarzankami.

Brooks oblizwał sobie cukier z ust, wzruszył ramionami, chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Zabieram cię dziś wieczorem na miasto. Myślę, że czas cię upić i zafundować ci normalne uniwersyteckie przeżycia, o których te wszystkie dzieciaki ciągle gadają.

Puścił mnie, a ja cofnęłam się o krok.

– Eee... No nie wiem... – zaczęłam, ale Brooks mi przerwał.

– Odpręż się, Aubrey, i zabaw się trochę.

Wzdrygnęłam się mimowolnie. To właśnie odprężenie i dobra zabawa wpakowały mnie w kłopoty. Ale Brooks miał rację. Cóż to mogło szkodzić?

– Jasne. Czemu nie? – Wzruszyłam ramionami.

– Wow. Twój entuzjizm jest zaraźliwy – zadrwił, przewracając oczami.

Żartobliwie palnęłam go w ramię. Może miał rację i potrzebowałam po prostu trochę się rozerwać, żeby o wszystkim zapomnieć?

– Kiedy mam się szykować na tę naszą noc dzikich, szalonych wybryków? – zapytałam, gdy przepuszczał mnie w drzwiach. Otarliśmy się o siebie ramieniem i poczułam dziwną mieszankę wahania i przyjemności.

Nie dlatego, że dotykał mnie właśnie Brooks; to nie miało nic wspólnego z nim. Bardziej wiązało się z faktem, że w ogóle *ktoś* mnie dotykał. Moje ciało tęskniło za choćby przelotną, niezobowiązującą bliskością.

Uzmysłowiłam sobie, że prowadząc tak samotniczy tryb życia, robię sobie krzywdę.

Brooks szedł tuż obok, lekko ocierając się o mnie ramieniem. Nie odsunęłam się.

– Wpadnę jakoś koło wpół do dziewiątej. Przygotuj się na dobrą zabawę, Aubrey. Zmuszę cię, żebyś się trochę rozerwała, choćbym miał skonać – zagroził dobrodusznie, a ja uśmiechnęłam się mimowolnie. Przyjemne uczucie. I moje.

Nowość, trzeba przyznać.

\*

– Wow, wychodzisz w tygodniu na miasto? Co cię naszło? – zazartowała Renee, patrząc, jak wyciągam z dna szafy grzeczną dzianinową sukienkę w twarzowym fiolecie. Była słodka, sięgała mi do połowy uda, miała lekko zaokrąglony dekolot i dopasowane rękawy.

Nie pozostawiając sobie czasu na deliberacje, chwyciłam wysokie kozaki i koronkowe pończochy. Rzadko się stroiłam, ale teraz byłam w nastroju, żeby się odstawić.

– No, Brooks przekonał mnie, żeby gdzieś wyjść – powiedziałam, rozbierając się do rosołu i naciągając sukienkę przez głowę. Renee nawet okiem nie mrugnęła. Mieszkałyśmy razem na tyle długo, że skromność już jakiś czas temu przestała odgrywać w naszej relacji jakąkolwiek rolę.

Uśmiechnęła się do mnie.

– To dobrze, Aubrey. Nie mogę powiedzieć, żebym przepadała za Brooksem, mam alergię na jego kolekcję staromodnych koszul, ale jest twoim dobrym przyjacielem. I kto wie, może znajdziesz kogoś, z kim będziesz mogła sobie trochę poszaleć?

Prawie się zakrztusiłam.

– Co? – pisnęłam.

Renee uniosła ręce i roześmiała się, widząc wyraz mojej twarzy.

– Jezu, Aubrey, uspokój się. Mówię tylko, że od dość dawna wszystko w twoim życiu było strasznie skomplikowane. Coś prostego mogłoby ci dobrze zrobić.

– I naprawdę uważasz, że przespanie się z jakimś przypadkowym facetem jest *proste*? Chyba nie mówisz serio? – zapytałam z niedowierzaniem.

Twarz mnie paliła i nieprzyjemnie ścisnęło mnie w żołądku. Nie to, żebym miała coś przeciwko pomysłowi związania się kiedykolwiek z kimś innym niż Maxx, ale miałam niewytłumaczalne poczucie, że rozważając nawet taką możliwość, zdradzam go. Co było absurdalne.

– Chyba zachowam możliwość wyzwolenia drzemiącej we mnie puszczalskiej na inny wieczór – zażartowałam, odsuwając na bok niepokój.

Renee trzepnęła mnie figlarnie po ramieniu i uśmiechnęła się szeroko.

– To nie musi być pełnowymiarowa sekseskapada. Możesz po prostu... no wiesz, trochę się z kimś poprzytulać. Znaleźć sobie jakiegoś przystojnego nieznajomego na zaostwienie apetytu – kusiła, próbując zdjąć ciężar z serc nas obu.

Skuliłam się na samą myśl o ostatnim przystojnym nieznajomym, który mi się spodobał. Przełknęłam gulę w gardle i zmusiłam się do suchego śmiechu.

– Doceniam twoje próby zorganizowania mi przypadkowego towarzystwa na wieczór, ale myślę, że piwko i nachosy mi zupełnie wystarczą.

– I będą znacznie mniej melodramatyczne – zakpiła Renee.

Pchnięta jakimś nagłym impulsem, chwyciłam ją za rękę i ścisnęłam.

– Chodź z nami.

– Wolałabym nie być przymusowym świadkiem festiwalu ślinienia się Brooksa Hamlina, wielkie dzięki.

Przewróciłam oczami.

– To już przeszłość, Renee. Brooks i ja jesteśmy przyjaciółmi. A on wcale nie szuka okazji, żeby mi wleźć do łóżka – zarzekałam się, sama do końca nie wierząc w to, co mówię.

– Nie no, jasne. Tyle że i tak czułabym się jak piąte koło u wozu. Ty i Brooks macie to samo głupawe poczucie humoru. Jako jedyni, dodam. A jak już zaczynacie cytować filmy z Adamem Sandlerem, to naprawdę mam ochotę podciąć sobie żyły. Nie no, tak tylko mówię – rzuciła kpiąco.

W odpowiedzi cisnęłam w nią szczotką.

– Wolałabyś, żebyśmy zaczęli cytować *Magic Mike'a*? Znam twoją obsesję na punkcie tego konkretnego arcydzieła sztuki filmowej – roześmiałam się.

– Nie drwij z Channinga Tatuma – ostrzegła, potrząsając mi szczotką do włosów przed nosem.

Wyrwałam jej ją z ręki i ściągnęłam włosy w koński ogon.

– Idź się ubrać. Idziesz z nami. Odmowy nie przyjmuję do wiadomości – rzekłam, wyganiając ją ze swego pokoju.

Renee jęknęła.

– Jeden cytat z *Farciarza Gilmore'a* i biorę taksówkę do domu! – krzyknęła z przedpokoju.

Uśmiechnęłam się szeroko, kończąc się szykować.

Wychodziłam na miasto... z przyjaciółmi.

Było mi z tym cholernie dobrze.

Oczywiście powinnam była przewidzieć, że to długo nie potrwa.

## Rozdział ósmy

-Aubrey-

Ostatecznie zdecydowaliśmy się pójść do baru w centrum miasta, gdzie normalnie przychodziło mnóstwo studentów z LU. Nie odwiedzałam tego miejsca zbyt często tylko dlatego, że generalnie życie towarzyskie to nie moja bajka.

Nigdy nie byłam tym typem studentki, która na imprezach korporacji studenckich gra w piwnego ping-ponga albo podtrzymywana przez pozostałych chleje browar prosto z beczki, dopóki nie straci przytomności. Na pierwszym roku Renee zaciągnęła mnie na kilka imprez, ale zwykle podpierałam ściany albo pałętałam się niezręcznie w pobliżu drzwi.

Sączyłam właśnie swojego trzeciego sama adamsa, kiedy zaczęło mi się delikatnie kręcić w głowie, co oznaczało, że jestem lekko wstawiona: trochę na ckliwie, ale bardziej na wesoło.

– Jezu, jacy oni są beznadziejni! – wrzeszczałam Brooksowi do ucha, gdy patrzyliśmy, jak szajsowy zespół muzyczny fałszuje i szarpie druty na małej scenie na tyłach sali.

Zarzykali właśnie utwór *Tangerine* Led Zeppelin, i to tak, że prawie nie sposób było go rozpoznać.

Pojawił się Iain, nowy „przyjaciół” Renee, i poszli pograć w bilard. Nie odpowiedziała mi, kiedy zapytałam, czy do niego zadzwoniła. Była bardzo powściągliwa i nie chciała przyznać, jaką przyjemność sprawia jej jego towarzystwo, choć było to widać.

Miałam świadomość, że przyjęcie przez nią do wiadomości, że otwiera się na kogoś innego niż Devon, byłoby teraz zgoła niemożliwe. Cieszyłam się jednak, widząc, że próbuje.

Może więc powinnam pójść jej śladem.

Sugestia poszukania sobie jakiegoś nieznanego wydawała się zdecydowanie zbyt onieśmielająca. Nie oznaczało to jednak, że nie mogę się cieszyć towarzystwem osoby, z którą tu przysłam.

A w tym momencie, z niebagatelną ilością alkoholu we krwi, odkryłam magnetyczną siłę swobodnej zażyłości z człowiekiem siedzącym na wysokim stołku obok mnie.

Brooks kiwał głową w rytm muzyki. On też wlał w siebie kilka drinków, chociaż nie sprawiał wrażenia konkretnie wstawionego. Było jasne, że ma znacznie mocniejszą głowę niż ja. Spojrzał na mnie błyszczącymi oczami.

– Nie są tacy źli. Przynajmniej wiedzą, kim byli Zeppelini – zażartował, pijąc do mojej nieznamomości historii rocka, która wyszła na jaw, gdy zaczęliśmy się spotykać.

Był naprawdę zbulwersowany, kiedy włączył album Led Zeppelin *Houses of the Holy*, a ja zapytałam, co to za zespół. W okresie dorastania narażona byłam na wszelkie odmiany muzyki country serwowanej mi przez rodziców. Jako nastolatka częściej słuchałam Top 40 niż Rolling Stonesów. Kiedy sprawa wyszła na jaw, Brooks postawił sobie za punkt honoru zaprezentowanie mi przynajmniej z grubsza największych dokonań rock'n'rolla, zmuszając do poznania wszystkich piosenek Jimiego Hendrixa oraz nazwisk wszystkich członków zespołu The Who.

Teraz mogłam się już uważać za osobę solidnie przeszkoloną. Klepnęłam go w udo i nie cofnęłam ręki.

– Zamknij się. Teraz już wiem, kim są – wypaliłam, nie całkiem wyraźnie wymawiając słowa.

Miałam wrażenie, jakby spocona dłoń przylepiła mi się do dżinsów Brooksa, który jakby lekko napiął mięśnie pod moją dłoń. Delikatnie wbiłam palce w jego udo.

Przechyliłam się w jego stronę i sięgnęłam mu przez ramię, celowo ocierając się cyckami o jego gołą skórę. Chwyciłam jego whisky z colą i pociągnęłam łyk. Skrzywiłam się i odstawiłam drinka z powrotem.

– Obrzydliwe – parsknęłam i oblizałam wargi powolnym, przesadnym ruchem.

Zachowywałam się bezwstydnie, ale byłam zdecydowana rzucić się w niezobowiązującą przygodę erotyczną z moim bardzo dostępnym przyjacielem, nawet gdyby miało mnie to zabić.

Brooks zaśmiał się, a jego twarz przybrała niemal bolesny wyraz. Przykrył moją dłoń swoją i przytrzymał ją przez chwilę. Poczułam się dziwnie. Nie rozumiałam, co robię i dlaczego. Wiedziałam jednak, że przynajmniej w tym momencie koszmarna pustka wewnątrz mnie zniknęła.

Staralam się nie czuć zażenowania, kiedy Brooks uniósł moją dłoń i umieścił ją skrupulatnie na mojej własnej nodze. Nie odsunął się, ale też nie dotknął mnie ponownie, a ja poczułam, jak oblewam się rumieńcem, w milczeniu znosząc upokorzenie.

– Brooks... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Myślisz, że zagrają *Cinnamon Girl*, jak ich poproszę? – Znów zaczął rytmicznie poruszać głową w takt.

Spojrzałam na niego i zrozumiałam. Wskazywał mi możliwą drogę odwrotu, żebym nie czuła się zażenowana niezręczną próbą podrywu, który próbowałam właśnie skutecznić. Chciałam się zawstydić, ale w Brooksie było coś, co mi na to nie pozwalało.

– Może. Ale czy sądzisz, że twoje uszy zniosą masakrowanie twojego ulubionego przeboju? Bo ten tam koleś to nie jest Neil Young – powiedziałam, odsuwając na bok skrepowanie.

– No to zapytajmy go. Chodź. – Brooks zeskoczył ze stołka i ruszył w kierunku sceny.

Wziął mnie za rękę i holował teraz za sobą w tłumie. Zdołaliśmy przekonać aspirujących do wielkości rockmanów, by zegrali *Cinnamon Girl*, a potem tańczyliśmy. Bardzo, bardzo kiepsko. Bo taniec i ballady Neila Younga nie szły ze sobą w parze.

Przypomniałam sobie, jak widziałam Brooksa tańczącego z Courtney w *Compulsion*, i pomyślałam o tym, jak fatalnie się poruszał, nawet jak na miejsce, w którym styl i technika nie były szczególnie wymagane. Nie obchodziło mnie to jednak. Dobrze się bawiliśmy.

Dobili do nas Renee i Iain; tańczyli z nami w grupie, ale widziałam, jak zwracają się ku sobie. Iain był absolutnie oczarowany Renee i widać było, że Renee przegrywa właśnie bitwę o nieodwzajemnianie tego uczucia. No kurczę, było naprawdę genialnie.

I wtedy wszystko diabli wzięli.

Kiedy w kieszeni rozwibrował mi telefon, rozejrzałam się po twarzach moich przyjaciół, wiedząc, że nikt inny nigdy do mnie nie dzwoni. Wyciągnęłam aparat, w mdłym świetle spojrzałam na ekran i zmarszczyłam brwi, widząc nieznaną mi numer. Miejscowy, ale z niczym mi się nie kojarzył. Wcisnęłam „Wycisz” i wsunęłam go z powrotem do kieszeni, uznając, że to pomyłka.

– Kto to? – zapytał Brooks.

Wzruszyłam ramionami.

– Pojęcia nie mam – powiedziałam, kiedy mną zakreślił.

Roześmiałam się, czując snujące się wokół mnie nitki czegoś, co wyraźnie przypominało radość.

I wtedy mój telefon znów zaczął wibrować.

Wyciągnęłam go z kieszeni i zobaczyłam błyskający na ekranie ten sam numer co chwilę wcześniej.

– Może powinnaś odebrać. Jak ktoś tak próbuje się dobić, to może coś ważnego – powiedział Brooks.

– No dobra. Wyjdę na moment na zewnątrz. Zobaczmy, czy zagrają potem jakiś kawałek Backstreet Boys – powiedziałam i uśmiechnęłam się szeroko, świadoma, jak Brooks nienawidzi popu.

– Nigdy! – krzyknął, kiedy zaczęłam przepychać się w tłumie.

Mój telefon przestał wibrować. Czekałam, by sprawdzić, czy osoba próbująca się do mnie dodzwonić zdecyduje się nagrać wiadomość. Przystanęłam przy tylnym wejściu do baru, gapiąc się w komórkę i czując dziwny niepokój. I wtedy ekran znów rozbłysnął, wyświetlając ten sam numer. Wyszłam tylnymi drzwiami na zimne, nocne powietrze, czując, jak ulatuje ze mnie część alkoholowych oparów.

– Halo? – powiedziałam bez tchu.

Nastąpiła nieskończenie długa chwila, podczas której nikt nic nie mówił, a ja zastanawiałam się, czy czasem nie miałam racji i czy jednak nie była to pomyłka.

I wtedy ten ktoś się odezwał, a ja natychmiast gorzko pożałowałam, że w ogóle odebrałam ten pieprzony telefon. I momentalnie poczułam nieodpartą niechęć do samej siebie, że



w ogóle mogłam tak pomyśleć.

– Cześć, Aubrey – powiedział Maxx cicho, choć słyszałam go tak wyraźnie, jakby stał tuż obok mnie.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam.

Chciałam go zapytać, gdzie jest. Zażądać odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Chciałam na niego nawrzeszczyć, dowiedzieć się, dlaczego rozwała mi pierwszy od nie wiadomo jak dawna wieczór, kiedy czuję się jak normalny człowiek. Przez głowę przeleciało mi milion niedających się opanować uczuć, które pojawiały się i znikwały tak szybko, że nie nadążałam ich nazwać. W tej chaotycznej plątaninie rozpoznałam jedynie morderczy gniew i przesywające pożądanie.

– Jesteś tam? – zapytał Maxx cichym, niepewnym głosem. Oparłam się o ścianę, bojąc się, że upadnę.

– Jestem tu – odparłam. Nie umknęła mi waga tych słów. Ani to, jakim były w gruncie rzeczy kłamstwem.

– No to świetnie. Myślałem, że może się rozłączyłaś. Za co bym cię wcale nie winił – powiedział Maxx, wyraźnie zdenerwowany. Zamilkliśmy, jak tyle razy wcześniej. Ale ta cisza nie przynosiła ukojenia. Ciężar niewypowiedzianych słów przygniatał nas oboje. Co miałam mu na to odpowiedzieć? Chciał, żebym zaprzeczyła? Bo jeśli tak, to czekało go rozczarowanie.

Miałam wszelkie prawo rzucić słuchawką. Tak jak on miał wszelkie prawo być na mnie wściekły. Oboje mieliśmy prawo być chodzącym kłębkim wściekłości, rozgoryczenia i urazy. Poczułam jednak tylko ten smutny rodzaj otępienia, jakbym wykrwawiła się z wszelkich uczuć.

Rozejrzałam się po obskurnym zaułku za barem i pomyślałam o tym, jak bardzo przypominał miejsce, gdzie znaleziono Jayme. Co za dziwny moment na taką myśl. Ale to oczywiste, że pomyślałam o niej, gdy po raz pierwszy od tygodni usłyszałam głos Maxxa. W mojej głowie te dwie postaci w jakiś dziwny sposób stopiły się ze sobą. Strata jednej z nich zlała się z utratą drugiej, aż w końcu trudno było je oddzielić od siebie.

– Czego chcesz, Maxx? – Tylko tyle zdołałam wykrztusić.

Osunęłam się po ścianie budynku na ziemię i odchyliwszy głowę do tyłu, uderzyłam nią w twardy beton. Poczułam ostre ukąszenie żwiru pod nogami i resztki alkoholu wywietrzały mi z głowy.

– Chciałem tylko usłyszeć twój głos. Chciałem się dowiedzieć, jak sobie radzisz. Miałem nadzieję, że będziesz chciała się dowiedzieć, jak się miewam. Wiesz... jestem na odwyku. Zdecydowałem się zapisać. Tak jak chciałaś.

Na dźwięk jego słów poczułam przemożną, niemal bolesną ulgę. Maxx był na odwyku. Właśnie taką miałam nadzieję.

Chciałam się rozplakać. Krzyczeć ze szczęścia. I uciec od krótkotrwałego radosnego uniesienia, w jakie wprawiła mnie jego deklaracja. Bo chociaż cieszyłam się, że znam już powód jego przedłużającej się nieobecności, przerażała mnie myśl o tym, że ten niewczesny telefon może zepchnąć mnie z obranego kursu.

– Jak się miewasz, Aubrey? Nie ma chwili, żebym o tobie nie myślał. Tęsknię za tobą – wyszeptał.

Tęsknił za mną. Dlaczego moje zdradzieckie wargi uśmiechnęły się na to wyznanie? Ściągnęłam usta, po czym westchnęłam, czując, jak miejsce nieracjonalnej przyjemności, której doznałam na dźwięk jego głosu, zajmuje złość.

– Chcesz, żebym skłamała i powiedziała, że mam się świetnie? Że zaczęłam chodzić na jogę i wreszcie rozwiązałam tę krzyżówkę, z którą tyle czasu się męczyłam? – wypaliłam, a w moim głosie zabrzmiał gorzki sarkazm.

Maxx zachichotał nerwowo.

– Nie. Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę – powiedział, a w jego głosie było coraz mniej pewnego siebie mężczyzny, którego znałam wcześniej. Wróciłam myślami do tego dnia przed wieloma miesiącami, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Był czystym żywiołem. Magnetycznym i nieodpartym. Mężczyzną władcym i pewnym siebie.

Pociągała mnie jego arogancja, ale to jego bezbronność podbiła moje serce. Ta sama bezbronność, która teraz wylewała się ze słuchawki.

Powinnam się rozłączyć.

Nie mogłam tu siedzieć na brudnej ziemi, słuchać jego smutnego głosu i czuć, jak serce wariuje mi w piersiach.

Ale też nie mogłam poradzić sobie z poczuciem, że jestem mu coś winna. Że po tym, co wspólnie przeszliśmy, i po tym, jak odmówiłam dalszego trwania przy jego boku, należy mu się z mojej strony współczucie.

Nie oznaczało to jednak, że nie mogę dać mu odczuć, co przez niego przeżyłam.

– Prawda jest taka, Maxx, że mam się raczej słabo. Lepiej ci z tym? – zapytałam zimno.

– Nie, Aubrey – odpowiedział cicho, a ja wzdrygnęłam się mimowolnie na dźwięk własnego imienia. – Trudno mi pogodzić się z tym, że to przeze mnie. I nie potrafię znieść myśli, że nie dasz mi szansy udowodnienia sobie, że potrafię wszystko naprawić.

Nie wydawał się rozgniewany ani zdenerwowany. Sprawiał jedynie wrażenie zrezygnowanego, co było chyba jeszcze gorsze.

Przełknęłam łzy, którym nie chciałam dać popłynąć. Tak długo wpatrywałam się w uliczną latarnię, aż zapiekły mnie oczy. Przygryzłam wargi, by przestały drżeć, i odezwałam się dopiero wtedy, gdy miałam pewność, że głos mi się nie załamie.

– Nie mogę tego zrobić, Maxx. Powiedziałam ci już wcześniej, że nie mogę. Nie jestem pewna, czego ode mnie w tym momencie oczekujesz, dzwoniąc po tylu tygodniach, ale mogę ci od razu powiedzieć, że nie mogę ci tego dać. Nie zrobię tego. – Jakim pewnym powiedziałam to głosem. Jak niezachwianym. A wszystko to było jedno wielkie, cholerne kłamstwo. – Dostaliście na terapii zadanie „naprawienia błędów przeszłości”? Mogę cię zapewnić, że nie jest to konieczne. – Mój głos zabrzmiał twardo i nielitościwie. Wiedziałam, że to ostatnie, czego mu trzeba, biorąc pod uwagę, co niewątpliwie przeżywał. Ale wiedziałam też, że jeśli się na niego otworzę, jeśli okażę mu choć przez chwilę serdeczność, szybko i boleśnie wyląduję z powrotem tam, gdzie znajdowałam się jeszcze kilka tygodni temu. A tego po prostu nie mogłam sobie zrobić.

Tylne drzwi baru otworzyły się i na zewnątrz wytknął głowę Brooks. Uniósł brwi, zobaczywszy mnie siedzącą na lodowatej ziemi

z telefonem przyciśniętym do ucha. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jaki mam wyraz twarzy.

– Wszystko w porządku? – wyartykułował bezgłośnie.

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem i skinęłam głową. Zakryłam telefon ręką.

– Za chwilę wrócę. Zamów mi jeszcze jedno piwo, dobrze? – powiedziałam, próbując zachowywać się jakby nigdy nic.

Brooks, oczywiście, nie dał się nabrać. Zrobił krok w stronę zaułka.

– Z kim rozmawiasz? – zapytał, tym razem nieco głośniej.

– Aubrey, jesteś tam? – zatańczył w moim uchu głos Maxxa, odbijając mi się echem w głowie.

Zdjęłam rękę z mikrofonu.

– Tak, poczekaj chwilę – rzuciłam zdawkowo, po czym zwróciłam się do Brooksa.

– To tylko moja mama – wyszeptałam do mojego przyjaciela, krzywiąc się i przewracając oczami.

Brooks skrzywił się.

– Ups, to przepraszam. Zamówię ci dwa piwa – powiedział z uśmiechem, który w tym momencie naprawdę doceniłam.

Uniosłam kciuk w górę i wreszcie sobie poszedł.

– Słuchaj, muszę już iść – powiedziałam, wracając do Maxxa, który w milczeniu czekał po drugiej stronie.

– Kto to był? – zapytał, a ja wyraźnie rozpoznałam ten ton.

Był zazdrosny. I dotknięty. Wszystko to było podszyte jakąś sugestią zdrady. Co mnie wkurzyło.

– To był Brooks, okej? I wcale nie muszę ci niczego wyjaśniać – odpowiedziałam opryskliwie.

– Ach, twój przyjaciel. No tak – odparł Maxx, a w jego głosie zabrzmiała ulga.

– No dobrze, skoro już przestałeś wypytywać mnie o moje życie towarzyskie, to naprawdę muszę już iść. – Marzyłam o tym, żeby się rozłączyć, a jednocześnie wcale *nie* chciałam się rozłączać. Chciałam uciec i jednocześnie zostać dokładnie w tym samym miejscu.

Moje uczucia do Maxxa zawsze były w tak przedziwny sposób

dwoiste. Powodował u mnie jakąś pokrętną, maniacką dezorientację, które kompletnie mnie zżerała.

Ze wszystkich sił starałam się być kobietą, która potrafi się uczyć na błędach – a nie rzuca się w nie z powrotem głową naprzód.

Miałam też nadzieję, że po trzech tygodniach moje serce stanie się nieco twardsze, niż faktycznie się stało.

– Aubrey, proszę. Wiem, że to zabrzmiało okropnie egoistycznie i pewnie mi odmówisz, ale chciałbym się z tobą zobaczyć. Chciałbym na ciebie spojrzeć i powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro. Muszę cię zobaczyć i wiedzieć, że wszystkiego nie zniszczyłem. – Jego słowa były błaganiem, któremu niewiarygodnie trudno było się oprzeć.

Jego prośba jednocześnie zszokowała mnie i uskrzydliła.

Nie mogłam się z nim zobaczyć. Zaprzepaściłabym w ten sposób wszystko, o czego odbudowanie tak mocno walczyłam.

Jaki sens miało rozgrzebywanie ran, które ledwie co zaczęły się goić? Zdążałam ścieżką wiodącą do jasnego, wyraźnie określonego celu. W nowym porządku świata Aubrey Duncan nie było miejsca dla Maxxa Demelo.

Ale...

No i proszę! Wątpliwości. Gdybanie. Moment zawahania i niechęć, by odmówić.

„On robi dokładnie to, czego chciałaś. Jak możesz go za to karać?” – zaćwierkał mi donośnie w głowie ohydnie romantyczny dziewczęcy głosik.

„Układasz sobie życie bez Maxxa. Nie pozwól mu wszystkiego rozwalić, kiedy wreszcie pogodziłaś się ze swoimi katastrofalnymi wyborami!” – wrzasnął surowy głos rozsądku, zagłuszając pozostałą część mojej argumentacji.

– Wiem, że podjęłaś decyzję... ale to nie zmienia tego, co do ciebie czuję. Nie zmienia faktu, że została mi po tobie pustka w sercu. Tęsknię za tobą. Po prostu... Chcę cię zobaczyć. Chyba tylko po to, żeby się naprawdę pożegnać.

Moje jadowite rozgoryczenie zachichotało z niedowierzaniem. Jezu, co on pierdolił? Jego słowa aż ociekały emocjonalną manipulacją. Tyle że moje serce pamiętało jedynie to, jak zaczynało

mi walić w piersiach, kiedy mnie dotykał.

– Nie wiem, Maxx. – We własnym głosie usłyszałam wahanie.

– Proszę. Odwiedziny są w niedzielę po południu, od pierwszej do trzeciej. To naprawdę dużo będzie dla mnie znaczyć.

Przygryzłam wargę i potarłam bolesne miejsce na piersi.

– Gdzie jesteś? – zapytałam zmęczonym głosem, chcąc uzyskać przed zakończeniem rozmowy kilka odpowiedzi.

– Barton House. Wiesz, gdzie to jest? – zapytał, a ja skinęłam głową, choć przecież wiedziałam, że mnie nie widzi.

– Tak, to takie zabudowania pod miastem. Na terenie jakiegoś gospodarstwa, prawda?

– Tak, na terenie gospodarstwa – potwierdził.

– I co, każą ci karmić kurczaki i pasać krowy? – zapytałam i naprawdę starałam się nie uśmiechnąć na dźwięk głębokiego, serdecznego śmiechu Maxxa.

– Boże, nie! Potrafisz wyobrazić mnie sobie w gumofilcach, rozrzucającego pszenicę czy coś? Nie jestem stworzony do takich głupot.

Też się roześmiałam. I było mi z tym dobrze.

Za dobrze.

Uświadomiłam sobie, że nie robiliśmy tego często podczas naszego krótkiego, ale intensywnego związku. Byliśmy razem zaledwie kilka miesięcy, ale z wielu względów wydawało mi się, jakby to trwało lata. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu, by śmiać się, żartować i po prostu być dwójką ludzi cieszących się swoją obecnością. Pochłaniały nas sprawy znacznie mroczniejsze.

– Nie sądzę, żebym mogła to zrobić, Maxx. Ciężko pracuję, żeby ruszyć naprzód. A ten telefon i odwiedziny to rozwiązanie najgorsze z możliwych dla nas obojga – powiedziałam wreszcie, oddalając nas od swobodnej zażyłości, w którą za chwilę moglibyśmy się niebezpiecznie osunąć.

– Najgorsze dla mnie? Czy dla ciebie? – zapytał z odrobiną złości, której usilnie starał się nie okazywać.

– Dla nas *obojga*. Nie rozumiem, w jaki sposób zobaczenie się ze mną mogłoby ci teraz pomóc. Ciągle się raniliśmy. Nie musimy do

tego wracać, skoro wygląda na to, że próbujesz się pozbierać. – Żałowałam, że muszę wypowiedzieć tę bolesną prawdę na głos. Ale trzeba to było zrobić. Nawet jeśli stwierdzenie oczywistego faktu bolało równie mocno jak ten pierwszy raz, kiedy go zostawiłam. – Nie mogę cię ocalić, Maxx. Nigdy nie mogłam.

– Nie proszę o to, żebyś mnie *ocaliła*, Aubrey. Proszę cię po prostu o to, żebyś przyjechała mnie odwiedzić. Dać mi *coś*... – urwał i zapadło krótkie milczenie. W tej ciszy pożałowałam, że w ogóle odebrałam telefon. – Przepraszam. To nie w porządku. Nie wiem, co sobie myślałam. Dam ci spokój. Zapomnij, że dzwoniłem – wymamrotałam.

Prychnęłam z niedowierzaniem. Na moje nieszczęście zapomnienie było czymś, czego nigdy nie zdołam dokonać. Ale nie mogłam znieść myśli o tym, że Maxx o cokolwiek się obwinia, więc musiałam coś powiedzieć.

– Maxx, w porządku. Rozumiem... Po prostu nie jestem gotowa... Po prostu sądzę... – tłumaczyłam się, chociaż nie powinnam. Próbowałam usprawiedliwić coś, co nie wymagało usprawiedliwienia.

– Nie, w porządku. Uważaj na siebie, Aubrey. I przepraszam. Za wszystko. – Głos mu się załamał. – Kocham cię, Aubrey. Zawsze – wyszeptał, a potem usłyszałam cichy brzęk i w słuchawce odezwał się sygnał.

Upuściłam telefon na ziemię i zakryłam twarz dłońmi. Nie rozpłakałam się, ale nie potrafiłam opanować drżenia. Znów ogarnęło mnie przemożne poczucie straty.

## Rozdział dziewiąty

-Maxx-

– Czy twój brat dziś przyjedzie? – zapytał Pete, a ja musiałem się powstrzymać, żeby głośno nie jęknąć.

Dlaczego pytał mnie o to w każdą niedzielę, skoro zawsze dostawał taką samą odpowiedź? Dzisiaj był dzień odwiedzin. Dzień tygodnia, którego najbardziej się bałem. Taką miałem ochotę uciec, że aż mnie skręcało.

Nie siliłem się na odpowiedź. Przełknąłem urażoną irytację, nie odrywając wzroku od trzymanego na kolanach szkicownika. Całe ręce miałem uwalane pastelami olejnymi. Jednym z najbardziej pozytywnych aspektów mojego pobytu w tym miejscu było zyskanie czasu i możliwości całkowitego skupienia, absolutnego zanurzenia się w mojej twórczości. Nigdy nie postarałem się o wyrobienie w sobie tego nawyku. Nie byłem udręczonym artystą, który ślęczał nad obrazkiem, żeby w końcu powiesić go sobie na ścianie czy coś. Cała ta historia ze street artem zdarzyła się czystym przypadkiem.

Kiedy byłem młody i głupi, włóczyłem się z bandą koleśki, którzy uważali, że tagowanie budynków w centrum było fajną metodą zabijania czasu. Wręczyli mi puszkę farby w spreju i zostawili mnie mojemu wandalizmowi. I kiedy oni wypisywali głupoty w rodzaju *Urodzony we wschodnim LA*, i zostawiali na murach żałosne imitacje podpisów grup przestępczych, ja wymalowałem uschnięte drzewo z płomykami zamiast liści. Trzeba sporej dozy wyobraźni, by zobaczyć w tym coś rzeczywiście wartościowego, ale i tak było to o niebo fajniejsze od tego, co moi tak zwani przyjaciele sprejowali na murach.

Spłoszył nas właściciel sklepu, który zagroził wezwaniem policji. Tydzień później przechodziliśmy obok i zobaczyliśmy, że zamalowano wszystkie tagi – z wyjątkiem mojego drzewa. Facet nigdy się go nie pozbył i można je było oglądać jeszcze przez wiele



lat, zanim całkiem wyblakło.

Pamiętam, że byłem z tego bardzo dumny. Większość ludzi uznałaby to za wandalizm, ale właściciel sklepu dostrzegł w moim nieudolnym, amatorskim rysunku to coś, co mu się spodobało. I właśnie ten gość, nigdy nie odezwawszy się do mnie ani słowem, dał mi odczuć, że być może to, co tworzę, jest coś warte. Dla piętnastoletniego chłopaka, który dopiero co stracił rodziców i został nagle obarczony koniecznością troszczenia się i martwienia o młodszego brata, taki zastrzyk pewności siebie był dużą sprawą.

Z jakiegoś powodu jednak nigdy nie potrafiłem zatopić się w malowaniu na płótnie czy rysowaniu na kartce papieru. Co więcej, w szkole średniej zawałem zajęcia z plastyki. Mój nauczyciel powiedział, że nie mam talentu i nie potrafię się skupić.

Tak wyglądało całe moje pieprzone życie.

Ale wtedy pojawili się Gash i klub i znów ujawnił się ten dziwny talent do graffiti, pozwalający mi wyrazić się tak, jak nie potrafiłem nigdy wcześniej. I znów zostało to dostrzeżone. Gashowi bardzo spodobało się to, że swoimi małymi łamigłówkami znacznie zwiększyłem rozpoznawalność klubu i podniosłem jego dochody. Jedyne jasny punkt w tym całym paskudnym, brudnym świecie.

Kilku właścicieli galerii zaczęło nawet rozpytywać o X. To była moja sekretna tożsamość. Moje alter ego. Człowiek, który narysował kobietę w ogniu i boskie dłonie rozrzucone tu i tam po mieście. Street art był mroczny, rysowany grubą kreską i supermodny, a ci goście chcieli dostać kawałek tego kulturowo istotnego tortu. Kiedyś nawet do jednego z nich zadzwoniłem – tylko po to, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia.

To był facet z miejscowej galerii. Namierzył mnie przez klub, a ponieważ był chciwym skurwysynem, skorzystałem z okazji, żeby się obłowić. Chciał, żebym mu przyniósł próbki moich dzieł. Zadufany w sobie i przekonany o swym niezrównanym talencie, przyniosłem mu jakąś żalną zbieraninę prostackich malunków na płótnie, które w ogóle nie oddawały tego, na co było mnie stać.

Pamiętam, że zanim wsiadłem do taksówki, wziąłem garść prochów. Wtoczyłem się do galerii, ledwie kojarząc, co jest grane.

Ten gość, Tatum Randall, nie był zadowolony, kiedy rzuciłem mu te swoje główniane prace na stół i wybełkotałem: „Co mi za to dasz?”.

Tu muszę oddać mu sprawiedliwość. Nie wyśmiał mnie ani nie wykopał mojej żalostnej dupy na ulicę. Wziął do ręki każde z płócien i uważnie mu się przyjrzał. Byłem tak naprany, że prawie nie dostrzegałem wyrazu rozczarowania na jego twarzy. A co istotniejsze, w ogóle mnie to nie obchodziło.

– Przykro mi, X, ale nie jestem zainteresowany – powiedział pan Randall, odkładając płótna z powrotem na stół.

Prychnąłem i wskazałem na któryś z obrazów wiszących na ścianie.

– Mógłbym się zesrać na kartkę papieru i wyglądałoby to o niebo lepiej niż to tutaj.

Pamiętam, że oczy mi się same zamykały.

Pan Randall zmarszczył brwi.

– Dobrze się czujesz?

Zbyłem jego pytanie.

– No to płaci mi pan czy nie?

Pan Randall pokręcił głową.

– Zgłosiłem się do ciebie, bo kiedy zobaczyłem twoje graffiti, zrozumiałem, że mam do czynienia z czymś wyjątkowym. Ale to... – wskazał na stertę wykonanych bez przekonania prac – to nie jest coś, co mógłbym promować. A ty zdecydowanie nie jesteś gotów podejść do tego poważnie.

Próbowałem się trochę wyprostować, ale kompletnie mnie rozebrało. Pamiętam, że czułem się tak, jakbym zaraz miał wsiąknąć w krzesło. Nie potrafiłem się skupić ani na panu Randallu, ani na myśli, że właśnie podcieram sobie tyłek tą absolutnie wyjątkową szansą.

Pan Randall westchnął.

– Wezwę ci taksówkę.

Tuż przed moim wyjściem – podpierany przez pana Randalla, bo nogi w którymś momencie odmówiły mi posłuszeństwa – ten mężczyzna w średnim wieku popatrzył na mnie z lekkim obrzydzeniem.

– Możemy pogadać, jak kiedyś wyjdiesz na prostą – po czym dosłownie wrzucił mnie na tył taksówki. – Nie mogę zainwestować w kogoś, kto nie chce zainwestować sam w siebie. Powodzenia, X. Czy jak ci tam na imię.

To był mój ostatni kontakt z panem Tatumem Randallem.

Nie zastanowiłem się wtedy, jak doniosłe znaczenie miało to odrzucenie moich prac. Byłem zafiksowany na narkotykach. Klubie. Roli boga plugawej ciemności. Teraz jednak kuliłem się na samo wspomnienie, jakim okazałem się bezmyślnym kretynem.

Wkrótce po tym znów tworzyłem, by zostać dostrzeżonym.

Lecz wtedy nagle pojawiła się Aubrey i odkryłem, że moja twórczość, mocno zakorzeniona w świecie Compulsion, może znaczyć coś więcej.

Może *dotyczyć* czegoś więcej.

Nigdy nie byłem specjalnie biegły w przykrawaniu swoich dzieł do formatu kartki papieru. Zawsze wychodziły do kitu. I w gruncie rzeczy nie przywykłem do tworzenia czegokolwiek na trzeźwo. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio trzymałem pędzel w ręku bez wspomaganiania.

Początkowo wyprowadzało mnie to z równowagi. Tutejsi terapeuci byli żarliwymi zwolennikami terapii przez sztukę, więc skłaniano nas do poświęcania ogromnej ilości czasu na odmalowywanie naszych uczuć. Nienawidziłem tego. Miałem poczucie, że to nie w porządku.

Przy każdej próbie czułem, jak kładą się na mnie cieniem symptomy odstawienia. Nigdy nie dostałem świra. Nie straciłem kontroli. Ale nie potrafiłem nic narysować.

Dopóki nie pomyślałem o Aubrey. Wtedy słowa przestały wystarczać, by wyrazić to, co czułem.

Pamiętam, jak wziąłem kilka litrów farby i wymalowałem pęknięte lustro na chodniku przed jej kamienicą. Pamiętam, jak żałośnie, jak rozpaczliwie się czułem. Chciałem, żeby zobaczyła, jak bardzo ją kocham. Jak bardzo jej potrzebuję. Jak kluczowa jest jej obecność, żebym w ogóle mógł dalej istnieć. Pamiętam też, kurwa, na jakim byłem wtedy haju.

Ale teraz, rysując ją na trzeźwo, uwalniałem jakieś uwięzione w sobie pokłady. Gniew, rozczarowanie i tęsknotę, których nie potrafiłem wyrazić słowami. Przez swoje krótkie życie byłem ćwiczony do tego, żeby trzymać wszystko w sobie, niczego nie okazywać. Uczucia były skomplikowane i nie miałem na nie czasu.

Ale spotkałem kobietę, która uniemożliwiła mi powstrzymanie czegokolwiek dłużej. A teraz, na odwyku, kiedy próbowałem sobie to wszystko poukładać, jedyną rzeczą, jaką chciałem się zająć, było wyrażenie tego rysunkiem. Przeniesienie na papier wszystkich tych rzeczy, o których nie potrafiłem mówić. Pierwszy raz życiu moja sztuka *zaczęła się rozwijać*. Opowiadała o mnie. O tym, jak próbowałem pozbierać się do kupy. O rozmyślaniu nad tym, co zamierzałem zrobić ze swoim życiem. Jak mogłem zmienić się na lepsze.

Uzależniłem się od sztuki, jakby to był jakiś metadon czy coś.

Roztarłem nieco zacieniony kontur okrągłego policzka, który właśnie narysowałem. Pogładziłem palcami długie blond włosy na kartce. Rysunek był tak rzeczywisty, że mogłem sobie nieomal wyobrazić, że Aubrey naprawdę tu jest. We własnej osobie. Robiło mi się ciepło na sercu, kiedy ją rysowałem. Kiedy ją malowałem. Kiedy patrzyłem na nią oczyma duszy i pozwalałem palcom tworzyć. W takiej postaci mogłem ją przy sobie zatrzymać.

Na zawsze.

Nadal rozcierałem zarys dolnej części twarzy Aubrey, którą umieściłem właśnie na papierze. Gdybym zamknął oczy, mógłbym udawać, że to ona. Urojenia stały się moim nowym najlepszym przyjacielem.

– Nad czym pracujesz? – zapytał Pete, najwyraźniej nie chwytając, że nie jestem w nastroju na pogaduszki. Bardzo starałem się nie myśleć o tym, że poprosiłem Aubrey, żeby do mnie dziś przyjechała, a ona mi odmówiła.

Zamknąłem szkicownik i wcisnąłem go pod poduszkę.

– Nad niczym – obwieściłem i podniosłem się.

– Dokąd idziesz? Ogród jest zamknięty, tam odbywają się dzisiaj wizyty – powiedział Pete, wkładając w swój głos odrobinę

stanowczości.

– Okej, dzięki za informację.

Minąłem go, ignorując jego nieustające próby podejmowania rozmowy. Pokój wspólny był pusty. Albo wszyscy mieli gości, albo ci, którzy ich nie mieli, zaszyli się zdołowani w swoich pokojach. Znalezienie się w gronie tych nielicznych, których nikt nie odwiedzał, było naprawdę słabe, ale postanowiłem się nad sobą nie użalać. Większość życia przeżyłem sam. Żadna nowość.

Na swoje nieszczęście posmakowałem, co to znaczy dzielić życie z kimś, kto cię kocha. I ciągnęło mnie do tego. Złapałem to, ścisnąłem w rękach i koniec końców zniszczyłem.

Teraz zostało mi tylko wspomnienie tego, co mogło się wydarzyć. A to było znacznie gorsze niż całkowita niewiedza. Spojrzałem na ścienny zegar. Była już druga. Jeszcze tylko godzina i będę mógł udać, że nie było żadnego dnia odwiedzin. Przynajmniej aż do przyszłego tygodnia, kiedy zostanie mi znów przypomniane, że nikt nie przyjdzie się ze mną zobaczyć.

– Maxx, tu jesteś.

Podniosłem głowę i zobaczyłem stojącą w drzwiach Stacey.

– Szukasz mnie? – spytałem, przerzucając kanały w telewizji i przeklinając się w duchu za to, że wybrałem sobie na kryjówkę mającą mi służyć przez kolejną godzinę tak oczywiste miejsce.

– Tak! Masz gościa. Ona czeka w ogrodzie – powiedziała, kiwając na mnie ręką.

Siedziałem i gapiłem się na nią jak krety.

*Ona. Czeka.*

– Co? – zapytałem z niedowierzaniem. Nie mogłem pojąć, co Stacey do mnie mówi.

Kiedy byłem przyjmowany do Barton House, na liście gości uprawnionych do odwiedzania mnie umieściłem tylko dwa nazwiska.

Aubrey Duncan. Landon Demelo.

I to wszystko.

– Kto to jest? – zapytałem, niemal bojąc się odpowiedzi, którą zaraz otrzymam.

– Powiedziała, że ma na imię Aubrey. Sprawdziliśmy w twojej dokumentacji i jest na liście uprawnionych gości. Czy to jest okej? Nie masz nic przeciwko? – Stacey spojrzała na mnie z niepokojem.

Serce waliło mi tak mocno, że przez chwilę myślałem, że zaraz zemdleję.

Chryste Panie, przyszła. Spojrzałem na Stacey, która uważnie mi się przyglądała. Wiedziałam, że czeka, czy mi odjebie.

No i miała wszelkie prawo być zaniepokojona, bo właściwie byłem bliski wpadnięcia w lekką histerię. Tak wewnętrznie, oczywiście.

– Nie, w porządku – powiedziałem, niepewny, czy nie mijam się z prawdą.

Aubrey przyszła.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Poszedłem za Stacey korytarzem i wyszedłem do ogrodu. Zmrużyłem oczy w blasku popołudniowego słońca i zadrżałem w moim cienkim T-shircie. Cholera, powinienem wziąć jakąś kurtkę. Zimno tu było. A potem zapomniałem o zimnie. Zapomniałem o stojącej obok mnie terapeutce, przyglądającej mi się spod zmrużonych powiek. Bo tam była ona.

Aubrey.

Chłonałem ją wzrokiem. Pożerałem wszystkimi zmysłami. Otwarta rana w moim sercu trysnęła świeżą krwią.

Wzrok miała spuszczonej na ekran swojego telefonu. Długie blond włosy opadały jej po obu stronach twarzy. Nie widziałem jej wyrazu, włosy mi go zasłaniały, ale jeśli wnioskować z mowy jej ciała, nie czuła się tu swobodnie. Może wcale nie chciała tu przyjść.

Przeszło mi przez głowę, czy nie obrócić się na pięcie i nie pójść z powrotem do środka. Może nie byłem na to jeszcze gotowy, chociaż bardzo tego pragnąłem.

Jej widok rozbudził we mnie tysiące pragnień, które usilnie starałem się stłumić. Narkotykowy głód. Chęć zatracenia się w mglistej nieświadomości zamkniętej w garści tabletek. Cokolwiek, byle znów popaść w otepienie. Najgłośniej ze wszystkich odezwało się jednak pragnienie, które dosłownie błagało mnie, żebym złapał

ją za rękę i uciekł z nią gdzieś bardzo, bardzo daleko. Zapomniał o całym tym beznadziejnie głupim odwyku, zagrzebał się w niej i już nigdy jej nie wypuścił.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Stacey, kompletnie wytrącając mnie tym pytaniem z równowagi.

Nie, kurwa, nie czułem się dobrze! Dostawałem tu, kurwa, świra!

Skinąłem jednak głową i ruszyłem przez trawnik w stronę stolika, przy którym moja ukochana kobieta siedziała zupełnie nieświadoma szaleństwa, które we mnie rozpełtała, po prostu zjawiając się tutaj – tak jak ją o to poprosiłem.

Kiedy podszedłem do stolika, wciąż jeszcze patrzyła w swój telefon. Odstawiłem sobie krzesło po drugiej stronie i usiadłem. Nareszcie podniosła głowę i po raz pierwszy zobaczyłem jej twarz. Niebieskie oczy otworzyły się szeroko na mój widok.

Wiedziała, co zobaczyła. Sporo schudłem. Tak działa odwyk. Zawsze miałem dość szczupłą twarz, ale teraz kości policzkowe stały się jeszcze wydatniejsze. Włosy mi urosły i teraz sięgały już prawie do ramion. Przynajmniej jednak zniknęły głębokie cienie pod oczami i ziemisty odcień cery.

– Hej – odezwała się cicho i supeł w moim żołądku trochę się rozluźnił.

– Przyszłaś – powiedziałem, uśmiechając się.

Zerknąłem na jej dłonie i zobaczyłem, że tak mocno zaciska je na telefonie, jakby chciała go połamać. Sprawiała wrażenie przerażonej. Chciałem ją wziąć za rękę, ale uznałem, że to byłoby natręctwo. Nie byliśmy już parą. Aubrey nie była moją dziewczyną. Nie miałem prawa jej dotykać, choćbym bardzo chciał.

– Tak. Chociaż nie jestem pewna, czy powinnam – wymamrotała, odwracając spojrzenie.

Zakreśliła się na krześle. Jej niepokój wytrącał mnie z równowagi.

– No to dlaczego przyszłaś? – zapytałem uszczypliwie, chcąc możliwie szybko przełamać to głupie uczucie zażenowania.

– Bo musiałam cię zobaczyć... ostatni raz. No wiesz, upewnić się, że wszystko u ciebie w porządku – wyrzuciła z siebie pospiesznie, jakby słowa mogły ją pogryźć.

Ostatni raz...

Wyciągnąłem ręce.

– No cóż, patrz śmiało, Aubrey. Żyję, jak widzisz. – Żałowałem, że nie potrafię powstrzymać się od sarkazmu, ale jej odpowiedź mnie dotknęła. Czego się spodziewałem? Że mi powie, że nie potrafi żyć z dala ode mnie? Że się myliła i chce znów ze mną być? Czy naprawdę sądziłem, że tak będzie wyglądał nasz nowy początek?

– Wyglądasz... lepiej – powiedziała Aubrey, omiatając mnie spojrzeniem. Chciałem wiedzieć, co sobie myśli, patrząc na mnie. Chciałem wiedzieć, czy przypomina sobie wszystko tak wyraźnie jak ja. Czy patrząc mi w oczy, widzi człowieka, którego kochała. Czy w ogóle cokolwiek jeszcze do mnie czuje.

– Chyba tak. Mam się... lepiej – odparłem.

Nie patrząc mi w oczy, przygryzła skórę wokół kciuka.

– To miłe miejsce. Zawsze wydawało mi się, że to bardziej przypomina szpital. A nie...

– Hotel? – podpowiedziałem jej.

Aubrey pokręciła głową.

– No. Bardzo tu kurortowo – zachichotała, po czym odchrząknęła, jakby złapała się na coś niestosownym.

– Jak ci idzie na uczelni? – zapytałem, próbując wymyślić jakiś bezpieczny temat.

Tak naprawdę chciałem zobaczyć, jak znów się uśmiecha. Chciałem, żebyśmy odnaleźli drogę powrotną do tej swobody i luzu, który pozwolił mi tak szybko i mocno się w niej zakochać.

Aubrey prychnęła i zmrużyła oczy.

– Czy dlatego właśnie chciałeś, żebym tu przyszła? Żeby zapytać mnie, jak tam w szkole?

Zaskoczyła mnie jej złość. Spodziewałem się jej, ale i tak byłem zaskoczony jej zaciekłością.

– Nie, ja po prostu chciałem...

– Chcesz pogadać o pogodzie? Czy w ten sposób cała ta sytuacja stałaby się mniej niezręczna? O czym, do licha, mamy rozmawiać? Może o tym, jak spieprzyłeś mi kilka ostatnich miesięcy życia? A może chcesz mi powiedzieć, jakim jestem potworem, że cię



zostawiłam? Bo mogę cię zapewnić, że żadna sesja wyrzutów sumienia, jaką chciałbyś mi zaserwować, nie jest nawet w połowie tak koszmarna jak ta, którą zafundowałam sobie sama – syknęła, a mnie aż odchyliło na krześle.

Jej słowa ugodziły mnie jak pociski: celnie i szybko.

– Rozumiem, że mamy sporo do obgadania. Nie mamy aż tyle czasu, żeby omówić to wszystko od razu – powiedziałem spokojnie. Zacisnąłem zęby, próbując powstrzymać kipiącą pod powierzchnią frustrację.

Nie tak miało się to wszystko potoczyć.

Aubrey walnęła dłońmi w plastikowy stolik tak mocno, że przewróciła paskudny wazonik ze sztucznym kwiatkiem. Żadne z nas nawet nie drgnęło, by go złapać, kiedy potoczył się po blacie i spadł na ziemię.

– Ja już nie mogę z tobą być, Maxx. Przez ciebie się kompletnie życiowo zaplątałam! Wziąłeś to, co ci dałam, i rzuciłeś mi tym w twarz! Kłamałeś! W żywe oczy! Raz za razem! A i tak odejście od ciebie potwornie dużo mnie kosztowało! Ale zrobiłam to! Bo wiedziałam, że jak zostanę, zabijesz nas oboje! A teraz proszę, ściągasz mnie tu z powrotem! A ja ci na to *pozwalam!*

Uniosłem ręce w uspokajającym geście.

– Ej, Aubrey, chwila, moment.

Jej gwałtowność zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Pojawiło się mnóstwo skrywanych wcześniej spraw, z którymi zdecydowanie nie byłem gotów się zmierzyć.

Samotne przebudzenie się tutaj, w tym szpitalu, było dość brutalne. Pod pewnymi względami brutalniejsze niż detoksykacja. Ale byłem tutaj, prawda? Podejmowałem ten wysiłek. Czy nie dowodziło to, że potraktowałem jej ultimatum poważnie?

– Rozumiem, że jesteś na mnie zdenerwowana. Ale chciałem, żebyś mnie odwiedziła. Zobaczyła, co tutaj robię – powiedziałem cicho, rozglądając się wokół i zauważając, że niechcący odstawiliśmy spektakl dla pozostałych pacjentów. Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnąłem rękę, chwyciłem dłoń Aubrey i mocno ją uścisnąłem. Wpiłem palce w jej skórę, jakby dzięki temu miała

mnie uważniej posłuchać. I usłyszeć. – Chciałem, żebyś zobaczyła, że wziąłem sobie twoje słowa do serca. Że *próbuję!*

Twarz Aubrey na moment złagodniała i poczułem, jak jej dłoń się rozluźnia. Nasze spojrzenia spotkały się i przyłgnęły do siebie, a ja pomyślałam, że może, kto wie, może wreszcie udało mi się do niej dotrzeć. Ale po chwili zacisnęła usta w wąską linię i wyszarpnęła dłoń.

– Udowodnienie czegokolwiek trwa dłużej niż trzydziestodniowy odwyk, Maxx.

Westchnąłem i przeczesalem włosy dłońmi. Nie miałem bladego pojęcia, co zrobić. Przywykłem do tego, że zwykłą nawijką jestem w stanie wykaraskać się z każdych tarapatów. Nawet Aubrey, wstyd to przyznać, zawsze łatwo dawała się zmanipulować. I chociaż kochałem ją tak mocno, że oboje na tym cierpieliśmy, w jej przypadku o jeden raz za dużo wykorzystałem tę umiejętność.

– To nic nie zmienia – syknęła, zniżając głos, by nie można jej było podsłuchać.

Westchnęła i zakryła twarz dłońmi. Sprawiała wrażenie zmęczonej. A właściwie wyczerpanej. I wiedziałem, że to ja jej to zrobiłem.

Kiedy dosłownie błagałem ją o to, żeby przyszła się ze mną zobaczyć, myślałem tak naprawdę tylko o tym, jak świetnie się poczuje, widząc tego nowego, odmienionego człowieka, i że może wtedy przestanie się tak pilnować. Staralem się wkraść z powrotem w jej łaski. Ale patrząc na nią teraz, uzmysłowiłem sobie, że nie mam prawa liczyć na to, że pozwoli mi się znowu do siebie zbliżyć. W każdym razie nie teraz. Wiele musiałem jej jeszcze udowodnić.

Nie potrafiąc się powstrzymać, znów wyciągnąłem rękę i delikatnie położyłem na jej ramieniu. Zesztywniała, ale w końcu opuściła zakrywające twarz dłonie. Oczy miała mokre od łez, a ja z powrotem serdecznie się znienawidziłem.

– Chcę, żebyś wydobrzał. Naprawdę. Chciałam, żebyś przestał brać. Chciałam, żebyś sam *chciał* przestać brać. Nie dla mnie. Nie dla twojego brata. Dla *siebie*. To jest niesamowite, Maxx. To, że się tu znalazłeś. – Gestem dłoni omiotła miejsce, w którym od trzech

tygodni wiodłem swoją żalną egzystencję. – Ale to dopiero pierwszy krok. Rozumiesz to, prawda?

Cofnąłem rękę. Jej słowa były echem słów terapeuty i słuchanie ich przychodziło mi z trudem.

– Jasne, rozumiem – powiedziałem ostro, wkurzony, że znów do tego wracamy.

Aubrey chwyciła mnie za rękę i uściśniła ją, po czym rozluźniła chwyt i cofnęła dłoń. Od tego przelotnego fizycznego kontaktu aż zaszumiało mi w głowie.

– Zostało pięć minut! – zawołała Stacey do tych z nas, którzy jeszcze siedzieli w ogrodzie.

Psiakrew. Zmitrężyliśmy prawie godzinę, nie rozmawiając w gruncie rzeczy o niczym istotnym. Wciąż było tyle spraw, o których chciałem jej powiedzieć. Ogarnęła mnie panika. Przerazenie, że to właśnie to: jedyna szansa na to, by powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham i jak bardzo próbuję się zmienić. Dla niej.

– Wychodzę stąd za tydzień, Aubrey. Wracam do szkoły. Mam nadzieję, że jeśli mi pozwolą, zrobię dyplom. A potem... kto wie. Jesienią Landon wyjeżdża do college'u, a ja muszę wymyślić, w jaki sposób mu pomóc. Ale tym razem zagram czysto. Nie spieprzę tego jak poprzednio – powiedziałem szybko, próbując wyrzucić wszystko z siebie, póki jeszcze miałem sposobność.

Aubrey pokręciła głową, jakby chciała zatrzymać ten potok słów, ale zignorowałem ją.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy pozwolisz mi się ze sobą widywać? Kiedy wrócę? Czy jest jakaś szansa, że pozwolisz mi pokazać ci, że to wszystko naprawdę może wyglądać inaczej?

Niewiele wiedziałem o życiu. W gruncie rzeczy byłem kompletnie, kurde mol, nieogarnięty. Zawsze sądziłem, że jestem taki, kurwa, mądry, a w sumie nie miałem bladego pojęcia o niczym. Nie wiedziałem, co to znaczy stworzyć sensowny związek. Pojęcia nie miałem, jak się uszczęśliwia taką kobietą jak Aubrey. I zupełnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak być kimś, kto nie jest kompletnie popieprzony i nie próbuje sobie właśnie zrujnować życia.

Ale jedno wiedziałem: że kocham tę siedzącą przede mną kobietę

tak, jak nigdy nie zdołam pokochać nikogo innego. To była miłość, która przenikała mnie do szpiku kości i pochłaniała bez reszty. Rozpaczliwa. Bez pamięci. Szaleńcza. I moja. Nie miałem nic poza nią.

Aubrey podniosła się i zarzuciła torebkę na ramię. Nie odpowiedziała. Podścieliłem jej swą duszę pod stopy, a ona, kurwa, nawet słowem się nie odezwała.

Też wstałem, wbijając w nią wzrok i nie dopuszczając do siebie myśli, że nasza historia może się tak właśnie skończyć. Że po trzech tygodniach niemyślenia o niczym innym oto proszę, rozchodzimy się jak obcy.

– Więc to koniec? – zapytałem niemal z goryczą. Miałem ochotę wybuchnąć płaczem, kurczę blade. Wrzeszczeć. Potrząsnąć Aubrey i zażądać, żeby odwzajemniła moje szaleńcze, nieopanowane uczucia.

Ale wtedy zobaczyłem łzy, które zaczęły jej spływać po twarzy, i uzmysłowiłem sobie, że nie jestem w tym wszystkim sam. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ich opuszką palca, który przycisnąłem do warg, by poczuć smak jej słonego bólu.

– Nie wiem, Maxx. Zwyczajnie nie wiem – powiedziała, a jej urywane słowa przeszyły mnie jak nóż.

– Po prostu nie zamykaj mi drzwi przed nosem, jak się w nich pojawiaję. Nie każ mi odchodzić, kiedy będę chciał tylko pogadać. Muszę wiedzieć, że gdy stąd wyjdę, będę miał coś, do czego mogę wrócić. Bo ja z nas nie zrezygnuję, obiecuję ci to. Nie mogę.

Nie grałem czysto. No i dobra. Ale musiałem wiedzieć, że tam coś na mnie czeka. Tylko tak mogłem przez to wszystko przebrnąć.

– To nie w porządku. To nieuczciwe! – krzyknęła, po czym rozejrzała się zażenowana, orientując się, ile narobiła hałasu. – To był błąd. Muszę iść. Powodzenia, Maxx. Poważnie. Naprawdę – powiedziała, po czym przepchnęła się obok mnie i ruszyła w kierunku bocznego wyjścia prowadzącego na parking.

Potem zniknęła.

A ja zostałem z niczym.

Znowu.

## Rozdział dziesiąty

-Aubrey-

Idiotka!

Co, do cholery, było ze mną nie tak? Dlaczego wciąż dawałam mu taką władzę nad sobą? Dlaczego nigdy nie potrafiłam mu odmówić?

No cóż, będę musiała się nauczyć. Bo Maxx chciał tu wrócić, a ja musiałam się przygotować na to, by jakoś sobie z tym poradzić.

Zrozumiałam już, jak łatwo dawałam się wmanewrować w sytuację, w której Maxx się liczył. Wyczytałam z jego twarzy, jak bardzo mnie pragnął. I czułam to. Podniecenie. Dreszcz. Wszechogarniające pożądanie.

W tym momencie po prostu *chciałam*, żeby mnie pragnął. Kiedy tego dnia szykowałam się na wizytę u niego, rozmyślnie wybrałam spódniczkę, która wyeksponowała atuty mojej figury. Koszulkę, która skłoniła go kiedyś do skomplementowania mnie. Idealnie ułożyłam włosy i zadbałam o to, żeby zrobić delikatny, ale podkreślający urodę makijaż. Boże, co było ze mną nie tak, że dawałam się wciągnąć z powrotem w sieć jego manipulacji i emocjonalnych gier?

Przyszłam do domu wściekła i zdeterminowana. Jak łatwo mu przyjdzie wessanie mnie z powrotem.

– Wyglądasz, jakbyś była gotowa skopać komuś tyłek albo nieźle go sponiewierać werbalnie – skomentowała Renee, kiedy trzasnęłam drzwiami wejściowymi i rzuciłam torebkę na kanapę.

Zrzuciłam buty i padłam obok niej. Pospiesznie odłożyła czytany właśnie list na niski stolik, po czym odwróciła się w moją stronę.

– Właśnie widziałam się z Maxxem – obwieściłam twardo.

Renee podciągnęła nogi pod siebie.

– Mówisz serio?

Skinęłam głową.

– Zadzwoił do mnie, kiedy poszliśmy razem do baru. Poprosił,

żebym przyjechała się z nim zobaczyć. Nie zamierzałam, ale potem...

– Po prostu nie mogłaś się powstrzymać – przerwała mi Renee, a w jej głosie zabrzmiała nieoczekiwana złość.

Zmarszczyłam brwi.

– No, nie do końca. Wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, zadreczę się zastanawianiem, jak on się miewa. Pomyślałam, że to jedyny sposób, żeby wyrwać się z tego szaleństwa na dobre.

– No i co? Zadziałało?

Wzruszyłam ramionami.

– Mam nadzieję. Nie wydaje mi się, żebym miała jakieś inne wyjście.

– A czy Maxx też próbuje zostawić to wszystko za sobą? – Renee przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się badawczo.

Odetchnęłam głęboko, odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy.

– Nie sędzę – przyznałam cicho.

– Więc jak już stamtąd wyjdzie i po ciebie wróci, mówiąc, jak bardzo się zmienił i jak teraz wszystko będzie inaczej, czy będziesz w stanie się oprzeć? – zapytała, podając mi paczkę Hershey's Kisses.

Nie potrafiłam wymyślić stosownej odpowiedzi, więc zamiast tego napchałam sobie do ust czekolady. Renee też wzięła garść.

– Niełatwe, co? – skwitowała, obrzucając mnie tym swoim smutnym uśmiechem.

Wyciągnęłam rękę i ujęłam kartkę, którą położyła na niskim stoliku.

– Co to jest? – zapytałam, wyglądając ją.

– Mój bagaż – odparła Renee, odwijając czekoladkę i wrzucając ją sobie do ust.

– Od Devona? – zapytałam, nie czytając listu, lecz oddając go jej z powrotem.

Renee skinęła głową, zmieła kartkę w kulkę i cisnęła ją w kąt. Chwyciłam moją współlokatorkę za rękę i wstałam.

– Wyjdźmy stąd. Nie powinnyśmy spędzać niedzieli na siedzeniu tu i użalaniu się nad sobą. Stać nas na więcej.

Renee uśmiechnęła się szeroko i ścisnęła moją rękę.

– Chodź, zrobimy jakąś rozpierduchę.

Roześmiałyśmy się, wiedząc, że w naszym wykonaniu sprowadza się to do miski popcornu i mdląco łzawego romansu. Ale czułyśmy się z tym dobrze. Lepiej. Czułyśmy się z tym świetnie.

A jednak mimo całego tego butnego gadania miałam wciąż w głowie Maxxa i nie potrafiłam go z niej wyrzucić.

\*

– Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś zaraz miała dostać udaru – zauważył Brooks, pukając mnie stopą w stopę; siedzieliśmy u mnie na kanapie, a ja udawałam, że oglądam jakieś fatalne kino klasy C na kanale Syfy.

– Wow, ty to jednak wiesz, jak prawić dziewczynie komplementy – zażartowałam, przewracając oczami.

Brooks wrzucił sobie do ust kilka ziaren popcornu i przyjrzał mi się z namysłem.

– Coś tu się kroi. Co jest grane?

Westchnęłam. Kiedyś już prawie udało mi się rozwalić naszą przyjaźń, kłamiąc mu w żywe oczy, i tym razem już nie mogłam sobie pozwolić na to, by go stracić. Zwłaszcza teraz, gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam jego wsparcia.

– Tego wieczoru w barze... wcale nie dzwoniła moja mama... – powiedziałam, zdejmując miskę popcornu z jego kolan i biorąc sobie całą garść. – To był Maxx – powiedziałam z ustami pełnymi słonego przysmaku.

Brooks spochmurniał jeszcze bardziej i odwrócił się z powrotem do telewizora.

– To wyjaśnia, dlaczego skłamałaś – mruknął.

– Auć – skrzywiłam się.

– I tak wiesz, że mam rację.

– No cóż, nie mam złudzeń, że on jest najlepszym tematem do rozmowy między nami, Brooks – odparłam, ścisząc telewizję, żeby musiał na mnie spojrzeć.

– Aha. I to pewnie jest moja wina. Może jestem nieco... uprzedzony w stosunku do Pana Co-to-nie-ja-chyba-że-akurat-dławię-się-własnymi-rzygami – zakpił, krzywiąc pogardliwie wargi i dając mi w ten sposób do zrozumienia, że naprawdę się stara, żeby na mnie nie warknąć.

– Brooks, daj spokój. Nie mógłbyś, kurde blaszka, choć na minutę zrezygnować z sarkazmu?

– Jasne. Jak tylko przestanie ci odbijać na punkcie jakiegoś palanta, na którego szkoda twojego czasu – fuknął, doborem słów zupełnie zbijając mnie z tropu.

– Wcale mi nie odbija, Brooks – odparłam, do głębi urażona. Do tej pory sądziłam, że naprawdę nieźle sobie radzę, do licha ciężkiego, biorąc pod uwagę okoliczności.

Brooks wydał z siebie długie, umęczone westchnienie, wyjął mi pilota z ręki i wyłączył telewizję.

– To nie było zbyt miłe z mojej strony. No bo proszę: ty tu się zdobywasz na szczerość i tak dalej, a ja okazuję się takim patafianem. No dalej, wal – powiedział, zwracając się twarzą do mnie.

Spojrzałam na niego czujnie, niepewna, jak dalece powinna sięgać moja szczerość. Uznałam jednak, że jeśli nasza przyjaźń ma się kiedykolwiek odrodzić, muszę mu powiedzieć wszystko.

– No cóż, poprosił mnie, żebym pojechała go odwiedzić w ośrodku odwykowym, gdzie przebywa od kilku tygodni... i pojechałam tam – powiedziałam rzeczowo.

Brooks zamknął usta i zastygł bez ruchu.

– Co zrobiłaś?

– W niedzielę pojechałam się z nim zobaczyć. – Obronnym gestem uniosłam dłonie. – To był błąd i bladego pojęcia nie mam, co sobie myślałam. Chyba po prostu sądziłam, że zobaczenie się z nim pomoże mi zamknąć ten etap mojego życia. Upewnię się, że Maxx sobie radzi, i odejdę.

– I zrobiłaś to?

– Ale co? – zapytałam zdezorientowana.

Brooks ściągnął wargi.



– Zamknęłaś etap. I odeszłaś.

– No cóż. Jestem tu, prawda? – powiedziałam lekko wyzywającym tonem.

Brooks milczał przez naprawdę długą chwilę, choć widziałam, że różne słowa cisnęły mu się na usta, jednak ku memu zaskoczeniu zdobył się na powściągliwość.

– Niby jesteś, choć pewnie wyjaśnia to w jakiejś mierze to gapienie się w przestrzeń, które tu uskuteczniaasz – powiedział po chwili.

– Nie gapiłam się w przestrzeń – zaproponowałam.

Brooks tylko pokręcił głową.

– No to co nasz Maksio miał do powiedzenia? Pochwalił ci się swoimi wykresami zdrowienia czy nową, udoskonaloną kolekcją igieł do zastrzyków podskórnych? – wypalił z nienawiścią.

– Wow. Co się stało z brakiem uprzedzeń? – uniosłam się, marszcząc brwi.

– Nie chciałym tylko, żebyś zapomniała, kim on jest, Aubrey. Ani co zrobił. Nie wątpię, że chciał, żebyś do niego przyjechała i zobaczyła, jak się zmienił. Chciał ci pokazać, że próbuje. Nie wątpię, że śpiewał i tańczył o tym, jakim to jest niby lepszym człowiekiem i jak bardzo chciałby dostać drugą szansę. Mam rację? – zapytał Brooks, a w jego głosie zabrzmiało zmęczenie i rozgoryczenie.

Rozdziawiłam usta, po czym zamknęłam je bez słowa. Nie było sensu tego komentować. Brooks miał rację.

Potrząsnął głową ze smutnym wyrazem twarzy.

– Jesteś taką mądrą dziewczyną, a taka potrafisz być ślepa.

Z brzękiem rzucił pilota na blat stolika.

– Ja po prostu... Potrzebowałam jakiegoś zamknięcia. Musiałam wiedzieć, że nic mu nie jest. Że mogę pójść dalej, nie zamartwiając się o to, jak on się miewa i co robi!

– No cóż, to teraz już wiesz, Aubrey. Najlepsze, co mogłaś zrobić, to od niego odejść. On w końcu wciągnąłby cię za sobą w tę swoją dziurę.

– Brooks, nie mówisz mi nic, o czym bym nie wiedziała! Boże!

W tym spotkaniu z Maxxem chodziło o *mnie*! Potrzebowałam go dla *własnego* spokoju ducha! Odwróciłam się plecami do mojej siostry i zobacz, co się stało! Nie wybaczyłabym sobie, gdyby to samo stało się z Maxxem. Nigdy nie zdołałabym żyć własnym życiem z takim ciężarem na sumieniu!

– Nie byłaś winna śmierci Jayme, Aubrey! Kurczę, to była koszmar, koszmar, historia, która nie miała absolutnie nic wspólnego z tobą! – Brooks chwycił mnie za ramiona i wbił mi palce w ciało. – I Maxx też nie jest twoją winą! Musisz się przestać obwiniać za sprawy, na które nie masz żadnego wpływu! Nic nie mogłaś zmienić. Ani w przypadku Jayme, ani Maxxa. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałabyś się przekonać, że jest inaczej.

Brooks nigdy nie pojałby, jak bardzo w tamtej chwili potrzebowałam usłyszeć te słowa. Ujął moją twarz w dłonie i ciepłymi palcami dotknął mojej mokrej skóry. Kciukami rysował na niej kółka, a ja oparłam się o jego dłonie, łaknąc tego dotyku i poczucia więzi, choć nie była to ta, której wciąż pragnęłam.

– Aubrey, jesteś dobrym człowiekiem o wielkim sercu. Uwielbiam to, że chcesz zatroszczyć się o wszystkich. Ale nie możesz. Niektórych ludzi nie da się ocalić. I nie oznacza to, że coś jest nie tak z *tobą*.

Pochyliłam się, tak że mój nos znalazł się dosłownie kilka centymetrów od nosa Brooksa.

– Musisz dać sobie spokój z tym, co było między tobą a Maxxem.

– Właśnie próbuję to zrobić! – wyszeptalam.

– Dobra, ale musisz się jeszcze pozbyć tego poczucia winy. Robisz dobrą minę, grasz dziewczynę, która otwiera nowy rozdział. Ale przecież widzę, że nie chcesz tego przeprowadzić do końca – upomniał mnie łagodnie. – Naprawdę musisz sobie wybaczyć, Aubrey. Za Jayme. Za to, co sądzisz, że stało się z Maxxem. Za to wszystko. Dopóki tego nie zrobisz, nie ruszysz dalej.

Miał rację. Miał, do jasnej cholery, rację.

– Przestań podejmować próby ocalenia wszystkich innych i zacznij się martwić o siebie. Nie zasługujesz na to?

Powinłam chcieć uwolnić się z jego dłoni obejmujących moją

twarz. Ale nie chciałam. Chciałam się wtulić, spijać z niego otuchę, jaką mnie napełniał. Chciałam się zatracić w poczuciu, że jestem kimś innym. Przypomnieć, co to znaczy: dotykać kogoś, kto nie jest Maxxem. Bałam się, że inaczej nigdy nie zdołam ruszyć naprzód.

Przekroczyłam granice strefy osobistej Brooksa, który momentalnie zeszywniał. Siedział nieruchomo, a ja czułam jego oddech na moim policzku. Powoli i celowo otarłam się wargami o jego usta i usłyszałam, jak głośno wciągnął powietrze. Minęły lata, odkąd się z nim całowałam.

Ale to było swojskie. Czy chciałam tego rodzaju swojskości?

Tak.

Nie.

Byłam koszmarnie zdezorientowana.

Brnęłam w to dalej, przyciskając wargi mocniej do ust Brooksa. Całowałam go, wkładając w to serce, które było puste, ale rozpaczliwie pragnęło znów coś poczuć. Próbowaliśmy rozchylić wargi i zaprosić go do środka, ale dotarło do mnie, że on nie reaguje. Odchyliłam się lekko i otworzyłam oczy. Napotkałam mroczne spojrzenie. Brooks był wściekły.

– Przepraszam... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Co jest, do cholery, Aubrey? – warknął, wstając i ocierając ręką usta, jakby chciał z nich zmasać mój pocałunek.

Policzki zapiekły mnie ze wstydu. Odrzucenie przez Brooksa dotknęło mnie do żywego.

– Po prostu sądziłam, że chcesz...

– Ale nie tak! Nie wtedy, kiedy płaczesz i zadrezczasz się jakimś innym kolesiem! – dosłownie krzyknął.

Wstałam i wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, próbując coś naprawić. Ale on natychmiast się cofnął.

– Ja nie chciałam...

– Potraktować cię instrumentalnie? Poprawić sobie nastroju? – wypalił Brooks.

Zrobiło mi się niedobrze. Miał rację. Dokładnie to zamierzałam zrobić i to nie było uczciwe. Ani wobec niego, ani wobec mnie.

– Masz rację. Właśnie to chciałam zrobić – powiedziałam cicho,

niespokojnie przesuwając dłońmi po twarzy.

Co się ze mną działo?

W głębi ducha wiedziałam, że Brooks coś do mnie czuje, i liczyłam na to, że te uczucia pomogą mi nas oboje do czegoś zmusić. Zależało mi na nim, ale moje serce wciąż należało do kogoś innego – czy mi się to podobało, czy nie. Nie można dać czegoś, czego się nigdy nie posiadało.

Brooks prychnął głośno. Nigdy nie widziałam go tak rozdrażnionego. Nie mogłam uwierzyć w to, że znów wszystko między nami schrzaniłam. Z powodu Maxxa. Zawsze z powodu Maxxa. Czułam się jak kompletna idiotka.

– Chyba powinienem już pójść – powiedział Brooks, zgarniając kluczyki do samochodu ze stolika.

– Poczekaj, Brooks, proszę! Nie chciałabym, żebyś mnie znienawidził! – błagałam.

Brooks zatrzymał się tuż przed drzwiami.

– Nie nienawidzę cię, Aubrey. Nie potrafiłbym. Pragnę dla ciebie tylko więcej niż *tego* – powiedział, otwierając drzwi.

Nie miałam pewności, czym ma być *to*. Maxxem? Brooksem? Moją żalosną próbą posłużenia się swoim przyjacielem, by nakarmić swoje ego i poczuć się lepiej? Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Brooks wyszedł.

## Rozdział jedenasty

-Maxx-

Wychodziłem do domu. Nie potrafiłem się zdecydować, czy się cieszę, czy panikuję. W jakiejś mierze byłem gotów, bo po prostu nie miałem innego wyjścia. Potem pomyślałem jednak o tym, co oznacza opuszczenie tego miejsca. Dopadną mnie wszystkie dawne pokusy, wszystkie utrwalone odruchy: przyczajone i gotowe uderzyć. Miałem nadzieję, że tym razem jestem na tyle silny, by się im oprzeć. Spędziłem ostatnie trzydzieści dni na przekonywaniu samego siebie, że muszę tu zostać, a teraz proszę, wbijałem sobie do głowy, że dla odmiany muszę stąd wyjść.

Skłonność do uciekania była zawsze moją wadą i pod wieloma względami odwyk był właśnie tym: eskapizmem na trzeźwo i bez wspomagania. Teraz przyszedł czas wziąć się w garść i po męsku stawić czoła temu, co mnie czekało na zewnątrz... w miejscu, którego nie mogłem unikać do końca świata. Złożyłem koszulki w zgrabne stosiki i włożyłem je do marynarskiego worka, który wziąłem ze sobą. Dominic siedział zasepiony na swoim łóżku.

– Naprawdę będę za tobą tęsknił, stary – powiedział, zwieszając głowę.

Bardzo się starałem nie nawiązywać tu żadnych znajomości, rozumiejąc, że nie po to się tu znalazłem. A mój współlokator i tak do mnie łgnął. Nie był złym człowiekiem. Po prostu zupełnie niczego nie kumał.

– Dasz sobie radę. Sam będziesz tu już niewiele dłużej. Ani się obejrzyysz, jak stąd wyjdiesz – powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to sympatycznie, choć w rzeczywistości miałem ochotę powiedzieć mu, żeby przestał zachowywać się jak cipa i wziął temat na klatę. Ale potem na niego spojrzałem. Tak naprawdę. Był tym chłopakiem ze szkoły średniej, który pałętał się na peryferiach grupy, marząc o tym, żeby ktoś go polubił, i pozwalając kpić

z siebie, chociaż wiedział, że ludzie śmieją się nie z *nim*, ale z *niego*. Nie potrzebował, żeby ktoś mu jeszcze dowalał. A już na pewno nie ja, który naprawdę na nikogo nie mogłem patrzeć z góry.

– Nie wiem. Moi rodzice chcą, żebym spędził tu pełne dziewięćdziesiąt dni. Mówią, że nie jestem jeszcze gotowy, żeby stąd wyjść. Że wrócę do nałogu – powiedział żałośnie.

Przewróciłem oczami, mając ochotę wybić jego żalosnym starym z głowy te brednie. Pojęcia nie mieli, jak wygląda prawdziwe uzależnienie. Jeśli Dominic był od czegokolwiek uzależniony, to od nachosów i solonych orzeszków. Jedyne szkody, jakie wyrządził mu wybrany przez niego narkotyk, to przybranie na wadze jakichś dwudziestu pięciu kilogramów i fanatyczne oglądanie po wiele godzin z rzędu powtórek *South Parku*.

Zaciągnąłem worek i przerzuciłem go sobie przez ramię, zdecydowany nigdy więcej nie zadomawiać się w Barton House.

– Słuchaj, Dominic, wydajesz się przyzwoitym gościem. Nie pozwól, by *ktokolwiek* decydował za ciebie o twojej przyszłości. To ty jesteś odpowiedzialny za to, co się stanie, nikt inny. Jeśli sądzisz, że potrzebujesz tu być, to zostań. Jeśli nie, to się wypisz. I powodzenia. Poważnie.

Dominic obdarzył mnie bladym uśmiechem.

– Dzięki, Maxx. W twoich ustach to wiele znaczy.

Pociągnął nosem.

Odwróciłem się i ruszyłem korytarzem. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz było mi tak lekko na duszy.

Stałem przed zamkniętymi drzwiami i rozmyślnie głośno zapukałem. Wyprostowałem się i ściągnąłem łopatki. Byłem gotów.

Musiałem być.

– Proszę! – zawołał głos z drugiej strony. Pchnąłem drzwi i wszedłem do zagraconego gabinetu Stacey. Pachniało tu muffinami jagodowymi, a ilość falbanek i serweteczek kazała się zastanowić, czy osoba zajmująca to biuro pierdzi tęczę.

– Maxx. Wejdz, siadaj.

Zrobiłem, co mi kazano, wybierając jedyną dostępną możliwość: krzesło pokryte jaskrawopomarańczową tapicerką.

– Widzę, że się spakowałeś i jesteś gotów do wyjścia – zauważyła, wskazując worek u moich stóp.

Kopnąłem go nogą i skinąłem głową.

– No. Przyszedłem się oficjalnie wypisać i już nie zawracam głowy.

Stacey wklepała coś do komputera, po czym z drukarki zaczęły wysuwać się kolejne kartki. Czekając na wyprodukowanie się całej tej dokumentacji, Stacey podniosła na mnie wzrok.

– Pewny jesteś, że nie interesuje cię pełny, dziesięciodniowy program? Trzydzieści dni to znakomity punkt wyjścia, ale nie jest to nawet w połowie tak skuteczne jak intensywniejszy program terapeutyczny prowadzony w ramach ośrodka zamkniętego – powiedziała, racząc mnie tym samym gównem, które wciskała mi przez ostatni tydzień.

Wiedziałem, że zarówno ona, jak i pozostali terapeuci z Barton House są przekonani, że popełniam wielki błąd, nie zostając na dłuższy program. W jakimś niewielkim stopniu przyznawałem im rację. Wewnętrzny głos podszeptował mi, że nie jestem jeszcze gotowy. Zwątpienie w samego siebie działało niemal paraliżująco. Prawda była jednak taka, że im dłużej bym siedział tu, tym trudniej byłoby mi naprawić to, co spieprzyłem *tam*.

Jednego byłem absolutnie pewien, wręcz czułem to w kościach: będę musiał potraktować poważnie moją świeżo nabytą trzeźwość.

– Zadzwoń w poniedziałek i ustawię sobie spotkania w klinice w centrum. Będę się trzymał planu terapeutycznego realizowanego w ośrodku dziennym – obiecałem, biorąc od Stacey plik dokumentów.

Skinęła głową i podała mi długopis.

– Dobrze to słyszeć, Maxx, choć rozumiesz, że radzenie sobie z wyzwalaczami uzależnienia staje się znacznie trudniejsze po powrocie do własnego otoczenia. Musisz mieć pewność, że dysponujesz odpowiednimi strategiami, by sobie z tym radzić. To nie będzie łatwe. Przyjdą takie dni, że będziesz miał ochotę wziąć. Jest więc niezwykle ważne, żebyś trzymał pod ręką numery podane na tej ostatniej kartce: na wypadek, gdybyś kiedykolwiek poczuł, że za

moment sięgniesz po narkotyki.

Przerzuciłem na ostatnią stronę plik kartek, który mi wręczyła. Była tam lista numerów, w tym stanowa gorąca linia i linia kryzysowa ośrodka odwykowego. Chryste, zachowywała się tak, jakbym był skazany na porażkę. Dosyć mnie to wkurzyło. Bo znów usłyszałem ten głos podszeptujący mi, że to *jest* nieuniknione.

„Będę na ciebie czekać. Nie możesz mnie wiecznie unikać”.

Zacisnąłem pięści i spróbowałem uspokoić oddech, ogarnięty raptownie paraliżującym lękiem. Może powinienem zostać? Może nie uda mi się tego zrobić?

Uda mi się! Dla Aubrey. Dla Landona. Dla samego siebie.

Złożyłem kartkę i wsunąłem ją do kieszeni, po czym zacząłem podpisywać się na wymaganych formularzach. Kiedy skończyłem, wręczyłem je z powrotem Stacey z uśmiechem wyrażającym pewność siebie. A w każdym razie taką miałem nadzieję.

– Dzięki za wszystko – powiedziałem, unosząc torbę i wstając.

– Nie bój się przyznać, że sobie nie radzisz, Maxx. Nie możesz zapanować nad uzależnieniem. To uzależnienie panuje nad tobą. Jeśli tylko o tym zapomnisz, przegrasz – powiedziała złowroźnie, a ja aż się buntowniczo zjeżyłem. Ale nie warknąłem na nią. Bo sam już co najmniej tysiąc razy pomyślałem o tym samym.

Stacey uśmiechnęła się do mnie blado i pokręciła głową.

– Naprawdę mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy, Maxx. Zachichotałem.

– Nie, no, dzięki – odparłem bezbarwnym głosem.

Stacey poklepała mnie po plecach.

– Jeśli więcej się nie zobaczymy, to znaczy, że dobrze sobie radzisz. Naprawdę mam nadzieję, że ci się uda, Maxx.

– Dzięki – powtórzyłem, marząc już tylko o tym, by jak najszybciej się stąd wydostać i jak najdalej uciec.

Stacey odprowadziła mnie do drzwi wyjściowych. Hał, oddelegowany do pełnienia straży przy drzwiach, wręczył mi torbę, w której był mój telefon komórkowy i klucze – rzeczy, które mi skonfiskowali, przyjmując mnie do ośrodka.

– Trzymaj się, Maxx – powiedziała Stacey, przytrzymując mi



otwarte drzwi.

– Nawzajem – odparłem zupełnie poważnie.

Zszedłem po stopniach prowadzących na podjazd, na którym stała taksówka mająca zawieźć mnie do prawdziwego świata. Wsunąłem się na tylne siedzenie i podałem kierowcy adres. Mruknął coś twierdząco, po czym odjechaliśmy spod Barton House, a ja nawet się nie obejrzałem.

Byłem gotów zostawić ten etap mojego życia za sobą.

\*

Włączyłem komórkę, która natychmiast rozdzwoniła mi się w rękach. Ekran rozświetliły setki esemesów i nieodebranych połączeń. Większość od Marca i Gasha.

Szlag.

To był ten fragment mojego świata, do ogarnięcia którego wcale się nie paliłem. Bo nie mogłem tam wrócić. To było jasne. Zbyt łatwo byłoby wpaść z powrotem w to wszystko, od czego przyrzekłem trzymać się z daleka.

Zaledwie pięć minut temu opuściłem ośrodek odwykowy, a już dopadła mnie przemożna chęć powrotu. Żebym zdechł, jeśli Stacey nie miała racji. Tu, na zewnątrz, naprawdę *było* trudniej. W ośrodku można było udawać, że te wszystkie sprawy w ogóle nie istnieją. Łatwiej było ignorować głód. Pragnienie kompletnego zatracenia się. Znowu.

Bez czytania, z poczuciem, że postępuję słusznie, skasowałem wszystkie esemesy co do jednego. Pomyślałem, żeby zadzwonić do Landona i dać mu znać, że wyszedłem z odwyku, może spróbować przełamać lody, chociaż nie sądziłem, by jedna rozmowa telefoniczna mogła zniwelować całe tygodnie nieporozumień, które narosły między nami. A tak naprawdę nie czułem się jeszcze na tyle silny, by znów zmierzyć się z kompletnym odrzuceniem.

Taksówka zajęchała pod mój blok. Wręczyłem kierowcy ostatni posiadany banknot dziesięciodolarowy i wysiadłem z workiem w rękę, po czym wspiąłem się wąskimi schodami do miejsca,

w którym mieszkałem, a które nigdy tak naprawdę nie było dla mnie domem.

Bałem się wejść do środka, domyślając się, jaki musi panować tam burdel. Po wyjściu ze szpitala strasznie się spieszyłem. Przyjechałem do domu, złapałem jakieś ciuchy i wyszedłem, żeby zapisać się na odwyk, zanim zabraknie mi odwagi. Teraz przekręciłem klucz w zamku i poczułem intensywny zapach cytryny.

Cytryna?

Włączyłem światło i rozejrzałem się, kompletnie zszokowany. Nigdy wcześniej nie widziałem mojego mieszkania tak czystego i uporządkowanego. Podłogi zamieciono, z mebli starto kurz. Wszystkie ubrania, które zapamiętałem rozrzucone na podłodze, zniknęły, a na kanapie pojawiły się poduszki. W ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że *mam* poduszki.

Rzuciłem worek i wszedłem do kuchni, gdzie mój wstrząs tylko się pogłębił. Talerze zmyto i odłożono na miejsce. Ściereczki złożono i powieszono na relingu przy kuchence. Szafki wyszorowano, a lodówka aż błyszczała. Dalsza inspekcja pozwoliła się zorientować, że reszta mieszkania wygląda tak samo. Łazienka była nieskazitelnie czysta, wanna umyta, a pleśń zalegająca zwykle w kątach zniknęła. Podłoga była tak wylizana, że mógłbym z niej, kurde, jeść.

Tylko dwie osoby miały klucz do mojego mieszkania, a byłem raczej pewien, że jego właściciel nie trudziłby się robieniem mi porządku. Ten to faktycznie nadawał nowe znaczenie określeniu *pan na ruderze*. Nie, to musiała być Aubrey. Jedyna osoba, której wpadłoby do głowy przyjść tutaj i zrobić to.

Wszedłem do sypialni i natychmiast zorientowałem się, że mam rację. Wszystkie moje ubrania uprano i złożono w koszu, którego posiadania w ogóle nie byłem świadomy. Zmieniono mi pościel i naciągnięto kapę, zaś na samym środku łóżka zobaczyłem coś jakby odcisk leżącej tam kiedyś postaci. Przeciągnąłem dłonią po poduszce wgniecionej w miejscu, gdzie musiała spoczywać jej głowa. Aubrey przyszła do mojego mieszkania i posprzątała je, a potem położyła się na moim łóżku.

Zrzuciłem buty z nóg i powoli ułożyłem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym leżała wcześniej Aubrey. Przyciągnąłem poduszkę do twarzy i wydało mi się, że czuję jej zapach. Nie wiedziałem, kiedy to zrobiła. Może przed wieloma tygodniami. Nie wiedziałem właściwie, co to wszystko znaczy – poza tym, że przyszła do mojego mieszkania i zamieniła je w dom.

Nie było żadną tajemnicą, że rzadko brałem się do sprzątania. Znałem też kompulsywną obsesję Aubrey na punkcie czystości. Świadomość, że w którymś momencie pomyślała o mnie, przyszła tu i zrobiła mi porządek, obudziła we mnie nadzieję, której już od dłuższego czasu nie czułem. Leżałem na czystej pościeli, rozglądałem się po nieskazitelnej sypialni i nagle wszystko przestało wydawać się takie beznadziejne.

Musiałem się zdrzemnąć, bo obudziłem się jakiś czas później. Niebo pociemniało i jedynym źródłem światła była teraz łagodna poświata rzucana przez stojący na komodzie zegar. Pchany pragnieniem, z którym zdołałem się w ciągu kilku ostatnich tygodni oswoić, wyskoczyłem z łóżka, otworzyłem szafę i grzebałem w niej tak długo, aż wymacałem duży pojemnik kredy. Nie próbowałem odnaleźć farb, wiedząc, że zużyłem ich resztki jeszcze przed pójściem na odwyk.

Rozejrzałem się za kluczykami od samochodu i po chwili znalazłem je w tym samym miejscu, w którym je zostawiłem. Siedzenie za kółkiem po tak długiej przerwie przypominało szwendanie się ze starym przyjacielem. To był stary złom, ale to był *mój* stary złom i darzyłem jakąś szaloną miłością ten rozklekotany silnik i piszczące hamulce, nawet jeśli sygnalizowały konieczność przeprowadzenia kilku poważnych napraw.

Przejechałem przez całe miasto i wreszcie zaparkowałem na ulicy, przy której stała pewna kamienica, znana mi aż za dobrze, chociaż w środku byłem tylko raz. Rozmyślnie zaparkowałem za drzewem, żeby nie rzucać się w oczy. Nie było jeszcze bardzo późno, ale zauważyłem, że w mieszkaniu na trzecim piętrze pogaszono już światła.

Śmiało chwyciłem kredę, przeszedłem kawałek ulicą

i zatrzymałem się przed schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych. Opadłem na kolana, wysypałem kredę na chodnik, wybrałem potrzebny mi kolor i zacząłem rysować długimi, stanowczymi pociągnięciami. Niewiele widziałem, nie był to najlepszy moment na rysowanie, ale nie musiałem widzieć, co robię. Moje dłonie nie potrzebowały światła, żeby wiedzieć, co tworzą.

Nie potrafiłbym powiedzieć, ile spędziłem tam czasu. Może parę godzin, a może zaledwie kilka minut. Obok przechodzili ludzie; niektórzy zatrzymywali się, by popatrzeć, inni pytali, co robię. Nie zwracałem na nich uwagi.

Skończywszy, przysiadłem na piętach i przyjrzałem się w ciemnościach efektowi końcowemu. Trudno było coś dojrzeć, ale z tego, co udało mi się zobaczyć, byłem naprawdę zadowolony. Kolana bolały mnie od klęczenia na twardym betonie, całe ręce pokrył mi kredowy pył włączący za paznokcie i smugami brudzący dzinsy.

Pozbierałem resztę kredy i wrzuciłem ją z powrotem do pojemnika. To nie było moje zwykłe medium, ale musiałem przyznać, że łatwiej się z nim pracuje. Miałem tylko nadzieję, że w nocy się nie rozpada. Ostatni raz podniosłem wzrok na ciemne okna i zastanowiłem się, czy ona zrozumie, co próbuję jej powiedzieć.

Kogo ja tu chciałem oszukać? Zawsze rozumiała mnie lepiej, niż pojmowałem sam siebie.

Rysunek nieszczególnie imponował. Ale w tym zwariowanym, popieprzonym świecie, w którym się znalazłem, był jedynym sposobem skłonienia jej do tego, by *mnie* zobaczyła. A w aktualnej sytuacji to już było coś.

## Rozdział dwunasty -Aubrey-

– Przydałby nam się babski wieczór – obwieściła Renee, wchodząc do mojego pokoju.

Podniosłam wzrok znad książki, którą czytałam, w gruncie rzeczy nie rozumiejąc treści.

– Babski wieczór? – powtórzyłam.

Wyczułam gorączkową energię promieniującą z Renee i zaciekałam się, co jest grane. Była w dobrym nastroju, ale to był ten wariacki rodzaj dobrego nastroju, którego nie widziałam u niej już od dawna. Ten, którego efektem była zwykle Renee nawalona jak szpak i tańcząca na stole.

– No. Ty. Ja. Drinki. Jedzenie. Śmiech. Myślę, że przydałby się nam obu – zauważyła i dotknęła samoprzylepnych karteczek w rozmaitych kolorach, które poprzyklejałam sobie na biurku.

– Dobrze, o ile tylko przestaniesz dotykać moich rzeczy – powiedziałam, wrzucając podręcznik z powrotem do torby i zwieszając nogi z łóżka.

– Jak chcesz, możemy zadzwonić do Brooksa i zapytać, czy ma ochotę trochę się poszwendać – zaproponowała Renee.

Uniosłam brwi.

– Czy nie podważa to samej idei babskiego wieczoru?

– No tak, ale pomyślałam, że może szukasz jakiegoś pretekstu do podreperowania nadwreżonych stosunków. A chyba najlepiej się je reperuje przy pizzy i browarze, nie?

Zachowałam się jak podła suka, całując Brooksa z najgorszych możliwych powodów, i teraz miałam się wszelkich sposobów naprawienia relacji z nim. Był poczciwym chłopakiem, więc nie miał mi tego za złe, ale wciąż dawało się wyczuć między nami napięcie. Nie czuliśmy się swobodnie we własnym towarzystwie i w sumie nie miałam pomysłu, co z tym fantem począć.

– On i tak zachowuje się jak dziewczyna. Wszystkie te zranione uczucia i tak dalej – zachichotała Renee, a ja prychnęłam mimowolnie.

– Dobra, napiszę do niego esemes.

„Hej, idziemy coś zjeść i się napić. Idziesz z nami?”

Zaledwie po kilku minutach telefon zaćwierkał mi w rękę.

„Jasne. Gdzie i kiedy?”

– To jest jednak numer – powiedziałam, uśmiechając się.

– Mówiłam ci, że on nie potrafi się długo na ciebie gniewać. Trzymanie się z daleka od Aubrey Duncan jest dla Brooksa Hamlina po prostu niemożliwe.

Rzuciłam w nią ołówkiem.

– Idź sobie i pozwól mi się wyszykować.

Roześmiała się w ten swój lekko wymuszony sposób.

– Ale pospiesz się, bo jestem głodna.

\*

Śmiałam się tak głośno, że myślałam, że piwo pójdzie mi nosem. Brooks i Renee próbowali swoich sił w parodii i Pee-wee Herman w wykonaniu Renee był wręcz przerażająco udany.

– To jest naprawdę niepokojące. Z bardzo wielu względów – powiedziałam, kiedy już udało mi się złapać oddech i Renee zamarła z pikantnym skrzydełkiem w zębach. Machnęła ręką i ukłoniła się lekko.

– Jestem kobietą wielu talentów – powiedziała chętnie.

Brooks zwinął serwetkę w kulkę i rzucił w nią. Serwetka odbiła się od jej ramienia i spadła na podłogę.

– Ten akurat ukrywałaś, Renee Alston. Podstępna z ciebie bestia – zażartował.

Postanowiliśmy pójść na pizzę i skrzydełka do baru w pobliżu kampusu. Zanim się wyszykowaliśmy i wyszliśmy, zrobiła się już prawie dziewiąta, więc kiedy dotarliśmy na miejsce, prawie wszystkie miejscówki były już pozajmowane. Mieliśmy sporo szczęścia, że udało nam się znaleźć jakiś malutki stoliczek gdzieś

z tyłu.

Brooks był początkowo dość sztywny i nieprzystępny, ale kiedy już wlał w siebie kilka piw, wyraźnie się rozluźnił. Renee i ja zamówiliśmy na spółkę dzbanek piwa i po godzinie wszyscy zaśmiewaliśmy się do rozpuku.

– Muszę iść siku – powiedziała Renee, kiedy już spałaszowała swoją pizzę do ostatniego okruszka. Zeskoczyła z wysokiego krzesła, chwiejąc się lekko na nogach.

– Potrzebujesz pomocy? – zachichotałam.

Zmrużyła oczy i ściągnęła wargi.

– Dam sobie radę – powiedziała i ruszyła do łazienki.

Brooksowi nieco zrzędała mina, kiedy zostaliśmy sami z naszą niezręcznością.

– Brooks... – zaczęłam.

– Aubrey... – powiedział w tym samym momencie.

Urwaliśmy oboje i zaśmialiśmy się nieco nerwowo.

– Niezręczna sytuacja, co? – Nie tyle zapytał, ile stwierdził.

– Może odrobinę – zgodziłam się, sącząc piwo.

– Nadal jestem na ciebie trochę wkurzony – burknął, wycierając małą kałużę piwa, które rozlało się z dzbanka.

– Zauważyłam – powiedziałam sucho.

W końcu na mnie spojrzał, ale tym, co zobaczyłam w jego oczach, nie był gniew. To była uraza. I poczułam się przez nią jeszcze z dziesięć razy gorzej.

– Ale nie znoszę się na ciebie wściekać. Źle się z tym czuję. Obiecaj mi coś – powiedział zdecydowanie.

– Co chcesz – obiecałam.

Spuścił wzrok na kawałek pizzy na swoim talerzu.

– Kiedy następnym razem będziesz mnie całować, zrób to z przekonaniem.

Przełknęłam zaskoczenie, niepewna, co powinnam powiedzieć.

– W porządku – odparłam po chwili, uśmiechając się lekko.

W odpowiedzi kąciki jego ust drgnęły ku górze.

– Co straciłam? – zapytała Renee, pojawiając się obok mnie.

– Niewiele. Przysłuchiwaliśmy się gościom z korporacji

studenckiej przy sąsiednim stoliku, którzy zastanawiali się, czy kelnerka ma silikon – odpowiedziałam niemrawo.

Rozejrzałam się po zatłoczonym barze i dostrzegłam skierowaną w naszą stronę znajomą twarz.

– Ej, Renee, czy to nie Iain? – zapytałam i kiwnęłam głową w stronę baru.

Renee zacisnęła szczęki i zeszywniała.

– Być może – odpowiedziała szybko.

Brooks odwrócił się na krześle i gadał teraz z grupką ludzi siedzących przy stoliku za jego plecami. Nachyliłam się do Renee.

– Nie idziesz się przywitać? – zagadnęłam.

Iain, który był w towarzystwie kilku kolegów, patrzył dość znacząco na nasz stół.

– Raczej nie – odparła, wychylając resztę swojego piwa. Wyglądała, jakby czuła się dość nieswojo.

– Myślałam, że wam się układa. Coś się stało? – zapytałam, zdezorientowana jej postawą.

– Tak. Ja się stałam – mruknęła Renee, po czym uniosła dzbanek i wlała sobie resztę piwa do szklanki.

– Czy to ma coś wspólnego z Devonem? – zapytałam.

Renee zeszywniała. Moje podejrzenia co do jej szalonego nastroju zyskały potwierdzenie. Coś wisiało w powietrzu. To było widać.

– Dlaczego to miałyby mieć coś wspólnego z Devonem? – zapytała wyzywająco.

To nie było stosowne miejsce na przepytanie jej. Znów rzuciłam okiem na Iaina, ale odwrócił się już do swoich kumpli. Zrobiło mi się go trochę żal. I żal Renee.

Uniosłam szklankę.

– Dziś mieliśmy się zabawić i zapomnieć. Pieprzyć dramaty!

Renee rozluźniła się i też uniosła szklankę.

– Pieprzyć dramaty! – odkrzyknęła i zachichotała, kiedy siedzący wokół ludzie na nią spojrzeli.

– Za co wznosimy toast? – zapytał Brooks, na powrót zwracając na nas uwagę.

– Za życie wolne od dramatów – wyjaśniłam.



Brooks uniósł swoją szklanę i skinął głową.

– No, za to mogę wypić.

Uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłam uśmiech.

– Absolutnie – odparłam.

\*

W końcu zostaliśmy w barze aż do zamknięcia o pierwszej w nocy. Wypiłam akurat tyle, żeby dobrze się czuć, nie tracąc przy tym kontroli. Brooks zachował względną trzeźwość i postanowił wybrać się z kolegami do klubu korporacji studenckiej.

– To jak, gotowa do wyjścia? – zapytała Renee, wychodząc z baru.

– Tak. Pogadamy w poniedziałek, Brooks – powiedziałam, biorąc Renee pod ramię.

Uniósł dłoń w geście pożegnania, a my ruszyłyśmy ulicą w stronę naszej kamienicy.

– Fajnie było dziś wieczorem. Dzięki, że mnie wyciągnęłaś – powiedziałam, wyjmując jej z dłoni butelkę wody i biorąc łyk.

Renee ścisnęła mnie za ramię.

– Potrzebowałam tego tak samo jak ty.

Ani razu nie pomyślałam o Maksie. Po raz pierwszy od bardzo dawna udało mi się dobrze bawić, zupełnie bez stresu.

– Co jest, kurde? – zapytała Renee, zatrzymując się.

Stałyśmy przed naszą kamienicą. Ulica była cicha i pusta.

– O co chodzi? – zapytałam, zastanawiając się, czemu się zatrzymała.

Renee pokazała na chodnik pod naszymi nogami.

– Patrz.

Spojrzałam na chodnik. Otaczały mnie wirujące, rozwibrowane kolory. Para gigantycznych dłoni wydawała się wyrastać wprost z ziemi. Dobrze wymierzony, okrutny cios poniżej pasa. Palce wydawały się sięgać po coś, czego nie mogłam dostrzec. Przysiadłam na piętach i powiodłam opuszkami palców po wszystkich krzywiznach i wypukłościach.

– To jest piękne – powiedziała stojąca za mną Renee i zrobiła krok w tył, by zyskać lepszą perspektywę.

Widziałam, że tym razem całość została wyrysowana kredą, nie farbą. Potarłam kciukiem zarys skomplikowanego geometrycznego wzoru, czerpiąc niewytłumaczalną satysfakcję z tego, że kreska rozmazała się pod dotknięciem mojego palca.

– Niewiarygodne – mruknęłam i wyprostowałam się, czując w miarę pojmowania tej aż nazbyt oczywistej deklaracji u moich stóp rodzącą się we mnie złość.

– To *jest* niewiarygodne. Nigdy dotąd nie widziałam niczego podobnego – wykrzyknęła Renee.

Nie wspominałam jej o dziełach Maxxa. Z jakiegoś powodu ten temat nigdy nie wypłynął. Była to kolejna z tajemnic, które zachowałam dla siebie. Patrząc teraz na skomplikowany rysunek, zrozumiałam, że Maxx wrócił. Był w domu. I dotrzymywał obietnicy, że się nie podda. Stałam tam, czując, jak schodzi ze mnie dobry nastrój spędzonego z przyjaciółmi wieczoru, i nie wiedziałam tak naprawdę, co o tym wszystkim myśleć.

Nie uświadamiając sobie dokładnie, co właściwie robię, odkręciłam trzymaną w dłoni butelkę i wylałam wodę na rysunek. Obserwowałam, jak rozbryzguje się, rozplywa, rozmazuje go i niszczy.

– Aubrey, do cholery! – pisnęła Renee i odskoczyła, gdy woda prysnęła jej na dzinsy.

Bez słowa obserwowałam, jak płyn niszczy wizualną deklarację uczuć Maxxa.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała Renee, wchodząc za mną do naszej kamienicy.

– Bo nie ma potrzeby, żeby to tutaj było – powiedziałam ze świadomością, że w gruncie rzeczy niczego nie tłumaczę.

– Przestań ściemniać, Aubrey. Co jest grane?

Poczułam, że zaraz zacznę wrzeszczeć. Taka końcówka cudownego wieczoru – to mnie naprawdę doprowadzało do furii.

– To Maxx. To on.

– Maxx? O czym ty mówisz?

– To jego dzieło. Musiał to zrobić, gdy nas nie było. Co oznacza, że wyszedł z ośrodka.

Weszłam do mieszkania i włączyłam światło. Dwoma kopnięciami zrzuciłam buty i opadłam na kanapę, zakrywając oczy ramieniem.

– A więc to on jest X? Tym, który kiedyś robił graffiti dla klubu? – zapytała Renee, której najwyraźniej wszystko zaczęło się układać.

– Tak, to on – odparłam krótko, opuszczając ramię.

Byłam wykończona. Późna godzina i tak nagle ponowne pojawienie się Maxxa w moim życiu sprawiły, że miałam ochotę już tylko wczołgać się pod kołdrę.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? To znaczy... No wiesz. Wow. To nie byle co – powiedziała, siadając obok mnie.

– No wiem. Ale kogo, do diabła, interesuje to, że on jest tak niesamowicie utalentowany? To przecież nie zmienia faktu, że w moim życiu nie może być już na niego miejsca. Niezależnie od tego, ile ślicznych obrazków zostawi mi pod drzwiami – stwierdziłam kategorycznie, chociaż w moich słowach zabrzmiała jakaś fałszywa nuta i zastanowiłam się, kogo właściwie próbuję przekonać: Renee czy samą siebie.

– Ale z tego rysunku mogę się domyślić, że on bynajmniej nie zamierza stąd szybko zniknąć.

– Chyba nie – przyznałam.

– I jak się z tym czujesz? – zapytała, a ja mimowolnie się roześmiałam.

– Czy to nie jest czasem moja kwestia? – prychnęłam.

Renee zachichotała.

– No i masz. Za dużo czasu z tobą spędzam i mi się udzieliło.

Spoważniałam i westchnęłam.

– Nie wiem, jak się czuję, Renee.

Przyjaciółka przysunęła się i objęła mnie. Oparłam głowę na jej ramieniu i zamknęłam oczy.

– Jakoś się to wszystko poukłada – powiedziała Renee, a ja zastanowiłam się, czy mówi o mnie, czy o sobie.

– Jakoś się poukłada – powtórzyłam za nią, próbując w to uwierzyć.

## Rozdział trzynasty -Aubrey-

– Cześć, laski!

Szłyśmy właśnie z Renee przez kampus. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam truchtającego w naszą stronę Brooksa.

W ciągu ostatnich dwóch nocy nie spałam dobrze. Koszmary, o których zdążyłam już prawie zapomnieć w trakcie dwóch ostatnich tygodni, wróciły ze zdwojoną siłą. Nie potrafiłam sobie dokładnie przypomnieć ich treści, ale wiedziałam, że budzę się zlaną zimnym potem, z żołądkiem tak ściśniętym ze strachu, że mam ochotę zwymiotować.

Kiedy tego ranka wyszłyśmy z Renee z domu, odwróciłam wzrok od szpecących wciąż chodnik pozostałości kredowego rysunku. Postanowiłam też nie zastanawiać się nad tym, że być może znów zobaczę Maxxa, skoro już wyszedł z odwyku.

Nie. *W ogóle* nie zamierzałam o tym myśleć.

– Co jest? – zapytał Brooks, trochę zadyszany, gdy wreszcie zrównał się z nami i ruszył spokojniej obok mnie.

– Nic – powiedziałam w tym samym momencie, w którym Renee odpowiedziała:

– Maxx.

Rzuciłam jej mordercze spojrzenie. Otworzyła szeroko oczy i z wyrazem niewinności na twarzy wyartykułowała bezgłośnie:

– Sorki.

Brooks nieznacznie zacisnął szczęki, lecz po chwili uśmiechnął się.

– No dobra, kupmy sobie jakiegoś pączka przed zajęciami. To nas wprawi w lepszy nastrój. – Pokierował mną w stronę niewielkiej kawiarni.

– Idę do biblioteki. Chcecie się spotkać na lunch? – zapytała Renee.

– Ja chyba skoczę do domu, żeby coś zjeść – powiedziałam ze

świadomością, że tak naprawdę po prostu staram się zwać i gdzieś ukryć.

Bo po natknięciu się pod własnymi drzwiami na nieoczekiwane dzieło sztuki nie czułam się dobrze z perspektywą napotkania artysty.

Renee spojrzała na mnie wymownie, ale nie skomentowała. Kiedy odeszła, ruszyliśmy z Brooksem w stronę kawiarni. Zanim tam dotarliśmy, pękała już w szwach od studentów czekających na poranną dawkę kofeiny. Stanęliśmy w kolejce i uzbroiliśmy się w cierpliwość.

– Uczę się dziś wieczór ze swoją grupą. Chcesz, żebym potem wpadł? – zapytał Brooks.

W zamyśleniu skinęłam głową, w ogóle go nie słuchając.

– Jasne, świetny pomysł – powiedziałam, starając się na nim skupić i odsunąć od siebie wszelkie wątpliwości wzbudzone zbyt małą ilością snu, niewystarczającą dawką kofeiny i pewnym konkretnym rysunkiem zdobiącym szary chodnik przed moim domem.

– Przyniosę nowy film z Nicolasem Cage’em, świetnie się zapowiada – ciągnął Brooks, a ja jęknęłam komicznie.

– Twoja obsesja na punkcie Cage’a zaczyna być niepokojąca – zakpiłam.

– Nie bardziej niepokojąca niż którakolwiek z twoich obsesji – odparował. Uśmiechnęłam się blado na ten docinek, czując jego niezamierzone, lecz mimo to bolesne ukłucie.

Podeszliśmy do kasjera, który znał nas z imienia i zaczął wklepywać nasze zamówienie, zanim zdążyliśmy je sformułować. Przychodziliśmy tu co rano od trzech lat.

Dostaliśmy swoje kawy, wyszliśmy, postaliśmy kilka minut na chodniku, po czym rozeszliśmy się w przeciwne strony.

– W ten weekend jest impreza w Sigma Kappa. Może miałabyś ochotę przyjść? – zaryzykował Brooks, popijając swoją kawę.

Skrzywiłam się. Brooks nie należał do żadnej korporacji, ale miał w niej przyjaciół.

Prychnęłam. Sądziłam, że jest mądrzejszy.

– Dlaczego w ogóle mnie o to pytasz? – Słumiłam ziewnięcie.

– Bo widziałem, że w zeszłym tygodniu pod koniec wieczoru naprawdę świetnie się bawiłaś. Przyznaj, że dobrze się bawiłaś – powiedział, dając mi sójkę w bok, aż się skrzyłam.

– No, w sumie tak – mruknęłam, nie czując potrzeby dodawania, że mój idealnie radosny wieczór wziął w łeb, gdy tylko dotarłam do domu. Nie było sensu psuć mu nastroju.

– No widzisz, uprawianie życia towarzyskiego nie jest *złe*. A może jeśli nie będziesz przesiadywać cały czas w tym cholernym mieszkaniu, to przestaniesz chlipać za kimś, za kim nie powinnaś.

Wyprostowałam się.

– Wcale nie chlipię! – stwierdziłam zdecydowanie.

– Ale nie zaprzeczysz, że jesteś trochę aspołeczna – odparował.

– A ty nie zaprzeczysz, że jesteś trochę debilem – warknęłam.

Roześmiał się, wyciągnął rękę, przyciągnął mnie do piersi i objął.

– Jesteś najcudowniejszą laską, jaką znam, Aubrey – powiedział z prawdziwym uczuciem.

Poczułam, jak policzki zaczynają mnie palić. Wysunęłam się ze schronienia jego ramion, przypominając sobie, z jaką łatwością posłużyłam się nim, by zasypać wyrwę ziejącą w mojej piersi. Nie mogłam go traktować jak doraźnego zastępstwa. To nie było w porządku.

– Czy to oznacza, że jestem fajna? – zapytałam, a kąciki ust drgnęły mi w uśmiechu.

– Daj spokój, Aubrey. Ładnie proszę i dorzucam beczkę piwa gratis? – Błagalnie złożył dłonie.

Nie potrafiłam powstrzymać śmiechu.

– Zapytaj mnie w przyszłym tygodniu, kiedy już nie będę taka *rozchlipana* – zażartowałam, wywalając język.

Dobrodusznie przewrócił oczami.

– Dobra, twoja strata. Ale ja nie zrezygnuję – ostrzegł, a mnie przeszedł dreszcz niepokoju.

Ale nie z powodu samych słów Brooksa, lecz z powodu podobnych słów wypowiedzianych kiedyś przez kogoś całkiem innego.

– Muszę iść na zajęcia. Zobaczymy się później.

– Do zobaczenia wieczorem – zawołał Brooks, kierując się do biblioteki.

Ruszyłam w stronę budynku psychologii, kiedy poczułam, że ktoś zbliża się do mnie z tyłu.

Wokół roilo się od studentów, ale ta konkretna obecność mnie zaniepokoiła.

I nie bez powodu, jak się okazało.

– Aubrey.

Moje imię, wypowiedziane w ten znajomy sposób, jak coś pośredniego między klątwą a modlitwą, sprawiło, że nogi nieprzyjemnie się pode mną ugięły.

Może powinnam czym prędzej zwiać?

Za późno. Nie zdążywszy tego rozważyć, zatrzymałam się i obróciłam.

– Maxx. Jesteś tu – powiedziałam bezbarwnym głosem, jakbym nie rozsypywała się kompletnie na sam jego widok.

Od mojej wizyty w ośrodku odwykowym minął zaledwie tydzień, ale z jakiegoś powodu oglądanie Maxxa tu, na terenie uniwersytetu, było znacznie trudniejsze. Wydawało się jednocześnie niewłaściwe i bardzo znajome.

Maxx student zawsze wydawał mi się postacią zupełnie odmienną od Maxxa poznanego na grupie wsparcia, a później Maxxa spotkanego w klubie. Maxx był mężczyzną o wielu obliczach, żyjącym jednocześnie w wielu różnych światach. Dużo czasu zajęło mi pogodzenie się z osobą, którą był w każdym z nich, i z tym, jak wszystkie te osoby współistniały w jednym ciele.

Gapiałam się teraz na niego i zastanawiałam, z którą z nich mam aktualnie do czynienia. Wyraz jego oczu przypominał mi *mojego* Maxxa. Mężczyznę, który mnie kochał. Ale dojrzałam w nich również zmęczoną pustkę przypominającą mi tego innego Maxxa. Tego, który bardziej potrzebował narkotyków niż mnie.

Potarł palcem grzbiet nosa i uśmiechnął się do mnie nieśmiało, co zupełnie do niego nie pasowało.

– No tak, mam spotkanie ze swoim opiekunem naukowym. Musiałem wypisać się z zajęć, kiedy szedłem się na odwyk. Mam

nadzieję, że uda mi się ogarnąć ileś tam zajęć w semestrze letnim, i wtedy zobaczę, ile tak naprawdę jestem w plecy. Chociaż pewnie mam przerąbane niezależnie od tego, co zrobię – powiedział rzeczowym tonem, który wcale nie pobrzmiwał uzalaniem się nad sobą.

– To beznadziejnie. Przykro mi – odparłam niepewnie, nie mając tak naprawdę pojęcia, co mu odpowiedzieć. Prowadzenie z nim takiej przypadkowej rozmowy było dość dziwaczne.

Kopnął jakiś kamyczek, a w moim zatwardziałym sercu drgnęło coś zaskakująco ckliwego.

– No cóż, mogę za to winić tylko siebie – powiedział, wciskając rękę do kieszeni bluzy.

Tym razem nie odpowiedziałam. To nie był ani czas, ani miejsce na rozmowę, którą gwarantowało takie otwarcie.

Wskazałam brodą na jego dzinsy. Na kolanach wciąż znać było ślady kolorowej kredy.

– Nie próżnowałeś – powiedziałam z irytacją w głosie.

Sprawa miała wrażenie niemal zażenowanego.

– No, wiesz, jak dopadnie cię natchnienie i tak dalej – wymamrotał, unikając mojego wzroku.

– I dopadło cię właśnie pod moją kamienicą? – drażyłam.

– Chyba zawsze prowadzi mnie z powrotem do ciebie – powiedział cicho, a mnie serce zabiło tak mocno, że miałam wrażenie, jakby za moment miało wyskoczyć mi z piersi.

– „Ranisz moją duszę. Rzucam się od rozpaczki do nadziei”<sup>1</sup> – mruknął Maxx, prawie niedosłyszalnie.

No nie, Maxx cytował Jane, cholera jasna, Austen. Musiałam się stąd zabierać, i to jak najszybciej.

Odchrząknęłam i podciągnęłam sobie listonoszkę wyżej na ramieniu.

– Lepiej już pójdę – powiedziałam, próbując go wyminąć.

Wyciągnął rękę, ujął moją dłoń i delikatnie objął ją palcami. Wzdrygnęłam się, czując jego dotyk. Był zupełnie niewinny, ale przeniknął mnie do szpiku kości.

– Powiedziałem ci w zeszłym tygodniu, że mam nadzieję, że kiedy



wyjdę, nie zatrzaśniesz mi drzwi przed nosem, jeśli się w nich pojawię. Ten rysunek był moim sposobem na zadanie ci pytania, czy to zrobisz. Czy nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli w końcu się w nich pojawię.

Ręka lekko mi drżała, gdy wysuwałam ją z jego uścisku.

– A ja sądzę, że za wcześnie, by o tym wyrokować, Maxx. Musisz skupić się na sobie. Nie ma mnie – odparłam ostro.

– A jeśli ci powiem, że bez ciebie nie ma mnie? – zapytał, przygryzając wargi.

Ten niewinny gest mówił bardzo wiele o jego braku pewności siebie. Przełknęłam ślinę i zacisnęłam dłonie w pięści, żeby nie rzucić mu się w ramiona. Albo go nie spoliczkować. Jeszcze tego nie rozstrzygnęłam.

– Odpowiedziałabym ci, że pora, żebyś się zorientował, kim jesteś ty jako ty. Nie możesz opierać swojej przyszłości na czymś, co się nie wydarzy. Bo jeśli chodzi o mnie i o ciebie, Maxx, sprawa jest zakończona. I to już od jakiegoś czasu. – Wiedziałam, że nie brzmi to tak przekonująco, jak bym chciała. Niech to szlag!

Maxx pokręcił głową.

– Wcale tak nie myślisz. Nie pozwolę ci tak myśleć.

– Nie pozwolisz mi? – parsknęłam. – Nie sądzę, żebyś miał w tej kwestii jakiś wybór.

– Zawsze mamy wybór, Aubrey. A tym razem moim jesteś ty. Wiem, że chcesz, żebym ci udowodnił, że wszystko się zmieniło. Że ja się zmieniłem. I wiem też, że to wymaga czasu. Uzbuję się w cierpliwość. I chociaż każda komórka mojego ciała domaga się tego, żebym zaciągnął cię z powrotem do swojego mieszkania i spędził cały dzień na demonstrowaniu ci dokładnie, jak bardzo cię kocham, poczekam. Aż będziesz gotowa. – Oczy Maxxa zapłonęły i wpiły się w moje. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził mnie palcem po policzku. Wzdrygnęłam się. Natychmiast opuścił rękę.

– Nie zrezygnuję z nas, Aubrey. Nie mogę – powiedział takim tonem, jakby mi coś przyrzekał.

„Właśnie tego się obawiam” – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Powinnam już iść – powtórzyłam, czując, że muszę stąd odejść.  
Że muszę stąd uciec.

Nic nie powiedział, ale nie potrzebowałam na niego patrzeć, by wiedzieć, że obserwował mnie, gdy spiesznie ruszyłam na zajęcia, zostawiając go samego.

## Rozdział czternasty

-Maxx-

Nie kłamałem, mówiąc Aubrey, że mam przerąbane. Trzeba przyznać, że byłem w absolutnej zawodowej dupie. Jeszcze zanim wylądowałem na odwyku, bardzo niewiele dzieliło mnie od wyrzucenia z uczelni. Doktor Ramsay, mój opiekun naukowy, wyjątkowy kutas, z wyraźną przyjemnością obwieścił mi, jak poważnie zabagniłem sobie sytuację.

Wyglądało na to, że większa część otrzymywanej przeze mnie pomocy finansowej uzależniona była od średniej. Ze względu na dotychczasowe oceny i ostateczną rezygnację z zajęć w tym semestrze uniwersytet cofnął mi stypendia i granty pozwalające na sfinansowanie czesnego. Bez nich nie mogłem sobie pozwolić na pozostanie na uczelni.

– Możesz się umówić na spotkanie z biurem pomocy finansowej i zorientować się, czy przysługuje ci jakiś inny rodzaj zapomogi. Ale posłuchaj, Maxx, z powodu dotychczasowych wyników w nauce będziesz musiał mocno się sprężyć, żeby zorganizować sobie pomoc z zewnątrz. Ostrzegałem cię już kilka miesięcy temu, że jesteś niebezpiecznie bliski utraty stypendium. Szkoda, że nie potraktowałeś moich ostrzeżeń poważnie – powiedział doktor Ramsay, a ja miałem ochotę strzelić go prosto w ten złośliwie uśmiechnięty ryj.

Dawny Maxx zwaliłby mu durnostojki z biurka i zagroził wetknięciem zszywacza w dupę, a potem wrócił prosto do swojego mieszkania i naprał się tak, że bardziej już nie można. Zacząłem skubać nogawki dzinsów, próbując zagłuszyć dojmującą potrzebę przyćpania. Czy zostały mi jeszcze w mieszkaniu jakieś tabletki? Byłem prawie pewien, że mam gdzieś zachomikowany jakiś *awaryjny* zapasik. Gdzie ja mogłem go, kurde, włożyć?

I nagle okazało się, że siedzę i dumam o wszystkich miejscach,

w których mogłem zostawić jakieś prochy. Na dnie szafy? Nie, wyczyściłbym ją już parę miesięcy temu. Utknięte w górnej szufladzie? Może. Zwykle mnóstwo towaru zaplątywało mi się między skarpetkami. Pod łóżkiem? Między poduszkami kanapy? W szafce z lekami?

Prawie nie słyszałem, jak doktor Ramsay wymówił moje imię.

– Panie Demelo, czy pan mnie usłyszał?

– Tak, dotarło do mnie. Mój czas na Uniwersytecie Longwooda oficjalnie dobiegł końca. Nie pozostawił mi pan co do tego żadnych, kurwa, wątpliwości – powiedziałem, podnosząc się.

Doktor Ramsay sprawiał wrażenie zaskoczonego moją zjadliwością.

– Wcale tego nie powiedziałem, Maxx. Nadal masz kilka możliwości.

– Panie doktorze, rozumiem, że wszystko zrząbałem. Nie zaprzeczam. Przyjmuję do wiadomości, że zmarnowałem swoją szansę. Teraz muszę zorientować się tylko, do cholery, co właściwie mam zrobić ze swoim życiem.

– Panie Demelo, rozumiem, że jest pan zdenerwowany, ale pozwoli pan, że zadzwonię do biura pomocy finansowej i sprawdzę, czy uda mi się umówić pana na spotkanie z nimi dziś po południu – powiedział, unosząc słuchawkę.

Byłem zaskoczony, że chce mu się wysilać, ale niepotrzebnie zawracał sobie głowę. Jedno było oczywiste. Nie zostałem stworzony do studiowania w college’u, niezależnie od tego, jak wielką miałem nadzieję na to, że pobyt w Longwood pozwoli mi pożeglować ku lepszemu życiu.

Odgrywałem rolę studenta, żeby spełnić jakąś walniętą obietnicę, której czułem się zobowiązany dotrzymać ze względu na nieżyjących rodziców. Sądziłem, że otrzymanie dyplomu stanie się dowodem na to, że potrafię coś zrobić dobrze, a Landon nie pomylił się całkowicie, czcząc mnie jak bohatera. Czy jednak byłem gotów porzucić wizję, której od początku wcale sobie sam nie wymarzyłem? Czy potrafiłem zrezygnować z tego ostatniego odprysku Maxxa, którym tak bardzo chciałem się stać?

Byłem wściekły i niczego nie pragnąłem bardziej niż powiedzieć doktorowi Ramsayowi, gdzie sobie może wsadzić swój uniwersytet, ale przełknąłem dumę i skinąłem głową.

– Jasne, byłoby świetnie.

Doktor Ramsay podniósł słuchawkę do ucha i powiedział coś do kogoś po drugiej stronie. Po chwili rozłączył się, zapisał coś na samoprzylepnej karteczce i wręczył mi ją: „Leah Fletcher o 14:30”.

– Może zdołają ci pomóc, ale reszta już zależy od ciebie. Musisz wrócić na kolejny semestr gotowy do pracy. Inaczej to wszystko będzie tylko stratą czasu dla nas obu – powiedział doktor Ramsay, ściągając wargi.

– No cóż, nie chciałbym marnować niczyjego czasu – wymamrotałem, wciskając kartkę do kieszeni.

\*

Do spotkania w biurze pomocy finansowej zostało mi kilka godzin, a nie chciałem wracać do mieszkania. Wiedziałem, że siedzenie teraz samemu to najgorsze, co mogę zrobić. Na odwyku byłem ustawicznie otoczony ludźmi, czy mi się to podobało, czy nie. Teraz do mnie dotarło, że dzięki temu mogłem nie myśleć zbyt często o tym, z powodu czego w ogóle się tam znalazłem.

Okresy spokoju były dla mnie najbardziej niebezpieczne. W samotności zaczynałem myśleć. Potem chciałem przestać. Nie odczuwać bólu. A jedynym znanym mi sposobem pozbycia się go było przyćpanie. Wzięcie tylu tabletek, żeby przytępić umysł i znieczulić serce.

Boże, jak ja za tym tęskniłem. Tęskniłem za tą idealną chwilą, kiedy drugi rozplływały się po organizmie i przestawałem cokolwiek czuć. Czuć znaczyło wykrwawiać się, a ja już naprawdę nie miałem czym. Ruszyłem więc do biblioteki, uznając, że spożytkuję ten czas na pogrzebanie w sieci i rozejrzenie się za robotą.

Na komodzie leżała sterta nieotwartych rachunków. Zostały mi jeszcze jakieś pieniądze, ale nie na długo. Wyglądało na to, że moje dilowanie nie okazało się stylem życia na tyle opłacalnym, żebym

mógł płacić rachunki, finansować swój nałóg i jeszcze odłożyć na czarną godzinę. Byłem piekielnie blisko spłukania się do zera.

W bibliotece siedziało sporo ludzi, a cichy szmer ich rozmów był dokładnie tym, czego potrzebowałem. Znalazłem wolny komputer. Pogrzebałem chwilę w portfelu, znalazłem legitymację studencką i wpisałem swój siedmiocyfrowy identyfikator.

Przejrzałem zamieszczone online ogłoszenia o pracę z lokalnych gazet. Po kilku minutach stało się jasne, że moje opcje są poważnie ograniczone. Nie posiadałem zbyt wielu umiejętności, choć zastanowiłem się przez chwilę, czy handlowanie narkotykami można uznać przy odrobinie dobrej woli za doświadczenie w „sprzedaży i marketingu”. Zaśmiałem się w duchu, wyobrażając sobie, jak wyjaśniam to podczas rozmowy rekrutacyjnej.

Im więcej stron przeglądałem, tym większa ogarniała mnie frustracja. Nie na wiele mogłem liczyć, o ile nie satysfakcjonowało mnie serwowanie całymi dniami żarcia w barze szybkiej obsługi. Sfrustrowany, przeciągnąłem dłońmi po włosach. W kieszeni zawibrował mi telefon. Wyciągnąłem go i zobaczyłem kolejny esemes od Marca. Byłem zaskoczony, że jeszcze nie łomocze mi do drzwi mieszkania, chociaż miałem przecucie, że być może już próbował. Nie natknąwszy się na mnie, ograniczył się do nękania telefonicznego.

Nie miałem pojęcia, jak długo uda mi się go unikać. Kumplowałem się z nim od dawna i był najstarszym ogniwem łączącym mnie ze światem, który próbowałem zostawić za sobą. Wiedziałem, że jeśli oddzwonię, pokusa powrotu do starej roboty może okazać się zbyt silna, by się jej oprzeć. Wykasowałem wiadomość bez czytania.

– Maxx! Hej! – Podniosłem wzrok na ładną dziewczynę z długimi czarnymi włosami, która wydawała mi się jakby znajoma.

Uśmiechała się do mnie, jakbyśmy się znali, bez dwóch zdań. I wiedziała, jak mam na imię, więc było jasne, że musieliśmy mieć ze sobą jakąś styczność.

Zastanowiłem się w roztargnieniu, czy to możliwe, że ją kiedyś zerznąłem. Miałem piekielną nadzieję, że nie. Ostatnie, czego było

mi teraz trzeba, to uzależniona emocjonalnie wariatka.

– Hej – odpowiedziałem niemrawo.

Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok mnie, wciskając się w wolną przestrzeń i ignorując zirytowane spojrzenie chłopaka zajmującego miejsce przy sąsiednim komputerze.

– Gdzie ty się, kurczę, podziewałeś? Bez ciebie na tej grupie można usnąć! – wykrzyknęła i wtedy mi zaświtało, że musiała być w działającej w kampusie grupie wsparcia dla osób uzależnionych.

Przyjrzałem jej się uważniej, próbując sobie przypomnieć jej imię, ale nic, żadnych skojarzeń. Musiała wyczuć, że jej nie poznaję, bo mina jej trochę zrzędała.

– Mam na imię Lisa. Nie pamiętasz? Siedziałam obok ciebie co tydzień.

– No tak, Lisa. Jak się masz? – zapytałem, choć nic mnie to nie obchodziło.

– Niespecjalnie. Twylę nakryli w zeszłym tygodniu na trzymania w pokoju butelki Oxi. Rodzice wypisali ją ze szkoły – powiedziała, a ja próbowałem sobie przypomnieć, kim była Twyla.

– No patrz, to kiepsko – powiedziałem i obróciłem się z powrotem do ekranu, na którym przeglądałem ogłoszenia o pracę.

– No, naprawdę kiepsko, bo teraz nie mam współlokatorki. A swoją drogą, gdzie się podziewałeś? Nie będziesz już przychodził na spotkania grupy? – zapytała, a mnie dosłownie trzy sekundy dzieliły od powiedzenia jej, żeby zjeżdżała.

– Nie – odpowiedziałem krótko, wyjąłem długopis ze stojącego na biurku pojemnika i zapisałem sobie kilka numerów ogłoszeń, które mogły być obiecujące.

– Rozumiem, to taka nuda. Po odejściu Aubrey Kristie wzięła sobie nowego pomocnika, który jest chyba jeszcze bardziej beznadziejny niż ona.

Jej lekceważący komentarz przykuł moją uwagę.

– Czekaj, Aubrey już nie pomaga prowadzić tej grupy?

Lisa otworzyła szeroko oczy.

– No przecież! Wyście coś ze sobą kręcili! Ale teraz już nie, prawda? – zapytała, lekko ściągając brwi.

Skąd, do diabła, ta laska wiedziała o tym, że byliśmy razem? Aubrey zadała sobie mnóstwo trudu, żeby nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Kurde, ciągle wbijała mi do głowy, jak sobie zabagni sytuację, jeśli ktokolwiek się dowie. Nigdy nie pomyślałem, że Aubrey mogły spotkać jakieś przykrości z powodu naszej relacji.

– O czym ty mówisz? – zapytałem, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając temu, co powiedziała Lisa.

– A więc to nieprawda? Twyla powiedziała mi, że obilo jej się o uszy, że byliście razem i właśnie dlatego Aubrey już nie pomaga prowadzić tej grupy. Wylali ją czy coś. Wszystko jedno, i tak była strasznie sztywna. Pamiętasz, jak najechała na Kyle'a?

Zerwałem się tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło. Nie zwracając sobie głowy jego podnoszeniem, wyszedłem.



## Rozdział piętnasty -Aubrey-

Po zajęciach z *Granic i etyki terapii* przebimbałam resztę dnia. Nieoczekiwane spotkanie z Maxxem tego ranka wprowadziło mnie w taki dygot, że chciałam już tylko zanurzyć się w wannie z pianką i poukładać sobie rzeczy w szafie. Musiałam odzyskać równowagę. Byłam dumna, że udało mi się odejść z nietkniętą głową i sercem, ale jednak wciąż czułam się roztrzęsiona.

Renee była na zajęciach aż do wieczora, więc całe mieszkanie miałam tylko dla siebie. Włączyłam muzykę – dudniący, oldskulowi Nine Inch Nails – po czym wyciągnęłam z szafy wszystkie buty i swetry. Brodziłam po kolana w pudełkach z butami, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi. Wstałam, wytarłam zakurzone dłonie w dżinsy, ściągnęłam sobie przetłuszczone włosy w niski koczek i ruszyłam do salonu. Dzwonek odezwał się znowu. Jęknęłam poirytowana.

– Chwileczkę, nie pali się – mruknęłam, po czym odsunęłam zasuwkę i otworzyłam, nie zadając sobie trudu zerknięcia przez wizjer.

I zastygłam. Powinnam była wiedzieć, że rozstanie z Maxxem nie będzie takie proste.

– Co ty tu robisz? – zapytałam krótko, zastanawiając się, czy nie zamknąć mu drzwi przed nosem.

Spochmurniał, a zmarszczki między jego brwiami pogłębiły się.

– Musimy pogadać.

– Jestem dość zajęta... – zaczęłam, ale przerwał mi.

Zrobił krok naprzód, zmuszając, żebym się cofnęła i wpuściła go do mieszkania.

Zamknął drzwi za sobą i wbił we mnie spojrzenie tak intensywne, że żołądek opadł mi w okolice znoszonych tenisówek.

– Nie. Musimy porozmawiać *teraz* – powiedział zdecydowanym,

nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Założyłam ręce na piersi i zmierzyłam go najsurowszym spojrzeniem ze swojego arsenału.

– Słucham? Skąd ty się urwałeś? – zakipiałam.

Maxx zamknął oczy, wyraźnie sfrustrowany.

No to jest nas dwoje, koleżko.

Otworzył na powrót oczy, a ich błękit płonął taką zajadłością, że aż cofnęłam się o krok.

– Co się wydarzyło po tym, jak pojechałem na odwyk?

He?

– O czym ty mówisz? – zapytałam zdezorientowana.

Maxx ruszył w moją stronę, a ja cofałam się tak długo, że wreszcie uderzyłam nogami w bok kanapy i byłam zmuszona usiąść na oparciu, która to pozycja dawała mu zdecydowanie zbyt dużą przewagę, ale nie miałam już gdzie się cofnąć.

– Już nie prowadzisz grupy wsparcia. Dlaczego? – zapytał ostro, jakby wkurzała go sama myśl o tym.

Dlaczego miałyby się złościć o to, czy prowadzę tę głupią grupę wsparcia, czy nie?

– Ale skąd pytanie? – zirytowałam się.

Odchyliłam się do tyłu, próbując zyskać sobie nieco przestrzeni, ale groziło mi, że zsunę się z oparcia i wyląduję na plecach. Po takim mało eleganckim manewrze wyglądałabym jeszcze bardziej groteskowo, niż już się czułam.

– Może mógłbyś się odrobinę cofnąć? Dostanę przez ciebie klaustrofobii. – Uniosłam ręce, pilnując się, żeby go nie dotknąć.

Maxx spojrział na kurczący się dystans między nami i wymamrotał:

– Przepraszam. Mogę usiąść? – zapytał, tracąc pewność siebie. Ledwie chwilę wcześniej wparował mi do mieszkania, nie robiąc sobie nic z moich protestów, a teraz jego śmiałość jakby przygasła.

– Jasne. Bo pewnie nie uda mi się skłonić cię do wyjścia, prawda? – odparowałam.

Skrzywił się, a mnie zrobiło się trochę głupio, że tak na niego najeżdżam. Ale tylko trochę.

– Wcale nie zamierzałem robić ci takiego nalotu bez uprzedzenia, ale o czymś się dziś dowiedziałem i musiałem się z tobą zobaczyć. Usłyszeć od ciebie, że to nieprawda. Bo jeśli to prawda... Boże, jeśli... – urwał i znów wbił we mnie spojrzenie szeroko otwartych i nagle udręczonych oczu.

Poczułam jego niepowstrzymany magnetyzm, ale zignorowałam go. Udawanie, że go nie ma, było dla mnie sprawą życia i śmierci.

– W ogóle nie rozumiem, co mówisz, Maxx – powiedziałam znużonym tonem.

Wydawał się... *umęczony*, i znów odezwała się we mnie zdradziecka potrzeba zaopiekowania się nim. Musiałam zmobilizować wszystkie siły, żeby nie przyciągnąć go do siebie i nie przytulić, co kiedyś zrobiłabym bez wahania.

– Słyszałem... – urwał gwałtownie i głośno przełknął ślinę, po czym podjął: – Doszły mnie słuchy, że cię wylali. Nie znam całej historii. Ale słyszałem, że to przeze mnie. Przez *nas*. Że wpakowałaś się w kłopoty, bo się ze mną związałaś. Czy to prawda?

Jego upór mnie zirytował. Stał tu jakby nigdy nic, w należącej do mnie przestrzeni, i wytrącał mnie z równowagi. Otaczał. Zawłaszczał. Pożerał.

– A jeśli nawet, to jakie to ma znaczenie? – zapytałam ostro, próbując ukryć zdenerwowanie.

Maxx zakrył twarz dłońmi, po czym przeciągnął palcami po policzkach i uniósł głowę, napotykając moje spojrzenie.

– Ostatnim, czego kiedykolwiek pragnąłem, było pociągnięcie cię za sobą na dno. Nigdy nie chciałem, by to, czym *byłem* i co robiłem, wpłynęło w taki sposób na twoje życie.

– Ty tak serio? – zakpiłam.

Cofnął się, jakbym go spoliczkowała.

– Tak, mówię poważnie!

– Jeśli *kiedykolwiek* sądziłeś choć przez *sekundę*, że twój nałóg... że to, kim jesteś – wypaliłam – nie będzie miało na mnie wpływu, to oszukiwałeś samego siebie bardziej, niż sądziłam.

Otworzył usta, jakby chciał zaproponować, ale potrząsnęłam głową, przerywając mu.

– Daj spokój, Maxx! Kochałam cię! Byliśmy razem! Podjęliśmy decyzję, by dzielić życie, cokolwiek była warta taka deklaracja. Ostrzegałam cię, jakie to pociąga ryzyko dla nas obojga! I jak sobie pościeliłam, tak się teraz wyśpię. Takie jest życie, Maxx. Jeśli podejmujemy złe decyzje, to musimy sobie radzić z konsekwencjami! – wykrzyczałam. Zdenerwowałam się, nic nie mogłam na to poradzić.

– Wiem, na czym polegają konsekwencje, Aubrey! Jestem jedną wielką chodzącą konsekwencją! Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Ale... Boże, nigdy nie chciałem, żeby do tego doszło!

Oboje dyszeliśmy ciężko. Maxx poczerwieniał na twarzy, w jego spojrzeniu czaiła się jakaś dzikość. Domyślałam się, że wyglądam podobnie.

– Muszę to wszystko naprawić. Dla ciebie. Dla nas – obwieścił kategorycznie.

Pokręciłam głową.

– Nie ma żadnych *nas*, Maxx. Powiedziałam ci – odparłam zmęczonym głosem.

Oczy Maxxa rozbłysły wściekle.

– Nie wierzę w to, Aubrey. I nie wierzę, że *ty* w to wierzysz! *Zawsze* będziemy my!

Dobry Boże, właściwie chciałabym móc mu uwierzyć.

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać. Powinieneś już pójść – powiedziałam drżącym głosem. W moim tonie zabrakło przekonania, ale miałam nadzieję, że wystarczą słowa.

Nie wystarczyły. Maxx padł na kolana i pokonawszy na nich dzielącą nas przestrzeń, znalazł się u moich stóp. Podniósł na mnie spojrzenie, uniósł rękę i położył swoją dłoń na moim sercu, bijącym dziko i chaotycznie.

– Czuję to, Aubrey. Dokładnie tam, gdzie to się naprawdę liczy. Chcesz mnie tutaj. – Chwycił mnie za rękę i przyłożył ją do swojej piersi. Poczułam pod palcami gorączkowe uderzenia. – Czujesz to? Właśnie tam jesteś. I zawsze tam będziesz. Jak długo bije to serce, tak długo nie wyrzeknę się tego, co kiedyś było nam dane. Sprawię, że dostrzeżesz, że potrafię się zmienić. Potrafię być taką osobą,

jakiej potrzebujesz.

Próbowałam cofnąć rękę, ale trzymał mnie mocno, przyciskając moją dłoń do swojej piersi.

– Proszę, Maxx. Przestań! Przestań tak do mnie mówić! Zrobiłeś już wystarczająco dużo! Nie przeżyję tego wszystkiego jeszcze raz! – błagałam, czując, że zaczynam wpadać w panikę. Jeśli zostanie tu dłużej, mówiąc do mnie w ten sposób, popełnię jakąś głupotę.

Zsunął dłoń na moją nogę.

– Nienawidzę się za wszystko, co ci zrobiłem. Niczego nie żałuję bardziej niż tego, co przeze mnie przeszłaś, Aubrey. Byłaś jedynym pięknym elementem mojego paskudnego życia. A sama świadomość, że tak zwyczajnie kochając mnie, tak wiele straciłaś... Nie wiem, czy zdołam sobie z tym poradzić.

Niepokój skręcił mi boleśnie wnętrzości. Czulałam nacisk jego dłoni na swojej nodze, widziałam jego mokrą twarz. Byliśmy tak blisko, tak boleśnie blisko. Gdyby mnie w tym momencie pocałował, nie wiem, czy znalazłabym w sobie dość siły, żeby mu się oprzeć.

Bo przecież chciałam, żeby mnie pocałował. Chociaż rozpaczliwie próbowałam uwierzyć w coś zupełnie innego, wiedziałam, że kocham tego człowieka bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To była miłość niekierująca się jakąkolwiek logiką. Bezsensowna. Miłość, na którą nie było miejsca w świecie, który próbowałam dla siebie zbudować.

Obok takiej miłości nie można przejść obojętnie. Nawet jeśli miałyby przynieść ci tylko ból.

Wpatrywałam się w twarz Maxxa i widziałam, jak cierpi. Z powodu mnie. I wszystkiego, co zrobił. Nie mogłam tak siedzieć i patrzeć, jak się zadrecza, nawet jeśli jakiś głos w głębi mojego ducha krzyczał: „Sam sobie na to wszystko zasłużył!”.

Przykryłam jego dłoń własną i ścisnęłam ją lekko.

– Dokonałam takich wyborów, jakich dokonałam, Maxx. Już wtedy, gdy całowaliśmy się po raz pierwszy, wiedziałam, w co się pakuję. Zdecydowałam się przekroczyć tę granicę. Wiedziałam, czym ryzykuję, kochając cię. Ale nawet po tym wszystkim niczego nie żałuję. I nigdy nie żałowałam. Jestem na ciebie wściekła, diabelnie

wściekła, Maxx. Ale nie żałuję. Ani odrobinę – wyszeptałam załamującym się głosem.

Maxx opuścił czoło na moje kolano i otoczył ramionami moje łydki.

– Tak strasznie mi przykro, Aubrey.

Głos mu się załamał.

Uniosłam dłoń i pozwoliłam jej zawisnąć na chwilę nad jego głową, niepewna, czy powinnam go dotykać. Nie wiedziałam, co zrobić. Targały mną sprzeczne emocje. Opuściłam dłoń i odchyliłam się w tył.

– Maxx. Przestań, proszę – powiedziałam łagodnie, podejmując decyzję.

Wypuścił mnie z objęć i cofnął się, wściekle ocierając policzki dłońmi.

– Nie powinienem był tutaj przychodzić. Przepraszam, Aubrey. Gdy w grę wchodzisz ty, ciągle popełniam błędy – tłumaczył się, chyba zażenowany swoim załamaniem.

Nie potrafiąc się tym razem opanować, zrobiłam jedyną rzecz, na jaką pozwalało mi moje obolałe serce. Chociaż była głupia i niewłaściwa.

Dotknęłam go.

Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na jego policzku, rozkoszując się dotykiem, którego sobie do tej pory odmawiałam. Radość, jaką z tego czerpałam, budziła we mnie obrzydzenie do samej siebie, ale nie cofnęłam ręki. Maxx wtulił w nią twarz.

– Jedyne, czego nie musisz żałować, to przyszłość mojej kariery akademickiej. Poradziłam sobie. Ogarnęłam to. I naprawdę nie ma to nic wspólnego z tobą – zapewniłam go.

Maxx zachichotał.

– Muszę ci się wydawać najgorszym gatunkiem narcyza, upierając się, że wszystko w twoim życiu ma coś wspólnego ze mną.

– Przez chwilę rzeczywiście miało – przyznałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Chwycił moją dłoń – tę, która tuliła jego twarz – podniósł ją do ust i delikatnie pocałował jej wnętrze. Nie odrywając spojrzenia od

moich oczu, przywarł na moment wargami do mojej skóry. Jego pocałunek palił jak piętno. Wpatrywaliśmy się w siebie, a naelektryzowane powietrze między nami aż skwierczało. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać.

I wtedy Maxx się podniósł.

– Ale już nie ma – powiedział, ocierając z twarzy ostatnie łzy. Wyciągnął telefon i spojrział na ekran. – Muszę iść. Mam spotkanie w biurze pomocy finansowej – powiedział, wciskając telefon z powrotem do kieszeni.

– Och. Jasne – powiedziałam, wytrącona z równowagi.

– Wygląda na to, że straciłem większość pomocy finansowej na czas studiowania. Muszę pójść i zorientować się, czy jest jakakolwiek szansa, żebym mógł wrócić w następnym semestrze i dokończyć studia – powiedział z westchnieniem.

– Ja... mam nadzieję, że da się to załatwić – powiedziałam szczerze.

– Ja też.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, a ja poszłam za nim.

– Przepraszam, że tak tu wparowałem. Nie powinienem był tego robić – powiedział, otwierając drzwi.

Pokręciłam głową.

– Nie przepraszaj. W porządku. – Nie wiedząc, co powiedzieć, sięgnęłam po nieszczerą uprzejmość.

– Dziękuję, że nie zatrzasnęłaś mi drzwi przed nosem. – Uśmiechnął się do mnie blado.

Otworzyłam usta, żeby coś odpowiedzieć, ale głos mnie zawiódł. A potem Maxx wyszedł.

## Rozdział szesnasty

-Maxx-

Bywały takie ranki, gdy pierwszą rzeczą, jaka przychodziła mi na myśl po przebudzeniu – zanim jeszcze zdążyłem otworzyć oczy! – były narkotyki.

Jakie to uczucie: naćpać się? Skąd mógłbym je wziąć, gdybym naprawdę potrzebował? Do kogo musiałbym zadzwonić, żeby możliwie szybko odjechać? Ile czasu zajęłoby mi znalezienie się na takim haju, żeby do głowy mi nie przyszło, że kiedykolwiek zacznę schodzić?

Potem wstawałem i zaczynałem dzień, a krótkie przebłyski ożywienia i rozmyślania o dawno utraconej miłości gasły pod ciężarem mojego nowego życia. Zacząłem łapać doła. Zdarzały się mroczne chwile, w których myślałem o człowieku, jakim byłem przed pójściem na odwyk, i o tym, jak wiele dzieliło mnie od pewnego siebie faceta, za którego się wtedy uważałem. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie potrafiłem przywołać w pamięci koszmarnego dawnego siebie.

W tych parszywych momentach pamiętałem tylko to, jak się czułem, mając cały świat u stóp. Moje ciało pragnęło znów doświadczyć tego uczucia. Fizyczne uzależnienie ustąpiło w ciągu tych kilku tygodni, które minęły od ostatniego przyćpania. To, z czym walczyłem w każdej sekundzie każdego dnia, rozgrywało się w całości w mojej pieprzonej głowie.

Zagrożeniem była moja pamięć, a uruchamiało ją dosłownie wszystko. Wszystko przypominało mi, jak się czułem na haju. Czasami, zwłaszcza gdy byłem sam, mając do towarzystwa jedynie swoje nędzne ja, chęć wzięcia była tak przemożna, że wprost nie dawała się zignorować.

A ponieważ Marco nie przestawał się dobijać na mój telefon, pokusa stawała się naprawdę bliska. Starłem się więc ciągle być



czymś zajęty. Wprawdzie niechodzenie na studia poważnie mi to utrudniało, ale wypełniałem sobie czas kwestiami prawnymi. Maxx Demelo oficjalnie rozpoczął nowe życie.

Wybrałem się na spotkanie z Leah Fletcher, która przeprowadziła mnie przez procedurę składania wniosku o kilka grantów dla „studentów w trudnej sytuacji życiowej”. Kazała mi złożyć jakieś dodatkowe dokumenty i udało jej się zorganizować mi wystarczającą pomoc finansową państwa, żeby pokryć czesne za następny semestr. Po solidnym wzięciu się do galopu powinienem mieć wystarczająco dużo czasu na zrobienie dyplomu.

Wciąż jednak potrzebowałem pieniędzy na życie. Na opłacenie rachunków. Na zapewnienie sobie dachu nad głową i żarcia w lodówce. Wszystkich tych rzeczy niezbędnych do fizycznej egzystencji, żebym w ogóle *mógł* ten dyplom zrobić. Tak łatwo byłoby rozwiązać wszystkie te problemy jednym telefonem do Gasha i wskoczeniem na powrót w klubowe buty. Były z tego niezłe pieniądze i jeszcze lepszy kop adrenaliny.

Ale nie mogłem tego zrobić. I *nie zamierzałem*.

Wszedłem więc w świat ludzi pracujących zarobkowo – i zarobionych po uszy. O ile akurat nie wywalałem obornika ze stajni pod miastem – znalazłem tę robotę na Craigslist – uwijałem się jak w ukropie w lokalnej kawiarni. Ogólnie rzecz biorąc: do dupy.

Nie zamierzałem jednak rzucać ręcznika. Nie mogłem. Choć jedno było pewne: prowadzenie uczciwej, przyzwoitej egzystencji okazało się znacznie trudniejsze, niż kiedykolwiek sądziłem.

W wysiłkach zmierzających do tego, by stać się Maxxem Demelo, wychodzącym z uzależnienia nałogowcem, nie zrobiłem wciąż jeszcze jednego: nie poszedłem do centrum miasta, żeby zapisać się do programu dla pacjentów korzystających z terapii w lecznictwie otwartym. Zdawałem sobie sprawę, że muszę. W przyszłym tygodniu miałem spotkanie z kuratorem i istotne było udowodnienie mu, że kontynuuję terapię.

Wiedział, że poszedłem na odwyk, ale nie miał świadomości, że prawie umarłem z przedawkowania na podłodze łazienki. Gdyby

taka informacja do niego dotarła, nie chodziłbym sobie wolno, tylko siedział w pudle i użalał się nad sobą, kurczę blade.

Obudziłem się w sobotę rano, mając w perspektywie cztery godziny, które musiałem jakoś zabić, zanim pojedę do stajni. Prowadzący ośrodek jeździecki Kenny Wyatt nie był zachwycony moim brakiem elementarnej wiedzy o koniach, który ujawnił się, kiedy do niego zadzwoniłem zapytać o tę pracę. Na szczęście koszmarnie niska stawka i jeszcze gorsza robota sprawiały, że praca stajennego nie cieszyła się wśród bezrobotnych szczególną popularnością. Kenny zatrudnił mnie z miejsca, chociaż wcale nie był z tego zadowolony.

Nie było nic mniej pociągającego od pojawienia się w domu w chmurze odoru każącego się zastanawiać, czy nie tarzałeś się cały dzień w gnoju. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca i nie chcąc beczynnie siedzieć w mieszkaniu, chwyciłem kluczyki do samochodu i wyszedłem bez jakichkolwiek konkretnych planów.

Dzień był słoneczny i na ulice wyległy tłumy. Moje auto toczyło się przed siebie, pobrzękując hałaśliwie. Spojrzałem we wsteczne lusterko i zobaczyłem wydobywające się z rury kłęby czarnego dymu.

Żałowałem, że nie mam dokąd pojechać. Czułem się wysiedlony i wyizolowany. Jedyne relacje, jakie kiedykolwiek nawiązałem, łączyły mnie z ludźmi, którzy teraz nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Wziąłem do ręki telefon, ale rzuciłem go, wiedząc, że nie mam do kogo zadzwonić. Poczułem w piersi bolesne ukłucie, które bardzo przypominało samotność. Napłynęły niechciane wspomnienia.

*– Nienawidzę tu mieszkać, Maxx.*

*Głos Landona był cichy i nieśmiały. Mieszkaliśmy u wuja Davida zaledwie od kilku tygodni, a ja już wiedziałem, że nic dobrego z tego nie będzie. Dwie godziny po przywiezieniu nas do domu wyszedł, w ogóle nie mówiąc nam, dokąd się wybiera.*

*Nie było go trzy dni.*

*Kiedy wrócił, cuchnął skwaśniałym winem i wyglądał tak, jakby nie kapał się od miesiąca. W ogóle nie zwrócił na nas uwagi, tylko poszedł*

do swojego pokoju, gdzie przespał kolejne dwadzieścia cztery godziny.

Tak wyglądało teraz nasze życie. Ale przynajmniej miałem Landona. A on miał mnie.

Był jedynym elementem mojego głupiego, popieprzonego życia, który poprawiał mi nastrój. Nawet jeśli odpowiedzialność za troszczenie się o niego zaciskała mi się czasem pętlą na szyi.

Objąłem go ramieniem.

– Ja też, stary, ale mamy przynajmniej siebie. Damy sobie radę – obiecałem, wcale nie blefując.

Landon był drobny jak na swój wiek, sięgał mi zaledwie do ramienia. Był przylepą i wszędzie za mną chodził. Normalnego nastolatka wkurzałby taki łązący wszędzie za nim brat. Ale my nie byliśmy normalni.

– Okej, Maxx – odparł.

Wiedziałem, że tęskni za tatą. Chociaż pod koniec wcale nie był najlepszym rodzicem, Landon nie miał okazji poznać lepszego. Nie pamiętał mamy. Wściekało mnie to.

Byłem teraz jedynym człowiekiem, który mógł odgrywać rolę jego rodzica.

– Chcesz się nauczyć, jak się sprawdza olej w samochodzie? – zapytałem, usiłując odwrócić uwagę tego biednego dzieciaka od naszego głównianego życia.

Twarz Landona wyraźnie pojaśniała.

– Jasne! – wykrzyknął z zapałem. Nie mógł się doczekać, by spędzić trochę czasu ze swoim starszym bratem.

– No to chodźmy do garażu. Stary mustang taty wciąż tam jest.

Już miałem się podnieść, kiedy Landon objął mnie swoimi chudymi ramionkami i przycisnął.

– Jesteś najlepszym bratem, Maxx – powiedział zduszonym głosem, przyciskając się do mojej piersi.

Zesztywniałem na moment, ale nie cofnąłem się.

Objąłem go, nie przejmując się tym, że przytulając swojego brata, wyglądam jak totalna cipa.

Potrzebował uczucia.

Ja też.

Potrząsnąłem głową, pozbywając się tego wspomnienia.

Tęskniłem za Landonem. Tęskniłem za związkim, który nas kiedyś łączył. Potrzebowałem go z powrotem w swoim życiu.

Skreśliłem więc w boczną ulicę i zacząłem mijać znajome budynki. Zajechałem przed parterowy dom z cegły, w którym spędziłem ponure lata kształtowania się mojej osobowości, i zgasilem silnik.

Od wyjścia z ośrodka nie dzwoniłem do Landona, wiedząc, że to, co mam mu do powiedzenia, lepiej będzie przekazać mu osobiście. Chociaż bałem się potwornie, że dzieciak, którego praktycznie wychowałem, nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

Oblewałem się zimnym potem, co było do mnie w ogóle niepodobne. W każdym razie nie do tego dawnego mnie. Ten nowy ja wydawał się panikować z byle powodu.

Wszedłem na ganek i położyłem dłoń na klamce, ale zmieniłem zdanie. Nacisnąłem dzwonek, cofnąłem się o krok i czekałem.

Landon pojawił się po zaledwie kilku sekundach. Sprawiał wrażenie zirytowanego moim widokiem.

– Rozumiem, że wyszedłeś – powiedział zimno i założył ręce na piersi jak typowy nastolatek, którym w końcu przecież był.

Wsunąłem ręce do kieszeni i wzruszyłem ramionami.

– No tak.

– Myślałem, że zadzwonisz – powiedział z goryczą.

– Zadzwoniłbym, gdybym sądził, że odbierzesz – odparowałem.

Landon przewrócił oczami.

– Przeprowadzimy tę rozmowę na zewnątrz czy mogę jednak wejść do środka? – zapytałem.

– Niedługo pewnie wróci David, więc może innym razem. – Landon zaczął zamykać drzwi, ale zdążyłem wsunąć w nie stopę.

– Słuchaj, Landon, wiem, że jesteś na mnie wkurzony, ale muszę ci powiedzieć kilka rzeczy, a ty musisz mnie wysłuchać. Nawaliłem, stary. I to potężnie. Daj mi szansę to wszystko naprawić.

Widziałem, że zawahał się i spuścił wzrok.

– Dobra. Ale niedługo. Mam sporo spraw.

Chciałem się zaśmiać z tej jego zmienności, ale wiedziałem, że byłoby to fatalne posunięcie, biorąc pod uwagę nasze nadwerężone

relacje.

– Jasne.

Wszedłem do domu wuja, po raz pierwszy nie czując złości i żalu do człowieka, który z oporami wziął nas do siebie po śmierci naszego ojca. Jaki sens miało tracenie energii na wściekanie się na niego? Bardziej szkodziło to mnie niż jemu. Nie mogłem koncentrować się na takich głupotach. Nie teraz, kiedy próbowałem pokazać ludziom, którzy mnie obchodzili, jak bardzo się zmieniłem.

Grzebanie się w zaszłościach trzymało mnie w miejscu. A nie tego chciałem.

– Mogę dostać coś do picia? – zapytałem, zauważając, że zupełnie nic się tutaj nie zmieniło.

Zielono-beżową sofę, która stała tu od co najmniej dziesięciu lat, przepchnięto pod ścianę. Poplamiony chodnik należący jeszcze do moich dziadków leżał rzucony na podłogę.

– Wiesz, gdzie co jest – powiedział Landon, siadając na kanapie i podkreślając głośność w telewizorze.

Nie zamierzał mi niczego ułatwiać, to pewne.

Wszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę, stwierdzając z zaskoczeniem, że jest pełna jedzenia. Sprawdziłem szafki i odkryłem, że w nich również niczego nie brakuje. Wziąłem sobie szklanekę, nalałem wody z kranu i wróciłem do salonu.

– Przejąłeś robienie zakupów? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział, nie podnosząc na mnie wzroku i nie odrywając spojrzenia od lecącej na ekranie kreskówki. – Ostatnio David znacznie częściej jest w domu. Dostał pracę w budynku urzędu hrabstwa, robi różne drobne naprawy.

– Żartujesz? Bierze coś czy jak? – zapytałem, nie mogąc uwierzyć, że David zaczął nowe życie. Chociaż właściwie... Jeśli ja mogłem się zmienić, to dlaczego nie mój głupawy wujaszek?

– Nie. To chyba twoja działka, nie jego – powiedział Landon matowym głosem.

– Dobra, sam się podłożyłem – przyznałem.

Landon zmienił kanał, wciąż nie podnosząc na mnie wzroku.

– Przepraszam, że nie odbierałem twoich telefonów, kiedy

zniknąłeś – burknął, jakby przeprosiny nie chciały mu przejść przez gardło.

– Nie musisz przeproszać. Rozumiem.

– Nie wydaje mi się – powiedział, podnosząc głos.

– Poważnie, rozumiem. Wiem, że się na mnie zdenerwowałeś...

– Maxx, przestań. Po prostu mnie wysłuchaj. Tak dla odmiany.

Rzucił pilota na niski stolik i w końcu odwrócił się do mnie. Czasem bardzo przypominał mi naszego ojca. Mieli te same płuwe włosy i wydatną szczękę. I chociaż Landon był mały, kiedy zmarł nasz ojciec, jakimś cudem przejął tyle jego manieryzmów, że czasem było to aż niepokojące. Choćby to, jak błyskały mu oczy i chodziła szczeka, kiedy był wkurzony.

Wprawdzie to we mnie wymierzony był gniew mojego brata, ale cieszyłem się, słysząc w jego głosie siłę i energię. Wreszcie zmężniał.

– Dobra – ustąpiłem.

Zacisnął dłonie w pięści, a na policzki wypłynęły mu dwie czerwone plamy. Spałem się, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Ja... nie mogę uwierzyć, że mnie tak okłamałeś. Jesteś... Jesteś takim hipokrytą. Cały ten czas byłeś po prostu... zwykłym *ćpunem*. – Wyrzucił z siebie to słowo, jakby było brudne. – Byłeś jedyną osobą w moim życiu, której uczciwości byłem pewien. Niezależnie od wszystkiego. A teraz już nie mogę ci zaufać. Jesteś zwykłym podłym kłamcą.

Poczułem się dotknięty. Nic nie pojmował. Zupełnie nie rozumiał, że to wszystko nie było takie czarno-białe. Wkurzyłem się nagle, że na mnie tak najeżdża. Jak szybko zapomniał o tym, że to ja zawsze pilnowałem, żeby miał co zjeść na obiad. To ja podrywałem go do szkoły i kazałem odrabiać prace domowe. Dobra, spieprzyłem sprawę. Niewąsko. Ale to nie przekreślało wszystkich tych lat, kiedy urabiałem się po łokcie, żeby czuł się zadbany.

– Ej, moment. Wiem, że cię zawiodłem. Rozumiem, że czujesz się zdradzony. Ale nawet przez chwilę nie myśl, że okłamywanie cię było takie proste. No i to wszystko, co dla ciebie zrobiłem. Mógłbyś mi być za to chociaż odrobinę, kurwa, wdzięczny – warknąłem, czując, że zaraz mi się skończy cierpliwość do tych jego

opryskliwych odzywek.

Prychnął tak wzgardliwie, że miałem ochotę w coś walnąć.

– A więc to moja wina? Nawet jak na ciebie, Maxx, to jest mocno pokrecone – rzucił kpiąco.

Otworzyłem usta, żeby się odciąć, ale przerwał mi.

– A gdybyś *umarł*, Maxx?

Moja wściekła obrona zdechła w zarodku. Landon sprawiał wrażenie wstrząśniętego, a ja poczułem się jak gnojek, że w ogóle próbowałem się bronić. Można powiedzieć, że dostałem jak obuchem w łeb.

Szlag. Miał rację.

Faktycznie, prawie *umarłem*. Gdzie by się wtedy znalazł Landon?

Byłem pieprzonym hipokrytą. I do tego cholernym egoistą.

– Landon. Ja... sądziłem, że mam wszystko pod kontrolą. Byłem kompletnym idiotą. Tak naprawdę nie myślałem o tym, co ci robię. Szczerze mówiąc, nie miałem nawet pojęcia, co robię samemu sobie.

– A co z Aubrey? I tym, co zrobiłeś jej? – zapytał, a mnie serce stanęło w piersiach, po czym zatłukło się boleśnie.

– Tak. Z Aubrey też spieprzyłem sprawę – przyznałem.

Dziwnie się czułem, rozmawiając o swoich problemach sercowych z młodszym bratem.

– Domyślam się, że zostawiła cię na lodzie?

– To nie tak – zaoponowałem, chociaż dokładnie tak się stało.

Wziąłem głęboki wdech. Nie byłem przygotowany na taką rozmowę. Zwłaszcza z nim.

– Słuchaj, Landon... Rozumiem, możesz być na mnie wściekły. Masz prawo. Ale jesteś moim bratem. Musisz to wszystko sobie poukładać. Ja się staram. Chciałbym po prostu, żebyś to dostrzegł.

Landon odwrócił wzrok.

– Pracuję w kawiarni w kampusie... Robię, kurde, kawę! To powinno dać ci jakieś wyobrażenie o tym, jak bardzo próbuję to wszystko naprawić.

Wargi Landona drgnęły. Ledwie zauważalnie, ale to już było coś.

– Mógłbyś wpaść czasami, to zrobiłbym ci latte czy jakieś inne wymyślne gówno z pianką. – Próbowałem być zabawny, ale ten

humor był dość wymuszony.

Mój brat prychnął.

– Jeśli robisz kawę tak samo, jak gotujesz, to chyba sobie daruję.

– Ej, nie jest tak źle. Rozczaiłem już prawie, jak używać ekspresu, nie fundując sobie oparzeń trzeciego stopnia – zażartowałem, chociaż śmiech, który wydobył mi się z gardła, był ochryply i nienaturalny.

Twarz Landona złagodniała. Odrobinę.

– Naprawdę beznadziejnie było oglądać cię w tym szpitalu, Maxx. Chyba nigdy się tak nie bałem – przyznał szorstko.

Wiedziałem, że jako nastolatek i w ogóle nie przepada za rozmowami o uczuciach.

– Wiem, stary. Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro. Byłem... *jestem...* narkomanem.

Przyznanie się do tego głośno bolało. Było potwierdzeniem słów, które rzucił mi w twarz, potwierdzeniem tego, czego tak długo się wypierałem. I to przed własnym bratem. Jedyłą osobą, przed którą usilnie starałem się to ukryć.

Ale poczułem ulgę, że wreszcie, po tak długim czasie, mogę się do tego przyznać. I ruszyć dalej.

– Czyli przestałeś brać, tak? – Głos Landona zabrzmiał bardzo cicho i przypomniałem sobie, jaki on jest jeszcze w gruncie rzeczy młody.

Przypomniałem sobie dzieciaka, którym opiekowałem się przez te wszystkie lata.

– Tak. Boże, tak. Ale skłamałbym ci, mówiąc, że mnie nie ciągnie. Ciągnie. Cały czas. Ale będę z tym walczył. Bo zasługujesz na coś lepszego z mojej strony, Landon.

Skinął głową i odwrócił się z powrotem do telewizora. Nic już nie powiedziałem, nie wiedząc, czy powinienem zostać, czy wyjść. Landon nie dał mi nic, czego mógłbym się chwycić.

Kiedy jego program się skończył, podniósł się z kanapy, a ja uznałem, że to dla mnie sygnał do wyjścia. Byłem rozczarowany, miałem poczucie, że to wszystko zostało jakieś niedopowiedziane. Nie potrafiłem zgadnąć, czy jest gotów mi wybaczyć. Nie



wiedziałem, czy to już koniec. Czy straciłem brata na dobre.

Już zaczął wychodzić z pokoju, kiedy zatrzymał się i lekko obrócił głowę w moją stronę.

– Chcesz mi pomóc zmienić olej w mustangu? – zapytał od niechcienia.

Poczułem rozpalającą się we mnie iskrę czegoś, co bardzo przypominało nadzieję.

– Jasne, kolego. Chętnie – powiedziałem, podniosłem się i wyszedłem za nim do garażu.

## Rozdział siedemnasty -Aubrey-

W miarę upływu tygodni czułam się coraz lepiej. Starłam się ze wszystkich sił nie wychylać i skupić na nauce, przesiadując do późna w bibliotece. Chodziłam na zajęcia, po czym wracałam prosto do domu, nigdzie po drodze nie zabawiając dłużej. Musiałam ograniczyć prawdopodobieństwo nieoczekiwanego spotkania, z którego wyszłabym obolała i stęskniona.

Tego konkretnego popołudnia szłam do domu po zajęciach, dumając o wszystkim i o niczym. Próbowałam skupić myśli na sprawach istotnych. Szkoła. Dostanie się z powrotem do programu szkoleń terapeutycznych. Przyjaźń z Renee i Brooksem. Na cokolwiek, byle nie na Maksie Demelo.

Szłam szybkim krokiem ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Wchodziłam już na schody mojej kamienicy, kiedy kątem oka uchwyciłam jakiś ruch. Zatrzymałam się, obróciłam i natychmiast tego pożałowałam.

W ciemną niszę między kamienicą a znajdującym się tuż obok sklepem wcisnęło się dwoje ludzi splecionych w namiętym uścisku. Mężczyzna przycisnął kobietę do ściany, a ona przytrzymała go za ramiona.

Uniósł ją, a ona otoczyła go nogami w biodrach, nie przerywając pocałunku, w którym oboje się zatracili. Patrząc na rozgrywającą się na moich oczach scenę, poczułam ucisk w żołądku i niewytłumaczalne poczucie winy. Pojawiły się paskudne emocje dotyczące moich własnych sprzecznych uczuć wobec Maxxa.

Patrzyłam, jak Renee przeczesuje palcami krótkie rude włosy Devona Keetona, i na moment znienawidziłam ją za to, że nie okazała się silniejsza. Ugięła się tak samo jak ja. Najwyraźniej nie mnie jedną kusilo, by otworzyć drzwi, które lepiej było pozostawić zamknięte.

Odwróciłam się plecami do mojej współlokatorki i jej byłego chłopaka, po czym weszłam do środka.

\*

Renee wpadła jak wicher do mieszkania pół godziny później, z rozburzonymi włosami, naelektryzowana energią. Gdybym nawet nie widziała jej w zaułku z tym palantem, natychmiast zorientowałabym się, że coś się kroi. Twarz miała zarumienioną, oczy roziskrzone, ręce jej się trzęsły, gdy przekręcała zamek w drzwiach.

– Cześć – powiedziałam jakby nigdy nic.

– Cześć – odparła Renee, nie patrząc mi w oczy niczym mała krętaczka, którą przecież się okazała.

– Gdzie byłaś? – zapytałam, próbując ją wysondować i zorientować się, czy postawi sprawę jasno i uczciwie.

Wyglądało na to, że moja droga współlokatorka i najlepsza przyjaciółka postanowiła odświeżyć nasze stosunki na bazie dystansu i nieszczerości.

– W bibliotece – odpowiedziała od niechcienia.

– Serio? I sporo udało ci się przeczytać?

*Czytanie* było eufemizmem dla tego niestosownego, paskudnego lizania się.

– Tak, zamierzam zaliczyć jutro ten test z mikrobiologii – powiedziała i gdybym nie wiedziała, że kłamie, dałabym się zwieść. Była bardzo przekonująca.

– Albo zaliczyć coś innego – wymamrotałam.

– Słucham? – spytała, sprawiając wrażenie zmieszanej.

– Widziałam cię.

Muszę jej oddać, że nieźle odegrała zaskoczenie. Związała swoje rozwichrzone włosy w kucyk i rzuciła mi skonsternowany uśmiech.

– Naprawdę? Gdzie?

– Z Devonem – odparłam, starając się, żeby w moim głosie nie zabrzmiało rozczarowanie. Nią. Mną. Naszą oczywistą niezdolnością rozstania się z ludźmi, którzy tak bardzo nas skrzywdzili.

Renee zbladła i przygryzła dolną wargę.

– To nie tak, jak sądzisz...

– Właśnie dlatego nie wyszło z Iainem? Z powodu Devona? – zapytałam nie dlatego, że nie potrafiłam uwierzyć, iż okazała się tak głupia, ale dlatego, że aż za dobrze rozumiałam jej wybory.

Przez to jednak ich przełknięcie nie stawało się łatwiejsze.

Renee zmrużyła oczy.

– Daj sobie spokój, Aubrey – ostrzegła.

Uniosłam dłonie w uspokajającym geście.

– Nie oceniam cię, Renee! Chcę po prostu wiedzieć, co jest grane. Pogadaj ze mną, proszę – powiedziałam błagalnie, rozpaczliwie pragnąc, by nasza przyjaźń nie znalazła się znów w tym koszmarnym punkcie, w którym rezydowała kiedyś.

W miejscu pełnym sekretów i nieufności. Napięcia i fałszywych uśmiechów. I to z powodu człowieka, którego całowała na moich oczach zaledwie kilka minut wcześniej.

– Nie wiem, co jest grane. Po prostu zostaw ten temat! – wykrzyknęła błagalnie, ruszając do swojego pokoju.

Nie poszłam za nią. Nie zażądałam odpowiedzi. Może powinnam była. Ale nie potrafiłam. Nie wtedy, gdy mogłam tylko patrzeć na nią i widzieć własne błędy.

Obudziłyśmy się następnego ranka i wypiliśmy razem kawę, jakby w ogóle nic nie zaszło. Poszłyśmy piechotą do szkoły, omawiając po drodze pogodę i inne przyziemne, nudne tematy, jakie udało nam się wymyślić. Przez większą część czasu zachowywałyśmy się normalnie. Jeśli nie liczyć niewypowiedzianych słów, które zaległy między nami.

Jeśli nie liczyć prawdy.

Jakiś czas później weszłam do klasy i stanęłam jak wryta. Przed profesorskim biurkiem stała April, poturbowana emocjonalnie dziewczyna Evana z grupy wsparcia, i wręczała wykładowcy plik kartek. Podniosła wzrok, gdy wchodziłam. Jej twarz nie wyrażała niczego.

Przemknęłam na swoje miejsce, wyciągnęłam podręcznik i zatopiłam się w lekturze, czując, jak szybko wyparowuje ze mnie

wcześniejsza dobra wola. Kątem oka dostrzegłam przechodzące obok znoszone tenisówki, ale celowo nie podniosłam głowy. Chwilę później znoszone tenisówki usiadły w ławce tuż obok mnie.

Zaryzykowałam zerknięcie w lewo i zobaczyłam, że chociaż w sali było kilka wolnych ławek, April usiadła obok mnie i zaczęła obgryzać kciuk. Czytałam, nie zwracając na nią uwagi, dopóki profesor nie rozpoczął swojego wykładu.

– Masz pożyczyć długopis?

Na dźwięk cichego, schrypniętego głosu tej kruchej ciemnowłosej dziewczyny, która nigdy wcześniej w mojej obecności się nie odezwała, dosłownie podskoczyłam na krześle.

– Och. Jasne – odparłam, nie wiedząc, co we mnie wstąpiło, żeby w ogóle jej odpowiadać, zwłaszcza biorąc pod uwagę relację łączącą ją z Evanem.

Poszperałam w torbie, znalazłam zapasowy długopis i podałam jej. Zdmuchnęła sobie włosy z twarzy i rzuciła w moją stronę nieśmiały uśmiech. Nasze spojrzenia nigdy wcześniej się nie spotkały i teraz pomyślałam, że sprawia wrażenie bardzo smutnej.

– Dzięki, Aubrey – wyszeptała, odwracając się na swoim krześle.

Cała ta wymiana zdań trwała może trzydzieści sekund, ale poczułam się bardzo dziwnie.

Przez resztę zajęć z trudem udawało mi się skupić. Kiedy April wychyliła się, żeby oddać mi długopis, szczerze mi podziękowała.

– Chyba następnym razem muszę być nieco lepiej przygotowana.

Jej głos znów mnie zaskoczył. Miło się go słuchało. Był miękki, a przy tym lekko ochryply. Gdy pomagałam prowadzić grupę wsparcia, nie odezwała się ani razu. Nawet podczas tego jednego koszmarnego spotkania w Compulsion nie wypowiedziała ani jednego słowa, pozwalając, by jej chłopak mówił za nich oboje.

Powoli wyciągnęłam rękę i wzięłam od niej długopis, po czym włożyłam go z powrotem do torby.

– Nie wiedziałam, że przerabiasz program terapeutyczny – powiedziałam, nie mogąc powstrzymać ciekawości, co właściwie robi na tych konkretnych zajęciach... ze mną. Biorąc pod uwagę groźby Evana sprzed zaledwie kilku tygodni, wydawało się to mało

prawdopodobnym zbiegiem okoliczności.

April podniosła się i zarzuciła zszarganą torbę na ramię. Zawiesiła wzrok gdzieś ponad moim ramieniem, jakby unikała mojego spojrzenia. Ciemne włosy, na których końcach utrzymały się jeszcze resztki fioletowej farby, miała splątane i w nieładzie. Przypominała małą, zagubioną dziewczynkę, a nie typową studentkę.

– Nie robię. Musiałam sobie znaleźć w tym semestrze kilka dodatkowych zajęć, a te sprawiały wrażenie ciekawych – wymamrotała, a ja wcale nie miałam pewności, czy do końca jej wierzę.

– No tak. No to... do zobaczenia – powiedziałam, nie chcąc przedłużać tej wymiany zdań.

Wyszłam, lecz opuszczając budynek, znów poczułam za sobą jej obecność.

Na zewnątrz zobaczyłam siedzącego na stopniach Evana, najwyraźniej czekającego na swoją dziewczynę. Podniósł głowę, gdy przechodziłam, a jego nienawistny uśmiech zmroził mi krew w żyłach.

– Cześć, Aubrey – powiedział, wymawiając moje imię jak obelgę.

Odwróciłam głowę, nie odpowiadając. Na dźwięk jego śmiechu aż mnie zemdliło ze zdenerwowania.

\*

Kiedy następnego ranka spotkałam się z Brooksem na naszą zwyczajową poranną kawę, nie byłam w najlepszym nastroju.

– Znam tę minę – powiedział Brooks, wymierzając palec w moją twarz.

Pacnęłam go w rękę i spojrzałam wilkiem.

– Jaką minę? Mógłbyś być miłszy – ostrzegłam.

Brooks zachichotał i przytrzymał mi otwarte drzwi. W Coffee Jerk panował ścisk, jak to zwykle w tygodniu. Wszyscy czekali na upragnioną dawkę kofeiny, żeby jakoś przeżyć dzień.

– Ta mina mówi, że kiepsko spałaś, więc lepiej zachować ostrożność – zakpił Brooks, ustawiając się w kolejce.

– To chyba trafna diagnoza – przyznałam.

Zaczynałam już zapominać, jak to jest: dobrze przespać noc.

Brooks nonszalancko objął mnie ramieniem.

– Czy mam przyjść dziś wieczorem, żeby zrobić ci filiżankę rumianku i otulić cię do snu? – zagruchał sarkastycznie.

Zasunęłam mu kuksańca w zębra i opuściłam ramię. Uśmiechnęłam się do niego, ale bardziej przypominało to szczyrzenie zębów. Powoli przesuwaliliśmy się w kierunku kasy. Brooks mówił coś o jakiejś pracy zaliczeniowej, ale słuchałam go jednym uchem. Byłam zmęczona. Zirytowana. I potrzebowałam napić się kawy.

I wtedy go zobaczyłam.

Maxx stał za kontuarem w brązowej koszulce Coffee Jerk i obsługiwał ekspres do kawy, sprawiając wrażenie umęczonego.

Dlaczego musiał podjąć pracę w jedynym miejscu w mieście, gdzie robią taką kawę, jaką lubię?

Byłam irracjonalnie rozzłoszczona, ale w tę moją złość wkradła się jakaś inna emocja. Radość? Przynajmniej pracował. Miał pracę pozwalającą mu zarobić uczciwe, legalne pieniądze. Starał się.

Zacisnęłam szczęki, wysunęłam się z kolejki i opuściłam kawiarnię. Brooks wyszedł za mną z wyrazem dezorientacji na twarzy. Najwyraźniej nie zauważył nowego baristy na zmianie.

– Co jest? – zapytał, ale ja tylko pokręciłam głową, nie chcąc drażnić tematu. Nie teraz, kiedy miałam wrażenie, że zaraz wybuchnę.

– Nic, po prostu uzmysłowiłam sobie, że muszę wcześniej pójść na zajęcia – skłamałam, czując lekkie wyrzuty sumienia, że nie mówię Brookswi prawdy.

– Aha. No dobra. W takim razie pewnie zobaczymy się później – powiedział, wciąż sprawiając wrażenie zdeorientowanego. Uśmiechnęłam się wymuszenie, skinęłam głową i ruszyłam szybkim krokiem do sali.

\*

Jakiś czas później, kiedy to wciąż nie udało mi się uzupełnić

niedoborów kofeiny w organizmie, sprawy zaczęły przybierać groźny obrót. Dosłownie nawrzeszczałam na dziewczynę siedzącą przede mną na statystyce, która jedynie poprosiła mnie o pożyczenie ołówka.

Prawie przewróciłam wykładowcę, który pojawił się w drzwiach ze stertą papierów w ręku. Parłam naprzód, wkurzona i kwaśna jak ocet, nie zwracając uwagi na to, co się wokół mnie dzieje.

Pod wieczór byłam już jednym wielkim kłębkiem irytacji, nienadającym się do współżycia z ludźmi.

Wiedząc, że na cito potrzebuję lufy kawy, zdecydowałam się zaryzykować ponowną wyprawę do Coffee Jerk. Miałam nadzieję i gorąco się o to modliłam, żeby zmiana Maxxa dobiegła już końca. Poczułam ulgę, kiedy weszłam do środka i nie zobaczyłam go za kontuarem. Złożyłam zamówienie u dziewczyny niebędącej moim byłym chłopakiem i poczułam, jak się rozluźniam, siadając w boksie na tyłach sali z perspektywą rychłego uśmierzenia kofeinowego głodu.

– Cześć – dobiegł mnie niski głos z lewej strony.

„Wszechświat naprawdę mnie nienawidzi – pomyślałam z rezygnacją, którą szybko zastąpiło zdecydowane: – Nie podnoś wzroku, Aubrey!”

Podniosłam wzrok.

Oczywiście, że podniosłam.

Kiedy szło o Maxxa, zachowywałam wszystko, tylko nie konsekwencję.

– Hej – wymamrotałam, a kąciki ust opadły mi na widok Maxxa ubranego wciąż w służbowy uniform. Blond włosy miał rozczochrane i sprawiał wrażenie zmęczonego.

– Mogę usiąść? – zapytał, wskazując puste siedzenie naprzeciw mnie.

– To wolny kraj, nie?

Zacisnął zęby i wsunął się do boks. Siedzieliśmy w niezręcznym milczeniu. Gdyby mi było do śmiechu, roześmiałabym się z tej naszej niezręczności.

– Jak kawa? – zapytał, wskazując na mój prawie już pusty kubek.



– Kawowa – odparłam krótko, przełykając ostatni łyk napoju.  
– Nie zamierzasz mi niczego ułatwić, co? – zauważył, marszcząc brwi.

Tym razem już się zaśmiałam. Ale nie dlatego, że uznałam jego uwagę za szczególnie zabawną.

– Och, tak mi przykro. Czy moja oschłość stanowi dla ciebie jakiś problem? – zapytałam lodowatym głosem.

Odchrząknął.

– Nie to miałem na myśli – powiedział cicho.

– No cóż, nie możesz niczego ode mnie oczekiwać, Maxx. Po prostu nie możesz – powiedziałam mu zgodnie z prawdą.

Pomyślałam o Renee i Devonie w zaułku obok naszej kamienicy i przejął mnie wewnętrzny chłód. Spojrzałam na człowieka odpowiedzialnego za moje obolałe serce i poczułam, jak twardnieję w środku.

– Wiem, uważasz, że musisz się trzymać ode mnie z daleka, bo cię skrzywdziłem. Wiem, że próbujesz zbudować sobie życie beze mnie. Ale wiem też, że jedynym życiem wartym przeżycia jest to, które możemy zbudować razem.

Powoli sięgnął przez stół, ujął moją dłoń w obie ręce i przytrzymał ją.

– Wiem, jak wyglądasz, kiedy kochasz. I widzę to tutaj. W twoich oczach. Na twoich ustach. Patrzę na ciebie i wiem bez cienia wątpliwości, że czujesz to samo co ja.

Przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze, a ja szarpnęłam się w tył.

Czując, jak oblewam się rumieńcem, wyszarpnęłam rękę z jego uścisku.

– Muszę iść – mruknęłam, podnosząc się.

– Przyjdiesz jutro? Pracuję. Mogę ci postawić kawę. Wiem, jak bardzo potrzebujesz rano kofeiny – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

Podciągnęłam sobie na ramieniu torbę z podręcznikami. Nie zamierzałam na niego patrzeć.

Poddanie się byłoby aż zbyt proste. Powinnam zacząć unikać tego

miejsca. Powinnam go zignorować i wyjść, zanim popełnię jakąś głupotę. No więc co zrobiłam? Dałam mu odpowiedź, której – wiedziałam o tym doskonale! – nie powinnam mu dawać. Ku własnemu zdumieniu powiedziałam:

– Przychodzę tu co rano, Maxx. Więc pewnie do zobaczenia.

„Ja wcale nie ustępuję – przekonywałam samą siebie. – Po prostu mówię mu prawdę. Rzeczywiście przychodzę tu każdego ranka po kawę. To nic nie znaczy”.

Uśmiechnął się tak radośnie, jakbym podarowała mu gwiazdkę z nieba.

– Okej, no to do zobaczenia.

„To nic nie znaczy!” – krzyczałam w duchu raz za razem.

Kogo ja chciałam oszukać? W przypadku Maxxa to oznaczało *wszystko*.

## Rozdział osiemnasty

-Maxx-

Ostatnio rozmowa z Aubrey przypominała walenie głową w mur. Zmierzałem donikąd – i to szybko. Nie widziała, jak bardzo próbuję się zmienić?

Próbowałem nie popadać we frustrację, bo dostrzegałem w jej oczach, jak bardzo wciąż mnie kocha, ale trzymanie mnie na dystans doprowadzało mnie do szaleństwa, gdy łączący nas związek był równie intensywny jak wcześniej.

Nienawidziłem tej roboty w kawiarni. Płaca była beznadziejna, a godziny pracy jeszcze gorsze.

Fucha w stajni była trochę lepsza. Jasne, mogłem sobie wyobrazić ciekawsze zajęcia niż wywalanie obornika za dziesięć dolców za godzinę, ale zacząłem spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu i nikt nie zawracał mi głowy. Schowałem uczucia do kieszeni, bo w końcu zaharowywałem się w szlachetnym celu. Wszystkie te kroki miały mnie sprawdzić.

– Nie obijasz się, Maxx – powiedział pan Wyatt, obserwując, jak opróżniam jeden z boksów. – Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

Pojechałem do stajni prosto z mojej zmiany w kawiarni. Nie zdążyłem zmienić ubrania, więc cały czas miałem na sobie poprzednią brązową koszulkę. Gdybym nie został, żeby pogadać z Aubrey, miałbym czas pojechać do domu i się przebrać.

No cóż, właściwie zostałem tylko po to, by zostać *odrzuconym* przez Aubrey. Po raz kolejny.

To wszystko zaczynało powoli przybierać postać smutnego, żalosego schematu.

– Dzięki – burknąłem, uniosłem szufłę z gnojem i resztkami słomy i wrzuciłem ją na taczkę. Pan Wyatt poklepał ślicznego siwego konia o imieniu Harvey i nachylił ku mnie głowę.

- Czy kiedykolwiek jeździłeś konno?
- Jasne – skłamałem. W życiu nie siedziałem na koniu.
- No cóż, jeśli miałbyś kiedyś ochotę przejechać się na jednej z naszych piękności, to śmiało. Czuj się zaproszony – powiedział, ostatni raz klepiąc Harveya po szyi.

Pan Wyatt był gburowaty, ale wydawał się przyzwoity. Widziałem, że nie złożył tej propozycji pochopnie.

– Dziękuję, panie Wyatt. Może kiedyś skorzystam – powiedziałem, ocierając pot z czoła i wiedząc, że zostawiam na nim smugę brudu.

– Tym stworzeniom przydałoby się trochę ruchu. Bardzo byś mi pomógł – ciągnął jakby zażenowany własną serdecznością.

– Oczywiście – zgodziłem się, nie zdradzając się z tym, że wiem, iż ten starszy facet w gruncie rzeczy mnie lubi.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął jakieś pieniądze.

– To twoja pierwsza tygodniówka. Nie wypisuję czeków.

Wziąłem pieniądze.

– Dzięki – powiedziałem szczerze.

Pan Wyatt skinął głową i odszedł. Szybko policzyłem pieniądze i krew odpłynęła mi z twarzy. Ledwie dwieście pięćdziesiąt dolarów. Dysponując tak marną kwotą, nie mogłem opłacić rachunków ani jedzenia. Urabiałem się po łokcie i ledwo starczało mi na życie. Wszedłem z pracy kompletnie zniechęcony do życia.

Dwadzieścia minut później wszedłem do swojego mieszkania i pstryknąwszy włącznik światła, poczułem ulgę, że jednak się zapaliło. Wiedziałem, że jeśli nadal nie będę opłacał rachunków za prąd, w końcu mi go odetną. Padłem na kanapę i wydałem długie, niespokojne westchnienie. Musiałem coś zrobić. Musiałem znaleźć sposób na zarobienie jakichś porządných pieniędzy.

„Jest takie miejsce, gdzie mógłbyś się wybrać po szybką forszę” – podszeptała moja podświadomość.

To była kusząca propozycja. Tęskniłem za klubem. Tęskniłem za mrocznym światem, w którym byłem królem. Tęskniłem za adrenaliną robienia czegoś, o czym wiedziałem, że jest złe – i wywijania się z tego bez konsekwencji.

Boże, tęskniłem za dragami.

„Zawsze będę tu na ciebie czekać” – wyszeptało kusząco uzależnienie w mojej głowie. Ręce mi zadrżały i moim ciałem wstrząsnęło coś, co niebezpiecznie przypominało objawy odstawienia. Serce zaczęło mi walić jak młotem, po plecach popłynął zimny pot. Dopadły mnie mdłości i zawroty głowy. I niepohamowany narkotykowy głód.

„Weź się w garść!” – krzyknąłem do siebie bezgłośnie.

Musiałem się zatracić w czymś bezpiecznym. Wstałem, rzuciłem się do pokoju i otworzyłem drzwi do szafy. Pogrzebałem w niej chwilę z sercem walącym mi szaleńczo w piersi.

„Weź się w garść, Maxx!”.

Wreszcie znalazłem notatnik do szkicowania i pudełko węgla rysunkowego. Usiadłem po turecku na podłodze. Światło było beznadziejne, ale właściwie go nie potrzebowałem. Nie chciałem patrzeć, tylko czuć.

Początkowo moje palce poruszały się niemal mechanicznie, ale potem wpadły we właściwy rytm. Oddychałem wolniej, serce się uspokoiło, pot na skórze wysechł. Minuty rozciągnęły się w godziny, palce poruszały się niezmiernie.

Skończyłem i wyprostowałem plecy, czując, jak mi zeszywniały od siedzenia tak długo w jednej pozycji. Przeciągnąłem się, uniosłem szkicownik przed twarz i mimowolnie się uśmiechnąłem.

Ten styl był niepodrabialnie mój. Spływające z nieba długie, splątane włosy przybierały postać węży, a z ziemi wytryskiwały zagięte niczym szpony palce.

To było pojebane. Kompletnie popieprzone.

Ale wyglądało, kurwa, niesamowicie.

Wiedziałem, że jestem dobry. Wystarczająco wielu ludzi powiedziało mi o tym na przestrzeni lat, żebym w to uwierzył.

Pomyślałem z żalem o spotkaniu sprzed kilku miesięcy z panem Randallem. Naprawdę schrzaniłem coś dobrego.

Tak właśnie wyglądało całe moje życie.

Poszedłem w róg pokoju, gdzie trzymałem ponad dwadzieścia obrazów. Powoli je przejrzałem, wyciągając te, które się wyróżniały. Te, które najlepiej prezentowały moje umiejętności.

Powodowany nagłym impulsem wyciągnąłem portfel i znalazłem wizytówkę, którą Tatum Randall wręczył mi ponad pół roku temu. Właściwie zdziwiłem się, że jeszcze ją mam.

Może w głębi ducha nie zrezygnowałem z tej mało prawdopodobnej możliwości nawet wówczas, gdy byłem nieprzytomnie naprany.

Szybko, zanim zdążyłbym przekonać samego siebie o bezsensowności tego pomysłu, wybrałem w telefonie numer ze śnieżnobiałej kareczki. Słuchałem powtarzającego się sygnału i przygryzałem kciuk.

– Galeria Bellview, w czym mogę pomóc? – zaćwierkał kobiecy głos w słuchawce.

– Ekhm, dzień dobry, czy mogę rozmawiać z panem Randallem? – wychrypiałem.

– Czy mogę zapytać, kto dzwoni?

– Maxx... To znaczy X – zaplątałem się, czując się jak idiota.

– X? – zapytała kobieta z niedowierzaniem.

Zwarłem szczęki.

– Tak, X. On mnie zna – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– No dobrze, proszę poczekać. Sprawdzę, czy jeszcze jest.

Przełączyła mnie na oczekiwanie i musiałem przez pięć minut wysłuchiwać jakiejś durnej muzyczki.

Kiedy już myślałem, że koszarne dźwięki autorstwa Johna Tesha doprowadzą mnie do szaleństwa, coś kliknęło.

– X. Witam. Muszę powiedzieć, że jestem dość zaskoczony tym telefonem – powiedział pan Randall. Głos miał zimny i mało zachęcający.

– Trudno się dziwić. Przy naszym pierwszym spotkaniu nie zrobiłem najlepszego wrażenia. – Nienawidziłem tego płaszczenia się, ale jaki miałem wybór?

– Myślę, że to mało powiedziane – zadrwił.

Zaczął mnie już wkurzać i z trudem powstrzymałem się, żeby mu się nie odciąć.

– No tak. To nie był wtedy dla mnie najlepszy moment. Ale od tamtej pory wiele się zmieniło. – Urwałem na chwilę, mentalnie

przygotowując się do błagania go o pomoc. – Chciałem się zorientować, czy nadal jest pan zainteresowany obejrzeniem moich prac. Udało mi się wybrać kilka znakomitych...

– X, po naszym ostatnim spotkaniu chyba mogę powiedzieć, że nie będziesz pasował do mojej galerii.

Zjeżyłem się, tak z miejsca utracony.

– Proszę pana, rozumiem, że byłem wtedy w kiepskiej formie. Miałem pewne problemy, co oczywiście nie usprawiedliwia mojego koszmarnego zachowania. Ale nie wydaje mi się, żeby to było w porządku...

– Słuchaj, na pewno jest mnóstwo innych galerii zainteresowanych tobą i twoimi... *odjazdami*. – Kutas nie zamierzał pozwolić mi dojść do słowa. – Ale Galeria Bellview nie jest odpowiednim miejscem. Przykro mi.

Poczułem, jak gasną we mnie resztki nadziei na zarabianie sztuką na życie.

Zmiałem swoją dumę w kulkę i cisnąłem ją w kąt.

– Panie Randall. Proszę. Proszę dać mi jeszcze jedną szansę. Myślę, że zmieni pan zdanie, kiedy zobaczy pan moje prace. Moje prawdziwe prace. – W moim głosie zabrzmiała desperacja. Musiał ją usłyszeć.

Milczał przez chwilę. Przygryzłem wargi tak mocno, że poczułem krew, a ostry ból przywołał mnie do rzeczywistości.

– Przykro mi, X. Kiedy zobaczyłem twoje graffiti, wyobraziłem sobie, że jesteś zupełnie innym artystą. Sądziłem, że jesteś kimś, kim mógłbym się zaopiekować i kogo mógłbym wypromować. Niestety, nie sprawiłeś na mnie wrażenia człowieka gotowego ciężko pracować i poważnie potraktować swój talent. Po prostu nie jestem gotów podjąć takiego ryzyka. Nie w tym momencie. – Faktycznie sprawiał wrażenie, jakby było mu trochę przykro.

Chociaż na pewno nie tak przykro jak mnie.

Nie mogłem go już dłużej błagać.

– W porządku. No cóż, dziękuję za poświęcony mi czas.

Czułem się przybity. Zgnębiony. Zgubiony.

– Życzę ci powodzenia, X. Mówię serio – powiedział i zabrzmiało

to szczerze.

Chciałem mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje zbędne życzenia.

Ale ugryzłem się w język.

Rozłączyłem się i spojrzałem na obrazy oparte o ścianę.

Powoli zaczynało mnie męczyć bycie ustawicznie kopanym, skoro już i tak leżałem.

Opanowany nagłą wściekłością, cisnąłem obrazy przez pokój.

Ten przedstawiający Aubrey, który namalowałem tuż po wyjściu z odwyku, pękł na pół.

Złamany i zniszczony.

Jak ja.



## Rozdział dziewiętnasty

-Aubrey-

Piłam tyle kawy, że groziło mi, że za moment odjadę. Moja kofeinowa jazda wskoczyła o oczko wyżej, bo przez cały dzień wpadałam co chwila do Coffee Jerk. Wydawałam u nich tyle pieniędzy, że naprawdę powinnam już była zostać objęta jakimś programem opcji pracowniczych.

– Witam po raz kolejny. Przyszedł po dolewkę? – zapytał Maxx, przekrzywiając głowę.

– Ta – potwierdziłam, przyciskając język do przednich zębów.

– Karmelowe latte z dodatkową pianką? – zapytał, wklepując już moje zwykłe zamówienie.

– No, tak – potwierdziłam, czując ogarniające mnie nagle zażenowanie. Nasze oczy spotkały się i zatopiły w sobie na moment, zanim przerwałam tę rozpaloną więź. Odwróciłam wzrok i wskazałam na stolik przy drzwiach. – Usiądę tam – powiedziałam szybko.

Usiadłam i położyłam torebkę na stoliku. Wyciągnęłam broszurę informacyjną i położyłam ją na blacie. Spuściłam wzrok na błyszczące kartki. Słowa „Katedra Pedagogiki” wyróżniono jaskrawą żółcią. Otworzyłam katalog i zaczęłam przesuwając palcem w dół, przeglądając oferowane zajęcia: zasady nauczania, ocena postępów w nauce, zarządzanie klasą.

Ostatnio sporo myślałam o przyszłości i o tym, czy znajduję się na właściwej ścieżce. Moje przekonanie o wrodzonych predyspozycjach do pełnienia funkcji zawodowego terapeuty zostało nadszarpnięte i chociaż starałam się pokazać z jak najlepszej strony, bałam się, że znów nawalę.

– Bardzo proszę – powiedział Maxx cicho, stawiając przede mną parujący kubek. – Dyplomowany nauczyciel szkoły podstawowej? Katedra Pedagogiki?

Chciałam powiedzieć mu, żeby sobie poszedł i zajął się własnymi sprawami. A tymczasem, właściwie nie mając takiego zamiaru, powiedziałam mu prawdę.

– Nie wiem. Chyba po prostu rozważam różne opcje.

Siedział już naprzeciw mnie.

– Sądziłem, że chciałaś zostać terapeutką? – Sprawiał wrażenie zatroskanego, a mnie trudno było spojrzeć mu w oczy. Bałam się, że jak zwykle przejrzy mnie na wylot.

Wzruszyłam ramionami.

– Jako dziecko chciałam być nauczycielką. To się zmieniło dopiero po śmierci Jayme. Zaczynam się po prostu zastanawiać, czy może nie dokonałam swoich wyborów zawodowych z niewłaściwych powodów.

Co mnie wzięło, żeby się tu tak wywnętrzać? I to przed Maxxem? Był ostatnią osobą, której chciałam zaoferować wgląd we własne serce.

– Jak chęć pomagania ludziom może być niewłaściwym powodem? – zaoponował, marszcząc brwi.

– Nie twój interes, nie sądzisz? – zapytałam zimno.

Odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi, niezrażony moją arogancką napastliwością.

– Może i nie mój, ale to nie znaczy, że nie chciałbym się dowiedzieć. Jak masz ochotę pogadać, to jestem akurat pod ręką.

Mówił szczerze. Widziałam, jak bardzo mu zależy, żebym przyjęła jego propozycję. Łatwo byłoby otworzyć usta i wszystko mu opowiedzieć. Wypracować ten rodzaj intymności, której tak naprawdę nigdy razem nie doświadczyliśmy. Nie mieliśmy nigdy okazji komunikować się w oderwaniu od całego tego lęku i zamieszania.

Nic jednak nie odpowiedziałam.

Zignorowawszy go, utkwiałam oczy w rozłożonej przed sobą broszurze, chociaż nie docierała do mnie jej treść. Po dłuższej chwili niezręcznego milczenia Maxx odchrząknął.

– Okej, w porządku, mam nadzieję, że kawa będzie ci smakować. Pogadamy później.

„Aubrey, jesteś kretynką” – skarciłam samą siebie. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Maxxa, który z opuszczonymi ramionami wracał już za kontuar.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć.

Zawołać go z powrotem? Nie miałam pojęcia, co zaraz zrobię.

– Cześć.

Nagle pojawienie się mojej współlokatorki zupełnie mnie zaskoczyło. Usiadła na krześle, które Maxx właśnie zwolnił. Włosy miała dziko potargane wiatrem, a policzki czerwone, jakby właśnie przebiegła przez cały teren uniwersytetu.

– Cześć – odparłam, powstrzymując chęć ponownego spojrzenia na Maxxa.

Renee zdjęła płaszcz i zarzuciła go na oparcie krzesła. Zerknęła na kontuar i otworzyła szeroko oczy.

– Nie wiedziałam, że Maxx tu pracuje.

Mruknęłam coś wymijająco. Popchnęła mój kubek palcem.

– To dlatego chodzisz jak ćpunka na metamfetaminowym haju? Nadmiar kofeiny w organizmie? – Renee zmrużyła oczy.

– Po prostu daję upust mojej miłości do latte. To wszystko.

Renee pokręciła głową, westchnęła i przyciągnęła sobie broszurę Katedry Pedagogiki. Znów zmarszczyła brwi.

– A to co jest, do licha?

– Myślę o zmianie kierunku studiów – rzuciłam lekko, jakby nie było o czym mówić. Bo akurat *było*.

Gdybym miała zmienić kierunek, właściwie cofnęłabym się do punktu wyjścia. Im jednak zażarciej walczyłam o prawo powrotu do programu terapeutycznego, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Zaczęłam kwestionować dosłownie wszystko. Zupełnie wytrącało mnie to z równowagi.

– Zmienić kierunek studiów? Coś ty dziś piła? – zapytała Renee z niedowierzaniem.

Rozumiałam jej dezorientację. To było do mnie zupełnie niepodobne, ale od chwili poznania Maxxa nietypowość zaczęła mi wchodzić w krew.

Zerknęłam na niego, nie chcąc przyznać, że być może to on jest

głównym powodem, dla którego zmieniałam zdanie.

– Po prostu muszę sobie sporo przemyśleć.

Zanim Renee zdążyła odpowiedzieć, jej uwagę przyciągnęło lekkie stukanie w szybę tuż obok nas. Odwróciłyśmy się jak na komendę. Po drugiej stronie witryny stał Devon Keeton. Rude włosy sterczały mu we wszystkie strony, ręce wsunął do kieszeni. Renee przełknęła ślinę i szybko na mnie spojrzała.

– O co chodzi? – zapytałam, wykonując szybki ruch kciukiem w kierunku Devona. Znów zastukał w szybę, jakby nieco wzburzony, kiedy Renee celowo odwróciła się do niego plecami.

– Nic wielkiego – wyartykułowała bezgłośnie, rzucając mi ciężkie spojrzenie.

Obróciła się na krześle i dalej przeglądała katalog zajęć, jakby jej były chłopak, ten sam gość, z którym nakryłam ją zaledwie kilka dni wcześniej, w ogóle tam nie stał i nie gapił się na nią błagalnie.

– On będzie tam tak stał do wieczora? – zapytałam, rozstrojona natarczywością Devona.

Renee westchnęła i potarła skronie, jakby rozboleła ją głowa.

– Wolałabym go po prostu zignorować. Nie chcę na niego patrzeć. Chcę o nim po prostu zapomnieć. – Sprawiała wrażenie smutnej, zmęczonej i targanej sprzecznymi uczuciami. W końcu podniosła się i wściekła wypadła z kawiarni.

– Kto to jest? – zapytał Maxx, owijając sobie dłoń ścierką do naczyń. Oboje obserwowaliśmy najwyraźniej nerwową wymianę zdań między Renee a Devonem.

– Popełniony przez nią błąd – powiedziałam z wyraźną zaciętością w głosie.

Maxx błysnął oczami i spojrzał na mnie, pojmując aluzję.

– I dlatego przychodzisz tu trzy razy dziennie na kawę, której nie chcesz? Bo ja jestem *twoim* błędem? – zapytał ze złością.

– Lubię kawę – wymamrotałam, patrząc przez okno.

Devon próbował dotknąć Renee, ale ona uniosła ręce, powstrzymując go. Widziałam, że płacze. Potrząsnęła gwałtownie głową, a rude włosy rozsypały jej się wokół twarzy.

– Aubrey – powiedział Maxx cicho, skupiając na sobie moją uwagę

równie skutecznie, jakby na mnie krzyknął. – Nie jesteśmy nimi – powiedział ledwie dosłyszalnie, artykułując myśl, którą roztrząsałam już wielokrotnie.

Wciąż tam stał, skręcając tę cholerną ścierkę w rękach. Znów przygryzał dolną wargę, co oznaczało, że się denerwuje.

– Jesteśmy nami. I to wcale nie tak źle, wiesz? – ciągnął cicho.

Westchnęłam, nie odpowiadając. Bo co tak naprawdę mogłam mu powiedzieć? Miał rację. Nie byliśmy tacy źli. Nasz związek okazał się faktycznie strasznie pokrecony, ale tkwiło w nim i piękno. Dzięki Maxxowi zdołałam się otworzyć tak, jak nie chciałam się otworzyć od trzech lat. Dzięki Maxxowi zaczęłam być tą Aubrey Duncan, którą byłam kiedyś. Spontaniczną. Wrażliwą. Otwartą.

Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby poradzić sobie z gniewem, jaki wobec niego czułam. Ta gorycz szarpała mnie od środka.

– Wiem – przyznałam w końcu, patrząc, jak Renee krzyczy coś do Devona, odwraca się i odchodzi szybko drogą prowadzącą na parking.

Devon stał tam, sprawiając wrażenie zupełnie zagubionego. Gdybym nie wiedziała, jakim był dupkiem, może nawet zrobiłoby mi się go żal. Naprawdę wydawał się kompletnie załamany.

No i dobrze mu tak, agresywnemu zjebowi!

– To może, zamiast przychodzić tu trzy razy dziennie, pozwoliłabyś mi gdzieś się zabrać? – zapytał Maxx, zupełnie zbijając mnie z tropu.

– Co? – zapytałam, otwierając szeroko usta jak wyjęta z wody ryba.

– Co byś powiedziała, gdybym poprosił, żebyś spędziła ze mną dzień? To znaczy nie tutaj w kawiarni – powiedział, unosząc kąciki ust w nieśmiałym uśmiechu.

Uczucie *déjà vu* było tak silne i bolesne, że aż się zachłysnęłam.

„Spędź ze mną dzień”. Właśnie to powiedział pierwszego ranka, który spędziliśmy razem. Pamiętałam dokładnie, co robiliśmy, kiedy poprosił mnie o to, żebym olała zajęcia i została z nim.

„Tylko dzisiaj. Żadnych zajęć. Żadnej pracy. Tylko ty i ja. Tylko my dwoje. Razem”.

– Nie, Maxx, to się nie zdarzy – powiedziałam, pokazując nam obojgu dokładnie, co się między nami zmieniło.

Bo wtedy, wszystkie te miesiące temu, zrobiłam bez wahania dokładnie to, o co mnie poprosił.

Maxx przestał skręcać ścierkę w rękach i rzucił ją na stół.

– Nie proszę cię, żebyś ze mną uciekła, Aubrey. Proszę o ledwie kilka godzin. Mógłbym zajrzeć po ciebie do biblioteki i zabrać cię do gospodarstwa, w którym pracuję. Kierownik stajni powiedział, że mogę sobie czasem pojeździć konno. To wszystko. Jak będzie beznadziejnie, to nigdy więcej nie poproszę cię o to, żebyś gdzieś ze mną poszła – wyrzucił z siebie.

Jazda konna? Zupełnie nieoczekiwany charakter tej propozycji przypomniał mi po raz kolejny, jak bardzo tęskniłam za spontanicznością, którą tylko Maxx potrafił we mnie wyzwolić.

– Ty nigdy nie zrezygnujesz, co? – zapytałam, czując, że się poddaję. Bo znałam już odpowiedź. I nie mogłam się pogodzić z tym, że ta częśćka mnie, która wciąż go kochała, nie chciała, żeby zrezygnował. Kiedykolwiek.

Westchnęłam i podniosłam wzrok, napotykając spojrzenie człowieka, który stał przede mną z sercem na dłoni i nadzieją, że wyciągnę rękę i je wezmę.

– Dobrze – wyszeptalam.

Czułam się tak, jakbym stała na krawędzi urwiska, gotowa rzucić się głową naprzód.

– Naprawdę? – zapytał Maxx i wyszczerzył się od ucha do ucha.

Wyglądał, jakby właśnie wygrał w totka.

Trudno było mu się oprzeć.

Czując nagły ucisk w żołądku, uzmysłowiłam sobie, jakiej napyałam sobie biedy.

## Rozdział dwudziesty -Aubrey-

Dlaczego przyjął zaproszenie Maxxa?

Miałam silne przeczucie, że świat, który ledwie co udało mi się pchnąć na właściwe tory, znów miał się kompletnie zmienić.

Siedziałam na kanapie ledwie godzinę po wyjściu z kawiarni, z broszurą Katedry Pedagogiki na kolanach i tysiącem różnych scenariuszy na życie przelatujących mi przez głowę. Czułam się całkowicie, totalnie przytłoczona.

Renee weszła do mieszkania w samym środku mojego bezgłośnego ataku paniki, sprawiając wrażenie znacznie spokojniejszej niż wcześniej.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

Moja przyjaciółka padła na kanapę obok mnie.

- Namieszałam - powiedziała, a to wyznanie zabrzmiało w jej ustach bardzo twardo.

- Chcesz o tym pogadać? - zapytałam, dając jej sposobność podzielenia się ze mną tym, co się z nią działo.

Zżerała mnie ciekawość. Chciałam wiedzieć, co powiedział jej Devon. Chciałam wiedzieć, co dokładnie robiła ze swoim agresywnym ekschłopakiem. Chciałam ją wypytać o Iaina i o to, do czego między nimi doszło. Renee położyła rękę na dłoni, w której wciąż ścisnęła katalog zajęć, i uściśnęła ją. Pocieszający gest był wyraźnie przeznaczony zarówno dla niej, jak i dla mnie.

- Chcę o tym pogadać, Aubrey. Naprawdę. Ale nie teraz. Mam wrażenie, że mózg mi zaraz wybuchnie - rzuciła mi krzywy uśmiech, który odwzajemniłam.

- Zdecydowanie jest to strefa eksplodujących mózgów - zgodziłam się.

- A jeśli chodzi o Maxxa... - zawiesiła głos, dając mi szansę uzupełnienia luk w posiadanych przez nią wiadomościach.

– Poprosił mnie, żebym pojechała z nim pojeździć konno – powiedziałam, krzywiąc się.

– Pojeździć konno? A od kiedy jesteś Annie Oakley? – zakpiła Renee.

Przewróciłam oczami.

– Od nigdy. Ale zgodziłam się – powiedziałam pospiesznie, możliwie szybko wyrzucając z siebie prawdę.

Renee znów ścisnęła mnie za rękę i oparła mi głowę na ramieniu.

– Co jest z nami nie tak? – zapytała, wypowiadając na głos dokładnie to pytanie, które prześladowało mnie od miesiący.

– Chyba kochamy zbyt mocno i zbyt lekkomyślnie – mruknęłam.

– Miejmy tylko nadzieję, że tym razem wyjdziemy z tego w jednym kawałku – powiedziała Renee cicho. I siedziałyśmy tak, wspierając się wzajemnie, jak robią to załamane przyjaciółki.

\*

Zanim Maxx się wreszcie pojawił, wydeptałam już prawie dziury w dywanie. Otworzyłam drzwi i wysunęłam się na korytarz, nie wpuszczając go do środka.

– Gotowa? – zapytał, a ja skinęłam głową.

– Gotowa – odparłam, uśmiechając się do niego blado.

Maxx przeczesał włosy dłońmi, a ja po raz pierwszy od dawna uważnie mu się przyjrzałam. Moje wątpliwości się wzmogły, kiedy uzmysłowiłam sobie, jak wygląda. Założył znoszone dżinsy, które wisały mu na wąskich biodrach. Pod czerwoną, zapinaną na guziki koszulą, której rękawy podciągnął do łokci, rysowały się napięte mięśnie. Włosy spadały mu nieporządnymi lokami na czoło.

Zeszczupłał, twarz miał bardziej pociągłą, kości policzkowe wydatniejsze, a oczy jasne i spokojne. Zniknęła nabiegła krwιά mgiełka, którą przywykłam oglądać. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, wręcz podekscytowanego. Ten widok mógł się okazać śmiertelny dla mojego rozdartego serca.

Bo to był nowy Maxx. Ktoś, kogo widziałam jedynie w przeblyskach między jednym a drugim hajem. Ktoś, kto



pokazywał swą twarz jedynie na krótką chwilę, kiedy kochałam go i byłam przez niego kochana.

Stabilny Maxx. Spokojny. Kompetentny. Pozbierany.

Wściekła, zgorzkniała Aubrey zastanawiała się, czy to również była tylko poza. A jeśli nie, to jak długo mogło to potrwać? „Dosyć tego gderania” – skarciłam samą siebie.

Ten Maxx uśmiechał się nieśmiało, jakby nie miał pewności, czy powinien. Wypowiadał się ostrożnie. Myślał, zanim coś zrobił. Wydawał się tak kompletnie inny, że wprost trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba. Łączący nas związek wciąż istniał, ale w tym dziwnym, nowym świecie, w którym koegzystowaliśmy, poddawany był ciągłym napięciom i naprężeniom.

W milczeniu doszliśmy do jego samochodu.

– Chcesz posłuchać radia? – zapytał i kiedy już zapięliśmy pasy, zaczął dłubać przy przestarzałych przyciskach na desce rozdzielczej.

– Wszystko jedno – powiedziałam, moszcząc się na skrzypiącym skórzanym fotelu.

Przełączył na jakąś stację rockową i odbił od krawężnika.

– Jak twoje dwie prace? – zapytałam, czując, że wypadałoby coś powiedzieć.

– Nieźle. Tyle że dość ogłupiające i tak raczej umiarkowanie pozwalają zarobić na życie.

– Umiarkowanie?

– No, nie da się w nich zarobić tyle, ile bym chciał – powiedział z nutką goryczy.

Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Nigdy wcześniej nie miałam takich problemów z prowadzeniem niezobowiązującej rozmowy. Może dlatego, że było milion rzeczy, o których chyba *należałoby* wspomnieć? Rzeczy, o które powinnam go zapytać?

Czy powinnam z nim porozmawiać o odwyku? Zainteresować się, jak sobie radzi po wyjściu z ośrodka? A może zupełnie pominąć temat i chociaż przez jeden dzień udawać, że ten konkretny rodzaj zła nigdy w naszym życiu nie zaistniał?

– Któregoś dnia myślałem sobie o tym, jak niewiele w sumie o tobie wiem – powiedział nagle Maxx, zupełnie mnie zaskakując.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz co nieco o moich rodzicach, poznałaś Landona, a ja tymczasem nic nie wiem o twojej rodzinie. I nie wydaje mi się, żebyśmy w ogóle kiedykolwiek o niej tak serio rozmawiali. Ani razu przez cały ten czas, który spędziliśmy razem, nie opowiadałaś mi o swoich rodzicach ani swojej siostrze. Tej, która zmarła.

– No, innej nie miałam – odparowałam.

Maxx pokręcił głową.

– Widzisz, nawet tego nie wiedziałem. Co jest ze mną nie tak, że nigdy nie pomyślałem o tym, żeby zadać ci tak podstawowe pytania jak to, ile masz rodzeństwa albo jacy są twoi rodzice?

Wiedziałam, że ma rację. Myśląc o tym, jak dzikie i głębokie było wszystko to, co nas łączyło, odkryłam nagle, że nigdy nie rozmawialiśmy o takich zwyczajnych sprawach. Wiedział o mnie różne rzeczy, których nie wiedział nikt inny. Takie, które można wydobyć z kogoś tylko w chwilach absolutnej szczerości. Zwierzyłam mu się z żalu i wyrzutów sumienia, jakie gryzły mnie po śmierci Jayme, ale gdy szło o takie drobne sprawy, które chłopaki i dziewczyny zwykle wiedzieli na swój temat, mieliśmy poważne braki.

Dziwne to było uczucie: tak się teraz cofać. Szczególnie że nie odgrywaliśmy już w swoim życiu tych ról. Nie byłam pewna, czy chcę się z nim dzielić tymi smakowitymi kąskami prawdy. Nie wiedziałam, czemu to miałyby służyć. Stanowczo moja obecność tutaj nie miała na celu kontynuowania tego związku – ale przecież tu byłam.

Cóż mogło szkodzić, że go do siebie dopuszczę... odrobinę.

– Chyba faktycznie o tym nie rozmawialiśmy. Właściwie moi rodzice nie są tematem, który bym chętnie poruszała. Od śmierci Jayme raczej nam się nie układało. Obarczyli mnie winą za jej śmierć. Ja *sama* się obwiniałam. Było lepiej, gdy trzymaliśmy się od siebie z daleka. – Udało mi się powiedzieć to bez emocji. Zachowałam mdłą, niczego niezdradzającą bezbarwność.

Nie nękał mnie o szczegóły. Pozwolił, by ta informacja po prostu

zawisła między nami.

– Jaka była? Twoja siostra. Taka jak ty? Na własne nieszczęście zbyt inteligentna? – zapytał i zerknął na mnie z uśmiechem.

Zesztywniałam momentalnie, nie do końca przygotowana do zagłębienia się w ten temat.

– Eee... – zaczęłam, czując nagły ścisk w gardle.

– W porządku, nie musisz mi mówić – powiedział Maxx cicho, a uśmiech spelzł mu z twarzy.

I wtedy – dokładnie tak jak wcześniej – zaczęłam mówić. Nie uzmysławiając sobie nawet, co robię, otworzyłam się przed nim trochę bardziej. I było mi z tym dobrze. Cieszyła mnie możliwość podzielenia się wspomnieniami o Jayme. Potrzebowałam tego.

– Nie. Byłyśmy do siebie zupełnie niepodobne. Łączyło nas podobieństwo fizyczne, ale osobowościowo chyba trudno byłoby znaleźć dwa tak różne charaktery. Zawsze miałam fioła na punkcie szkoły. Dobre stopnie i dostanie się do przyzwoitego college'u były dla mnie naprawdę ważne.

– Jakoś mnie nie zaskakuje, że byłaś zawsze w czołówce. Pewnie należałaś też do klubu dyskusyjnego i startowałaś do samorządu uczniowskiego, co? – wywnioskował Maxx, chichocząc.

– *Nie* byłam w klubie dyskusyjnym – zachnęłam się z udawanym oburzeniem.

Maxx powstrzymał się od śmiechu.

– Przepraszam. Nie będę więcej wyciągał pochopnych wniosków. – Zabębnił palcami po kierownicy w rytm muzyki. – Ale założę się, że miałem rację z tym samorządem uczniowskim. Kim byłaś? Przewodniczącą?

– Wiceprzewodniczącą – wymamrotałam półgłosem opryskliwie, ale bez zjadliwości.

– Wiedziałem – powiedział Maxx, uderzając dłonią o kierownicę.

– No cóż, Jayme zawsze bardziej interesowało spotkanie się z przyjaciółmi i wychodzenie na miasto, chociaż nasi rodzice byli dość zasadniczy. Zanim wyjechałam na studia w college'u, musiałam być zawsze w domu przed dziesiątą.

– Wow. Ja nigdy nie musiałem wracać o określonej porze. Ale to

dlatego, że Davida nigdy nie obchodziło, gdzie jestem ani co robię. Czasem o niczym nie marzyłem tak bardzo jak o tym, żeby kazał mi wrócić do domu na określoną godzinę. Wtedy wiedziałbym, że kogoś obchodzi, czy w ogóle wrócę – powiedział, a uśmiech zadrżał mu na ustach.

Na samą myśl o tym, jak samotny i niekochany był Maxx w dzieciństwie, serce mimowolnie mi się ścisnęło. To poczucie braku przynależności w dużej mierze ukształtowało człowieka, którym ostatecznie się stał. Chłopaka, który rzucił się w wir sceny klubowej, bo chciał przynależeć *gdziekolwiek*. Chłopaka, który zaczął brać, żeby przestać cokolwiek czuć.

Te odpryski jego przeszłości pozwoliły mi zrozumieć go nieco lepiej. Oczywiście nie usprawiedliwiały wszystkiego, co zrobił, ale lepiej pojmowałam jego motywacje.

– A więc Jayme była imprezowiczką, a ty domatorką, tak?

– Nie do końca. Wychodziłam z przyjaciółmi. Miałam jakieś swoje życie. Po prostu miałyśmy inne priorytety.

– Na pewno byłaś w liceum tą dziewczyną, u której nigdy nie miałbym szans. Zawsze o wiele za dobrą dla chłopaka takiego jak ja – zaśmiał się z siebie szyderczo, jak to miewał ostatnio w zwyczaju.

Nie odpowiedziałam. Po co miałabym to robić?

Nasze zejście się te kilka miesięcy temu było efektem tornada zbiegów okoliczności. Maxx wkroczył w moje życie w chwili, w której potrzebowałam generowanego przez niego chaosu i szaleństwa, choć mogłam sobie tego wówczas nie uzmysławiać.

– Jayme była... wyjątkowa. Miała takie zwariowane skarpetki z pięcioma palcami, z których każdy był innego koloru. Zakładała je, kiedy była w złym nastroju, zarzekając się, że to niezawodny sposób na dobry dzień. – Pokręciłam głową i prychnęłam. – Nie mam pojęcia, dlaczego ci o tym mówię – powiedziałam zażenowana.

– W porządku, ja też mam takie skarpetki z pięcioma palcami – zauważył, a ja z niedowierzaniem uniosłam brwi.

Maxx wzruszył ramionami.

– Poważnie. Mama mi je kupiła, kiedy byłem dzieckiem. Jak było naprawdę zimno, zakładałem je do chodzenia po domu. Były

wyjatkowo paskudne, ale za to piekielnie wygodne – powiedział, skręcając w żwirową drogę.

Kamyczki zabębniły o podwozie samochodu.

– Jayme i ja przebierałyśmy się często w spódnice i bluzki naszej mamy i upinałyśmy sobie włosy w kok. Udawałyśmy, że jesteśmy amiszkami. Rodzice zabrali nas któregoś lata do holenderskiej kolonii w Pensylwanii i dostałyśmy świra na tym punkcie. Nie wiem dlaczego. Może chodziło o fantastyczne powozy konne, a może o te obłądne czepki. – Przewróciłam oczami i Maxx uśmiechnął się kącikiem ust. – Przez cały weekend odmawiałyśmy włączenia telewizji i światła. Paliłyśmy świece w pokojach i próbowałyśmy na przykład szyć apaszki. Dosyć to było absurdałne. – Nie potrafiłam uwierzyć, że mu się tak wywnętrzam.

Nie przywykłam do mówienia o Jayme w taki sposób. Nie w pozytywnym sensie, skupiając się na dobrych wspomnieniach. Ale dobrze się z tym czułam.

Lepiej niż dobrze.

Jak to możliwe, że mężczyzna, który ściągnął na mnie taką ciemność, dawał mi teraz wyłącznie światło?

Kiedy już zaczęliśmy sobie opowiadać te pozornie przypadkowe historie, żadne z nas nie potrafiło przestać.

Maxx wspominał, jak z nocnej szafki swojego taty podkradł trymer do przycinania włosów w nosie, po czym ogolił małemu Landonowi brwi. Ja z kolei opowiedziałam o tym, jak przez cały dzień udawałam niemowę, i o tym, jak Jayme upierała się, by zostać moim tłumaczem. Opracowałyśmy własną wersję języka migowego, którym posługiwałyśmy się aż do jej śmierci.

Wkrótce zaśmiewałam się bez pamięci. Głębokim, serdecznym śmiechem, jakiego nie wydobyłam z siebie już od bardzo dawna. Prawie nie zauważyłam, kiedy Maxx zaparkował samochód obok wielkiej, murowanej stajni.

– No to jesteśmy – obwieścił, gasząc silnik.

Wysiadłam z samochodu i w ślad za Maxxem obeszałam budynek. Pachniał sianem, końmi i łajnem. Zmarszczyłam nos.

– Panie Wyatt? – zawołał Maxx, otwierając bramę i wchodząc do

środka.

Wyciągnął rękę, a ja ujęłam ją bez zastanowienia. Pociągnął mnie za sobą i prawie truchtałam, żeby za nim nadążyć.

– Cześć, Maxx. – Łysiejący mężczyzna w przetartej koszuli w kratę i pobrudzonych dżinsach wyszedł z jednego z boksów, trzymając w rękę szufłę pełną końskiego gnoju.

– Nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy wzięli Brandy i Earla? – zapytał Maxx, wciąż mocno trzymając mnie za rękę, jakby się bał, że zaraz stąd ucieknę.

Pan Wyatt skinął głową i machnął wyładowaną głównem szufłą w kierunku boksów na tyłach stajni.

– Jasne. Umiesz jeździć konno, tak? A twoja przyjaciółka?

Maxx skinął głową i ścisnął mnie za rękę. Ja też skinęłam głową, chociaż prawda była taka, że ostatni raz siedziałam w siodle w wieku dwunastu lat na letnim obozie jeździeckim.

– No dobrze, te dwa konie to łagodne stworzenia, nie powinniście mieć żadnych kłopotów. Tylko nie wyjeżdżajcie z padoku – przykazał nam pan Wyatt.

Maxx pociągnął mnie za rękę i poszliśmy w kierunku boksów Brandy i Earla.

– Czy kiedykolwiek wcześniej jeździłeś konno? – zapytałam, unosząc brew.

Maxx skinął głową i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

– Nie.

– Mogłam się domyślić – mruknęłam i parsknęłam śmiechem.

– Ale przecież to nie może być trudne. – Wzruszył ramionami i wreszcie dostrzegłam w nim odrobinę tej naturalnej pewności siebie chłopaka, którego kiedyś znałam.

– Myślę, że możesz być dość zaskoczony – ostrzegłam.

– Szybko się uczę. Kilkakrotnie pomagałem Wyattowi siodłać. Ogarniam temat. – Maxx ściągnął z wieszaków na ścianie dwa skórzane siodła i zatańczył je do boksu ślicznej siwej klaczy z łagodnymi czarnymi oczami i najmiększymi uszami, jakich zdarzyło mi się dotykać.

Przemówiłam do niej łagodnie i pogładziłam po szyi. Brandy

okazała się słodkim, delikatnym koniem – i dobrze, bo zaczynałam sądzić, że to doświadczenie skończy się tak, że albo Maxx, albo ja, albo oboje jednocześnie rąbniemy na tyłek.

Maxx zarzucił siodło na grzbiet Brandy, która stała cierpliwie, kiedy mordował się z popręgą.

Burknął coś, kilkakrotnie przesuwał siodło, zanim udało mu się poprawnie je założyć. Zerknęłam na niego nerwowo.

– Pewny jesteś, że dociągnąłeś popręg?

– Jasne. – Maxx zrobił kilka kroków w moją stronę i pochylił się tak, że jego usta znalazły się tuż obok mojego ucha. – Nie panikuj, Aubrey. Nie pozwolę ci spaść – powiedział cicho niskim głosem.

Zadrżałam, czując jego oddech na szyi. Nie potrafiłam tego opanować. To była mimowolna reakcja na jego bliskość.

Pomogłam mu zatańczyć drugie siodło do sąsiedniego boksu i zarzucić je na grzbiet Earla, który wydawał się zdenerwowany. Grzebał kopytem w ziemi i nie był zachwycony, kiedy Maxx dociągał mu popręg.

– Ten wydaje się dość trudny do okiełznania – powiedziałam, patrząc z obawą na konia.

– Nie, Earl jest super. Wyatt ciągle na nim jeździ.

– Pan Wyatt od lat jeździ konno. Pewnie dlatego w jego wykonaniu to się wydaje takie proste – wtrąciłam ostrożnie, starając się nie siać defetyzmu, jednak ostatnim, czego pragnęłam, było wiezienie Maxxa do szpitala ze skręconym karkiem.

– Zobaczysz, Aubrey. Ani się obejrzysz, a będę jeździł jak zawodowiec – obwieścił z taką pewnością siebie, że prawie mu uwierzyłam.

Udało mu się dopiąć popręg z nieco większą łatwością niż w przypadku Brandy, ale kiedy przyszło do wsiadania, niesforny koń stawiał opór; kręcił się, nie pozwalając Maxxowi mocniej ująć wodzy, dzięki czemu mógłby podciągnąć się na siodło.

– Oj, nie wydaje mi się, Maxx, żeby on miał ochotę cię nosić – zachichotałam, obserwując, jak próbuje opanować nieposłusznego konia.

– Po prostu ma humory – burknął, próbując znów wsunąć stopę

w strzemię. Earl zrobił krok naprzód, a Maxx stracił równowagę i wylądował w stercie obornika.

– Kurwa mać! – krzyknął, a ja dostałam kompletnej głupawki. Śmiałam się tak, że nie mogłam złapać tchu. Maxx pozbiierał się z ziemi, po czym natychmiast stracił równowagę i wylądował na plecach.

– Mogłabyś mi pomóc, Aubrey – powiedział, wyciągając rękę.

– Przepraszam, Maxx, chodzi o to, że całkiem dosłownie siedzisz po uszy w gównie – zauważyłam.

– Strasznie, kurwa, śmieszne – burknął.

Chwyciłam go za rękę i zaczęłam ciągnąć, kiedy szarpnął mnie nagle za ramię i wylądowałam obok niego w gnoju.

– Oż ty kurna, zabiję cię! – wrzasnęłam, próbując wstać, ale straciłam równowagę tak samo jak Maxx.

Miałam wrażenie, jakby ta sterta obornika mnie wsysała.

Teraz on wybuchnął śmiechem, ale mnie cała ta sytuacja kompletnie przestała bawić.

Smród był koszmarny, a uczucie, że coś mi chlupie między palcami, przyprawiało o mdłości.

Obrzuciłam wzrokiem swoje zniszczone ubranie i podniosłam wzrok na Maxxa. Oczy mu błyszczały i chociaż siedział w końskim gnoju, uśmiechał się od ucha do ucha. Sprawiał wrażenie szczęśliwego. Ostatnim razem widziałam go tak szczęśliwego chyba wtedy, kiedy poszliśmy na sanki.

I już wcale nie byłam wkurzona.

Właśnie zdołaliśmy z wzajemną pomocą stanąć na nogi, kiedy pojawił się pan Wyatt, żeby sprawdzić, skąd to całe zamieszanie.

– No, generalnie nie tak się jeździ konno – powiedział sucho, wywołując u nas kolejną salwę śmiechu. – Powiedziałbym, że wam obojgu przydałby się prysznic – wymamrotał, kręcąc głową.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko – powiedział Maxx, uspokajając się.

– No to chodźcie. Mam kilka dodatkowych ubrań. Dla ciebie na pewno znajdę jakieś ciuszki mojej żony – powiedział pan Wyatt, kiwając głową w moją stronę.



– Dziękuję panu – powiedział, przygryzając wargi, żeby powstrzymać śmiech.

Dłoń kierownika stajni wskazała nam kabinę prysznicową na tyłach budynku, na której drzwiach przewieszono kilka ręczników. Była dość brudna i wyglądała, jakby od dawna nikt jej nie czyścił.

Miałam jednak do wyboru: albo się tam umyć, albo zajeżdżać końskim gnojem.

Wybrałam zapleśniały prysznic.

– Woda będzie zimna. Ale nie wpuszczę was do domu takich śmierdzących – powiedział pan Wyatt, zostawiając nas pod kabiną.

– Eee... Czy mógłbyś się odwrócić? – poprosiłam Maxxa, czując się dość głupio, zważywszy, ile razy w przeszłości widział mnie nagą.

Tyle że w tej kwestii zdecydowanie wiele się zmieniło.

Maxx zrobił, o co go poprosiłam. Szybko rozebrałam się, weszłam pod prysznic, odkręciłam kran i wrzasnęłam, kiedy chlusnęła na mnie lodowata woda.

– Jasna cholera! – zapiszczałam.

Pospiesznie opłukałam się i owinęłam w ręcznik, po czym wyszłam spod prysznic. Maxx wciąż tam stał, teraz z parą płóciennych spodni i różową, marszczoną bluzeczką w rękach. Oczy mu zapłonęły, gdy chłonał mnie, roznegliżowaną, wzrokiem.

– To chyba nie w twoim stylu – zażartowałam, czując, jak pod spojrzeniem Maxxa zaczynam się niezręcznie rumienić.

Zamrugnął oczami, jakby uzmysławiając sobie, że się na mnie bezwstydnie gapi. Podał mi ubrania.

– No, nie, bo to dla ciebie.

Odchrząknął, po czym wszedł do małej kabiny prysznicowej.

Szybko się ubrałam. Pani Wyatt musiała być kilka rozmiarów większa ode mnie: koszula rozchylała mi się szeroko i musiałam ją związać w supeł na brzuchu, żeby pasowała. Zakładałam właśnie buty i skarpetki, kiedy z kabiny wyszedł Maxx. Zamotał sobie ręcznik na biodrach, a ja mimowolnie utkwiałam spojrzenie w kroplach wody perlących się na jego piersi.

Starając się przezwyciężyć uczucia, jakie żywiłam dla tego skomplikowanego mężczyzny, wyrzuciłam z pamięci intensywny

pociąg fizyczny, który do siebie czuliśmy. Pragnienie. Pożądanie. Tęsknotę niepozwalającą złapać tchu.

A teraz je poczułam. Wyciągnęły macki i ścisnęły mnie w środku, unieruchamiając w miejscu.

Spojrzał na mnie. Mokre włosy miał odgarnięte z twarzy, niebieskie oczy przysłonięte powiekami.

Oblizалам wargi, a on spuścił wzrok na moje usta. Przypomniałam sobie to uczucie. To pragnienie. To oczekiwanie, które mnie zawsze pożerało.

– Proszę – powiedziałam, przerywając tę chwilę wręczeniem mu sterty ubrań, które zostawił dla niego pan Wyatt.

– Dzięki. – Wyjął mi dzinsy i koszulkę z rąk, a jego palce otarły się o moje.

Cofnęłam rękę i wsunęłam ją do kieszeni przydużych spodni, starając się zignorować mrowienie w opuszkach palców.

Nasza jeździecka przygoda zasadniczo na tym się skończyła. Gdy tylko się ubraliśmy, niezgrabnie unikając swojego wzroku, pan Wyatt zawołał Maxxa.

– Daj mi minutkę. Zobaczę tylko, czego chce, i możemy się stąd zabierać – powiedział Maxx.

Skinęłam i patrzyłam, jak podchodzi do swojego szefa. Ten zwiesił głowę i zaczął coś do niego mówić z przeproszającym wyrazem twarzy.

Twarz Maxxa spochmurniała, kąciki ust mu opadły. Nie uszczęśliwiło go to, co mówił pan Wyatt – cokolwiek to było.

O co mogło chodzić?

Po kilku minutach Maxx wrócił, nie próbując nawet ukryć wyrazu frustracji na twarzy.

– Co jest? – zapytałam, kiedy już podziękowaliśmy właścicielowi za możliwość skorzystania z prysznicza.

Maxx nie odpowiedział, dopóki nie znaleźliśmy się w samochodzie i nie ruszyliśmy długim podjazdem, oddalając się od stajni.

– Wygląda na to, że nie potrzebuje mnie w stajni tak bardzo, jak sądził. Obciął mi godziny, co oznacza, że albo będę musiał poszukać sobie innego miejsca zatrudnienia, albo wziąć trzecią robotę, jeśli

nie chcę, żeby mi odcięli prąd – powiedział z rozzaleniem, gwałtownie szarpiąc kierownicą, kiedy jechaliśmy z powrotem ulicami w kierunku miasta.

– Może mógłbyś dostać więcej godzin w kawiarni? – podsunęłam.

Wyglądał, jakby zeszło z niego powietrze, i wiedziałam, że to musiał być dla niego poważny cios. Widziałam, jak bardzo się stara.

– Wątpię. Już teraz strasznie się napinają, żeby coś dla mnie wyskrobać. – Uśmiechnął się do mnie boleśnie. – Coś wymyślę. Zawsze coś wymyślłam.

Nie odezwaliśmy się do siebie więcej. Zaskakująca uroda tego dnia wyparowała i chyba żadne z nas nie było w nastroju do inicjowania jakiejś bezsensownej konwersacji.

– Masz ochotę wpaść na chwilę? – zapytał, a ja zauważyłam, że ta propozycja ani odrobinę mnie nie zirytowała. Właściwie wydała się niemal pociągająca.

Ale wiedziałam, że nie mogę. Niezależnie od tego, jak świetnie się z nim dziś bawiłam. Pokręciłam głową.

– Powinnam wracać. Mam pracę domową na jutrzejsze zajęcia.

Maxx spochmurniał na chwilę, po czym rozchmurzył się. Skinął głową i nic już nie powiedział.

Promieniował napięciem, które mnie niepokoiło. Kilkakrotnie otworzyłam usta, by powiedzieć coś, co rozproszyłoby tę nienaturalną energię, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Poczułam ulgę, gdy zajechał przed moją kamienicę. Jego zmienne nastroje przywołały obraz człowieka, jakiego zapamiętałam.

Odwróciłam się, żeby podziękować mu za wspólny dzień, a on wyciągnął rękę i wsunął dłoń we włosy na moim karku.

Cofnęłam się, gotowa go odepchnąć. Serce waliło mi w piersiach jak oszalałe. Oddychałam krótko i urywanie.

– Co ty robisz? – zapytałam stanowczo.

Dlaczego niszczył taki całkiem dobry dzień?

Objął mnie dłonią za kark, wplatając we włosy palce, pod których lekkim naciskiem mój puls gwałtownie przyspieszył.

– Nie każ mi przestać. Chcę sobie tylko przypomnieć, jak to jest: zatopić się w tobie. Jak to było wtedy, kiedy to wszystko miało jakiś

wariacki sens – powiedział błagalnie, przyciągając mnie do siebie i biorąc w posiadanie moje usta, zanim zdążyłam zaprotestować.

Wzdrygnęłam się, spięta, gotowa wyrwać się z jego objęć.

– Proszę, Aubrey. Nie możesz zaprzeczyć temu, co dzieje się teraz między nami. Możesz się przekonywać, że poszłaś dalej i nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, ale oboje wiemy, że to nieprawda. Miałem nadzieję, że w końcu przestaniemy się nawzajem okłamywać – wymruczał, ocierając się ustami o moje wargi.

A potem znów mnie pocałował, a ja go nie powstrzymałam.

Opuściła mnie chęć walki. Złość, zgorzknienie, celowa izolacja prysły jak bańka.

Całowanie się z Maxxem był jak przebudzenie, jak wyjście z mgły. Było miłością, pasją i pożądaniem. Bólem, cierpieniem i szarpiącym wnętrzości niepokojem.

Było wszystkim.

Niemal bezwiednie rozchyliłam wargi, a jego język wśliznął się do środka, splatając się z moim. Maxx jęknął głęboko i przenikliwie i zanurzył palce głębiej w moich włosach. Roztopiłam się w nim, niezdolna powstrzymać reakcji własnego ciała.

Moje usta tęskniły za jego pocałunkami.

Moje palce za jego dotykiem.

Serce za biciem tylko dla niego.

Przestałam walczyć z tym, co nieuniknione, otoczyłam go ramionami i przytuliłam tak mocno jak on mnie.

Smak jego ust był znajomy i odurzający.

Właśnie tak smakowało zapomnienie.

Powoli jego wargi uspokajały się, aż wreszcie oderwał je od moich ust i oparł czoło o moją skroń.

– Wiem, powiedziałaś, że tego nie chcesz, ale ja zatraciłem się w tym bez reszty. Zawsze tak było.

Zamknęłam oczy, próbując uspokoić oddech.

– Muszę już iść – wyszeptałam.

Próbowałam się ruszyć, ale nie mogłam. W końcu zdołałam oderwać się i odsunąć od niego.

Drżącymi dłońmi otworzyłam drzwi samochodu i wysiadłam.

Weszłam po schodach do kamienicy, uciekając w bezpieczne schronienie własnych czterech ścian.

Uciekając od prawdy, którą wibrowało całe moje ciało.

Kochałam Maxxa.

Co miałam z tym teraz zrobić?

## Rozdział dwudziesty pierwszy

-Maxx-

Nie chciałem, żeby Aubrey poszła do domu. Wiedziałem, że jeśli pozwolę jej odejść, kiedy się tak czuję, grozi mi popełnienie w samotności jakiegoś głupstwa. Obcięcie godzin w stajni mocno mną tępnęło – nie miałem pojęcia, jak sobie poradzę bez tych pieniędzy. Pierwszą myślą po otrzymaniu tej niechcianej wiadomości była chęć naprania się. Naprawdę, kurwa, mocno. Zapomnienia o całym tym moim beznadziejnym życiu.

Powinienem był zadzwonić na gorącą linię albo na jeden z tych numerów, które dali mi terapeuci z Barton House. Ale nie chciałem dzwonić na żadną pieprzoną linię.

Chciałem tylko Aubrey.

Więc pocałowałem ją jak tonący człowiek, a ona nie odsunęła się. Wzięła wszystko, co jej dałem.

Poczułem to. Ten moment, gdy znów całkowicie mi się oddała. Poczułem ten słodki smak na języku, kiedy wzięłem sobie dokładnie to, czego chciałem.

Minęło sporo czasu, odkąd nie prosiłem o pozwolenie na to, żeby móc, kurwa, oddychać. Zagarnąłem ją i przycisnąłem tak, jakby od tego zależało moje życie. I może tak właśnie było.

Lecz potem wszystko się skończyło, Aubrey wysiadła, a ja zostałem sam.

Zawsze sam.

Pojechałem do domu, przybity i nie do końca pewien, co, do diabła, mam zrobić i czy mam tyle energii, żeby w ogóle próbować.

Wszedłem po schodach do mieszkania, próbując opracować następny ruch. Najrozsądniejszym planem wydawało się poszukanie kolejnej roboty. Ale na myśl o tym, że znów będę musiał zdzierać sobie buty, by znaleźć kogoś, kto zechce dać mi szansę, miałem ochotę coś rozwalić.

Pomyślałem znów o galerii sztuki i o tym, jak koncertowo zabagnięm sprawę. Trzymałem w ręku kurę znoszącą złote jajka i wypuściłem ją. A teraz próbowałem znaleźć jakiś sposób, żeby przeżyć, nie uciekając się do łatwych rozwiązań. Klubu. Dragów. Szybkiej forsy.

Ale za jaką cenę?

– Gdzieś ty był, do kurwy nędzy? – warknął jakiś głos z ukrytej w cieniu niszy tuż obok moich drzwi.

Marco wstał ze swojego miejsca na podłodze i obrzucił mnie spojrzeniem zdolnym gruchotać kości.

– Co ty tu robisz? – zapytałem, zastanawiając się, jakie mam szanse zwalić go z nóg i dostać się do mieszkania. Ostatnią rzeczą, o jakiej teraz marzyłem, było odpowiadanie na pytania Marca.

– Hm, zastanówmy się. Może ma to coś wspólnego z tym, że zniknąłeś, kurwa, z powierzchni ziemi, a Gash jest gotów usmażyć twoją nędzną dupę na rożnie? – wrzasnął Marco, a jego głos odbił się echem od ścian korytarza.

Mój sąsiad ćpun uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Dostrzegłem nabiegłe krwią oko obserwujące, jak Marco i ja szykujemy się do bitki pod moim mieszkaniem.

– Nie będę tego tutaj rozgrzebywał – odparłem, po czym przepchnąłem się obok faceta, który od ponad pięciu lat był moim przyjacielem, i włożyłem klucz do zamka.

– No to porozmawiamy o tym w środku. Ale nie wyjdę stąd, do cholery, dopóki nie usłyszę od ciebie jakichś, kurwa, sensownych wyjaśnień! – ryknął Marco, przepchnął się obok mnie i wparował do mojego mieszkania.

Włączyłem światło i uznałem, że równie dobrze mogę to z nim załatwić od razu. Unikałem tej rozmowy już wystarczająco długo i wiedziałem, że Marco stąd nie wyjdzie, dopóki nie dostanie tego, po co przyszedł.

Aktualnie była to niewielka dawka prawdy.

Marco rzucił we mnie czymś, co pacnęło mnie w pierś. Złapałem to, zanim zdążyło spaść na podłogę. Uniosłem i zobaczyłem, że to plastikowa torebka z kilkunastoma tabletkami w rozmaitych

kolorach.

Moje jedyne zbawienie i mój najczarniejszy koszmar.

– Nie chcę tego gówna, Marco – powiedziałem, wyciągając torebkę w jego stronę.

Pokręcił głową.

– Uznałem, że potrzebujesz jakiejś motywacji, żeby powiedzieć mi, co się z tobą dzieje – powiedział, siadając na kanapie i kładąc swoje brudne buciory na moim czystym stoliku.

Trzymałem te tabletki i ręce mi się trzęsły. W uszach mi szumiało i nie widziałem nic poza trzymanymi w rękach narkotykami.

– Zostałeś gosposią czy co? Strasznie tu u ciebie czysto. Byłbym pod wrażeniem, gdybym nie miał ochoty urwać ci jaj i wsadzić ci ich w dupę – mówił, chociaż prawie go nie słyszałem.

W ustach mi zaschło, serce waliło mi jak oszalałe.

„Jestem tutaj, Maxx. Nigdy tak naprawdę cię nie opuściłem. Nie to co inni. Na mnie zawsze możesz liczyć”.

Ten cholerny głos wrócił. Słyszałem go tak wyraźnie, jakby był prawdziwą osobą szepczącą mi do ucha.

Wciskając torebkę z tabletkami do kieszeni, ledwie panowałem nad własnymi palcami. Poczulem mdłości i kwasy żołądkowe podeszły mi do gardła.

– Ej, zjebie, ty chyba nie tylko zgłupiałeś, ale też ogłuchłeś, odkąd cię ostatnio widziałem? – Marco rzucił poduszką w moją głowę, a mnie nie chciało się jej nawet złapać.

– Nie mam czasu na wysłuchiwanie tych bzdetów, Marco. Powiedz, co masz do powiedzenia, i zjeżdżaj. – Zacisnąłem zęby i zdławiłem chęć przywalenia mu w maskę.

Ten facet przez wiele lat był moim najbliższym przyjacielem, ale to nie była przyjaźń, którą można byłoby określić mianem zdrowej. Nasz związek żywił się tym, co w każdym z nas było najgorsze. To właśnie Marco mógł zniweczyć wszystko, co próbowałem osiągnąć. I nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Wątpiłem, czy w ogóle go to obchodziło.

Jego twarz pociemniała, a ja wiedziałem już, że jesteśmy niebezpiecznie bliscy przejścia do rękoczynów.



– Jesteś niezłym chujem, Maxx. Znikasz na ponad miesiąc, wystawiając mnie, kurwa, do wiatru. Zabierasz ze sobą pieniądze Gasha i jego cholerne dragi, a potem nie odpowiadasz na moje telefony? Przyjeżdżam na to zadupie co tydzień, odkąd wybrałeś się na te jakieś swoje rajskie wakacje, a ty mnie raczysz takim gównem? Latami pilnowałem twojej zasranej dupy, X. Mieliśmy umowę. A ty nawaliłeś. I to potężnie. Należą mi się jakieś wyjaśnienia, gdzie się, do ciężkiej cholery, podziewałeś. – Spuścił stopy na ziemię i usiadł, nie rozpierając się już, jakby był u siebie.

Zastanowiłem się, czy nie powiedzieć mu, gdzie byłem. Że prawie zszedłem i musiałem pójść na odwyk. Pewnie powinienem był to zrobić. Tak byłoby najmądrzej. Być szczerym z jedyną żalną namiastką przyjaciela, jaką kiedykolwiek miałem.

Ale Marco by tego nie zrozumiał. A co ważniejsze, w ogóle by go to nie obeszło, bo przecież ostatecznie zostawiłem go na lodzie. Nie było takiej wymówki, która pozwoliłaby mu przejść nad tym do porządku dziennego.

– Miałem różne sprawy z Landonem – skłamałem, mając nadzieję, że ta odpowiedź wystarczy, żeby usunąć się z linii strzału bez wdawania się w szczegóły.

– Ale co z Landonem? – zapytał Marco zimno jak nigdy.

Oczywiście znał mojego brata. Przesiadywał w moim domu, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły średniej, a Landon był znacznie młodszy.

– Jakiś dramat z Davidem. Wiesz, jak to jest. Musiałem wyprostować różne sprawy. – Zapomniałem już, jak świetnie potrafiłem wstawiać kit. Kłamstwa przychodziły mi całkiem naturalnie, sam miód na języku.

Twarz Marca lekko złagodniała i wiedziałem, że kupił moją bajeczkę.

– No to lepiej skocz po wazelinę, bo nieźle będziesz musiał wejść Gashowi w dupę, żeby mu to jakoś zrekompensować. I mam piekielną nadzieję, że masz tę jego forszę. Inaczej do końca swojego krótkiego życia będziesz żarł własne gówno.

Dobrze, że przed pójściem na odwyk wsadziłem zwitek pieniędzy

z ostatniej nocy w klubie do szuflady komody. Sprzedałem cały towar, który dostałem od Gasha, zarobiłem temu zasrańcowi jego pieniądze, zanim zapodałem sobie działę wystarczającą do zatrzymania akcji serca.

Wróciłem do swojego pokoju i wyciągnąłem z wciśniętej na dno szuflady skarpety plik banknotów. Wszedłem do dużego pokoju i wręczyłem je Marcowi.

Szybko przeliczył. Wyglądał, jakby mu ulżyło, że wszystko się zgadza.

– Kurde, raz faktycznie zrobiłeś, co miałeś zrobić. Masz szczęście, X. Gash wpadł w szal, kiedy rozpląnąłeś się jak sen jaki złoty. Chce, żebyś natychmiast z powrotem pojawił się w klubie. Tak konkretnie to zaraz. Ostatnio łatwo się wpienia. Zwolnił Randy’ego i pozbył się trzech barmanów. Nieźle przetrzebił personel. Chyba grunt pali mu się pod nogami, bo ostatnio łatwo dostaje szału. – Poskrobał się po bródce, którą wyhodował pod moją nieobecność, sprawiając wrażenie bardziej zdenerwowanego, niż kiedykolwiek go widziałem.

– Chyba nie wrócę do klubu, stary – powiedziałem, gotów na eksplozję.

I Marco mnie nie zawiódł. Twarz mu poczerwieniała i wyglądał, jakby miał mnie zaraz rozedrzeć.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – warknął.

– Mówię to, co właśnie usłyszałeś! Skończyłem z klubem! Przez jakiś czas mam ochotę spróbować pograć bez kantów – powiedziałem, myśląc ze złością, że gadam jak jakaś cipka, i nienawidząc się szczerze za to, że natychmiast pożałowałem swoich słów.

– Ale skąd taki pomysł, do diabła? Zarabiamy kupę forsy! Dlaczego ja mam cierpieć przez to, że w tobie obudziły się jakieś pierdolone wyrzuty sumienia? Ależ ty jesteś samolubną gnidą, wiedziałeś o tym? – wrzasnął, kopiąc w mój stolik.

– Kolesiu, jak masz mi tu coś porozwalać, to idź gdzie indziej i tam daj upust swojej irytacji – powiedziałem sucho.

Spojrzał na mnie spode łba, ale pochylił się i podniósł przewrócony stolik. Westchnął i pociągnął się za metalowe kółeczko

w wardze.

– Masz coś przeciwko gotówce, Maxx? Bo przecież nie możesz być tak głupi, żeby sądzić, że wydolisz tyle z pracy od ósmej do szesnastej? Mamy tu świetnie prosperujący biznesik, a teraz, kiedy Gash robi cięcia w załodze, naprawdę nie ma głowy do sprawdzania, co ja robię na wejściu. Bardziej interesują go inne projekty uboczne. Ostatnio często się spotykał z tymi kolesiami z Meksyku. Nie będzie wnikał, czy mu nie brakuje trochę forsy za wejściówki. Jeśli będziemy ostrożni, to możemy sobie odpalać nawet trochę więcej. To jest dobry moment, żeby się nieźle obłowić, człowieku. – Marco błysnął oczami, jakby był głęboko przekonany o słuszności głoszonych tez. Piekielnie utrudniał mi odrzucenie tej oferty.

Bo w końcu miał rację. Nigdzie indziej nie zdołałbym zarobić takich pieniędzy, jakie kosiłem w klubie. Dostałem okazję się wykazać i spaliłem ją. Moje obrazy, a nawet szkoła były niczym więcej jak zmarnowaną szansą na zgłiszczach mojego życia. Dotknąłem palcami spoczywającej w kieszeni torebki z tabletkami, wyczuwając ich znajomą gładką krągłość.

– Po prostu wpadnij w ten weekend do klubu. Porozmawiaj z Gashem. Zobacz, co ma ci do powiedzenia. Jeśli wyjaśnisz mu, co się działo z twoim bratem, to może nie zrobi ci z mordy worka treningowego – zasugerował Marco, a ja uśmiechnąłem się krzywo.

– Ojacie, kuszysz tak, że normalnie nie mogę się doczekać – odparłem sarkastycznie, choć już się zastanawiałem, czy nie pęknąć.

– Po prostu wpadnij. Przestań się pierdolić z powodu jakichś tu nagle skrupułów. Pieprzyć to. Przecież to w ogóle nie jesteś ty, stary. Ty jesteś X. Nie zapominaj o tym. – Marco wskazał na torebkę tabletek, które bezwiednie wyjąłem z kieszeni i trzymałem teraz w palcach. – Musisz wrzucić na luz. Widać, że dawno nie miałeś okazji – powiedział i wyszedł.

Zgniotłem torebkę w dłoniach i ruszyłem do łazienki, nie czekając, aż się rozmyślę. Uniosłem pokrywę toalety, otworzyłem torebkę, a potem patrzyłem, jak garść tabletek wpada do muszli. Zanim ostatnie zdążyły wysunąć się z torebki, szybko wcisnąłem ją

z powrotem do kieszeni.

Spuściłem wodę, po czym energicznie przeszedłem do sypialni i wcisnąłem torebkę na dno szuflady.

Zatrzasnąłem ją i oparłem się o komodę, dysząc ciężko. Skórę miałem mokrą od potu, a gardło ściśnięte przemożną chęcią połknięcia ostatnich dwóch tabletek z torebki. Chciałem ich.

Chyba nigdy w całym moim smutnym, pieprzonym życiu niczego tak nie pragnąłem. Ale nie mogłem. Nie zamierzałem się w to z powrotem osunąć, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła tego każda komórka, każda molekula mojego ciała.

„Będziemy tu, gdybyś nas kiedyś potrzebował” – szeptały.

Zakryłem uszy dłońmi i chciałem krzyczeć, żeby mnie zostawiły, do cholery, w spokoju! Ja już nie byłem tym kolesiem! Nie zamierzałem nim być! Miałem ludzi, którzy na mnie liczyli. Ludzi, dla których musiałem być kimś innym.

Osunąłem się na podłogę i zamknąłem oczy, po czym przekręciłem się na bok i wyrzygałem na dywan. Kwaśna żółć ciekła mi z ust, otarłem ją brzegiem koszuli. Głowa mi pękała, a w uszach dzwoniło, gdy zmuszałem się, by zapomnieć o dragach, które głupio zachowałem.

Dragach, z którymi – gdy je znów posiadałem – nie potrafiłem się rozstać. Chciałem, ale dowiedziałem się już dawno temu, że chęć i potrzeba to dwie zupełnie różne sprawy.

## Rozdział dwudziesty drugi

-Aubrey-

Byłam zmieszana. Nie, bardziej niż zmieszana. Byłam zdezorientowana.

Pocałunek Maxxa wytrącił mnie z równowagi. Powinnam była to przewidzieć. Czego się spodziewałam? Że usiądziemy sobie razem i wydziergamy jakiś, kurde, sweterek?

Po tym, jak dowiedział się, że obcięto mu godziny pracy w stajni, wydawał się taki przybity. A ja cierpiałam razem z nim. Przyciągnął mnie do siebie z rozpaczą, jak robił to zawsze. No i to by było tyle, jeśli chodzi o moją tak zwaną zatwardziałość serca. No bo proszę, minęło już kilka dni, a mnie cały czas martwił ten jego smutek.

Pojawiłam się wcześniej na zajęciach z *Granic i etyki terapii*, żeby wziąć cotygodniowe zaliczenie dla doktor Lowell. Zdławiłam upokarzające poczucie, że jestem traktowana jak niegrzeczna uczennica z podstawówki, której praca musi zostać zaaprobowana.

– Cześć, Aubrey.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam April zajmującą swoje zwyczajowe już miejsce obok mnie. Podczas kilku ostatnich zajęć starałam się ją ignorować, by zachować dystans od Evana, ale teraz byłam zbyt zmęczona, by podtrzymać swoje czujne milczenie.

– Cześć, April. Jak się masz?

Rzuciła mi zaskoczone spojrzenie.

– Och. Dzięki, w porządku. A ty? – zapytała sztywno.

Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć, i zastanowiłam się, kiedy po raz ostatni ktokolwiek zadał jej to pytanie.

– Nieźle. Przeczytałaś wczoraj wieczorem zadaną lekturę?

– Tak, ale nie wiem, czy cokolwiek z niej zrozumiałam. To chyba mnie przerasta. Zapisałam się na te zajęcia na prawach wolnego słuchacza, sądząc, że będzie to interesujące uzupełnienie. Rzuciłam pracę, w której źle się czułam, ale uzmysłowiłam sobie, że mam

trochę wolnego czasu, więc pomyślałam sobie: czemu nie? Ale to znacznie więcej pracy, niż sądziłam – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Przykra sprawa z tą pracą. Szkoda – powiedziałem ze współczującym wyrazem twarzy.

– No. Fakt. Ale powinnam była ją rzucić już dawno temu. To najlepsze wyjście – powiedziała, jakby powtarzała coś, co mówiono jej wcześniej wielokrotnie.

Rozbudziła moją ciekawość.

– Dlaczego najlepsze wyjście? A gdzie pracowałaś?

– Na kasie w niezależnej księgarni na Maple Drive – odparła April.

– Uwielbiam to miejsce! To musiała być świetna robota! Dlaczego, na miłość boską, miałabyś chcieć ją rzucić?

April przygryzła dolną wargę, zasysając mały srebrny kolczyk.

– Evan nie lubił mojego szefa. To stwarzało pewne... problemy – odpowiedziała z wahaniem.

Mogłam sobie wyobrazić rodzaj problemów stwarzanych przez Evana. Miałam uczucie, że April nie chce o tym rozmawiać, a ja nie zamierzałam wyciągać jej na zwierzenia.

– No, te zajęcia to zdecydowanie nie jest bułka z masłem – ciągnęłam, jakby w ogóle nie wspomniała o Evanie ani swojej pracy.

– Tak, słyszałam – powiedziała April, posyłając mi cień uśmiechu.

– Kiedy robiłam je poprzednio, z trudem wyrobiłam się na czwórke – powiedziałam bez zastanowienia.

April zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę.

– Robiłaś już wcześniej te zajęcia i zdałaś? To dlaczego, na Boga, robisz je jeszcze raz? – zapytała z niedowierzaniem, a ja uzmysłowiłam sobie swój błąd. – Jesteś masochistką jak cała reszta z nas, co? – zachichotała, a ja mimowolnie zastanowiłam się, czy w innych okolicznościach nie mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Dostrzegałam przeblyski osoby, którą mogłaby być, gdyby nie prowadziła się z Evanem, i zastanowiłam się, dlaczego zdecydowała się na związek z kimś, kto wysysał z niej wszystkie składowe jej

osobowości.

Myśli natychmiast popłynęły ku mojej najlepszej przyjaciółce i tej dziewczynie, którą się stała, gdy zaczęła się spotykać z Devonem.

– Cholera, zdemaskowałeś mnie – zażartowałam, odwzajemniając uśmiech.

April zaśmiała się tym rodzajem zaraźliwego śmiechu, który kazał mi zniechęcić jej chłopaka jeszcze bardziej niż dotychczas za to, że pozbawiał ją tej radości. Prowadzący rozpoczął wykład, przerywając nam tę zaskakująco miłą rozmowę.

Po zakończeniu zajęć spakowałam rzeczy i zauważyłam, że April na mnie czeka. Rzuciłam jej pytające spojrzenie. Podniosła swój podręcznik i znów zassała kolczyk.

– Hm, w przyszłym tygodniu mamy test – zaczęła.

– No, i to dość zabójczy. Sugerowałabym mocno przysiąc fałdów – odparłam od niechcienia, zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam do drzwi.

April potruchtała za mną, starając się dorównać moim długim krokom.

– Myślisz, że mogłybyśmy się razem pouczyć? Dla mnie to czarna magia. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – powiedziała błagalnie.

Zatrzymałam się przed wyjściem z budynku. Dostrzegłam Evana stojącego niecierpliwie tuż pod drzwiami, z papierosem zwisającym z kącika ust i przyklepionym do twarzy wyrazem wściekłości.

– Wiesz, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – powiedziałam wymownie, wskazując głową jej chłopaka po drugiej stronie szyby.

April wyraźnie skłęsała w sobie i jakby skurczyła się na widok Evana. Ramiona jej opadły, wbiła wzrok w podłogę.

– Tak, chyba masz rację – wymamrotała ledwie dosłyszalnie.

Poczułam, że jestem wściekła. *Naprawdę wściekła.*

To nie było w porządku, że April pozwalała na to, by ten facet ją kontrolował. Pomyślałam o Renee całującej się z Devonem i poczułam niemal morderczy gniew. Na April. Na Renee. Na każdą dziewczynę, która pozwalała, by kierowały nią nastroje i kaprysy

osoby, która twierdziła, że ją kocha.

Co obejmowało również *mnie*.

Wyprostowałam się i pokręciłam głową.

– Wiesz co, jednak pouczmy się razem. Możemy się spotkać w bibliotece. To chyba nie powinno stanowić żadnego problemu, prawda? – zapytałam, a April spojrzała na mnie zza rzes.

Wydawała się taka drobna i nieśmiała. Jak pies, którego kopnięto o jeden raz za dużo.

– Naprawdę bardzo bym chciała, Aubrey – powiedziała i wargi jej zadrżały, jakby bała się uśmiechnąć.

Miałam ochotę zdzielić tego agresywnego kutasa, który stał tuż za drzwiami.

– Świetnie. No to spotkajmy się jutro wieczorem...

– Ile, do kurwy nędzy, można czekać? – warknął jakiś głos i drzwi otworzyły się na oścież, uderzając w ścianę.

April momentalnie się skuliła. Wybałuszyła oczy, wciągnęła głowę w ramiona i przycisnęła brodę do piersi, jakby gotowała się na cios. Evan spiorunował wzrokiem swoją ociągającą się dziewczynę, najwyraźniej oczekując natychmiastowej odpowiedzi. Ale April zaniemówiła, niezdolna wydobyć z siebie głosu, nie mówiąc o składaniu jakichkolwiek wyjaśnień.

I wtedy uprzytomnił sobie, że ja też tam stoję.

– A czego ty tutaj szukasz, suko? – zapytał i wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie twój pieprzony interes – odpowiedziałam wolno i dobitnie.

Evan poczerwieniał, szczeka mu drgnęła, a oczy pociemniały. Wkurzyłam go. Odniosłam wrażenie, że nie przywykł, żeby ktokolwiek mu się odszczekiwał.

– Lepiej uważaj, skarbie, na to, co mówisz. Nie chciałbym patrzeć, jak ktoś ci obije tę ładną buzię.

Czy on mówił serio? Miesiąc temu w obliczu tak agresywnego zachowania trzęsłabym się pewnie jak osika. Ale teraz już nie.

Skrzyżowałam ręce na piersiach i uniosłam brwi.

– Wiesz zapewne, że tego rodzaju język można zinterpretować



jako groźby karalne? A ktoś mający tak barwną historię kolizji z prawem powinien zdawać sobie sprawę, że zachowując się w ten sposób, może się wpakować w niezłą kabałę.

Kim jest ta dziewczyna? Ledwie ją poznawałam. Ale naprawdę, *naprawdę* ją lubiłam. Evan wyglądał tak, jakby miał go zaraz szlag trafić. April zbladła, błagając mnie spojrzeniem, żebym się wreszcie zamknęła i przestała drażnić tego coraz wściekleszego tygrysa.

Pieprzyć to.

– *Nigdy więcej nie będziesz* wysuwał wobec mnie gróźb ani mi ubliżał. Nie wiem, kto ci dziś nastąpił na odcisk, ale to na pewno nie byłam ja. I jakkolwiek ostrą jazdę masz dla mnie w planach, lepiej się dobrze zastanów, zanim uznam za stosowne zgłosić komuś, że mnie napastujesz. – Lekko przechyliłam głowę i zniżyłam głos, aż stał się cichy, niewiele głośniejszy od szeptu, ale wypowiedane przeze mnie słowa były równie dobitne, jakbym je wykrzyczała. – Nie ty jeden możesz komuś grozić. I nie ty jeden możesz donosić na innych i rozwalić komuś życie.

Evan otworzył usta i nie miałam wątpliwości, że zaraz wyleje się z nich potok wulgarnych przekleństw. Nie zamierzałam ich słuchać. Spojrzałam na April, chcąc przekazać jej milczące przeprosiny za to, co moja tyrada może oznaczać dla niej później, ale patrzyła uparcie w podłogę.

Wiedząc, że mam tylko kilka sekund na ewakuację, pchnęłam drzwi i zaczęłam schodzić po schodach, dumna z tego, jak świetnie poradziłam sobie z tą paskudnie nieprzyjemną sytuacją, gdy nagle ktoś chwycił mnie od tyłu za koszulkę. Czyjaś pięść zacisnęła się mocno na moich włosach i bezlitośnie szarpnęła mi głowę w tył, po czym szarpnięciem zwlokła mnie ze schodów, aż oboje znaleźliśmy się na chodniku.

– Ty jebana suko! – ryknął Evan i wiedziałam już, że nie zawaha się użyć pięści, którą wbijał mi w plecy, na mojej twarzy.

Rozejrzałam się, mając nadzieję zobaczyć kogoś... *kogokolwiek*. Ale niestety byliśmy sami. Zrobiło się późno i w miarę kończenia się ostatnich zajęć kampus pustoszał. Bezgłośnie przeklełam małą uniwersytecką społeczność. Zwykle doceniałam brak tłumów, ale nie

teraz. Nie kiedy byłam tak wystraszona.

Otworzyłam usta do krzyku, ale głos uwiązł mi w gardle, kiedy zobaczyłam żądzę mordy w oczach Evana. Bez dwóch zdań, był przerażającym kolesiem.

– Zachowujesz się jak suka, to jesteś traktowana jak suka – rzucił mi w twarz, pochylając się nade mną.

– Evan! Przestań! – pisnęła April i chociaż bez wątpienia miałam w bliskiej perspektywie poważne obrażenia ciała, przeżyłam mimowolny szok, że wreszcie dożyła z siebie głos.

Evan stał obok mnie, dysząc ciężko. Wycelował palec w swoją dziewczynę, która stała drżąca na szczycie schodów.

– Ty będziesz, kurwa, następna! – wrzasnął.

Jak to możliwe, że nikt nie słyszał, co się tutaj działo? Czy te krzyki nie powinny kogoś zaalarmować? Nigdy nie czułam się tak potwornie osamotniona. I tak absolutnie sparaliżowana strachem.

Evan odwrócił się z powrotem, żeby na mnie spojrzeć, a jego twarz znalazła się mdląco blisko mojej. Czułam zapach nachosów, które musiał wtrądzić na lunch, i ohydny smród nikotyny. Istniało spore prawdopodobieństwo, że zaraz zwymiotuję. Chciałam to zrobić. Chciałam się zhaftować na tego cholernego złamasę.

– Zadarłaś z niewłaściwym człowiekiem, ty głupia cipo.

Wykrzywił usta, po czym nagle zatoczył się w tył.

Sekundę później już leżał na ziemi, a nad nim stał ktoś, kto raz za razem młócił go pięściami. Evan próbował się podnieść, żeby się bronić, ale szybko zarobił w szczękę i pacnął na tyłek.

– Raz cię, kurwa, ostrzegłem, a ty nie posłuchałeś! – wrzasnął Maxx, po czym zamachnął się i pozwolił, by puszczona w ruch pięść wylądowała na twarzy Evana.

Ścisnęło mnie w żołądku na mdlący odgłos miażdżonych kości i mięsa, a April znów krzyknęła.

Evana odrzuciło w tył. Uniósł ręce, chcąc się zasłonić. Nie próbował już walczyć, teraz starał się po prostu uchronić od dalszych obrażeń.

Maxx przypominał rozwścieczony automat. Raz za razem wymierzał kolejne ciosy, a mnie opanowało przerażające poczucie

satysfakcji na widok Evana jęczącego na ziemi, ale raptem zdałam sobie sprawę z potencjalnych implikacji tego, co się działo.

Ostatnim, czego Maxx potrzebował, było wpakowanie się w jeszcze większe kłopoty. Zwłaszcza że prawdopodobnie był nadal pod nadzorem kuratora. Zaryzykowałam próbę złapania go za ramię.

– Maxx! Przestań! – krzyknęłam, rzucając się na niego.

Próbował mi się wyrwać, wciąż chcąc dopaść kulącego się na ziemi Evana, który nie był już wcale taki wielki i groźny.

Teraz był już tylko łkającą, żalowaną kupką nieszczęścia.

– *Nie* trzeba ci zarzutów o czynną napaść. Przestań już, proszę! – Mój głos zabrzmiał piskliwie.

Poczułam gwałtowny przypływ adrenaliny i zaczęłam się trząść na myśl o tym, co się tu właśnie wydarzyło.

Niech to szlag, zaraz się tu rozkleję.

Maxx jakby instynktownie pojął zmianę mojego nastroju. Porzucił Evana i natychmiast się odwrócił, uniósł ręce i ujął moją twarz w dłonie.

– W porządku? Co ci zrobił ten skurwiel? – zapytał gwałtownie.

Głos miał szorstki, ale dłonie delikatne. Pogładził kciukami gładką skórę na moich policzkach, a mnie oczy zapiekły od powstrzymywanych łez.

– Zabiję go – wyszeptał, mrużąc oczy, a ja wiedziałam, że mówi poważnie.

Zanim zdążył się znów na niego rzucić, chwyciłam go za ramiona.

– Muszę iść do domu – powiedziałam udreńczonym szeptem, a ręce trzęsły mi się tak bardzo, że ledwie byłam w stanie go utrzymać. Torba mi wypadła i wylądowała na ziemi u moich stóp. Spojrzenie Maxxa zamglił niepokój. Kiedy schylił się, by pozbierać moje rzeczy, dostrzegłam na jego knykciach czerwone smugi. Na widok krwi Evana na dłoniach Maxxa zrobiło mi się niedobrze. – Muszę iść – powtórzyłam i przełknęłam żółć podchodzącą mi do gardła.

Maxx otoczył mnie ramieniem i podtrzymał.

– Jasne. Chodź, zabierzemy cię do domu – rzucił mi półgłosem do ucha, odprowadzając od leżącego wciąż na ziemi Evana.

Spojrzałam tam, gdzie wcześniej stała April, ale nie było już po niej śladu.

– Czy on się z tego wyliże? – Nie wiedziałam, dlaczego mnie to obchodzi, ale Evan nie ruszał się, a ja martwiłam się już tylko o to, że Maxx narobi sobie tą interwencją kłopotów. Chociaż nie chciałam nawet myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby się nie pojawił.

– Pieprzyć go – powiedział z gwałtownością, która wstrząsnęła moim i tak już drżącym ciałem.

Nie odezwałam się już, kiedy szliśmy przez kampus w kierunku parkingu przy południowej bramie.

– Moje mieszkanie jest w tamtą stronę – powiedziałam, wskazując w stronę, z której przyszlismy.

– Wiem. Ale zawiozę cię. Nie możesz teraz iść do domu piechotą – przytrzymał mi drzwi, kiedy wsiadałam.

Nie zamierzałam się z nim sprzeczać, bo miał rację. Chyba nie zdołałabym pokonać tego dystansu na własnych nogach.

Oparłam głowę o szybę i zamknęłam oczy, nie otwierając ich, dopóki Maxx nie zajechał przed mój dom. Wysiadłam, nie chcąc się czuć jak kompletna sierota, którą ktoś musi wprowadzić po schodach. Nawet jeśli trzęsłam się tak, że aż szczękałam zębami.

Szlag.

Evan chciał mi zrobić krzywdę. Nigdy nie widziałam w niczyich oczach takiej zimnej nienawiści. Powinnam złożyć na niego doniesienie do uniwersyteckich służb porządkowych. Ale jakie miałyby to konsekwencje dla Maxxa? Evan nie poszedłby na dno sam. Pociągnąłby Maxxa za sobą. Co do tego miałam granitową pewność.

Maxx wyłowił klucze z bocznej kieszeni mojej torby i otworzył drzwi. Wziął moją listonoszkę i rzucił na kanapę. Nic nie powiedziałam. Pchnęłam drzwi do sypialni i kopnięciem uwolniłam stopy z butów. Usiadłam na brzegu łóżka i zapatrzyłam się tępo w ścianę.

Maxx stanął tuż za drzwiami, jakby niepewny, co powinien zrobić.

– Myśle, że chciałabym po prostu na chwilę zamknąć oczy – powiedziałam zmęczonym głosem.

Nie czekałam, aż coś mi odpowie. Wczołgałam się na łóżko, wsunęłam dłonie pod głowę i zwinęłam się w kulkę. Drżałam na całym ciele i miałam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. Ale nie chciałam, by Evan dostał choć jedną moją łzę. Ten dupek na to nie zasługiwał.

Po kilku minutach poczułam, jak łóżko się ugina, a Maxx kładzie się obok mnie. Nie dotknął mnie, ale czułam na plecach ciepło jego ciała. Hipnotyczny rytm jego oddechu utulił mnie do snu.

## Rozdział dwudziesty trzeci

-Aubrey-

Obudziłam się przytępiąta i skrzywiłam się, próbując poruszyć ramionami. Mięśnie miałam zastałe i chwilę zajęło mi przypomnienie sobie wszystkiego, co wydarzyło się wcześniej.

Evan i koszmarne scena po zajęciach. I Maxx.

Usiadłam raptownie i odrzuciłam na bok koc, którego tam nie było, kiedy zasypiałam. W pokoju zrobiło się ciemniej i widziałam miękką poświatę rzucaną przez budzik pokazujący czas. Było tuż po ósmej wieczorem.

Jasny gwint! Przespałam prawie trzy godziny!

Usłyszałam odgłos lekkiego oddechu i obejrzawszy się, zobaczyłam Maxxa skulonego na boku. Potargane włosy spadły mu na czoło. Jedną rękę wsunął pod policzek, drugą wyciągnął przed siebie.

Wydawał się taki niewiarygodnie młody. I taki kruchy.

Serce boleśnie się we mnie ścisnęło, kiedy patrzyłam, jak śpi. Miłość, która nigdy w mojej piersi nie zgasła, rozpałała się na nowo, niepowstrzymywana.

Wiedziałam, że powinnam ją od siebie odsunąć, zamknąć szczelnie w puszcze, w której ją wcześniej ukryłam. Ale nie mogłam.

Nie teraz.

Może wciąż byłam w szoku. Może nie myślałam jasno, biorąc pod uwagę koszmarne doświadczenie, które właśnie przeżyłam. Niezależnie od powodów znalazłam się znów w orbicie przyciągania właśnie tej osoby, od której powinnam się trzymać w daleka.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, powoli uniosłam palce i pozwoliłam im zawisnąć nad jego skórą. Chciałam odsunąć mu włosy z twarzy, poczuć w palcach miękkie kosmyki.

Ale nie mogłam pozwolić sobie na to, by go dotknąć. Chociaż potrzeba tego dotyku aż mrowiła mnie w palcach.

Chciałam położyć się z powrotem obok niego. Przycisnąć się do niego tak, jak robiłam to wiele razy wcześniej. Osunąć się z powrotem w tę szaloną namiętność, która zdominowała moje życie.

Moje serce żądało, bym nigdy więcej nie pozwoliła temu mężczyźnie się opuścić. Tam było jego miejsce. *Zawsze będzie.*

Ale umysł podpowiadał coś zupełnie innego. Przestrzegał mnie przed ceną kochania go.

Czy chciałam ją zapłacić?

Pomyślałam o Renee. Brooksie. Doktor Lowell. Ludziach, którzy we mnie wierzyli. Tych, którzy dali mi drugą szansę.

Jeśli pozwolę, by do tego doszło, zawiodę nie tylko siebie.

Ale jego obecność tutaj po tym wszystkim, co się stało, podniosła mi poziom emocji. Irracjonalnych emocji, które zawsze pakowały mnie w kłopoty.

Chciałam być mądrzejsza. Chciałam być silna i odwrócić się.

Walczyłam ze sobą.

Usta Maxxa drgnęły w sennym uśmiechu, a powieki uchyliły się powoli.

– Powiedziałbym, że całe to gapienie się na kogoś, kto śpi, jest trochę upiorne.

Zaczerwieniłam się, zawstydzona, że zostałam przyłapana.

Odchrząknęłam i odwróciłam wzrok.

– Ta, wiesz, ślina ci cieknie po policzku.

Maxx zmarszczył brwi i otarł sobie policzek, a ja wyszczerzyłam się mimowolnie. Przewrócił oczami.

– Strasznie śmieszne, Aubrey – powiedział z kamienną twarzą.

Uśmiechnęłam się z wyższością i zachichotałam do siebie, po czym spoważniałam.

– Nie powinieneś być zostawać – powiedziałam cicho, ale zdecydowanie.

W moich słowach zabrzmiała niewdzięczność i wiedziałam o tym. Ale to była moja ostateczna próba trzymania go na dystans. Wiedziałam aż za dobrze, że istniała ogromna różnica między robieniem tego, co słuszne, a tego, co *wydawało się* słuszne.

Maxx usiadł. Włosy miał potargane, a na policzku odcisnęła mu się cienkimi czerwonymi liniami pognieciona poduszka. W jego twarzy było coś szorstkiego i surowego, co sprawiało, że trudno było odwrócić od niej wzrok.

– Nie było możliwości, żebym cię tak zostawił, nawet gdybyś próbowała mnie zmusić. – Jego oczy błysnęły złowieszczo i uwierzyłam mu.

– Wiem – westchnęłam.

Przesunął dłońmi po twarzy, po czym znów na mnie spojrzął.

– Myślę, że musisz złożyć zawiadomienie o tym, co zrobił Evan.

– Ale jeśli to zrobię, co stanie się z tobą? – zapytałam. Maxx spochmurniał, wyglądając na zdezorientowanego. – Stłukłeś go na kwaśne jabłko, Maxx. Chyba nie sądzisz, że nie skorzysta z szansy, żeby cię pograżyć?

– To śmieszne, Aubrey! – zachnął się.

Uniosłam ręce, uciszając go.

– Jest, jak jest, Maxx. Wiesz, że mam rację.

Z nienawiścią myślałam o tym, że muszę przemilczeć to, co zrobił Evan. To wydawało się niesprawiedliwe. Jakbym pozwalała mu wygrać.

Pomyślałam o April. Nie miałam cienia wątpliwości, że to, czego sama doświadczyłam z jego ręki, było prawdopodobnie bułką z masłem w porównaniu z tym, przez co ona przechodziła.

Trzeba było coś zrobić z tym agresywnym gnojkiem. Nie chciałam jednak tego osiągnąć, poświęcając Maxxa.

Spojrzał na mnie, jakbym zwariowała.

– Naprawdę sądzisz, że w ogóle mnie to obchodzi? Ja sobie radzę, a ty, do cholery, nie możesz dopuścić, żeby uszło mu płazem to, co ci zrobił. To nie jest w porządku! – powiedział kategorycznie, jakby czytał mi w myślach.

Pokręciłam głową, wiedząc, że nie zdoła skłonić mnie do zmiany zdania.

– Nie sądzę, żeby jeszcze kiedyś mnie zaczepił. Nie po tym, jak prawie wbiłeś go głową w beton – powiedziałam z bladym uśmiechem, próbując rozluźnić atmosferę. Jeśli było to w ogóle



możliwe.

Maxx prychnął z irytacją.

– Musisz przestać próbować mnie ocalić, Aubrey – powiedział, a jego słowa zawisły w powietrzu ciężarem niewygodnej prawdy.

– To nie w porządku, Maxx, i w twoich ustach takie słowa są kompletną niedorzecznością! – odgryzłam się, czując napływające do oczu łzy, które nie chciały popłynąć z nich wcześniej, choć teraz nie zamierzałam im na to pozwolić. Byłam wyczerpana. Odsłonięta. Szybko osuwałam się w dół.

Przesunął się na łóżku i teraz dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów. Powoli sięgnął po moje dłonie i zamknął je w swoich.

– Nie, to nie było w porządku. Ale to prawda. Nie możesz pomagać mi swoim kosztem. Ty musisz mieć pierwszeństwo... nie tylko teraz, ale zawsze. Za bardzo cię kocham, by kazać ci zrezygnować z własnego bezpieczeństwa, by ochronić mnie. Nie potrafiłbym spojrzeć sobie w oczy – mówił żarliwie i dobitnie. Starał się nie być egoistą. Rozumiałam to.

I wtedy się rozzłościłam.

Cofnęłam się i zachwiałam na nogach, niemal przewracając się z potrzeby jak najszybszego odsunięcia się od niego i jego dotyku.

– Nawet nie próbuj – ostrzegłam, wyciągając ręce, jakby to mogło go powstrzymać.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego i dogłębnie zranionego moją reakcją. Nie rozumiał, jak mnie mierzą te jego sentymentalne słówka i próby bycia facetem, który postawi mnie na piedestale.

Tylko gdzie, do cholery, był ten facet, kiedy odrzucałam całe swoje życie, żeby skoczyć za nim z klifu?

Gdzie była ta wrażliwa osoba, kiedy patrzyłam, jak próbuje złapać oddech na podłodze obrzydliwej łazienki, mając pod stopami zużytą igłę do zastrzyków podskórnych?

Gdzie był ten troskliwy, współczujący mężczyzna, kiedy Maxx wykorzystywał wszystkie elementy emocjonalnej manipulacji ze swojego arsenału, żeby skłonić mnie do pozostania z nim niezależnie od tego, ile miałyby mnie to kosztować?

– Co takiego powiedziałem? – zapytał, podnosząc się na nogi, ale

nie zbliżając się do mnie.

Z trudem łapałam oddech. Byłam wściekła.

– Siedzisz tutaj, taki wrażliwy i... *idealny*. Mówisz same właściwe rzeczy – syknęłam, ledwie mogąc na niego patrzeć. – Nie możesz mi tego robić! Nie jestem w stanie tu siedzieć na własnym łóżku z tobą po tym, co się wydarzyło, i wysłuchiwać od ciebie, że muszę *siebie chronić* – prawie krzyczałam. – Cały ten bajzel jest *przez ciebie!* Ciągle próbuję się wygrzebać na powierzchnię po tym, jak rozwaliłeś mi *całe życie!*

Oboje aż skuliliśmy się na te słowa. Ale to wszystko, o czym myślałam, a czego nigdy tak naprawdę nie wyraziłam, musiało wreszcie zostać wypowiedziane na głos. Część udało mi się wyartykułować w ośrodku odwykowym, kiedy przyszłam go odwiedzić, ale najwyraźniej było więcej spraw, które domagały się wyjaśnienia.

Otworzył usta, ale ja potrzęsnałam głową, uciszając go.

– Nie. Po prostu nie. Wciągnąłeś mnie w całą tę historię, sprawiłeś, że cię pokochałam i byłam gotowa zrobić dla ciebie wszystko. Ale to nie wystarczyło, prawda? Zrezygnowałam ze swojej kariery, żeby patrzeć, jak panikujesz za każdym razem, gdy nie możesz wystarczająco szybko znaleźć swoich tabletek! Patrzyłam, jak *umierasz*, Maxx! – krzyknęłam, a on się wzdrygnął.

– *Umarłeś!* Musiałam ci robić resuscytację! Czy ty w ogóle jesteś w stanie wyobrazić sobie, co to dla mnie znaczyło? Przytykać usta do twoich, oddychać za ciebie, patrzeć, jak unosi ci się i opada klatka piersiowa, a potem czekać, czy zaczniesz oddychać samodzielnie? Nie zacząłeś! Przykładałam palce do twojej szyi i szukałam pulsu, którego tam nie było! Myślałam, że umarłeś! Tak jak Jayme. Tak! Jak! Jayme! – wrzasnęłam, chwyciłam się za włosy tuż przy czaszce i pociągnęłam mocno.

Witamy w Krainie Załamania Nerwowego. Bilet, proszę.

Maxx wyciągnął otwarte dłonie, próbując mnie udobruchać.

– Aubrey, proszę, uspokój się i pogadajmy o tym – powiedział błagalnie. Łzy płynęły mu po twarzy, gdy patrzył, jak na jego oczach się rozsypuje.

– *Wiedziałaś*, przez co przeszłam z Jayme! *Wiedziałaś!* – zadreślałam się coraz cichszym głosem, aż wreszcie skuliłam się z powrotem na łóżku.

Maxx nie ruszył się z miejsca. Przez chwilę patrzył na mnie w wahaniem, niepewny, czy powinien mnie pocieszyć, czy zostawić w spokoju.

– Byłam samolubnym gnojkiem, wiem o tym! Nie obchodziło mnie, co czujesz. Obchodziło mnie tylko to, czy dostaję to, czego chcę. Czego *potrzebuję* – powiedział, nie próbując niczemu zaprzeczać. Jego prostolinijna, niezafałszowana prawda przebiła się przez czerwoną mgłę mojej wściekłości.

– *Byłeś* samolubnym gnojkiem, Maxx. Dlatego właśnie odeszłam. Nie mogłam cię stracić. Nie dla narkotyków. Nie dla uzależnienia, nad którym nie miałam żadnej kontroli. Zamierzałam zacząć życie od nowa. Ale oto proszę: jesteś. W moim pokoju. Uratowałeś mi tyłek jak jakiś cholerny superbohater. I powinnam chcieć, żebyś stąd wyszedł. Ale *nie mogę*. Bo moje serce za tobą tęskni, Maxx! – Pociągnęłam się za koszulkę na piersi, jakbym mogła wyciągnąć z niej bijący organ i wręczyć mu.

– Aubrey, przepraszam cię! Boże, tak bardzo cię przepraszam! – załkał. Twarz miał mokrą od łez, oczy zalśniły mu cierpieniem.

– Ciągłe powtarzasz te same bzdury. *Przepraszasz*. Jesteś *innym* człowiekiem. *Zmieniłeś się*. Ale wszystko sprowadza się do tego, że ci nie *ufam*. Jak miałabym ci ufać? – wypaliłam.

– Nie wiem. – Zwiesił głowę.

– Chcę, żebyś stąd wyszedł.

– Jeśli tego właśnie chcesz... – ruszył do drzwi.

Wyglądał na zdruzgotanego.

Już kiedyś tak wyglądał. Kiedy schodził po narkotykach. Kiedy stał na krawędzi przepaści, gotów w nią runąć.

Nie znosiłam, kiedy tak wyglądał.

Ale tym razem powodem nie były narkotyki.

To ja nadałam jego twarzy ten wyraz. To ja spustoszyłam jego serce.

Tak ciężko pracowałam nad wymyśleniem, co zrobić, jeśli

kiedykolwiek znów znajdę się w tej sytuacji. Musiałam powiedzieć mu, żeby wyszedł. Odwrócić się plecami i odejść. Znowu.

Byłam silna. Panowałam nad sytuacją.

Ale kochałam go.

I patrząc na to, jak odchodzi, czułam się kompletnie rozdarta.

Przyszedł ten moment, a ja byłam zmęczona bólem. Zmęczona walką. Zmęczona wszystkim.

Trwanie przy nim zawsze było trudne. Ale rozstanie z nim było jeszcze gorsze.

– Poczekaj! – zawołałam, czując, jak gwałtownie opada unoszące się w powietrzu napięcie.

Maxx sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Czujnego. Ale też pełnego nadziei.

– Chcę, żebyś odszedł. Naprawdę. Wiem, że właśnie to powinnam teraz powiedzieć. Ale to kłamstwo.

Maxx zrobił jeden mały, ostrożny krok w moją stronę. Nasze oczy spotkały się i zobaczyłam swoją przeszłość. Swoją teraźniejszość. Swoją przyszłość.

– Chcę, żebyś odszedł, Maxx, ale *potrzebuję*, żebyś został. Proszę. – Usta mi zadrżały. – Jestem taką idiotką. Pragnę tej jednej rzeczy, która najmocniej może mnie zranić. Ale nic na to nie poradzę. Mam cię we krwi, Maxx. Jesteś wszędzie. We wszystkim. Nie mogę przed tobą uciec. I *nie chcę*. Zniszczyłeś mnie, ale pragnę, żebyś poskładał mnie z powrotem. Czy możesz to zrobić? Czy możesz wszystko naprawić? – zapytałam i wiedziałam już, że proszę o zbyt wiele, że nie powinnam wkładać tego ciężaru na jego chwiejne ramiona. Ale byłam już zmęczona samotnym niesieniem go na własnych barkach.

Już najwyższy czas, żeby zaczął dzielić ze mną brzemię naszej pokręconej miłości.

Maxx klapnął obok mnie na łóżko, uniósł ręce i objął moją twarz.

– Zrobię to, jeśli mi pozwolisz – obiecał, przesuwając kciukami po krzywiźnie moich warg. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci to wynagrodzić. Przysięgam, Aubrey – wyszeptał, a potem jego usta przywarły do moich i żadne z nas już się nie powstrzymywało.

Chwyciłam za tył jego koszulki, gdy pożeraliśmy się w gorące

dławionych do tej pory emocji i pożądania.

Rozchyliłam usta pod naporem jego warg i jęknęłam, głęboko i gardłowo. Maxx pchnął mnie na plecy i przycisnął własnym ciałem, a jego dłonie powędrowały ku guzikom mojej koszulki i zaczęły je pospiesznie rozpinać.

On był dziki. Ja wygłodniała. Byliśmy pogubieni, zrozpaczeni i zdolni odnaleźć się tylko w sobie.

Ściągnęłam mu koszulkę przez głowę i rzuciłam ją na podłogę, po czym zaczęłam się szarpać z klamrą jego paska. Byliśmy niezdarni, nasze palce drżące, nasze pocałunki natarczywe.

Uniósł się na łokciach nade mną i spojrzał na moją rozgorączkowaną twarz. Jego oczy wpiły się w moje, a ja zadrżałam, widząc w nich ogień.

– Codziennie marzyłem o tej chwili. Gdy będę mógł cię w ten sposób dotknąć.

Pospiesznie rozpiął mi dzinsy i wsunął w nie dłoń, drażniąc palcami moją mokrą dziurkę. Jęknęłam i wygięłam się w łuk.

– Kiedy będę mógł poczuć twój smak na języku – wymruczał i pochylił głowę, ujmując w usta mój pulsujący sutek.

Wessał go mocno i zaczął drażnić wrażliwą brodawkę zębami. Wiłam się pod nim, dotykając go na oślep, zgłodniała bliskości.

– O Boże, Maxx! – wydyszałam w udręczonym pośpiechu.

Odsunął na bok tkaninę moich majtek i zatopił palce głęboko w moim ciele. Zacisnęłam się wokół tak pożądanego wtargnięcia.

– Marzyłem o tym, by poczuć, jak to jest, znaleźć się w tobie tak głęboko, by nigdy nie chcieć wyjść – wyszeptał, pieszcząc językiem miękką, wrażliwą skórę między moimi piersiami.

Jego słowa mnie rozplómiły. Gwałtownym ruchem zdarł ze mnie dzinsy i majtki i rzucił je na bok. Odwzajemniłam się, robiąc to samo z resztą jego ubrania.

Po chwili leżeliśmy nadzy i zdyszani, całując i dotykając każdego centymetra naszych ciał, jakbyśmy mieli już nigdy więcej nie mieć takiej okazji.

Umościł się między moimi udami i poczułam, jak napiera na mnie, składając delikatny pocałunek na moich wargach. Jęknęłam

głośno, czując drażniącą mnie gorącą twardość.

Byłam tak blisko kompletnego zapomnienia. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że przeżywam właśnie ten idealny moment, którego nigdy nie udało mi się przeżyć z nikim innym. Moment bycia z kimś tak blisko, że nie wiadomo, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Maxx powoli zaczął się we mnie wsuwać. Jakby niepewnie, ale z ostrożną precyzją.

I wtedy nagle mgła, która spowijała mój otumaniony żądzą mózg, częściowo się rozviała. Cofnęłam lekko biodra, powstrzymując go.

Maxx oderwał usta od moich warg i spojrzał na mnie. Pot ściekał mu po czole, a włosy przywarły do skroni z wysiłku, jaki kosztowało go przerwanie.

– Co się stało? – zapytał ochryple.

Coś uderzyło mnie z siłą pociągu towarowego. Uświadomiłam sobie coś, o czym nigdy do tej pory *ani razu* nie pomyślałam.

– Nie używasz prezerwatywy – powiedziałam, prawie nie wierząc, że nigdy, przez cały ten czas bycia razem, nie pomyślałam o tym, by poprosić, żeby nas chronił.

Jak mogłam być taka głupia? Znałam jego historię, więc dlaczego nigdy nie zatroszczyłam się o tak podstawowe środki bezpieczeństwa? Pozwoliłam, by moje pożądanie i wszechogarniające uczucie do niego przesłoniło mi absolutnie *wszystko*.

Maxx wysunął się z moich objęć i sięgnął po spodnie rzucone na skraj łóżka.

– Masz rację, nie używam. Ja... przepraszam – powiedział, sprawiając wrażenie skruszonego i niemal zażenowanego. Palce mu się trzęsły, kiedy odszukał portfel i wyciągnął z jednej z przegródek foliowy pakiecik.

Siedział tam, gapiąc się na mały kwadracik na swojej dłoni, sprawiając wrażenie dziwnie zagubionego. Usiadłam i podciągnęłam sobie koc pod szyję.

– Z tobą nigdy wcześniej jej nie zakładałem – wyszeptał i widziałam, że jest dotknięty i zaskoczony moim uporem, by założyć

ją teraz.

Przysunęłam się i przywarłam do niego, kładąc dłoń na rękę, w której trzymał prezerwatywę.

– Nie, nie zakładałeś. Nigdy cię o to nie prosiłam. Ale też nigdy nie rozmawialiśmy o naszych poprzednich partnerach i o tym, czy jesteśmy czysti i bezpieczni. To trochę przerażające, nie sądzisz? – zapytałam.

Maxx podniósł na mnie wzrok. Twarz miał zarumienioną, pot obsychał mu na skórze.

– Jestem czysty. Nigdy z nikim nie byłem bez zabezpieczenia. Badałem się regularnie. Musiałem – powiedział cicho i dobitnie.

– Ja też jestem czysta – powiedziałam równie cicho. – I biorę pigułki.

Maxx skinął głową, w roztargnieniu przygryzając dolną wargę.

– Nie do wiary, że nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. Wydaje się to dość popieprzone, fakt. – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

Nic nie odpowiedziałam.

Bo to było *popieprzone*. Tak bardzo chcieliśmy się w sobie zatopić, nawet kosztem zdrowego rozsądku.

Dość przerażający rodzaj szaleństwa.

– Myślę po prostu, że jeśli chcemy, żeby tym razem było inaczej, to *my* musimy być inni. A to obejmuje też takie sprawy – powiedziałam, wyjmując mu paczuszkę z prezerwatywą z ręki.

– A więc próbujemy to zrobić inaczej? Chcesz powiedzieć, że dasz mi jeszcze jedną szansę naprawienia spraw między nami? – zapytał Maxx ledwie dosłyszalnie.

Zastanowiłam się, o co mnie pyta. Czy chcę – czy jestem w stanie – rzucić się z powrotem w jego świat? Wrócić do skomplikowanego chaosu, który zdominował w przeszłości nasz związek?

Wiedziałam, że nie mogę.

Nie mogłam być dziewczyną żyjącą w kłamstwie. Lub co gorsza, dziewczyną żyjącą w nieustannym napięciu i oczekiwaniu na jego upadek z klifu.

Wiedziałam jednak również, że nie mam siły udawać, że Maxx

może istnieć na peryferiach mojego życia. Że nie jest jego centrum. Że nie jest miarowym, bijącym pulsem mojego życia.

Drżącymi palcami przesunęłam po jego włosach, wyczuwając miękką fakturę łaskoczących loków.

– Nie możemy wrócić do tego, kim byliśmy. Do tego, *czym* byliśmy. Ale może... możemy spróbować być czymś lepszym – zasugerowałam ostrożnie, prawie nie wierząc, że to robię.

Że znów tu jestem. Kochając go do szaleństwa.

Maxx wtulił się we mnie i wygiął usta w uśmiechu tak jasnym, że aż oślepiającym.

– Czymś lepszym – wymamrotał, po czym nachylił się i pocałował mnie delikatnie, ale w tym pocałunku było więcej namiętności niż w jakimkolwiek, jaki wcześniej przeżyłam.

Odsunął koc z mojej piersi i przyciągnął mnie prosto do siebie. Skórę do skóry.

Serce do serca.

Ostrożnie położył mnie z powrotem na łóżku, nie odrywając ust od moich warg. Nie spieszyliśmy się tak jak wcześniej. Coś się zmieniło.

I wiedziałam intuicyjnie, że to *my* się zmieniliśmy.

Że chciałam mu zaufać. Całą sobą.

W końcu nasze powolne, leniwe dotknięcia stały się bardziej namiętne i wkrótce płonęłam żywcem w niegasnącym ogniu Maxxa. Usłyszałam dźwięk rozrywanej foliowej paczuszki, a potem poczułam lekki nacisk, kiedy znów zaczął na mnie napierać.

Tym razem nie powstrzymałam go. Rozłożyłam nogi, by go przyjąć. Wbiłam mu palce w plecy, kiedy wszedł we mnie głębokim pchnięciem. Oboje gwałtownie wciągnęliśmy powietrze, kiedy zanurzył się we mnie do końca.

Spojrzał na mnie zaskakująco lśniąco błękitnymi oczami. Czy to były łzy?

Wyciągnęłam rękę i starłam zabłąkaną wilgoć z jego policzka. Nie poruszył się, kiedy leżeliśmy tak bliscy, jak mogło być sobie bliskimi dwoje ludzi, dotykając się nosami i ocierając o siebie ustami.

– Kocham cię, Aubrey. Tak bardzo cię kocham – powiedział z udreńczonym westchnieniem, jakby słowa sprawiały mu ból.



Objęłam go dłonią za kark i uniosłam nogi, owijając go nimi w biodrach. Maxx jęknął, gdy przesunęłam się zaledwie o kilka milimetrów.

– Ja też cię kocham, Maxx. Bardziej niż wszystko – powiedziałam, darując mu słowa, które zawsze chciał usłyszeć.

## Rozdział dwudziesty czwarty

-Aubrey-

Leżeliśmy w łóżku, próbując odzyskać oddech, milczący i ociążali przeżyta wspólnie chwilą. Spleceni i zaplątani w pościeli, oboje zupełnie wyczerpani. Maxx rysował leniwie kółka na moich plecach, prowokując mnie do chichotu. Powietrze było ciepłe od odnowionych obietnic i wyczuwalnej nadziei.

– „Kochać, teraz czy kiedyś, to wystarczy” – wyszeptał mi we włosy.

– Podoba mi się. Skąd to? – zapytałam, uśmiechając się w jego skórę.

– *Nędznicy*. Mój ulubiony cytat.

Uśmiechnęłam się i powieki mi opadły. Trudno mi było wyobrazić sobie doskonalszą chwilę.

I wtedy drzwi do mojej sypialni otworzyły się gwałtownie, a my rzuciliśmy się do gorączkowego okrywania się kołdrą.

– Aubrey, masz chwilę? Muszę pogadać... – Renee zawiesiła głos.

Maxx pospiesznie naciągnął na siebie koc.

– Oj. Możesz dać nam chwilę? – zapytałam zduszonym głosem, widząc wyraz totalnego szoku, jaki odmalował się na twarzy Renee na widok Maxxa... nagiego. I mnie... nagiej.

– Ee, jasne. Sorki – wybełkotała, po czym zdecydowanie zatrzęsnęła za sobą drzwi.

– Szlag – mruknęłam, wychodząc z łóżka i rozglądając się za swoimi ubraniami. Maxx przyglądał się, jak wciągam spodnie i koszulkę.

Mordowałam się z guzikami, próbując już wymyślić, jakim cudem zdołam usprawiedliwić obecność Maxxa tutaj, w takim stanie. Jak miałam wytłumaczyć Renee i, dobry Boże, *Brooksowi*, że zamierzam dać Maxxowi jeszcze jedną szansę?

Że byliśmy razem po tym, jak uporczywie twierdziłam, że nigdy

więcej nie wpuszczę go do mojego życia?

Czułam się jak totalna hipokrytka. Kłamczucha.

Moja euforia po seksie została zamordowana na miejscu.

I wtedy poczułam dłoń Maxxa na ramieniu i aż się wzdrygnęłam.

– Będzie dobrze – powiedział, po raz kolejny czytając mi w myślach.

Porzuciłam próbę zapięcia guzików koszuli i ściągnęłam ją przez głowę, wybierając zamiast niej prostszy T-shirt. Byłam podenerwowana, niepewna, z czym będę musiała się zmierzyć, kiedy już opuszczę swój pokój.

– Tak sądzisz? – zapytałam zjadliwie.

Maxx ujął mnie za rękę i nie wstając z łóżka, przyciągnął do siebie.

– Nie wiem – powiedział po chwili. A potem ślicznie się do mnie uśmiechnął. – Ale staniemy na głowie, żeby tak było.

Podniósł się i otoczył mnie ramionami, przyciskając usta do moich warg.

– Kocham cię, Aubrey Duncan – wymruczał w moje usta, a jego niebieskie oczy zalśniły dziko.

Westchnęłam i mimowolnie uśmiechnęłam się do niego.

– Ja też cię kocham, Maksie Demelo.

Przycisnął mnie mocno do siebie, a ja pozwoliłam sobie cieszyć się tą chwilą jeszcze moment dłużej.

– Pozwól mi pójść pogadać z Renee. Daj nam kilka minut, zanim wyjdiesz, okej?

Maxx skinął głową.

– Idź i zrób, co masz zrobić – przynaglił mnie.

Wyszłam na korytarz, cicho zamykając drzwi za sobą. Stałam tam przez chwilę, czując, jak ogarniają mnie obawy.

– Przestań zachowywać się tak, jakbyś miała stanąć przed plutonem egzekucyjnym! – zawołała Renee z salonu, a ja przewróciłam oczami.

Znała mnie aż za dobrze.

Znalazłam ją siedzącą na kanapie, ze stopami opartymi na niskim stoliku i podręcznikiem do chemii otwartym na kolanach. Uniosła

brwi, kiedy weszłam do pokoju, i poklepała miejsce obok siebie.

Klapnęłam na kanapę, a ona zamknęła książkę.

– Po pierwsze, przepraszam za najście – powiedziała Renee, machnąwszy kciukiem w kierunku mojego pokoju.

Poczułam, jak się rumienię.

– A po drugie, co tu się, u licha, dzieje? – zapytała, przechodząc od razu do rzeczy.

Nie potrafiłam tak naprawdę powiedzieć, czy jest rozgniewana, ale niewątpliwie była zatroskana.

– Co się stało z „Nigdy więcej już tam nie wrócę”? Co stało się z kobietą, która uzmysłowiła sobie, jak niszczący był jej związek z Maxxem? Jak przeszłaś od „Nie wpuszczę go znów do mojego życia” do wskoczenia z nim do łóżka? Trochę straciłam rachubę. – Renee zmarszczyła brwi, sprawiając wrażenie poirytowanej.

– Myślę, że obie robimy rzeczy, które nas zaskakują – odparowałam.

Renee oblała się rumieńcem i lekko zmrużyła oczy.

– Jeśli chodzi ci o to, co widziałaś... To, że ja postanowiłam zrobić coś głupiego, nie oznacza jeszcze, że ty możesz – zripostowała.

– To nie ma z tym nic wspólnego, Renee. Boże! Po prostu... mam poczucie, że wiele się zmieniło.

Renee prychnęła z niedowierzaniem, a ja wyprostowałam wyzywająco, wiedząc, jak absurdalnie to wszystko musi brzmieć.

– Wiem, jak to brzmi. Wiem też, że wygląda to tak, jakbym była kolejną głupią dziewczuchą, która myśli pochwą – burknęłam.

– Sądząc z tego, na co się natknęłam, powiedziałabym, że to bardzo akuratywny opis – zgodziła się Renee.

– Tym razem wchodzę w to wszystko z pełną świadomością. Żadnego więcej chowania głowy w piasek i okłamywania samej siebie. Obiecuję. Wiem, że upierałam się przy trzymaniu Maxxa z dala od swojego życia, ale jeśli to moja głowa się myli, a serce ma rację? Nie chcę zastanawiać się za pięć lat, co by się stało, gdybym dała mu jeszcze jedną szansę. I czy to nie był mój czas na bycie szczęśliwą. *Wreszcie!*

– No dobra, rozumiem to, naprawdę. Ale czy pomyślałaś o tym, co

to oznacza z perspektywy twojego powrotu do programu terapeutycznego? Co powiesz doktor Lowell następnym razem, gdy zapyta, jak ci leci? Wyjdiesz i powiesz po prostu: „No cóż, kojarzy pani tego chłopaka, od którego miałam się trzymać z daleka? No więc znów się bzykamy. Czy miłość nie jest wspaniała?”.

Bezlitosny sarkazm Renee zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się, że będzie tak uszczypliwa.

Sięgnęłam po broszurę Katedry Pedagogiki, która wciąż leżała na stoliku.

– Tak, myślałam już o tym – powiedziałam, podnosząc ją.

– Dlatego właśnie mówiłaś o zmianie kierunku? Żartowałam, wspominając o tym w kawiarni. Nie miałam pojęcia, że to prawda!

– Renee wyglądała jak rażona gromem.

– Chyba i tak, i nie. Myślę po prostu, że poszłam w stronę terapii, żeby naprawić coś, co we mnie pękło. To dość egoistyczne uzasadnienie chęci pomagania innym ludziom. I owszem, bycie z Maxxem jest poważnym naruszeniem zasad etyki. Takim, na które nie zdecydowałabym się, gdybym poważnie podchodziła do mojego wybranego zawodu. – Rzuciłam broszurę z powrotem na stół. – Ale chyba tak naprawdę nie dlatego o tym wszystkim rozmawiamy, co? Bo przecież to nie sam Maxx cię tak wkurza. Jasne, rozumiem, że jesteś rozczarowana i zmartwiona, ale ty wydajesz się po prostu, kurczę, wściekła. – Założyłam ręce na piersiach.

Ramiona Renee opadły, usta wygięły się jej w podkówkę.

– Myślę, że chciałam po prostu, by przynajmniej jedna z nas okazała się na tyle silna, by pójść dalej.

Jej słowa ugodziły mnie prosto w serce. Chciałam zapytać ją, co właściwie wydarzyło się z Devonem. To było oczywiste, że bardzo jej to ciążyło. Ale właśnie w tym momencie, w którym chciałam poruszyć ten temat, z sypialni wyszedł Maxx. Stał w korytarzu i popatrzył na nas niepewnie.

Renee spojrzała na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Podniosła się.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Aubrey. Nie chciałabym patrzeć, jak znów się kompletnie rozpadasz – powiedziała dobitnie,

po czym przeszła obok Maxxa i weszła do swojej sypialni, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

– Domyślam się, że nie poszło tak dobrze, jak byś chciała – wywnioskował Maxx, wchodząc do salonu i siadając obok mnie.

– Mam poczucie, że to miało więcej wspólnego z nią niż ze mną. Ale ona ma rację co do jednego. Nie posypię się już z twojego powodu. Nie mogę sobie na to pozwolić. Już raz mnie zniszczyłeś.

Maxx przyciągnął mnie blisko do siebie, otoczył ramionami i oparł czoło na mojej szyi.

– To, że cię straciłem, Aubrey, prawie mnie zabiło. Nie chciałbym znów przeżywać takiego cierpienia. Mogę ci to obiecać – wymruczał, po czym pocałował mnie delikatnie, ale z uczuciem.

„Nie chciałbym znów przeżywać takiego cierpienia”.

Jedno, czego nauczyłam się od Maxxa, to to, że kiedy chodziło o jego uzależnienie, nic nie było kwestią *chęci*. To było zawsze poza jego kontrolą.

\*

– Zobaczymy się później? – Głos Maxxa był jak miód na moje uszy.

Chwyciłam mocno telefon. Chciałam się z nim zobaczyć. Bardzo. Ale najpierw musiałam załatwić kilka spraw.

Konkretnie: porozmawiać z Brooksem.

Nie widziałam mojego przyjaciela od tygodnia. Miał upiornie napięty harmonogram zajęć, co dało mi czas, by zastanowić się nad tym, jak przekazać mu wieści o sobie i Maksie.

Kiedy więc zadzwonił poprzedniego wieczoru i zapytał, czy mam ochotę wyjść na miasto, wiedziałam, że nie mogę tego dłużej odkładać. Nie zamierzałam go unikać ani trzymać tego wszystkiego w tajemnicy. Tak zachowywały się dawna Aubrey.

Zgodziłam się na to spotkanie, czując się umocniona potrzebą bycia szczerą. Stosunki z Renee były napięte i miałam tylko nadzieję, że Brooks będzie bardziej wyrozumiały. Nie mogłam oczekiwać, że bez protestów przyjmie moją decyzję o daniu Maxxowi kolejnej szansy. Miałam tylko nadzieję, że nasza przyjaźń okaże się

silniejsza niż jego dezaprobata.

– Dziś nie mogę. Powiedziałam Brooksowi, że spędzę z nim wieczór.

– W porządku, i tak jestem padnięty. Ciągłe próbuję znaleźć dodatkową robotę, skoro w stajni już mnie nie potrzebują. Naprawdę chciałbym znaleźć coś, co nie wiąże się ze zwierzęcymi odchodami i spalonym tłuszczem – powiedział, sprawiając wrażenie lekko zniechęconego.

Nigdy nie narzekał na brak pieniędzy, ale wiedziałam, że mu to doskwiera. Ledwo wiązał koniec z końcem, jednak nie miałam pojęcia, jak mu pomóc.

Nie chciałam się do tego przyznać, ale zastanawiałam się, czy wróci do klubu. Czy osunie się z powrotem w świat szybkiej forsy i łatwych dragów. Chciałam ufać, że nie. Przysiągł, że to już minęło. Ale to było mu dobrze znane. I niepokoiłam się, kiedy widziałam na jego twarzy napięcie tej walki. A potem nienawidziłam się za to, że się tak zamartwiam.

– Coś znajdziesz – powiedziałam pogodnie, chociaż ja też zastanawiałam się, jakie ma właściwie opcje.

– Taa, mam tylko nadzieję, że raczej wcześniej niż później – mruknął Maxx, a ja usłyszałam jego umęczone westchnienie.

– A czy myślałeś o tym, żeby podzwonić po innych galeriach i zorientować się, czy nie byłiby zainteresowani twoimi pracami? – podsunęłam.

Maxx opowiedział mi o panu Randallu z Galerii Bellview. Wiedziałam, że musiało być dla niego żenujące przyznanie się, jak bardzo spieprzył taką wyjątkową szansę.

– Tak, ale to chyba nie jest zbyt dobry pomysł – uciął krótko.

– Przecież jesteś taki utalentowany...

– Aubrey, proszę, daj spokój. – Powiedział to ostrzejszym tonem i wiedziałam już, że to drażliwy temat.

– Zadzwoń, żeby zapisać się na terapię w ośrodku? – zapytałam, poruszając jeszcze jeden wątek, którego omawianie nie było dla niego łatwe.

Wspomniał, że po terapii w ośrodku zamkniętym miał zgłosić się

na ciąg dalszy w leczeniu otwartym. Taki był warunek jego zawieszenia, skoro nie uczęszczał już na spotkania grupy na terenie kampusu.

– Jeszcze nie, zrobię to jutro – powiedział rozdrażnionym tonem.

– To ważne, Maxx – nie wycofywałam się, ale też starałam się nie mówić jak przemądrzała zrzęda.

– Równie ważne jak znalezienie pracy, żebym nie wylądował na bruku – warknął, a ja musiałam sobie dwa razy powtórzyć, że nie powinnam się irytować taką jego postawą.

„Jest zestresowany. Daj koleśowi spokój” – pomyślałam.

Maxx westchnął głęboko.

– Wiem, że starasz się mi pomóc. Przykro mi. Nie powinienem się odgryzać tylko dlatego, że próbujesz się o mnie troszczyć. Po prostu nie chcę, żebyś zaczęła się o mnie zamartwiać. Coś wymyślę. Chociaż muszę przyznać, że z kasą jest krucho, a rachunki trzeba płacić.

Jego szczerość była zaskakująca, ale przyniosła mi ulgę. Fakt, że w ogóle ze mną o tym rozmawiał, był ogromnym postępem. Tak bardzo przywykłam do tego, że nic mi nie mówił. Zawsze miałam poczucie, że jestem ostatnią osobą orientującą się, co się w ogóle u niego dzieje. Nie miałam świadomości tylu spraw, że słuchając, jak otwarcie ze mną rozmawia, nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. To był nowy, niezbadany dla nas obojga obszar, do którego musiałam się stopniowo przyzwyczaić.

– Rozumiem. A ja nie powinnam była dopytywać się o terapię. Muszę ci zaufać, że zrobisz to, co należy – powiedziałam.

Zaufanie.

Znów to słowo.

– No i jak ci idzie? – zapytał Maxx.

– Jak co mi idzie?

– Ufanie mi – odparł Maxx cicho.

– Powoli – odpowiedziałam szczerością na szczerość.

– Podejrzewam, że to wszystko, na co mogę liczyć – powiedział Maxx, a ja pożałowałam, że nie potrafię dać mu więcej. Ale nie mogłam. Jeszcze nie teraz.



– No to co ty i ten jakiś tam Brooks zamierzacie robić? Czy powinienem być zazdrosny? – zapytał Maxx od niechcena, wyraźnie zmieniając temat, co miało być próbą rozluźnienia napiętej nagle atmosfery.

Chociaż starał się być zabawny, jego pytanie nie było do końca niepoważne. Nigdy nie opowiedziałam Maxxowi o mojej przeszłości z Brooksem, ale wiedziałam, że nie czuł się pewnie. Co do siebie. Co do mnie. Co do naszego niestabilnego związku.

A teraz, kiedy byłam z tym nowym Maxxem, tym, który nie próbował mnie omamić fałszywą butą, bardziej niż kiedykolwiek miałam świadomość jego niepewności siebie właściwie pod każdym względem. Szczególnie gdy chodziło o mnie.

– On jest tylko przyjacielem, Maxx – zapewniłam go.

– Myślisz pewnie, że jestem jakimś cholernym mięczakiem – Zachichotał z tą autodeprecjonującą ironią, która była całkiem nowym i nieco odstręczającym zjawiskiem.

Nie lubiłam się przyznawać, że w pewnym sensie tęsknię za zadufanym w sobie, zawadiackim koleśkiem, który zachowywał się tak, jakby był panem całego świata. Ale tamten koleś był efektem działania narkotyków. To dzięki nim czuł się nietykalny. Czułam złość wobec siebie za to, że mogłam tęsknić choćby za fragmentem człowieka, którym kiedyś był.

Ale nie potrafiłam inaczej.

Bo właśnie w takim człowieku kiedyś się zakochałam.

Niezależnie od tego, jak był destruktywny, pociągało mnie jego szaleństwo.

– Nie bądź śmieszny – złajałam go. – Brooks i ja przyjaźnimy się od lat. Bardzo mi pomógł po tym, jak... – urwałam raptownie.

– Po tym, jak mnie zostawiłaś – dokończył Maxx, a ja pomyślałam, że w jego głosie słyszę nutę gorzkości.

– Po tym, jak prawie umarłaś – odbiłam piłeczkę, nie mogąc powstrzymać się od tego, by nie przywołać go do porządku.

– Tak, po tym, jak prawie umarłem – zgodził się, a słyszalne w jego głosie rozżalenie ustąpiło głuchej żałości.

– Maxx – wypowiedziałam miękko jego imię, próbując tchnąć

w niego otuchę.

– W porządku... Nic mi nie jest – powiedział, a ja wiedziałam, że stara się, by jego głos zabrzmiał przekonująco.

Nie byłam pewna, do jakiego stopnia mu wierzę. Chociaż bardzo się starałam.

– Chcę tylko zobaczyć się z Brooksem, żeby mu o nas powiedzieć. Jestem mu to winna. Nie będę tego ukrywać. Nie tym razem.

– Bo tym razem jest inaczej – dokończył Maxx.

Uśmiechnęłam się, chociaż nie mógł mnie widzieć.

– Bo tym razem jest inaczej.

## Rozdział dwudziesty piąty -Aubrey-

– Weź to ode mnie, zanim to upuszczę – wydyszał Brooks, wkładając mi w rękę torby hinduskiego żarcia, kiedy w odpowiedzi na jego pukanie otworzyłam drzwi.

– Ciebie też miło widzieć – powiedziałam, kopnięciem zamykając drzwi i idąc za przyjacielem do kuchni. – Co to jest, to wszystko? – zapytałam, wskazując torby, które Brooks stawiał właśnie na stole.

– Zamiast oglądania filmu przyniosłem moje PS4. Mam nową grę wyścigową i pomyślałem, że nie możesz się już doczekać, aż cię ogram – zażartował.

Denerwowałam się przed tą rozmową. Brooks nigdy się nie hamował z wyrażaniem przekonania, że Maxx jest przegranym ćpunem, a po tym, jak wylądował w szpitalu, a ja przed komisją dyscyplinarną, zaczął wyrażać je jeszcze dobitniej.

Biorąc pod uwagę, że to on pomógł mi się pozbierać do kupy, kiedy byłam w kompletnej rozsypce, jak mogłam w ogóle oczekiwać, że pogodzi się z tym, że nie tylko wybaczyłam koleśowi, który prawie mnie zniszczył, ale jeszcze postanowiłam na nowo się z nim związać?

Ale Brooks był w dobrym nastroju, co liczyło się na plus. Miałam tylko nadzieję, że zmniejsza to prawdopodobieństwo, że mnie znienawidzi, kiedy mu w końcu powiem.

– Brzmi znakomicie. I widzę, że wybrałeś się nawet do mojej ulubionej hinduskiej jadłodajni – zauważyłam, otwierając jedno z pudełek z parującym ryżem.

– Oczywiście. Jakżebym mógł pojawić się z pustymi rękoma? Taki głupi nie jestem.

Prychnęłam i wzięłam sobie samosę z innego pudełka.

– No, mam ważne wieści – obwieścił Brooks, uśmiechając się szeroko.

Miałam pełne usta, więc tylko machnęłam ręką, żeby kontynuował.

– Dostałem się na studia magisterskie na LU. Co oznacza, że jesteś skazana na mnie przez kolejny rok, dzieciно.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, a mnie zrobiło się bardzo niewyraźnie.

Wyglądał na takiego szczęśliwego. Przez chwilę pożałowałam, że nie można cofnąć czasu i wrócić do tej zdecydowanie mniej skomplikowanej epoki, kiedy siedząc na kanapie tylko we dwoje, zajadaliśmy chipsy i oglądaliśmy koszmarne filmy klasy B. Do epoki przed pojawieniem się Maxxa.

Zapragnęłam nagle tej prostoty, którą mógł mi ofiarować, będąc po prostu sobą.

– Maxx i ja znów jesteśmy razem – powiedziałam bez wstępów. Nie chciałam tego tak powiedzieć, ale prawda wypalała mi dziurę w języku. Słowa wylały się ze mnie jak wymiociny.

Brakuje ci oględności, Aubrey.

Brooks zamrugnął i zmarszczył brwi, jakby się przesłyszał.

– Słucham?

Wzięłam głęboki wdech i głośno wydmuchałam powietrze.

– Proszę, tylko mnie nie znienawidź. Nie sądzę, żebym była w stanie przyjąć kolejną dawkę lodowatego krytycyzmu Brooksa Hamlina.

Brooks usiadł na jednym z kuchennych krzeseł i spojrzał na mnie tak, jakby wyrosła mi dodatkowa głowa.

– Czy ty poważnie właśnie powiedziałaś mi, że znów jesteś z Maxxem? Facetem, z powodu którego wykopano cię z programu doradztwa terapeutycznego? Kolesiem, który bardziej kocha swoje dragi, niż ja kocham gówniane filmy? Z tym Maxxem? – zapytał tonem, który stawał się coraz twardszy i coraz bardziej wyzywający.

Usiadłam po drugiej stronie stołu. Nerwowo zaczęłam skubać paznokcie, ale szybko przestałam.

– On próbuje się zmienić... – zaczęłam, ale przerwał mi pełen niedowierzania śmiech Brooksa.

– O Boże! Mogłabyś posłuchać samej siebie? Normalnie dzień

świstaka! Albo przynajmniej wyjątkowo kiepski tasiemiec. Czy myśmy nie przeprowadzili tej rozmowy zaledwie kilka miesięcy temu? Serio? – Brooks roześmiał się znowu, ale jego oczy mówiły, że w tej sytuacji nie ma nic śmiesznego.

– Słuchaj, mówię ci o tym, bo jesteś moim przyjacielem i po wszystkim, co się wcześniej zdarzyło... nie chcę cię okłamywać.

– Och, wow! Czuję się absolutnie wyjątkowy! – prychnął Brooks.  
– Oczekujesz ode mnie oklasków za wskoczenie z powrotem do łóżka koleśowi, który już raz zrujnował ci życie? A może mam cię poklepać po plecach i powiedzieć: „Brawo! Udało ci się dwukrotnie popełnić ten sam błąd, przyjaciółko!”

Zaczynał mnie wkurzać. I nic nie mogłam na to poradzić. Jego protekcyjna moralna wyższość zawsze działała mi na nerwy.

– Może byś mi odrobinę zaufał, Brooks, co? Nie pakuję się w to na ślepo! Wiem, jak to musi wyglądać w twoich oczach! Wiem, że masz mnie za idiotkę. Ale nią nie jestem. Nie będę udawać, że on nie ma problemów. Bo ma... aż nadto. Ale ja też. Jestem w kompletnej rozsypce! Mam tyle nierozwiązanych problemów, że nawet nie wiem, od czego zacząć! Miłość nie stawia warunków. W każdym razie ta prawdziwa. Jakim byłabym człowiekiem, gdybym oczekiwała od niego, że zaakceptuje mnie razem z moimi wadami, a sama nie chciałabym pogodzić się z jego? Wiem, co się wydarzyło. Wiem, czym ryzykuję, kochając go, ale jest, jak jest. Więc możesz się z tym pogodzić albo nie, gównu mnie to obchodzi! – wrzasnęłam, opanowana gniewem.

– Zostałaś zawieszona, Aubrey! – Brooks uderzył otwartą dłonią w stół, a odgłos uderzenia odbił się echem po całej kuchni.

– Wiem! Powiem o wszystkim doktor Lowell i zobaczymy, co się stanie. Ale może program terapeutyczny wcale nie jest tym, czym powinnam się zająć – powiedziałam, wzruszając ramionami.

Brooks wyglądał na oszołomionego.

– O czym ty mówisz? Odkąd cię znam, chciałaś być terapeutą do spraw uzależnień! Nie widzisz, jakie to jest pokręcone, że myślisz o rezygnacji absolutnie ze wszystkiego dla jakiegoś *kolesia*...

– Nie, Brooks! To nie ma nic wspólnego z Maxxem! Przyjechałam

na LU, sądząc, że mogę coś naprawić po śmierci Jayme. Myśle... że być może zdecydowałam się na ten kierunek studiów z niewłaściwych powodów.

Brooks potarł oczy nasadą dłoni, jakby rozboleła go głowa.

– Nawet nie wiem, co mógłbym ci na to odpowiedzieć.

No cóż, wszystko szło mniej więcej tak, jak się spodziewałam. Chociaż miałam wtedy nadzieję, że się mylę.

Brooks opuścił ręce i spojrzał na mnie smutno.

– Czego ty ode mnie chcesz, Aubrey? – zapytał zmęczonym głosem. – Błogosławieństwa? Nie mogę ci go dać. Nie po tym, jak widziałem, jak Maxx cię skrzywdził. Nie po tym, jak patrzyłem, jak się szarpiesz z jego powodu.

Wziął mnie za rękę i splótł swoje palce z moimi. Ten fizyczny kontakt mną wstrząsnął.

– Wiem, uważasz, że tego właśnie chcesz. Że znalazłaś tę niesamowitą, najwspanialszą miłość. Ale to nieprawda. Tym, co masz, co zawsze miałaś, jest niezdrowa, obsesyjna zależność. Karmicie się tym, co w was obojgu najgorsze. Zasługujesz na znacznie więcej – powiedział Brooks, a jego słowa zabrzmiały jak błagalna prośba.

To, co powiedział, było prawdą... kiedyś.

Odmalował obraz Maxxa i Aubrey, którymi byliśmy wiele miesięcy temu. Ale nie Maxxa i Aubrey, którymi próbowaliśmy się stać.

Ale jak mogłam go winić za to, że nazywał to tak, jak to widział?

– Rozumiem, że nie możesz tego zaakceptować, Brooks. Mam tylko nadzieję, że nadal będziesz moim przyjacielem.

Byłam prawdopodobnie niewiarygodnie samolubna, ale nie mogłam pogodzić się z myślą, że znów go stracę.

– A jakie znaczenie miałyby mieć moja obecność w twoim życiu, skoro masz *jego*? – wypalił Brooks dość dziecinnie.

Wybałuszyłam oczy.

– Bo jesteś moim przyjacielem i kocham cię.

Brooks pokręcił głową, a ciemne włosy spadły mu na oczy.

– Ty po prostu nie rozumiesz. Ja też cię kocham, Aubrey. Bardzo –

powiedział i głos mu się załamał.

– Wiem, że tak jest, Brooks...

– Nie, Aubrey, dalej nie rozumiesz. *Kocham cię*. Taką miłością, która w razie potrzeby oddałaby nerkę. Miłością, która jeszcze dziś związałaby z tobą do Vegas i kochałaby cię przez resztę życia. – Brooks zaśmiał się, ale na jego twarzy odmalował się ból.

Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Nie tak wyobrażałam sobie tę rozmowę. Chociaż powinnam była się domyślić.

Przypomniałam sobie, jak desperacko rzuciłam się na niego zaledwie miesiąc wcześniej. Jakich uczuć spodziewałam się z jego strony po tym, jak igrałam z nimi dla poprawy własnego samopoczucia?

„Kiedy następnym razem będziesz mnie całować, zrób to z przekonaniem” – powiedział mi.

Ależ ja byłam suką.

– Brooks... – zaczęłam, ale uniósł ręce, powstrzymując mnie.

– Nigdy nie sądziłem, że będę ci to mówił tuż po tym, jak wyznałaś mi, że jesteś zakochana w innym kolesiu. Ta sytuacja jest zdecydowanie do dupy. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że masz wybór. Że masz *mnie*.

Wstał i pozbierał swoje torby, zostawiając jedzenie, które ze sobą przyniósł.

– Dokąd idziesz? – zapytałam z lekką paniką w głosie. Nie miałam pojęcia, w jakiej sytuacji zostawiały nas te wszystkie wyznania. Wyglądało na to, że jest znacznie gorzej niż wówczas, gdy ostatnim razem przestaliśmy ze sobą rozmawiać.

Wtedy powodem była złość. Teraz wychodził, bo został odrzucony. Przeze mnie.

Bo nie mogłam odwzajemnić jego uczuć i on o tym wiedział.

– Myślę, że spotkanie się byłoby teraz dość niezręczne, i chyba muszę przetrwać fakt, że właśnie wyznałem swojej najlepszej przyjaciółce, że jestem w niej absurdalnie zakochany. – Brooks uśmiechnął się smutno.

– Nie musisz wychodzić... – zaczęłam.

– Owszem, muszę. Bo *kochasz* Maxxa. Jesteś z *nim*. A ja w tym momencie nie mogę być milczącym, wspierającym cię przyjacielem. Może kiedyś znów będę mógł, ale zabierze mi to trochę czasu. Proszę, pogódź się z tym, Aubrey.

Odprowadzałam go do drzwi, chcąc wyciągnąć rękę i zatrzymać go. Ale nie mogłam go dotknąć. Nie teraz. Nie po tym, co mi wyznał, i nie po tym, jak uzmysłowiłam sobie, że ściągnęłam sobie to wszystko na głowę, nie biorąc pod uwagę jego uczuć.

– Czy to oznacza, że nie jesteśmy już przyjaciółmi? – zapytałam bardzo cichym głosem.

Brooks odwrócił się i spojrzał na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. A potem mnie uściskał. Zagarnął mnie w swoje objęcia i mocno do siebie przycisnął. W przytulonym do jego klatki piersiowej uchu słyszałam bicie jego serca.

Kiedy się odsunął, poczułam się bardzo samotna.

– Zawsze będę twoim przyjacielem, Aubrey. Za bardzo cię kocham, by kiedykolwiek znów usunąć cię z mojego życia. Bardziej boli mnie nierozmawianie z tobą niż świadomość, że kochasz kogoś innego. Muszę po prostu jakoś poradzić sobie z tym, że dziś wieczorem zrobiłem z siebie tutaj kompletnego durnia – zaśmiał się znów, tym razem nieco lżej.

– Nie jesteś durniem, Brooks. Jesteś niesamowity i nigdy nie zasłużyłam sobie na twoją lojalność – powiedziałam absolutnie serio.

Brooks po przyjacielsku potargał mi włosy.

– Owszem, zasługujesz na nią, Aubrey. Zasługujesz na wszystko. – Odchrząknął i tym razem jego uśmiech sprawiał już bardziej naturalne wrażenie. – Zostaw dla mnie trochę kurczaka korma. Zjem go, kiedy wpadnę tu następnym razem.

– Okej – odparłam cicho, patrząc, jak wychodzi.



## Rozdział dwudziesty szósty

-Maxx-

Uderzenie w twarde dno było łatwe.

Natomiast wyczołganie się z powrotem na powierzchnię okazało się prawie niemożliwe.

Moje życie miało o tyle więcej sensu, kiedy mogłem wziąć kilka tabletek i udawać, że rzeczy, o które naprawdę powinienem się martwić – szkoła, Landon, zapłacenie rachunków – nie miały żadnego znaczenia.

Bo kiedy życie robiło się za trudne, miałem najlepsze przyjaciółki na świecie, które potrafiły wszystko naprawić.

Były przy mnie zawsze, kiedy ich potrzebowałem.

Tęskniłem za nimi.

Dragi.

Nawet teraz, kiedy próbowałem żyć tym właściwym życiem, odkrywałem, że kładę się spać ze wspomnieniem *ich* smaku w ustach.

Lecz kiedy się budziłem, pierwszą rzeczą, która stawała mi przed oczami, była twarz Aubrey, co pomagało mi wygramolić się z łóżka i przejść przez resztę dnia, utwierdzając się w przekonaniu, że lepiej sobie radzę bez *nich*. Bez tabletek.

Ale potem przychodziła noc i znów za *nimi* tęskniłem.

Nie chodziło tylko o narkotyki i odlot. Chodziło o klub. O uskrzydlające poczucie siły pochodzącej z bycia X. Tęskniłem za Compulsion. Tęskniłem za świadomością, że się liczę i że jestem ważny.

Ale teraz miałem Aubrey. I Landona, którego lodowate nastawienie do mnie powoli topniało. Moją sztukę, która powoli przekształcała się w prawdziwą pasję. Wciąż bolała mnie świadomość, że być może nigdy nie uda mi się zarobić dzięki niej takich pieniędzy, jakie bym chciał, ale kochałem ją za to, czym dla

mnie była: jedyną ucieczką, na którą mogłem liczyć teraz, kiedy odmówiłem sobie jedyne, czego naprawdę pragnąłem.

To musiało mi na razie wystarczyć. I wystarczało. W głębi serca o tym wiedziałem, ale w ciemnej godzinie przed zaśnięciem bezlitosny głód był mi jedynym towarzyszem, a ja chciałem o tyle *więcej*.

– Jak tam w szkole? – zapytałem Landona podczas jednej z naszych teraz już codziennych rozmów telefonicznych.

Podczas kilku pierwszych tygodni zachowywał się bardzo powściągliwie. Nawet po tym przełomie podczas moich odwiedzin wiedziałem, że celowo trzyma mnie na dystans.

Pozostałem jednak uparty. Właściwie była to jedna z moich lepszych cech. I chociaż zostawienie mu przestrzeni mogłoby być w sumie rozważniejszym krokiem, nie mogłem siedzieć i czekać, aż sam do mnie przyjdzie.

Byłem więc natarczywy. Przejmowałem się. Nie odpuszczałem ani na milimetr. Po wyjściu z odwyku przysiągłem sobie, że nie pozwolę, by Landon czy Aubrey znów wyśliznęli się z mojego życia.

Dzwoniłem do niego codziennie tak długo, dopóki nie odebrał i niechętnie nie zaczął ze mną rozmawiać. Wciąż było to dość niezręczne, ale powoli robiliśmy postępy.

– Nieźle. Próbowałem skończyć mój projekt artystyczny na koniec roku – odpowiedział mętnie.

Słyszałem, jak tłucze się gdzieś w tle, i próbowałem się nie zrażać jego brakiem zaangażowania.

– Tak? A czego dotyczy twój projekt? – zapytałem, wyciągając szczegóły z brata tak, jak wyobrażałem sobie rwanie zębów: powoli i boleśnie.

– No wiesz. Taka tam praca plastyczna – powiedział.

Usłyszałem jakiś stłumiony dźwięk i głos Landona mówiącego do kogoś na drugim końcu.

– To może wytłumaczysz mi, na czym polega – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Kochałem mojego brata. Ale te nastoletnie fochy, nawet jeśli całkowicie zasłużone, były dość irytujące.

– Po prostu taka przestrzenna praca, nad którą muszę popracować. Słuchaj, będę lecieć, umówiłem się z kolegami. Zadzwoń później – powiedział w roztargnieniu.

– Jasne, Lan. Ale naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć w tym tygodniu. Może moglibyśmy skoczyć coś zjeść. Zabiorę cię nawet do tej pizzerii, na której punkcie masz takiego świra – zażartowałem, zmuszając się do śmiechu.

Landon prychnął.

– Nie, to ty masz słabość do hawajskiej. Mnie w to nie mieszaj. Zachichotałem.

– Wszystko jedno, stary – mruknąłem.

– No dobra, brzmi nieźle. Może w piątek. Ale ty płacisz – powiedział Landon i chociaż wciąż wydawał się nieufny, wiedziałem, że próbuje tak samo jak ja, w jedyny znany sobie sposób.

– No to jesteśmy umówieni na piątek. Wpadnę i zgarnę cię po szkole. Możemy przejechać przez galerię handlową i kupić ci ten kontroler do Xboba, który jestem ci winien. – Tonący brzytwy się chwyta, a ja powiedziałbym i zrobił dosłownie wszystko, żeby mój brat przestał patrzeć na mnie jak na totalnego przegrywa.

– Najwyższa pora – powiedział Landon. – Pobieram odsetki i myślę, że wiesz mi za to dodatkowo jedną albo dwie gry.

Zaśmiałem się znów, chociaż tym razem dość wymuszenie. Popsułem kontroler Landona kilka miesięcy temu w jakimś przedziwnym wypadku przy okazji gry w *Call of Duty*. Wyciągnąłem portfel i otworzyłem go. Oczyma duszy widziałem hulający w nim wiatr. Byłem splukany, ale zdecydowany wskrobać jakieś pieniądze, jeśli oznaczało to możliwość spędzenia czasu z Landonem.

– Tak, tak – powiedziałem, chociaż znacznie mniej entuzjastycznie niż wcześniej.

– Dobra, Maxx. Do zobaczenia w piątek po szkole. Nara.

Rzuciłem telefon na stół i wbiłem wzrok w pusty portfel. W piątek miałem dostać wypłatę, ale moje zarobki w kawiarni ledwie pokrywały opłaty za prąd. Zalegałem już miesiąc z czynszem i wiedziałem, że jest tylko kwestią czasu, jak mój paskudny

kamienicznik wręczy mi tytuł eksmisji. Wydałem resztki oszczędności i w tym momencie jechałem już zasadniczo na oparach.

Jak na zawołanie właśnie w tym momencie rozległo się walenie do moich drzwi.

– Hej, musimy pogadać – powiedział Marco, przepychając się obok mnie. Zacisnąłem zęby.

– Sądziłem, że już wszystko obgadaliśmy – powiedziałem, zamykając drzwi.

Marco ruszył do kuchni i zaczął otwierać szafki.

– Musisz pójść na zakupy, tutaj nawet karaluch by się nie pożywił – powiedział, zatraskując drzwiczki. Zgarnął paczkę czerstwych czipsów z blatu i zaczął się napychać.

– Po co, kurwa, przyszedłeś, Marco? Jeśli nie zamierzasz mi suszyć głowy, to nie sądzę, żebyśmy mieli sobie cokolwiek do powiedzenia – powiedziałem krótko.

– Kiedy to stałem się twoim wrogiem publicznym numer jeden? Zawsze trzymaliśmy się razem, a teraz czuję się jak natrętna dziwka, która próbuje cię namówić, żebyś znowu po nią zadzwonił. I naprawdę fatalnie się z tym czuję – powiedział Marco z ustami pełnymi czipsów.

Ten koleś miał zerową kindersztubę. To było obrzydliwe.

– Żryj z zamkniętą paszczą, bo niedobrze mi się robi.

Zmrużyłem oczy, patrząc na niego czujnie i ostrożnie.

– No więc w ostatni weekend klub był w kompleksie przemysłowym na Delany – powiedział nieoczekiwanie, zupełnie zmieniając temat.

– No dobra, i? – zapytałem, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– Co myślisz o tej lokalizacji?

Pomyślałem o tym miejscu i wzruszyłem ramionami.

– Jak dla mnie wydaje się zbyt oczywiste. Zdecydowanie za bardzo na widoku. Gliny się pokazały? – nie mogłem nie zapytać.

Marco wsypał sobie resztkę czipsów do ust i przeżuł je hałaśliwie.

– Owszem, koło północy. Kilka osób zgarnęli za posiadanie, a Erica złapali na pieprzeniu jakiejś nieletniej laski w jednym z pomieszczeń na tyłach. Gash był wkurzony.

W ogóle mnie tym nie zaskoczył. Wiedziałem, że to była zła lokalizacja. Za bardzo rzucała się w oczy.

– A kto to wyczał? Żyje jeszcze? – zachichotałem, wiedząc aż za dobrze, jaka mogła być reakcja Gasha na taką wtopę.

– To był jakiś ściągnięty przez Gasha nowicjusz. Myślę, że koleś miał jakieś związki z jedną z jego pobocznych działalności. Niespecjalnie myślący, najwyraźniej. A jeśli chodzi o to, czy żyje, to naprawdę, za mało mnie to interesuje, żeby w ogóle chciało mi się zawracać dupę dopytywaniem. – Marco zmiął torebkę w rękę i cisnął ją do kosza, kompletnie chybiając. Oczywiście nie zadał sobie trudu, żeby ją podnieść.

– No to Gash jest w plecy – powiedziałem bez współczucia.

– No, a co ty myślisz o tym, żeby wrócić?

Chciałem przewrócić oczami. Jakim Marco był tępym młotem.

– Nie zamierzam dilować tego gówna...

– Dobra, dobra, słyszałem to już, mówiłeś głośno i wyraźnie. Mówię o powrocie jako zwiadowca. Gash wie, że jesteś najlepszy. I chce ci też nieźle zapłacić. Znacznie więcej, niż zarabiałeś wcześniej. – Marco pociągnął nosem i obrzucił moje smutne mieszkanie pełnym obrzydzenia spojrzeniem. – A ty sprawiasz wrażenie kogoś, komu przydałaby się dodatkowa forsa. To miejsce jest dołujące.

Otworzyłem usta, żeby odrzucić jego propozycję, ale zawahałem się.

Bo pomysł był naprawdę kuszący.

– Daj spokój, Gash nie prosi cię o to, żebyś sobie pobrudził te swoje śliczne rączki. Po prostu znajdź miejscówkę. I może pokaż się od czasu do czasu i bądź tym swoim normalnym paskudnym sobą, człowieku. Compulsion to twój plac zabaw, stary, i wiem, że za nim tęsknisz – powiedział Marco z szyderczym uśmiechem.

– Nie wiem – powiedziałem powoli, wiedząc, że ta oferta jest za dobra. Zbyt idealna. Musiał być jakiś haczyk. Z Gashem zawsze tak było.

– To może tak: muszę dziś znaleźć jakąś miejscówkę. Tak konkretnie to teraz. Może byś poszedł ze mną? Zawsze miałeś lepsze

oko do takich nierzucających się w oczy dziur niż ja. Będzie jak za starych dobrych czasów.

Wyciągnął kluczyki z kieszeni i kiwnął głową w stronę drzwi.

Jak za starych dobrych czasów.

Komu to mogło szkodzić?

Wcale nie wybierałem się do klubu. Nie zamierzałem się postawić z powrotem w sytuacji, która mogła wyzwolić głód.

Więc czemu nie?

Spojrzałem na gazetę rozłożoną na stoliku na dziale ogłoszeń.

– Jasne. Pewnie.

\*

– Gash będzie wniebowzięty – powiedział Marco z szerokim uśmiechem, kiedy odjeżdżaliśmy spod starego młyna na przedmieściach miasta.

To była miejscówka, którą znalazłem wiele miesięcy temu, ale natychmiast pomyślałem, że idealnie się nada na klub. Spokojne miejsce, na uboczu, a co najlepsze: z dala od policji.

Gashowi na pewno się spodoba.

– Słuchaj, musisz po prostu wiedzieć, gdzie szukać takich miejsc – powiedziałem wymijająco.

Prawda była taka, że sprawiło mi przyjemność zrobienie tej drobnej rzeczy, która kiedyś była częścią mojego życia.

Chociaż nabrałem ochoty na więcej, niż powinienem. Na więcej, niż było dla mnie dobre.

– No to dlaczego nie wrócisz? Tylko jako zwiadowca. Nie musisz zajmować się innymi rzeczami, jeśli nie masz ochoty – zasugerował Marco, uparcie wracając do tematu. W ciągu dwóch krótkich godzin, jakie zajęło nam znalezienie miejscówki na Compulsion, powtórzył tę propozycję co najmniej kilkanaście razy. Powinien się nagrać, żeby oszczędzić sobie, kurde, wysiłku.

– Jezu, jesteś jak zdarta płyta, Polo – jęknąłem, nie chcąc przyznać, jak kusząca była to propozycja.

Mimowolnie usprawiedliwiałem się już w myślach na wszelkie

możliwe sposoby.

Potrzebowałem pieniędzy.

Lepsze to niż harować w jakiejś gównianej robocie za płacę minimalną.

Nie muszę nawet pokazywać się w klubie.

Nie postawię się z powrotem w sytuacji, w której kusiłoby mnie, by zrobić cokolwiek podobnego do tego, co wcześniej napotykało mi biedy.

Marco wyczuł moje wahanie i uśmiechnął się szeroko, wiedząc, że mnie ma. Musiał go ucieszyć mój brak odmowy, bo nie zagroził, że będę za chwilę pluł jedynekami za posługiwanie się przezwiskiem, które gwarantowało wyprowadzenie go z równowagi.

– No dobra, ale chcesz to zrobić. W ogóle nie rozumiem, o co to wielkie halo. Zrobiłeś zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, który kompletnie nie ma sensu. Chcesz mi wreszcie powiedzieć, co się wydarzyło? Co ci się stało, że nagle zrobiłeś się taki praworządny? – zapytał, parkując przed sklepem, nad którym mieszkałem.

No jasne, już pędzę.

– Może po prostu mam po dziurki w nosie odgrywania roli niemoralnego gnoja – powiedziałem.

Marco prychnął.

– Ale kurwa, nie ma tu bardziej niemoralnego gnoja od ciebie, stary.

– Ty naprawdę aż się prosisz, żeby moja piącha zdefasonowała ci buźkę.

– Wszystko jedno. Wpadnę w przyszłym tygodniu i przyniosę ci kasę. A potem możemy zrobić to jeszcze raz. Będzie bomba – powiedział Marco, po czym zaniósł się wysokim skowytem.

– Nie powiedziałem, że to zrobię – zauważyłem.

– Ale też nie powiedziałeś, że nie zrobisz – odparował.

Poczułem to. Ta chwila, kiedy zacząłem się cofać, była niemal niezauważalna, ale przecież była. Czułem się bezradny, jakbym nie potrafił zatrzymać rozwoju wydarzeń.

– Dobra, dobra – zgodziłem się wreszcie.

– Super, stary. Dobrze będzie mieć cię z powrotem – powiedział

i zabrzmiało to tak, jakby faktycznie mówił poważnie.

– Jasne – odparłem i wiedziałem, że w głębi ducha się z nim zgadzam.

Wróciłem do mieszkania i podniosłem listy, które wrzucono przez szparę w drzwiach. Rachunki. Kolejne rachunki. Opanowany nagłą złością zmiałem je w kulkę i rzuciłem przez pokój. Usiadłem na kanapie i włączyłem telewizję, ale wyświetlał się tylko obraz kontrolny. Próbowałem zmienić kanał, ale wszędzie było to samo.

Domyśliłem się, że gdzieś w tej stercie przypomnień o zaległych płatnościach leży rachunek za kablówkę. Niezapłacony.

Wyłączyłem telewizor i rzuciłem pilotem o ścianę. Patrzyłem z satysfakcją, jak rozpada się na kawałki, a baterie toczą się po podłodze.

Podniosłem gazetę, którą zostawiłem na niskim stoliku. Nic tam nie było. Nic dla kolesia z niewielkim doświadczeniem i bez dyplomu. Nawet po otrzymaniu pomocy finansowej, którą udało mi się załatwić, żeby pokryć chesne za resztę zajęć, nadal musiało mi zabraknąć na opłacenie wszystkich kosztów. Byłem już naprawdę zmęczony martwieniem się o pieniądze i o to, czy będę musiał wcinać chińskie zupki przez pięć dni z rzędu. Albo czy będę miał wystarczająco dużo, żeby pomóc Landonowi tak, jak bym chciał.

Jak wyobrażałem sobie rozpoczęcie wspólnego życia z Aubrey, skoro nie miałem jej nic realnego do zaproponowania? Powoli stawałem się żalonym durniem karmiącym się nierealnymi marzeniami i niczym poza tym. Pomyślałem o złożonej przez Gasha propozycji powrotu do klubu i uzmysłowiłem sobie, że mam bardzo ograniczony wybór. A brak opcji był dla mnie sytuacją bardzo niebezpieczną.

„Wciąż tutaj jestem, Maxx. Na dnie twojej szuflady. Nigdzie się nie wybieram”.

Ten głos mnie kusił. Głód podpełzł mi jak wąż do gardła, utrudniając złapanie oddechu. Wstałem, poszedłem do łazienki i szybko odkręciłem kran nad umywalką. Ochlapałem sobie twarz zimną wodą i przetrąłem oczy.

Oparłem się o gładką porcelanę umywalki i zapatrzyłem na



człowieka wpatrującego się we mnie z lustra. Chciałbym móc powiedzieć, że lubię osobę, którą w nim zobaczyłem. Ale nie mogłem.

Pewnie, spojrzenie miałem jasne. Zniknęła chorobliwa ziemista bladość. Od wyjścia z odwyku przybrałem trochę na wadze, głównie dlatego, że jadłem tanie gówniane żarcie pełne tłuszczów i konserwantów, bo tylko na to było mnie stać.

Ale osoba, którą zobaczyłem w tym zamazanym szkle, wyglądała na zmęczoną, zagubioną i nieźle zdołowaną.

Sprawiła wrażenie pokonanej.

Odepchnąłem się od blatu i pospiesznie skierowałem do sypialni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Szarpnięciem otworzyłem szufladę, wygarnąłem z niej skarpetki i bokserki i rzuciłem je na podłogę. Znalazłem plastikową torebkę, którą włożyłem tam kilka tygodni wcześniej. Dwie tabletki śmiały się ze mnie.

Pragnąłem ich tak bardzo, że to aż bolało. Chciałem płakać, krzyczeć i kopać. Ale już po chwili gnałem z powrotem korytarzem, ściskając torebkę w garści, jakby ścigał mnie sam diabeł.

Pchnąłem drzwi do łazienki i padłem na kolana przed toaletą. Wrzuciłem pozostałą zawartość torebki do wody i drżącymi dłońmi nacisnąłem spłuczkę. Przetoczyłem się na bok, przyciągnąłem kolana do piersi i zaniósłem się szlochem.

Nienawidziłem się za to, że ciągle ich pragnę i że jestem tak słaby, iż prawie się poddałem.

A najbardziej ze wszystkiego nienawidziłem siebie za tę krótką chwilę, w której poczułem, że narkotyki są moim jedynym wyjściem. Że nic innego mi nie potrzeba.

Drżący i chory poczołgałem się do salonu i znalazłem telefon. Wybrałem numer, który wpisałem do kontaktów, ale nigdy go nie użyłem.

Przyłożyłem słuchawkę do ucha, nasłuchując sygnału.

– Gorąca linia dla wychodzących z uzależnienia, James przy telefonie, w czym mogę pomóc?

Wziąłem głęboki wdech, nie odpowiadając. Myślałem o tym, czy

się nie rozłączyć.

Miałem przed sobą długą drogę. Wybory, których miałem dokonać, określa to, w jaki sposób pójdę naprzód.

Przerażało mnie to.

– Cześć, James, jestem narkomanem i mam ochotę wziąć...

## Rozdział dwudziesty siódmy

-Aubrey-

Nie spodziewałam się, że mój dzień zakończy się decyzją o wyjeździe do domu.

Zaczął się jak każdy inny dzień, zupełnie zwyczajnie.

Wstałam. Ubrałam się. Zrobiłam sobie kawę. Pogadałam chwilę z Renee. Spotkałam w bibliotece Brooksa, starannie unikając wszelkich nawiązań do naszej niezręcznej rozmowy w moim mieszkaniu. Poszłam na zajęcia, zjadłam lunch, porozmawiałam przez telefon z Maxxem.

I wtedy odezwała się moja mama.

Telefon zadzwonił tuż po tym, jak usiadłam wieczorem do pracy domowej i zadanych lektur.

Odebrałam, nie patrząc na numer wyświetlający się na ekranie. Założyłam, że to musi być Maxx albo Renee.

Byłam mistrzynią powtarzania błędów.

– Aubrey, tak się cieszę, że odebrałaś. – Zastygłam, wstrząśnięta głosem mojej mamy po drugiej stronie.

Nie odzywałyśmy się do siebie od ostatniej rozmowy wiele tygodni wcześniej i zgodnie z moimi obliczeniami nie powinna dzwonić do mnie przez jakieś dwa do trzech miesięcy. Co najmniej.

Jej głos brzmiał dziwnie. Ochrypły i zduszony, jakby płakała. Natychmiast się zdenerwowałam.

– Czy wszystko w porządku? – zapytałam, myśląc, że coś musiało się stać mojemu tacie. To był jedyny powód, dla którego mogła do mnie dzwonić po tak krótkim czasie.

– Tak, wszystko w porządku – powiedziała niewyraźnie.

A potem zapadła cisza. To ja miałam ją wypełnić?

Wiele lat temu zapomniałam, jak prowadzi się normalne rozmowy z własną matką, więc nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Jest jakiś powód, dla którego dzwoniysz? – zapytałam wreszcie, decydując się zapytać wprost, zamiast dochodzić do tego opłótkami.

Spodziewałam się surowej reprimendy. Uwagi, że jestem niegrzeczna i powinnam uważać na to, jak się do niej zwracam. Nie doczekałam się.

Co tam się działo?

– Twój tata i ja porządkowaliśmy w tym tygodniu pokój Jayme. W końcu upraliliśmy jej ubrania, chcieliśmy przekazać je opiece społecznej. Ja... ja dosłownie nie potrafiłam tego zrobić.

Zmarszczyłam brwi. Dlaczego dzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć? Sprawiała wrażenie słabej i zmęczonej, zupełnie nie przypominając wrogiej, nieprzyjaznej kobiety, którą stała się po śmierci mojej siostry.

W równym stopniu byłam zaskoczona tym, że ona i tata naruszyli świątynię, którą zbudowali dla Jayme. Jej pokój pozostał dosłownie nietknięty, odkąd wyszła z niego po raz ostatni ponad trzy lata temu. Przy okazji jedynej wizyty w domu od rozpoczęcia nauki w college’u nakryłam matkę na zmienianiu pościeli w łóżku Jayme, jakby ta wciąż w nim spała.

„Mówiła ci wszystko! Musiałaś wiedzieć, co się dzieje! Jak mogłaś mi nie powiedzieć? Jak mogłaś nic nie zrobić, by pomóc swojej młodszej siostrze? Co z ciebie za człowiek?” – krzyczała na mnie matka wieczorem przed moim powrotem do Longwood. Wtedy po raz ostatni spałam pod dachem mojego dzieciństwa. Ostatni raz przebywałam w towarzystwie moich rodziców.

Tak bardzo przyzwyczaiłam się do urazy mojej matki, że prawie zapomniałam o innych stronach jej osobowości, prawie zupełnie wyparłam je z pamięci.

– Jestem pewna, że to nie było łatwe – zaczęłam powoli i ostrożnie, czując się tak, jakbym pakowała się w pułapkę.

Moja matka głośno pociągnęła nosem, potwierdzając, że faktycznie płacze.

– Znaleźliśmy kilka rzeczy i pomyślałam, że chciałabyś je wziąć. Trochę zdjęć i pamiątek, które Jayme, jestem tego pewna, chciałaby ci przekazać.

Przełknęłam gulę, która urosła mi w gardle.

– No, możesz je wysłać pocztą... – zaczęłam, ale mama mi przerwała.

– Tak naprawdę zastanawiałam się, czy nie wpadłabyś z wizytą. Poprosiłam cię o to przy okazji naszej ostatniej rozmowy, ale mi nie odpowiedziałaś. Tata i ja naprawdę chcielibyśmy cię zobaczyć. Nie widzieliśmy się... od zbyt dawna – dokończyła pospiesznie.

Zaparło mi dech.

– Chcesz, żebym przyjechała z wizytą? Dlaczego? – dosłownie wykrzyczałam do telefonu.

Matka ze świstem wciągnęła powietrze, a ja czekałam, aż *wreszcie* na mnie wrzaśnie.

Zachowała jednak spokój.

– Jestem twoją matką. Czy potrzebuję powodu, żeby się z tobą zobaczyć?

– Tak. Biorąc pod uwagę, że przez ostatnie trzy lata nie zaprzętałaś sobie tym głowy.

W moim głosie zabrzmiała złość. I faktycznie byłam wściekła. Sądziłam, że pogodziłam się już z brakiem relacji z rodzicami. Ale kiedy matka pomachała mi przed nosem marchewką swojego towarzystwa, odezwała się jakaś cząstka mnie, która wydawała się martwa. Cząstka, która tęskniła za uczuciem rodziców. Cząstka, która była kiedyś kochana i uwielbiana przez swoją rodzinę.

– Myślę, że o wielu sprawach musimy porozmawiać. Możemy przyjechać do ciebie, jeśli tak będzie łatwiej. Tata i ja możemy sobie wynająć pokój w hotelu. Zabrać cię na obiad...

– Nie! – powiedziałam głośno.

Wiedziałam, że ostatnim, czego chcę, jest goszczenie ich w Longwood. Nie mogłam pozwolić na to, by wdarli się w przestrzeń, która stała się moją ucieczką. Od domu. Od wspomnień o Jayme. Od nich.

– W porządku, rozumiem – powiedziała matka, a jej głos zabrzmiał bardzo smutno, co było dla mnie z wielu względów strasznie trudne.

Nie potrafiłam się bronić przed tą osobą, tym duchem mojego

dzieciństwa, o którym sądziłam, że już dawno przepadł.

Nie miałam pojęcia, co doprowadziło do tej dramatycznej zmiany, ale byłam czujna i nieufna. Znieczuliłam się na moich rodziców, bo głęboko mnie zranili, ale moje serce rwało się do tego, żeby się przed nimi otworzyć. Chciało tego. Chciało znów ich pokochać.

Całe lata unikałam powrotu do tego miejsca. Ciężko pracowałam, żeby zostawić to za sobą, nawet jeśli wspomnienia o siostrze i rodzinie, którą straciłam, każdego dnia szarpały mi wewnętrznosci. Trwałam w przekonaniu, że nie mogę tam wrócić. Nigdy.

Cichy żal w głosie mojej matki sprawił jednak, że zdarzyło się coś, co wydawało mi się już niemożliwe.

Zatęskniłam za domem.

– Ale proszę, zastanów się nad tym. Myślę, że to ważne. Dla nas wszystkich – powiedziała cicho, a brak rozżalenia w jej głosie zabrzmiał głośniejsz niż jej słowa.

– Pomyślę – obiecałam.

Odłożyłam telefon wewnętrznie rozdarta.

\*

– *Kurczę!* – krzyknęłam, sfrustrowana upuszczając ołówek. Siedząca po drugiej stronie kuchennego stołu Jayme zachichotała, a ja rzuciłam jej złe spojrzenie.

– *Co się dzieje, Aubrey?* – zapytała matka od strony kuchennych drzwi.

*Wróciła właśnie z naręczem drewna do kominka, które ojciec porąbał w poprzedni weekend. Jesień miała się już ku końcowi. Karolina Północna doświadczała nietypowej fali chłódów, które wszystkich zupełnie zaskoczyły. Prognozy pogody wspominały nawet o możliwości lekkich opadów śniegu przed końcem tygodnia.*

– *Nienawidzę algebry! Ja tego wszystkiego po prostu nie rozumiem!* – poskarżyłam się, podnosząc ołówek.

*Powinnam była słuchać, kiedy ludzie mówili, że liceum jest znacznie trudniejsze niż gimnazjum. Sądziłam, że dam sobie radę. To znaczy byłam inteligentna. Miałam same piątki. Co mnie tu mogło zaskoczyć?*

Zaskoczyła mnie algebra z panem Foltzem.

– Bardzo zabawnie wyglądasz, kiedy masz ochotę krzyczeć – zaczęła droczyć się ze mną Jayme, choć nie było w tym złośliwości. Pokazałam jej język.

– Czekaj tylko, Jay. Za dwa lata będziesz dokładnie tu, gdzie ja, i wtedy ja się z ciebie pośmieję – zagroziłam, choć w moich słowach nie było tak naprawdę jadu. Obie wiedziałyśmy, że kiedy przyjdzie pora, i tak będę jej pomagać z pracami domowymi.

Mama otworzyła lodówkę i wyciągnęła dzbanek mrożonej herbaty, którą zrobiła wcześniej, nalała nam do szklanek i przyniosła do stołu. Postawiła jedną przede mną i wręczyła mi ciasteczko z kawałkami czekolady.

– Pokarm dla mózgu – powiedziała, po czym uśmiechnęła się i usiadła obok mnie.

Przyjęłam proponowaną przekąskę i zjadłam, myśląc o tym, że nie było na świecie nic lepszego niż upieczone przez mamę ciasteczka z kawałkami czekolady.

– No dobrze, to na czym polega problem? – zapytała, pochylając się nad moją książką z wyrazem skupienia na twarzy.

Wskazałam na niezrozumiałe wyjaśnienia na stronie.

– Pan Foltz pokazał nam jeden sposób robienia tych zadań, w książce podany jest zupełnie inny. Żadnego z nich nie rozumiem! – jęknęłam i ukryłam głowę w skrzyżowanych ramionach w akcie nastoletniego melodramatyzmu.

Słyszałam, jak Jayme chichocze, a mama łagodnie ją ucisza. A potem poczułam jej dłoń na moich plecach. Spokojny, pocieszający dotyk. Uniostałam głowę i spojrzałam na matkę. Chociaż byłam nastolatką i szybko wyrastałam z przekonania, że rodzice są najfajniejszymi ludźmi na ziemi, wciąż wierzyłam, że moja matka ma odpowiedź na wszystko. Trzymałam się tej wiary z takim przekonaniem, że nie sądziłam, bym kiedykolwiek mogła ją stracić.

Moi przyjaciele zawsze strasznie mi zazdrościli relacji, jaką miałam z matką. Sądzili, że trudno mieć fajniejszego rodzica. Brała mnie na zakupy, rozmawiała ze mną o chłopakach, pomagała mi nakładać makijaż, w którym świetnie wyglądałam. Byłam szczęściarą.

*Teraz wsunęła mi palec pod brodę i uniosła mi twarz do góry.*

*– Czasami musimy po prostu popatrzeć na coś inaczej. Nigdy nie jest tak prosto, żeby była tylko jedna odpowiedź.*

*Uśmiechnęłam się. Odwzajemniła uśmiech. Jayme wyszczerzyła się z drugiej strony stołu.*

*Do tego momentu całe moje życie składało się z takich właśnie chwil. Czuję się absolutnie i całkowicie kochana.*

\*

Czekałam na Maxxa po jego zmianie w kawiarni. Od ponad godziny siedziałam w jednym z boksów, udając, że przeglądam zadane lektury, podczas gdy tak naprawdę po prostu patrzyłam, jak pracuje.

Wyglądał na zmęczonego. Pod oczami miał głębokie cienie. Klientów witał wymuszonym uśmiechem. Jego przenikliwe niebieskie oczy były matowe i obojętne, choć wciąż rozjaśniały się, kiedy na mnie patrzył.

Widziałam, jak rozmawia z inną dziewczyną ze zmiany. Rzuciła mu mdląco słodki uśmiech i zarzuciła włosami. Wziął do ręki talerz ciasteczek z nadzieniem karmelowym i kiwnął głową w moją stronę.

Szybko ukryłam się za książką, ale zerkałam znad okładki. Dziewczyna zrobiła kwaśny wyraz twarzy, ale skinęła głową.

– Widzę cię – powiedział Maxx i klapnął w boksie naprzeciwko mnie.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że się ukrywam – rzuciłam kpiąco, chociaż czułam się zakłopotana tym, że złapano mnie na gapieniu się, jak jakąś psychopatyczną narzeczoną.

Przesunął w moją stronę talerz ciasteczek, a jego zmęczona twarz złagodniała, gdy na mnie spojrzał.

– Co ty tam mówiłaś na temat czekolady? – droczył się.

– Że zrobiłabym za nią wszystko – odparłam, biorąc sobie ciasteczko i odgryzając kawałek.

– Na to właśnie liczę – powiedział głębokim, ochrypłym głosem.

Odchrząknęłam, czując, jak się rumienię, a brzuch kurczy mi się



w ten lekko bolesny, ale bardzo podniecający sposób.

– A więc mam dla ciebie propozycję – obwieściłam, odkładając niedojedzone ciasteczko na talerz.

Maxx sięgnął przez stół, ujął moją dłoń i zaczął przesuwać po niej w tę i z powrotem kciukiem.

– No, taki był sens karmienia cię czekoladą. – Uśmiechnął się z wyższością.

Przewróciłam oczami, ale żeby móc mówić dalej, musiałam odchrząknąć.

– Myślę o tym, żeby pojechać do domu na weekend. Zobaczyć się z rodzicami – powiedziałam szybko, czując potrzebę wyrzucenia tego z siebie, zanim zabraknie mi odwagi.

Maxx zmarszczył brwi, puścił moją dłoń i oparł się na siedzeniu.

– Okej...

– Nie byłam w domu od trzech lat. – Wyjrzałam przez okno, a potem znów spojrzałam na niego. – Od trzech lat nie widziałam się z rodzicami – ciągnęłam.

– Wow. Okej. To dlaczego chcesz to zrobić teraz? Wszystko w porządku? – zapytał.

– W porządku. Zadzwoiła moja mama i powiedziała, że chciałyby, żebym przyjechała do domu. Ma jakieś rzeczy Jayme, które chciałyby mi dać. Po prostu sądzę... że już najwyższa pora.

Maxx skinął głową.

– No cóż, jeśli czujesz, że musisz to zrobić, to powinnaś.

– Chciałabym, żebyś pojechał ze mną – powiedziałam, zerkając na niego niespokojnie.

Aż do tej chwili nie myślałam tak naprawdę o tym, żeby Maxx ze mną pojechał, ale uzmysłowiłam sobie, że jeśli mam to zrobić, to chcę to zrobić razem z nim.

Zamrugał kilkakrotnie, sprawiając wrażenie zszokowanego.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą do Karoliny Północnej? Żeby spotkać się z twoimi rodzicami? – zapytał z niedowierzaniem.

Szlag.

To będzie ten moment pod hasłem „Poznaj moich rodziców”.

To było za dużo i za wcześnie.

Stanie okoniem, spanikuje i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Niedające spokoju wątpliwości, które miałam zawsze z tyłu głowy, gdy chodziło o Maxxa, przebudziły się z rykiem.

„On zaraz pójdzie poszukać sobie dragów. Przyparłaś go do muru i teraz będzie musiał poszukać tabletek. Tylko je dobrze zna. Zawsze będzie cię rozczarowywał. Jak możesz być z nim w związku, skoro mu nawet nie ufasz?”

Rozzłościłam się na siebie, że pozwalam temu koszmarnemu głosowi w mojej głowie zagłuszyć wszystko inne.

– W porządku. Nie musisz jechać. Po prostu pomyślałam, że zapytam. Pomyślałam tylko, że może miło byłoby się wyrwać...

– Oczywiście, że pojedę, Aubrey. Jeśli mnie potrzebujesz, jestem tu. Zawsze – powiedział Maxx poważnie. Wyciągnął rękę przez stół i uściśnął moją dłoń, a ja odrobinę się rozluźniłam.

– Wiem, że to duży krok, poznać rodziców i tak dalej. Zwłaszcza moich rodziców, bo oni są dość niefajni. I jeśli cię to przeraża albo sprawia, że masz ochotę...

Maxx przechylił się przez stół, położył mi dłoń na karku i lekko przyciągnął mnie do siebie. Pocałował mnie. Zdecydowany nacisk jego warg skutecznie uciszył moje obawy.

Kiedy skończył, oparł swoje czoło o moje i dotknął swoim nosem mojego.

– Jestem gotów na wszystkie kroki, jakiegokolwiek by one były – wyszeptał, a ja zadrżałam.

Wyprostowałam się w boksie i uśmiechnęłam się do niego niewyraźnie, ale szczerze.

– No dobra, to chyba jedziemy do Karoliny Północnej.

\*

Serce we mnie zamarło, gdy przekroczyliśmy granice miasta. Marshall Creek w Karolinie Północnej nie zmieniło się ani na jotę. Było w tym coś zarówno pocieszającego, jak i irytującego.

Jechałam znajomymi ulicami, obok restauracji, do której mama zabrała mnie, by uczcić wygranie szkolnych wyborów. Minęłam

miejscową bibliotekę, w której Jayme pracowała na ochotnika jako uczennica gimnazjum, i znajdującą się tuż obok szkołę średnią, w której zdawałam egzamin dojrzałości.

Nie spojrzałam na żadne z tych miejsc. Nie musiałam. Ich wspomnienia zostały wdrukowane w mój mózg, czy tego chciałam, czy nie. I jakimś cudem nadal czułam się tu jak w domu.

Spodziewałam się, że nic nie poczuję. Otepienie. Emocjonalne oderwanie. Ale ciepło, które rozeszło się w mojej piersi po powrocie do tego małego miasteczka, było czymś nie do opisania. Dobrze mi z tym było.

Podczas dwuipółgodzinnej jazdy do mojego rodzinnego miasta Maxx nie był specjalnie rozmowny. Większość czasu spędził na gapieniu się przez okno i przygryzaniu dolnej wargi.

Po tym, jak zgodził się przyjechać tutaj i zobaczyć z moimi rodzicami, stał się jakby zamknięty w sobie. Był przy mnie, lecz zupełnie nieobecny myślami. Zaczęłam powątpiewać, czy poproszenie go o to, żeby tu ze mną przyjechał, w ogóle było dobrym pomysłem. Wydawało się, że strasznie mu to ciąży, a ja nie potrafiłam zrozumieć powodu. Żeby chociaż zdradził mi dlaczego.

– Zawsze wyobrażałem sobie ciebie w takim miejscu – mruknął pod nosem.

Wyjrzałam przez okno na nijakie domy z cegły i wypielegnowane trawniczki. Płotki z białych sztachetek, a na chodnikach pojedynczy biegacze z psami.

– Poważnie? – zapytałam, skręcając z głównej drogi w boczną uliczkę obsadzoną czerwonymi klonami. Jesienią ich liście przybierały barwę jaskrawej, niemal brutalnej czerwieni, a Jayme zawsze uwielbiała się pod nimi przechadzać.

– Idealny obrazek – powiedział Maxx, patrząc wreszcie wprost na mnie. – Ulice są czyste, domy odmalowane, ludzie się uśmiechają. Zaslugujesz na to, by mieszkać w takim miejscu.

Nie wiedziałam, jak zareagować, więc odpowiedziałam tylko lekkim uśmiechem, który szybko zbladł. Zwolniłam, zbliżając się do końca ślepego zaułka i domu z jasnoniebieską okładziną i żaluzjami od słońca, otoczonego znajomymi czerwonymi klonami. Wśród

nagich konarów nadal widać było szkielet domku na drzewie, który mój tata zrobił dla Jayme, kiedy miała sześć lat.

Zaparkowałam samochód na podjeździe. Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. I wtedy zaczęłam panikować.

– Nie dam rady – powiedziałam, z trudem wydobywając ochrypy głos z zaciśniętego gardła. Chwyciłam się kierownicy, jakbym chciała ją złamać na pół. – Muszę stąd odjechać. Nie mogę tam wejść. – Usłyszałam we własnym głosie narastającą histerię i wiedziałam już, że za trzy sekundy stracę panowanie nad sobą. Zamknęłam oczy i spróbowałam miarowo oddychać przez nos, próbując uspokoić rwany oddech.

Z tego mojego powolnego osuwania się w dół wyrwał mnie delikatny dotyk na karku. Palce zanurzające się w moich włosach, ich zdecydowany nacisk na moją potylicę, miały natychmiastowe działanie uspokajające.

– Będzie dobrze, Aubrey – wyszeptał Maxx, a ja poczułam jego wargi na swojej skroni i miękki powiew jego oddechu, gdy wyszeptał mi w ucho: – Będzie dobrze.

Otworzyłam oczy i obróciłam się, by na niego spojrzeć. Niebieskie oczy świdrowały mnie na wylot i wiedziałam już, że ma rację. Nachyliłam się i pocałowałam go, niezdolna ująć w słowa, ile znaczy dla mnie jego obecność. Maxx Demelo był *moim* zbawicielem.

– No dobra, zróbmy to – powiedziałam nieco głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Oderwałam się od Maxxa i otworzyłam drzwi, wychodząc, zanim zdąży się rozmyślić.

– Wezmę nasze torby – powiedział, kiedy ruszyłam na ganek. W ciągu tych kilku sekund, jakie zajęło mi podejście pod budynek, który kiedyś był moim domem, dostrzegłam dziesiątki szczegółów. Moi rodzice zastąpili starą, zniszczoną bujaną ławę zestawem małych mebli tarasowych z kutego żelaza. Stary krzak róży mojej matki rosnący pod jedną ze ścian został wykopany, a jego miejsce zajęła drewniana krata.

Było jasne, że matka ma nadal kompulsywne podejście do prac ogrodowych. Widziałam, że teraz, kiedy zrobiło się cieplej, pracowała nad uporządkowaniem rabatek.

Moje spojrzenie przesunęło się po wysłużonych stopniach, na które wspinałam się niezliczoną liczbę razy. I nagle stałam przed drzwiami, które nie były już lśniąco białe, lecz granatowe. Tyle się zmieniło, a jednak wszystko wydawało się wciąż takie samo. Kojąca swojskość domu groziła mi zupełnym rozstrojem nerwowym.

Stałam tam, gapiąc się na drzwi i nie potrafiąc się zmusić, by zapukać. Nie miałam pewności, na co czekam, ale nie byłam zdolna unieść ręki.

– Chcesz, żebym to zrobił za ciebie? – zapytał Maxx cicho, stawiając nasze torby na ziemi u swoich stóp.

Skinęłam głową. To było to. To był dom.

## Rozdział dwudziesty ósmy

-Aubrey-

Maxx zapukał, głośno i miarowo. I nagle w otwartych drzwiach pojawiła się matka, jakby czekała tuż za nimi.

– Aubrey – wymamrotała ochryplym szeptem.

Była zaskoczona. Nie powiedziałam jej, że przyjeżdżam.

Zupełnie inaczej zapamiętałam jej twarz. Nie wyglądała na szczególnie ucieszoną moim widokiem. Zaczęłam się zastanawiać, czy ten mój pomysł nie był czasem jedną wielką pomyłką.

– Mamo – odpowiedziałam, patrząc na kobietę, która mnie kochała, a później odrzuciła.

Nie zrobiliśmy kroku w swoją stronę, ale czułam jej spojrzenie na sobie, kiedy mi się przypatrywała, i zastanawiałam się, jak bardzo nie spełniam jej oczekiwań.

Postarzała się, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Jej blond włosy przyprószyła siwizna, a gładką niegdyś twarz poznały zmarszczki. Oczy miała zmęczone i smutne, a ramiona lekko obwisłe. Wyglądała na znużoną i... *starą*. To było szokujące.

Na szczęście Maxx odchrząknął i przerwał to napięcie.

– Dzień dobry, pani Duncan. Nazywam się Maxx Demelo, jestem chłopakiem Aubrey – powiedział, wyciągając rękę.

Moja matka posłała w jego stronę uprzejmy uśmiech.

– Aubrey nigdy nie wspomniała, że ma chłopaka – powiedziała, a ja miałam ochotę przewrócić oczami.

– Co jest naprawdę niesamowite, biorąc pod uwagę, jak często sobie ucinamy pogawędkę – powiedziałam z lodowatym sarkazmem.

Maxx otworzył szeroko oczy, a mama zacisnęła zęby, choć mogłabym przysiąc, że zanim się opanowała, po jej twarzy przemknął wyraz bólu.

Uścisnęła dłoń Maxxa, po czym odsunęła się na bok, gestem zapraszając nas do środka.

– Nie spodziewałam się, prawdę mówiąc, wizyty, więc wybaczcie mi lekki bałagan – powiedziała, sprawiając wrażenie nieco podenerwowanej.

Uzmysłowiłam sobie, jak nie w porządku z mojej strony było wpadać tu nieoczekiwanie, i to jeszcze z chłopakiem, nie dając jej czasu na przygotowanie się.

Chyba bałam się, że jeśli znów z nią porozmawiam, to stchórzę. Ona powie coś, żeby mnie wkurzyć, a ja nigdy nie zdołam wykonać tego skoku, koniecznego, by połączyć moją przeszłość z przyszłością.

Unikałam tego miasta, tego domu, tej kobiety przez tak długi czas – i byłam już zmęczona uciekaniem. Skoro Maxx podejmował wysiłek, by zostawić za sobą przeszłość, to ja byłam winna jemu – nam – to samo.

Zatrzymałam się więc na chwilę, wzięłam wdech, wypuściłam powietrze w płuc, opanowałam się i dopiero wtedy weszłam za moją matką do domu. Maxx położył dłoń na moim krzyżu i ten delikatny nacisk, odrobina otuchy, był wszystkim, czego potrzebowałam, by ukoić stargane nerwy.

Sięgnęłam w dół i splotłam swoje palce z jego, znajdując oparcie w człowieku, który zawsze to we mnie szukał opoki. Teraz powoli stawał się moim fundamentem.

Razem przekroczyliśmy próg. Zatrzymałam się i rozejrzałam wokół. Wydawało mi się, że w powietrzu słyszę echo śmiechu mojej młodszej siostry. Wspomnienia tysięcy posiłków i oglądanych wieczorem filmów. Lata wakacji i tych nieskończenie drobnych momentów, z których składa się życie. Były wszędzie. Wszędzie wokół mnie. Groziły utopieniem mnie w radości i bólu wspomnień.

To był ten sam dom, a jednak inny. Umeblowanie wyglądało tak, jak je zapamiętałam, choć ściany wydawały się dość niedawno pociągnięte świeżą warstwą farby. Tym, co się zmieniło, była atmosfera. Dom wydawał się... *pusty*.

Zniknęły serce, miłość, ośrodek domu. Był skorupą szczęśliwego miejsca, które zapamiętałam z dzieciństwa. Ono zostało pogrzebane w ziemi razem z moją siostrą.

Nienawidziłam tego.

Wydawało się nie w porządku, że trzy lata później wciąż byliśmy więźniami żalu, który prawie nas zniszczył. Spojrzałam na matkę, która wyglądała bieżnik na stole w jadalni. Wyglądała na zdenerwowaną i skrepowaną moją obecnością tutaj, choć to ona poprosiła, żebym przyjechała.

Po raz pierwszy od śmierci siostry pozwoliłam sobie odpuścić – odrobinę – gniew i rozżalenie, które boleśnie rozgościły się we mnie na stałe. Zmęczyło mnie już bycie tą emocjonalnie zdystansowaną, słusznie wściekłą kobietą, która czuła się skrzywdzona przez rodziców i zdradzona przez siostrę. Siostrę ukrywającą sekrety, które ostatecznie ją zabiły. Trwanie w tym było wyczerpujące.

Maxx wciąż mocno ścisnął moją dłoń. Wzrokiem objął przestrzeń, którą kiedyś zamieszkiwałam, i wydawał się chłonać ją we wszystkich szczegółach, choć jego twarz niczego nie wyrażała.

Zastanawiałam się, co myśli. Czy ta sytuacja przywołała wspomnienia jego własnej rodziny? Czy wyzwoli w nim coś mrocznego?

Zanim zdążyłam przerazić się tą myślą, moja matka przestała się gryźć i odwróciła się z powrotem do nas.

– Naprawdę żałuję, że nie powiedziałaś mi, że przyjeżdżasz. Nie przygotowałam nawet twojego pokoju. – Skłoniła głowę w stronę Maxxa. – Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie na kanapie. Ojciec Aubrey i ja nie jesteśmy z gatunku tych liberalnych rodziców, którzy nie mają nic przeciwko temu, by ich córka dzieliła łóżko z mężczyzną bez ślubu.

Pokryłam chichot napadem kaszlu. Surowe słowa mojej matki wydały mi się zabawne. Dobrze się czułam, śmiejąc się, zamiast wściekać się na jej rażąco krytykancki ton.

Maxx odchrząknął i spojrzał na mnie z ukosa, po czym odwrócił się z powrotem do mojej matki i jej ściągniętych warg.

– Tak, proszę pani. Absolutnie tego nie oczekiwałem. Kanapa będzie świetna.

Matka skinęła głową w stronę salonu.

– Możesz zostawić tam swoje rzeczy. – A potem jej spojrzenie pomknęło w moją stronę i twardy wyraz jej ust lekko złagodniał. –



Aubrey, pozwól, że zaprowadzę cię do twojego pokoju.

– Wiem, gdzie jest mój pokój, mam – zauważyłam, niepewna, czy jestem gotowa, by zostać z nią sama.

I znów to samo, ten przebłysk bólu, który pojawił się i zniknął, zanim zdążyłam nabrać pewności, że w ogóle go widziałam. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Nie wiedziałam, czego mogę się po niej spodziewać. W ciągu kilku ostatnich lat nasze kontakty były rzadkie, napięte i podszyte goryczą. Ale teraz, chociaż uczucia te wciąż trwały, na pierwszy plan wydawało się wysuwać coś innego.

Niepewna nadzieja.

– No dobrze. Pójdę w takim razie wstawić kawę. Zejdź, jak już zostawisz rzeczy w swoim pokoju.

Potem wyszła, a ja wzięłam swoją torbę od Maxxa, który sprawiał wrażenie zagubionego. Wiedziałam, że stawiam go w niezwykle niezręcznej sytuacji. To było nie w porządku z mojej strony: szukać w nim oparcia, kiedy dopiero co zaczął się uczyć, jak radzić sobie z własnymi problemami.

Ale potrzebowałam go. I musiałam być w stanie na nim polegać.

Może go testowałam. Testowałam nas. Testowałam siłę tego nowego związku, którego dla siebie szukaliśmy. Chciałam zobaczyć, czy się załamiemy, czy zdołamy unieść ciężar naszych brzemion.

Patrząc w jego oczy, nie miałam całkowitej pewności, w jakim stanie z tego wyjdziemy. Złamani i wykrwawieni czy silni i zjednoczeni?

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – zapytał.

Na końcu języka miałam odmowę. Byłam gotowa stawić temu czoła sama – jak zmuszałam się do tego od bardzo dawna.

– Okej – powiedziałam, a głos lekko mi zadrżał.

Weszliśmy po schodach i poczułam niosący się z kuchni zapach parzonej kawy. Zapach, który powinien być pocieszający i swojski, lecz wydawał się ginać w ogłuszającej ciszy tego domu.

Kiedy dotarłam na podest, ruszyłam korytarzem i zawahałam się na ułamek sekundy, mijając pokój z zamkniętymi drzwiami.

– Pokój Jayme? – zapytał Maxx, wyczuwając moją skrywaną

panikę.

Skinęłam głową i szłam dalej. Otworzyłam drzwi wiodące do pokoju, w którym spałam przez pierwsze osiemnaście lat życia, i nieoczekiwanie cofnęłam się w czasie.

Rozejrzałam się, dogłębnie zdumiona, uzmysławiając sobie, jak bardzo niezmieniona pozostała ta przestrzeń. Naprawdę wierzyłam, że do tej pory rodzice spakowali już wszystkie moje rzeczy w pudła i wynieśli na strych. Może urządzili w tym pokoju gabinet albo składzik? Biorąc pod uwagę mało cywilizowane relacje, jakie nas łączyły, naprawdę nie oczekiwałam, że zechcą zachować cokolwiek należącego do mnie.

Ściskali kurczowo przerwana nić życia swojej martwej córki, więc uznałam, że nie znajdą już miejsca na to, co zostało ze mnie.

Całkowicie się myliłam.

– Nic się nie zmieniło – powiedziałam w zamyśleniu, obracając się w kółko i chłonąc wzrokiem każdy szczegół pokoju, o którym zdążyłam już zapomnieć.

– Miałaś słabość do różowego, co? – zapytał Maxx, pokazując palcem marszczone zasłony w różowe groszki.

– Byłam inną osobą – powiedziałam cicho, podchodząc do swojej komody i podnosząc fotografię w ramce.

To było zdjęcie przedstawiające Jayme i mnie po tym, jak wręczyła mi srebrną bransoletkę mankietową. Objęła mnie za szyję ramieniem i obie identycznie wyszczerzyłyśmy się do aparatu.

Przesunęłam palcem po gładkim, odkurzonym szkłe, żałując, że nie mogę ostatni raz dotknąć twarzy mojej siostry.

– Wow. Nie żartowałaś, mówiąc, że byłyście do siebie podobne – powiedział Maxx, patrząc mi przez ramię na zdjęcie.

Obróciłam się nieco, zerknęłam na niego i uśmiechnęłam się.

– Tak, ale ona była ładniejsza.

– Nie sądzę, by to było możliwe, Aubrey – mruknął, złożył lekki pocałunek na boku mojej szyi, po czym oparł mi brodę na ramieniu, rękami obejmując mnie w pasie. Oparłam się o niego, rozkoszując się jego życzliwym ciepłem.

– Wyglądacie na szczęśliwe – zauważył.

– Byłyśmy szczęśliwe. – Odstawiłam zdjęcie, obróciłam się w ramionach Maxxa i splotłam mu dłonie na karku. – Dziękuję ci, że tutaj jesteś. Chyba nie udałoby mi się zrobić tego samej – wyszeptałam.

– Nie musisz mi za nic dziękować. Cieszę się, że mogę tu dla ciebie być. Byłaś mi oparciem tak piekielnie długo, że czas już, żebym wreszcie mógł się zrewanżować.

Wspięłam się na palce i przywarłam wargami do jego ust.

Zamknął mnie w uścisku i rozchylił usta pod naporem moich warg. Nasze języki dotykały się i drażniły, w miarę jak pocałunek stawał się coraz głębszy. Tak łatwo było zatracić się w Maksie. Nawet tutaj, na środku mojej dziecięcej sypialni, z mamą piętro niżej.

Zanurzył palce w moich włosach, a ja przywarłam do niego całym ciałem, marząc, by móc się w nim roztopić.

– Hej, chwila, moment – powiedział Maxx bez tchu, cofając się. Twarz miał zarumienioną, a oczy błyszczące. – Nie sądzę, by rozebranie cię tutaj zjednało mi sympatię twoich rodziców. A jeśli w tej chwili nie przestaniesz, to taki właśnie będzie finał – ostrzegł pogodnie.

Uśmiechnęłam się.

– No dobrze, wrócimy do tego później. – Pocałowałam go ostatni raz, po czym cofnęłam się o krok. – Chyba powinniśmy zejść na dół – powiedziałam i serce znów zaciążyło mi w piersiach.

– Tak, powinniśmy – zgodził się, ściskając mnie za rękę.

Tata przyszedł do domu w ciągu tych kilku minut, które spędziłam na górze, a ja zastanowiłam się, czy matka do niego zadzwoniła.

Wyglądał tak, jakby postarzał się dwadzieścia lat. Kompletnie posiwiął, twarz miał zmęczoną i porytą zmarszczkami. Zniknął gdzieś silny, zawsze uśmiechnięty mężczyzna mojego dzieciństwa.

– Cześć, tato – powiedziałam cichym głosem.

Radzenie sobie z nim było pod pewnymi względami trudniejsze niż radzenie sobie z mamą.

Może dlatego, że nie okazywał dezaprobaty ani zawstydenia. Nie okazywał *niczego*.

Po śmierci Jayme kompletnie się ode mnie odsunął i wyglądało to tak, jakbym dla niego przestała istnieć.

I ta uraza, może silniejsza niż chłód mojej matki.

– Aubrey – powiedział z delikatnością, której nie słyszałam u niego od lat.

A potem zrobił coś zaskakującego. Przeszedł przez kuchnię i wziął mnie w swoje przesiąknięte zapachem tytoniu objęcia.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedział cicho w moje włosy.

Minęło tyle czasu, odkąd tata mnie przytulał. Tęskniłam za tym. Bardzo.

Miałam ochotę się rozplakać, ale nie zrobiłam tego. Nie teraz.

Cofnęłam się, odsuwając się nieco od człowieka, który mnie wychował.

– Rozumiem, że ciągle palisz tę fajkę – zauważyłam, próbując się uśmiechnąć i odkrywając, że moje usta ze mną nie współpracują.

Uśmiech ojca był równie nieudany.

– Trafiony, zatopiony.

– Ciągle mu powtarzam, żeby rzucił. Spróbował przejść na jedne z tych e-papierosów, ale wiesz, jaki jest uparty – odezwała się mama, przygotowująca kilka filiżanek kawy.

Chciałam zaoponować, że *nie wiem, jaki jest uparty. Już nie. Prawda była taka, że stojący przede mną ludzie wydali mi się obcy.*

Maxx wysunął się do przodu i wyciągnął rękę.

– Dzień dobry, panie Duncan, nazywam się Maxx Demelo. Miło pana poznać – powiedział uprzejmie.

Ojciec wydawał się zaskoczony jego widokiem, ale uścisnął wyciągniętą dłoń.

– I jesteś...? – zapytał, strosząc brwi.

Chwytałam Maxxa za rękę i przyciągnęłam go do siebie.

– Jest moim chłopakiem – odparłam.

Uśmiech spelzł z twarzy mojego ojca i między nami wyrosła cisza.

Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć. Albo zrobić.

– Weźmy kawę do salonu – wtrąciła moja mama, gestem dłoni kierując nas na korytarz.

Wręczyła mi parujący kubek i tym razem uśmiech przyszedł mi

naturalnie.

– Zachowałaś go – powiedziałam w zamyśleniu, unosząc naczynie, by zobaczyć wyblakły niebieski napis. Maxx zerknął mi przez ramię.

– To całkiem zabawne – zachichotał, wskazując kubek z napisem „Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne”, który Jayme podarowała mi lata temu.

– Tak, to prawda – przyznałam.

– Idziecie? – ponagliła nas matka już z korytarza.

Maxx odchrząknął.

– Jeśli nie mają państwo nic przeciwko, chciałbym podskoczyć do sklepu i kupić kilka rzeczy, których zapomniałem zabrać.

Zmarszczyłam na niego brwi.

Napotkał moje spojrzenie.

– Zaraz wrócę – powiedział, a ja natychmiast poczułam ukłucie paniki na myśl o tym, że zostanę sama z moimi rodzicami. Maxx był moim buforem! Nie mógł wyjść!

– Oczywiście. Target jest tuż przy autostradzie – podpowiedziała mama.

– Widziałem go, kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, chyba trafię.

Uśmiechnął się. Rodzice poszli do salonu, a ja napadłam na niego.

– Nie możesz mnie tu z nimi zostawić! Co jest, kurde, Maxx? – warknęłam wściekłym szeptem.

Pocałował mnie w czoło.

– Musisz z nimi porozmawiać... sama. Daj sobie ten czas ze swoimi rodzicami, Aubrey. Zaufaj mi, jak ci mówię, że będziesz żałować, jeśli tego nie zrobisz. – Oczy wypełniły mu się bólem, a ja wiedziałam, że myśli o własnych rodzicach, z którymi już nigdy nie zdoła porozmawiać.

– Nie wiem.

– Zrób to dla siebie. – Zanurzył nos w moich włosach i przytulił mnie mocno na chwilę, po czym odsunął się.

– Mogę prosić o kluczyki? – zapytał, wyciągając rękę.

– Nie jedź powyżej dwudziestu pięciu mil na godzinę i pilnuj się, żeby zatrzymywać się przed wszystkimi znakami stopu –

poinstruowałam go, kładąc mu kluczyki na dłoni.

– Tak, proszę pani. Zatroszczę się o pani skarb – zaśmiał się. Pocałował mnie po raz ostatni i popchnął lekko w kierunku salonu.  
– A teraz idź i porozmawiaj ze swoimi rodzicami.

\*

– Porządkujemy pokój Jayme i odłożyliśmy kilka rzeczy. Wydawało się nam, że niektóre z nich chciałabyś mieć – powiedziała matka, kiedy weszłam do salonu.

Poczułam się dziwnie niezręcznie, siedząc na tej samej sofie, która stała tam za czasów mojego dzieciństwa. Wytarte podłokietniki porządnie już nadgryzł ząb czasu.

Mama podała mi pudełko po butach, które ostrożnie od niej wzięłam.

– Sporo czasu zajęło nam przejrzanie jej rzeczy. Odkładaliśmy to, bo żadne z nas nie chciało się do tego zabrać – powiedział tata, pociągając łyk kawy.

Po pierwszym uścisku zachowywał się dość powściągliwie.

Zdjęłam pokrywkę z pudełka i zobaczyłam kolekcję przypadkowych skarbów pozbieranych przez rodziców w pokoju siostry. Wyciągnęłam zszarganego, wyblakłego różowego misia, który siedział na samej górze. Dlaczego, na litość boską, rodzice postanowili dać mi Pana Swizzle'a? Moja siostra spała z tym paskudztwem, dopóki nie poszła do liceum. A podejrzewałam, że i później ukrywała go pod poduszką i trzymała we śnie za łapkę.

– Eee... dzięki? – Trzymałam miśka w ręku, niepewna, co powiedzieć.

Matka wydała z siebie nerwowy śmiech.

– Nie pamiętasz, prawda? – zapytała, a ja zmarszczyłam brwi.

– Czego nie pamiętam?

Rodzice wymienili smętne spojrzenia i mama potrząsnęła głową.

– Oczywiście. Jak mogłabyś pamiętać? Byłaś taka mała. Ale wybrałaś tego misia dla Jayme, kiedy była niemowlęciem, tuż przed tym, jak przynieśliśmy ją ze szpitala do domu. Tata wziął cię na

zakupy po prezent dla niej na powitanie, a ty uparłaś się na Pana Swizzle'a. Odkąd go jej dałaś, Jayme spała z nim każdej nocy. Kiedy siedziała w kojcu, wkładaliśmy go jej do kącika i przestawała płakać. Nie było przypadku, żeby to nie zadziało – powiedziała, a ja gapiłam się tylko na wytartego, wypchanego zwierzaka trzymanego w dłoniach.

– Jak to możliwe, że nie wiedziałam, że to ja go dla niej wybrałam? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Teraz jest twój. Myślę, że chciałaby, żebyś go wzięła. – Mama otarła oczy, a ja widziałam, że zbiera się jej na płacz.

Odłożyłam misia i zaczęłam niepewnie grzebać wśród pozostałych rzeczy znajdujących się w pudełku. Uzmysłowiłam sobie, że moi rodzice z namysłem wybrali rzeczy, o których wiedzieli, że będą miały dla mnie znaczenie.

Zobaczyłam naszyjnik z koralami, który pomogłam jej wybrać, kiedy któregoś lata w gimnazjum pojechałyśmy nad morze. Pokłóciłyśmy się o ten konkretny naszyjnik, ale w końcu pozwoliłam go Jayme zachować, bo była moją siostrą i kochałam ją bardziej niż jakiś głupi element biżuterii. Jayme nosiła go przez całe lato.

Znalazłam stary notatnik ze spiralnym grzbietem i zszarganą okładką i uprzytomniłam sobie, że to nasz notes „tajnego klubu”. Przekartkowałam strony i natrafiłam na swoje dziecinne pismo i prymitywne rysunki Jayme ilustrujące szczegóły naszych tajnych misji i ważnych sekretów, których nie chciałyśmy nikomu zdradzać.

Matka pochyliła się w moją stronę i sięgnęła do pudełka.

– Pamiętasz to? – zapytała, wyciągając coś i kładąc mi na dłoni.

– *Wiedziałam*, że go wzięła! Co za podstępny bachor! – Aż mnie zatchnęło, a potem roześmiałam się stłumionym śmiechem.

Na mojej dłoni leżał srebrny wisiołek na łańcuszku, który babcia dała mi na Gwiazdkę, kiedy miałam dziesięć lat. Jayme dąsała się przez cały dzień, bo ona też chciała taki dostać.

Dwa dni później wisiołek tajemniczo zniknął, a ja już nigdy go nie zobaczyłam. Oskarżyłam Jayme, ale wyparła się wszystkiego, a ja narobiłam sobie kłopotów, upierając się, że to ona jest winowajczynią.

Matka potrząsnęła głową.

– Chyba jesteśmy ci winni przeprosiny za to, że ci nie uwierzyliśmy. – Uśmiechnęła się.

– Mówiłam wam, że go wzięła! Gdzie był? – Uniosłam wisiorek i zapięłam go sobie na szyi.

– W pudełku na dnie szafy. Myślę, że go ukryła i kompletnie o nim zapomniała. Były tam stare karty z pokemonami i łańcuszki zrobione z papierków po lizakach – powiedział tata.

– Nie mogę w to uwierzyć. Gdyby tu była, wybiłabym jej głupoty z głowy – mruknęłam.

Rozmowa zamarła. Siedzieliśmy w ciężkim milczeniu.

Przykryłam pudełko pokrywką i postawiłam je u swoich stóp.

– Dziękuję. Doceniam to – powiedziałam szczerze, zaskoczona, że przyszło im do głowy, żeby to dla mnie zrobić, biorąc pod uwagę stan naszych relacji na przestrzeni kilku ostatnich lat.

– Aubrey, wiem, że nie było łatwo od śmierci Jayme... – zaczęła moja matka.

– To mało powiedziane, nie sądzisz? – odparłam, nie mogąc powstrzymać jadowitego tonu.

Przygryzła dolną wargę i zamknęła oczy.

– Mama próbuje ci powiedzieć, że zachowaliśmy się wobec ciebie nie w porządku. Nie byliśmy takimi rodzicami, jakich potrzebowałaś. To złe i niewybaczalne. Po śmierci Jayme zamknęliśmy się w sobie i tym samym straciliśmy nie jedną, ale obie nasze córki – powiedział tata, wychylając się do przodu.

Oczy zaczęły mnie piec od niewypłakanych łez. Od jak dawna myślałam o nich tylko z żalem i goryczą za to, że opuścili mnie emocjonalnie, kiedy najbardziej ich potrzebowałam?

– Skrzywdziliście mnie. Bardzo mocno – wyszeptałam, utkwivszy wzrok w swoich dłoniach.

Wzdrygnęłam się pod dotykiem dłoni matki.

– Wiemy. Cierpeliśmy tak bardzo, że łatwiej było obarczyć winą ciebie niż pogodzić się z własną odpowiedzialnością za to, co przytrafiło się Jayme.

Poczułam pierwsze łzy uciekające mi po policzkach. Wytarłam je



pospiesznie.

– Ale nie myliliście się. Powinam była wam powiedzieć, co się dzieje z Jayme. Powinam była zrobić więcej, by ją ocalić. – Głos mi się załamał i przez oszalałe bicie serca ledwie usłyszałam samą siebie.

Tata wstał i usiadł obok mnie, a matka ścisnęła mocno moją dłoń obiema rękami.

– I tutaj właśnie zawiedliśmy cię, Aubrey. Bo ty też byłaś dzieckiem. Nigdy nie powinniśmy byli obarczać cię tego rodzaju odpowiedzialnością – powiedział zdecydowanie mój ojciec.

– Ale... – zaczęłam, ale matka mi przerwała.

– Nie! To my byliśmy rodzicami. Nie ty. *My* powinniśmy byli dostrzec, co dzieje się z naszą córką. To była *nasza* odpowiedzialność. I to nasz wstyd, i wyrzuty sumienia uniemożliwiły nam dostrzeżenie, jak traktujemy jedyne dziecko, które nam zostało. Przepraszam, Aubrey.

Wydałam z siebie zdławiony szloch, niezdolna dłużej powstrzymać łez.

– Dlaczego teraz? Jak to się stało, że tak nagle to do was dotarło? – zapytałam gwałtownie, czując, jak moje łzy mieszają się z narastającym latami gniewem.

– Któregoś sobotniego ranka siedzieliśmy w kuchni i piliśmy kawę, i wtedy podjęliśmy decyzję, by przejrzeć rzeczy Jayme. Żadne z nas nie było w stanie tego zrobić przez wszystkie te lata od jej śmierci. Ale tej soboty coś się zmieniło, wzięliśmy kilka toreb i poszliśmy do jej pokoju – wyjaśnił mój ojciec. – Przeglądanie jej rzeczy otworzyło wszystkie zagojone rany. I kiedy tak płakaliśmy, i śmialiśmy się z każdym nowym odkryciem tego, kim była nasza córka, dotarło do nas, że nie tęsknimy tylko za Jayme, ale też za tobą – dokończył tata cicho.

– A potem dostaliśmy wiadomość ze szkoły o zawieszeniu cię w programie terapeutycznym i wiedzieliśmy, że to wszystko nasza wina. Nie byliśmy takimi rodzicami, jakimi powinniśmy byli być. Pozwoliliśmy ci wyjechać do szkoły zaledwie kilka miesięcy po stracie siostry, samotnej w żałobie. Powinniśmy byli ci pomóc, ale

nie zrobiliśmy tego i nigdy nie zdołamy sobie tego wybaczyć. – Słowa mamy przerywane były jej zdławionym szlochem. Płakałyśmy razem, moja matka i ja. I nasze łzy zaczęły sklejać pęknięcia wewnątrz mnie.

Matka ostrożnie otoczyła mnie ramieniem, a ja pozwoliłam jej sobie objąć, niezdolna podsycać w sobie gniew, który czułam od tak dawna. Potrzebowałam tego. Potrzebowałam czuć miłość, którą tylko rodzice potrafili mi dać.

Przez wiele lat określały mnie moja żałoba i mój żal. Ciążyły mi i ciągnęły mnie w dół. Nadszedł wreszcie czas, by trochę odpuścić.

Ojciec objął ramionami mnie i matkę i poczułam promieniujące z wewnątrz ciepło.

Trzymali mnie w objęciach przez długi czas. Matka i ja nie przestawałyśmy płakać, a ojciec przytulał nas obie.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

-Aubrey-

Czułam się dobrze.

Wręcz idealnie.

Pogodziłam się z rodzicami. To był zaledwie pierwszy krok, ale ważny. Nadal mieliśmy spory bagaż emocjonalny, ale czułam, że wreszcie zostawiamy bolesną przeszłość za sobą.

Matka chciała dowiedzieć się, jak mieszkam i z kim się przyjaźnię. Tata pytał o zajęcia i jedzenie na stołówce. Byłam na trzecim roku w college'u, a rodzice po raz pierwszy zapytali mnie o te rzeczy. Ale przynajmniej teraz pytali.

Potem jednak chcieli poznać szczegóły mojego zawieszenia.

– W liście nie podano żadnych konkretów. Tylko tyle, że zostałam uznana winną naruszenia norm etycznych – obwieściła matka i w zakłopotaniu zmarszczyła brwi.

– Co to w ogóle znaczy? – zapytał ojciec.

Westchnęłam, żałując, że muszę zagłębiać się w ten temat właśnie teraz, kiedy rozpoczęliśmy proces naprawy naszych relacji.

– Prowadziłam grupę wsparcia w kampusie, żeby odrobić swoje godziny pracy ochotniczej. Ja... *zaangażowałam się...* w relację z członkiem grupy – przyznałam, uznając, że lepiej wyłożyć kawę na ławę niż to odwlekać.

– Zaangażowałaś się? – drążyła moja matka.

– Tak. No wiesz, byliśmy razem. Był moim chłopakiem.

Moi rodzice przetrawili ten kawałek informacji. Patrzyłam na nich, czekając na atak. Wyglądali na zaniepokojonych. Zasmuconych. Ale nie zbulwersowanych.

– Czy ta osoba nadal ma jakieś znaczenie? A co z Maxxem? Sądziłem, że to on jest twoim chłopakiem? – zapytał mój ojciec, zupełnie zdezorientowany.

Wzięłam głęboki wdech.

– Maxx jest tym chłopakiem, tato.

Rodzice aż się lekko wzdrygnęli, wstrząśnięci.

– Nadal jesteś z nim związana? A co z programem terapeutycznym? Co z twoją przyszłością? – zapytała matka, sprawiając wrażenie przerażonej.

– Maxx jest moją przyszłością, mamo. A jeśli chodzi o program terapeutyczny, to... i tak nie wiem, czy to właściwe dla mnie miejsce.

I właśnie wtedy, w najgorszym możliwym momencie, drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Maxx z torbą na zakupy.

Uniósł rękę w powitalnym geście i wyczuł dziwne napięcie panujące w pokoju. Matka uśmiechnęła się do niego sztywno, ale ojciec zawołał go do pokoju.

Maxx rzucił mi pytające spojrzenie.

– Rozmawialiśmy o moim zawieszeniu – wyjaśniłam, a Maxx spróbował ukryć wyraz paniki, który przemknął po jego twarzy.

– Oj – odpowiedział krótko.

– Usiądź, proszę, młody człowieku – powiedział mój ojciec, a ja odkryłam, że brakowało mi jego nadopiekuńczości.

Bo było dla mnie jasne jak słońce, że zamierzał odegrać wobec biednego Maxxa rolę papy niedźwiedzia.

– Nasza córka właśnie poinformowała nas o twojej historii. I musimy powiedzieć, że jesteśmy bardzo zaniepokojeni. Masz świadomość, co Aubrey kładzie na szalę, kontynuując wasz związek? – zapytała mama.

Maxx wyprostował się i podjął rękawicę.

– Aubrey jest wspaniałą kobietą, którą kocham całym sercem. I chociaż wiem, że dla większości ludzi nasz związek nie ma żadnego sensu, dla nas ma. Dzięki waszej córce jestem lepszym człowiekiem i muszę wierzyć, że jeśli podejmuje ryzyko, będąc ze mną, to muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by okazać się tego wartym.

Boże, kochałam go.

Po takiej deklaracji trudno było dodać coś więcej i moi rodzice musieli niechętnie porzucić temat.

Następnego dnia po śniadaniu z rodzicami zdecydowałam się

oprowadzić Maxxa po Marshall Creek. Wydawał się absolutnie gotowy do wyjścia na kilka godzin z ich domu.

– Chyba nigdy nie widziałem, żebyś tyle się uśmiechała – zauważył po tym, jak pokazałam mu swoją szkołę średnią i kościół, w którym Jayme i ja zostałyśmy ochrzczone.

– Chyba nie uśmiechałam się tyle od ukończenia siedemnastu lat – przyznałam, skręcając na mały parking niedużej restauracyjki w centrum miasta. Maxx przytrzymał mi otwarte drzwi, a ja weszłam do Sunset Café, najważniejszego baru w Marshall Creek, serwującego od lat pięćdziesiątych frytki i hamburgery.

Kiedy już zajęliśmy stół, automatycznie podniosłam wzrok na dźwięk dzwonka nad drzwiami i zauważyłam wchodzącego do środka wysokiego, szczupłego młodego mężczyznę z ciemnymi włosami do ramion. Poruszał się z nonszalancją wskazującą na absolutną pewność siebie.

Nie zmienił się.

Nie w ciągu tych trzech lat.

Nienawidziłam go za to.

Bo Blake Fields zasługiwał na to, żeby jego życie zawało się pod ciężarem jego czynów – tak jak pogrzebane zostało życie mojej siostry.

A oto proszę, sprawiał wrażenie całkiem żywego i w pełni sił.

Boże, jaką budził we mnie, kurwa, odrazę.

– Aubrey – mówił Maxx, ale prawie go nie słyszałam.

Mogłam tylko patrzeć, jak człowiek odpowiedzialny za śmierć mojej siostry odwraca się do dziewczyny, która weszła za nim do restauracji, otacza ją ramieniem i przyciąga bliżej do siebie.

Uśmiechnął się do niej, a ona wspięła się na palce, żeby pocałować go w usta. Odsunął jej włosy z czoła i uśmiechnął się do niej tak, jak nigdy nie widziałam go uśmiechającego się do Jayme.

– Aubrey! – powtórzył Maxx, ale zignorowałam go.

Zanim zdążyłam sobie uzmysłwić, co robię, podniosłam się i zaczęłam iść w kierunku wejścia do restauracji. Blake i jego dziewczyna rozejrzeli się, wyraźnie próbując znaleźć stół, przy którym mogliby usiąść. Żadne z nich nie zauważyło, jak do nich

podchodzę. Dopiero kiedy zatrzymałam się tuż przed nim, Blake zadał sobie trud, by w ogóle mnie dostrzec.

Zaskoczony zmarszczył brwi i wiedziałam, że usiłuje mnie gdzieś umiejscowić. Widziałam, że wydaje mu się znajoma, ale nie potrafi się zorientować skąd.

– Eee... hej? – to było raczej pytanie niż powitanie.

Jego dziewczyna spojrzała na mnie, potem na niego, nie mogąc się połapać, o co chodzi.

Przełknęłam ślinę, czując, jak nagle żołądek podchodzi mi do gardła.

Chciałam go walnąć w tę jego gładką buźkę. Wyrwać mu włosy z głowy. Połamać mu wszystkie kości w tym jego żalonym ciele i zostawić go, żeby sobie umarł w jakimś parszywym zaułku, tak jak on zostawił moją siostrę.

Wymyśliłam milion sposobów zabicia człowieka, który przede mną stał. Milion przerażających, bolesnych sposobów zadania mu takich samych tortur, jakie on nieświadomie zadał mojej rodzinie, będąc po prostu takim człowiekiem, jakim był.

Manipulanckim, tchórzliwym dilerem narkotyków.

Nadal się nie ruszałam. Blokowałam im wejście do restauracji. Otworzyłam usta do krzyku. Do wrzasku. Do miotania obelg i gróźb prosto w jego twarz.

Blake przekrzywił głowę, sprawiając wrażenie coraz bardziej zdezorientowanego.

Żył.

Moja siostra nie.

I nic nie mogło tego zmienić.

– Nazywam się Aubrey Duncan – powiedziałam cichym, zdławionym głosem.

Blake niepewnie zmarszczył brwi, wciąż nie mogąc rozgryźć, kim jestem.

Poczułam, jak Maxx staje za mną i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Kto to jest? – wyszeptał mi do ucha.

Dziewczyna Blake'a chwyciła go za ramię i podniosła wzrok.

– Co tu się dzieje, Blake? – spytała, sprawiając wrażenie

ziertywanej.

Zmarszczka na czole Blake'a pogłębiła się.

– Czy my się znamy?

– Jestem siostrą Jayme – powiedziałam, potykając się na słowach opuszczających moje wargi.

To zdanie uderzyło Blake'a z siłą ciosu w szczękę. Wzdrygnął się i pobladł. Zrobił krok w tył, odsuwając się ode mnie.

Wpatrywałam się w niego, chcąc dodać o wiele więcej. Chciałam mu powiedzieć, że winię jego bezmyślne działania za zniszczenie mojej rodziny. Chciałam mu przypomnieć o jego egoizmie, który zabił ukochaną przeze mnie osobę.

Ale widząc wyraz jego twarzy, już nie musiałam.

– Przepraszam! – wypalił nagle udręczonym głosem, a twarz mu się skurczyła.

Staliśmy tam, Blake i ja, dwoje ludzi nieodwracalnie związanych dziewczyną, którą oboje straciliśmy.

– Dlaczego ją tam zostawiłeś? – zapytałam.

To pytanie najbardziej mnie prześladowało. Myśl o tym, że ten dupek zostawił moją młodszą siostrę, żeby umarła. Sama.

Dziewczyna Blake'a pociągnęła go za ramię, próbując zwrócić jego uwagę, ale on był skupiony na mnie. Wiedziałam, że robimy z siebie widowisko. Czułam, że ludzie na nas patrzą, ale nie obchodziło mnie to. Niejasno uświadamiałam sobie obecność ciepłej dłoni Maxxa na mojej skórze, ale nie mogłam odwrócić wzroku od żalosego człowieka stojącego przede mną.

Blake postąpił krok naprzód, po czym zatrzymał się. Puścił rękę swojej dziewczyny, jakby nie pamiętał, że ona wciąż tam jest. Oboje ugrzęźliśmy w bagnie rozpacz.

– Nie wiedziałem! – powiedział błagalnie i zacisnął opuszczone dłonie w pięści.

– Co to ma znaczyć, do cholery? – zapytałam stanowczo, nie przejmując się w ogóle tym, że mówię coraz głośniej i znajduję się w centrum uwagi.

– Aubrey, to prawdopodobnie nie jest właściwe miejsce – powiedział Maxx, chwytając mnie za ramię i próbując odciągnąć

mnie w tył.

Zapałam się i dalej wpatrywałam się w Blake'a, który kompletnie zbieleł na twarzy.

– Wdaliśmy się w awanturę. Zobaczyła mnie... – Blake rzucił szybkie spojrzenie wokół. – Robiłem różne beznadziejne rzeczy, których nie powinienem był robić. Zdenerwowała się. Próbowałem ją przekonać, żeby ze mną wyszła, ale odmówiła.

– Więc ją tam zostawiłeś! Samą z bandą ćpunów! – rzuciłam oskarżycielsko, czując, jak gardło zaczyna mi się boleśnie zaciskać.

– Nie myślałem! Byłem głupi, popieprzony i sądziłem po prostu, że porozmawiamy o tym rano i wszystko będzie dobrze! – Blake'owi łzy napłynęły do oczu, a ja zobaczyłam wstrząśnięta, jak spływają mu po twarzy. – Nie wiedziałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę! Nie wiedziałem, że ostatnim, co od niej usłyszę, będzie to, że mnie nienawidzi! – Jego głos załamał się i przeszedł w szloch.

Odebrało mi mowę. Często myślałam o tej ostatniej nocy życia mojej siostry. Od dawna nienawidziłam i oczerniałam człowieka stojącego teraz przede mną, ale patrząc, jak ociera łzy, zrozumiałam, że jego też to złamało. Że chociaż miał dziewczynę u swego boku, wciąż zmagał się ze stratą Jayme.

Tak jak ja.

– Boże, tak mi przykro! Wiem, że nigdy nie powinienem był jej tam brać. Powinienem ją zmusić, żeby ze mną wyszła! Każdego dnia zastanawiam się, co by się stało, gdybym tamtej nocy podjął inną decyzję.

– Cóż, nie leżałaby półtora metra pod ziemią, nie? – stwierdziłam zimno.

Blake wydał z siebie zdławiony dźwięk i potrząsnął głową, a ciemne włosy spadły mu na twarz.

– Ja też ją kochałem. Tak bardzo ją kochałem – na wpół powiedział, na wpół zapłakał i nagle to już było za wiele.

Dostrzegłam aż nazbyt wyraźnie, że śmierć Jayme zniszczyła również coś w nim. Coś, czego nigdy nie odzyskał albo z czego nigdy się nie podźwignął. Blake Fields w głębi duszy był równie pokrecony i równie skrzywdzony jak reszta z nas.



Co nie zmieniało faktu, że był dupkiem. Facetem, który zmanipulował moją siostrę i zniszczył jej życie.

Bez słowa przepchnęłam się obok niego i wybiegłam na parking.

Wyciągnęłam kluczyki z kieszeni i wsiadłam do samochodu. Maxx ledwo zdążył wsiąść, zanim wrzuciłam wsteczny i wyprysnęłam bez oglądania się na ulicę.

Czułam, jak lepkie łzy obsychają mi na twarzy, ale nie zrobiłam nic, aby je obetrzeć. Obrazy mojej siostry waliły we mnie jak pociąg towarowy.

Ból po stracie Jayme spadł na mnie gwałtownie, otwierając zabliznione rany. Znów zalała mnie taka fala rozpacz, jaką odczuwałam tak boleśnie w ciągu kilku pierwszych tygodni po jej odejściu. Dlatego nigdy nie przyjeżdżałam do domu. Właśnie tego się obawiałam: że tak się stanie. Chciałam upchnąć ból z powrotem tam, gdzie było jego miejsce. Ścisnąć go, sprasować i usunąć z pola widzenia. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam myśleć, pogrążona w bezrozumnym, obłąkanym żalu.

Na tym polegał problem z tłumieniem uczuć. Kiedy na powrót je do siebie dopuszczasz, okazujesz się zupełnie nieprzygotowany do radzenia sobie z ich dobrymi i złymi aspektami. Nie dajesz sobie rady z ich zmienną intensywnością. Byle co kompletnie wytrąca cię z równowagi.

– Zatrzymaj samochód, Aubrey – powiedział Maxx zdecydowanie, ale łagodnie.

Prowadziłam jak wariatka, nie widząc tak naprawdę, dokąd jadę.

– Aubrey, poważnie, zjedź na bok.

Szarpnęłam kierownicą w prawo i wrzuciłam na postój, nie zwracając uwagi, gdzie jestem.

– W porządku. Nie ma nic złego w tym, żeby sobie wreszcie odpuścić – mówił Maxx, ale dla mnie brzmiało to tak, jakby krzyczał z końca tunelu. Krew tętniła mi w uszach i bałam się, że za moment zemdleję.

– Nienawidziłam go od tak dawna. Obwinałam go o to, co się stało. Był cholernym dilerem. – Prawie nie zauważyłam, jak Maxx wzdrygnął się, słysząc tę bezwzględną ocenę. – Uzależnił ją od

narkotyków, a potem zabrał do tego miejsca, gdzie *umarła!* Nigdy nie dopuściłam do siebie myśli, że może być kimś więcej niż egoistycznym skurwielem. – Wzięłam głęboki wdech i spojrzałam na Maxxa, który wydawał się na coś gotować. – I on faktycznie nim jest. Co do joty. Ale... jaki sens ma obwinianie go? To nie wróci Jayme życia. I nie zmieni faktu, że Jayme tej nocy dokonała własnych wyborów. Głupich, potwornych wyborów, które kosztowały ją życie. Nie mogę dalej żyć z taką wyrwą w sercu. – Położyłam dłoń na piersi. – To boli, Maxx. Tak bardzo boli. Strata Jayme zmieniła mnie w kogoś, kogo nie poznaję. Zniszczyła moją rodzinę. Moją relację z rodzicami – powiedziałam, a on objął mój policzek dłonią i pogładził kciukiem zarys mojej twarzy. – Jestem tym zmęczona. Jestem zmęczona bólem. Żalem. Goryczą. Jestem zmęczona nienawiścią do Blake'a i trzymaniem moich rodziców na dystans. – Zwiesiłam głowę. – Jestem zmęczona lękiem przed tobą i tym, co jest między nami. Jestem gotowa być szczęśliwa. Przeżywać życie tak, jak powinno być przeżywane. Przyznaję, że była taka cząstka ciebie, która przypominała mi Blake'a. Nawet kochając cię, nienawidziłam tego aspektu ciebie. Pociągałeś mnie, ale on budził we mnie obrzydzenie. – Wzięłam głęboki wdech i ciągnęłam dalej. – Ale Blake był tylko popieprzonym dzieciakiem. Ty też nim byłeś. Dokonałeś kilku gównianych wyborów. Byłeś samolubny. Egotyczny. Ale i złamany. Trudno mieć pretensje do kogoś, kto jest równie zagubiony jak ja.

I poczułam to. Dokładnie w tym momencie, w którym ciężar zajmujący przez wszystkie te lata miejsce w samym środku mojej klatki piersiowej naprawdę zaczął się zmniejszać.

Pierwszy raz poczułam się... *łżejsza*.

Spojrzałam na człowieka, dla którego poszłam do piekła.

– Kocham cię, Maxx. Poszłam tą przerażającą, mroczną ścieżką razem z tobą i myślałam, że pociągniesz mnie w odmęt. – Chlipnęłam nosem mało elegancko, ale zupełnie mnie to nie obchodziło. Ucałowałam go miękko... delikatnie. – Przerażało mnie wszystko, czym byłeś. Wszystko, co robiłeś. Ale nie potrafiłam trzymać się od ciebie z daleka. A potem doszło do najgorszego

i pomyślałam, że jedyne, co mogę uczynić, to odejść i nigdy nie oglądać się za siebie.

Maxx miał czerwone, wilgotne oczy, a ja czułam lekkie drżenie dłoni, którymi obejmował moją twarz. Milczał, nic nie mówił, pozwalał mi powiedzieć moją kwestię do końca.

– Ale myliłam się. I nigdy, w całym moim życiu, żadna pomyłka tak mnie nie uszczęśliwiła. Należymy do siebie. Dziś. Jutro. Zawsze. Bo to ty uniemożliwiłeś mi zamknięcie się w sobie. Sięgnąłeś w głąb mnie i wyszarpnąłeś serce, o którym prawie całkiem zapomniałam: ociekające krwią, ale wciąż bijące. – Zamknęłam oczy, owładnięta emocjami. Ale kiedy znów je otworzyłam, uśmiechałam się, choć policzki miałam mokre od łez. – Pokazałeś mi, co to oznacza prawdziwie żyć, Maxx.

Wydał z siebie chrapliwy, gardłowy dźwięk i przywarł do mnie ustami.

Leczył mnie.

Obdarowywał przyszłością.

A ja poszłam ku niej z radością i po raz pierwszy od dawna... z nadzieją.

## Rozdział trzydziesty

-Maxx-

Wyjazd do Karoliny Północnej z Aubrey wydawał się takim dobrym pomysłem.

Ale tym, co mi się ostatecznie dostało, było przypomnienie, kim jestem tak naprawdę, w głębi mojego mrocznego, pokręconego serca.

Nie mogłem przestać myśleć o Blake'u, eksie jej siostry. Był zarozumiały, małym śmieciem ze sznytami na rękach i zębami spróchniałymi od zażywania mety. Od razu było widać, że to najgorszy gatunek ćpuna. Przegrany. Bez przyszłości.

Obserwowałem Blake'a Fieldsa i widziałem samego siebie.

Człowieka, którym byłem bardzo długo.

Aubrey patrzyła na niego z taką odrazą, a ja w tym momencie nie widziałem specjalnej różnicy między nim a sobą.

I znów zacząłem się serdecznie nienawidzić.

Nigdy nie widziałem Aubrey szczęśliwszej niż wówczas, gdy wyjechała z domu rodziców. Gadaliśmy przez całą drogę do domu, a ja nie mogłem pozbyć się ciężaru zalegającego mi kamieniem w piersi.

Bąłem się, że ją stracę. Obudzi się któregoś ranka i przypomni sobie, że jestem taki sam jak Blake. Żałosny przegryw.

Wziąłem torbę Aubrey i weszliśmy po schodach do mojego mieszkania. Z głośników u sąsiada dudniły basy. Otworzyłem kluczem drzwi i włączyłem światło.

Aubrey padła na kanapę i wyciągnęła ręce za głowę.

– Jestem wykończona – powiedziała, ziewając.

Usiadłem obok, przyciągnąłem ją do siebie i objąłem. Wciąż zdumiewało mnie, jak doskonale jej ciało pasowało do mojego. Jakbyśmy byli dwoma kawałkami tej samej układanki. No dobra, to było tandetne, ale prawdziwe.

– Wyglądasz na szczęśliwą – zauważyłem, całując ją w czubek głowy.

Aubrey odsunęła się nieco i podniosła na mnie wzrok.

– Jestem, Maxx. Naprawdę jestem. Czuję się tak, jakby znów, po całym tym okresie, wszystko zaczynało się układać. Ty tego nie czujesz?

Nie, nie czułem. Ale, jasny gwint, naprawdę chciałem.

Budziłem się co rano ze ściśniętym z nerwów żołądkiem, a moje myśli dryfowały ku narkotykom. Rachunkom. Tysiącom scenariuszy, w których mogłem nawalić.

Ale patrząc w niebieskie oczy Aubrey, jasne i błyszczące, potrafiłem uwierzyć, że ma rację. Że może w końcu docieramy tam, gdzie powinniśmy się znaleźć.

Wstałem, chwyciłem ją za rękę i poderwałem na nogi.

– Ej, co robisz? – powiedziała z krzywym uśmiechem.

Pocałowałem ją natarczywie w usta, a potem dosłownie zaciągnąłem korytarzem do sypialni.

Znalazłszy się w środku, nie zawracałem sobie głowy zapaleniem świateł. Byłem zbyt rozgorączkowany. Szybko uporałem się z naszymi ubraniami i wkrótce miałem ją już nagą na łóżku pod sobą. Spojrzałem na nią z góry w mroku i przez moment poczułem dokładnie, o czym mówiła.

Chciałem, żebyśmy doszli razem. Szybko założyłem prezerwatywę i zanurzyłem się w nią głęboko. Czasem kochałem się z Aubrey, ale nie potrafiłem wejść w nią wystarczająco głęboko. Ile bym jej dotykał, nigdy nie było mi dość.

Wygięła się w łuk, a ja uniosłem jej biodra i na przemian wsuwałem się w jej ciało i wysuwałem z niego. Pochyliłem się i wycałowałem ścieżkę od jej pępka do piersi. Uwielbiałem jej ciało. Uwielbiałem to, jak potrafiła sprawić, że czułem, jakbym był jedynym człowiekiem na świecie. Dla Aubrey Duncan się liczyłem.

– Boże, Maxx! – jęknęła głośno.

Jej zarumieniona skóra była gorąca w dotyku i doprowadzała mnie do szaleństwa. Dopychałem ją raz za razem, aż wreszcie wyczułem moment, w którym mogłem dać sobie zielone światło.

I zrobiłem to.

Później, kiedy pot obsychał, a ja leniwie całowałem jej palce, pomyślałem, że może jednak wszystko się ułoży. Pojawiła się jakaś optymistyczna myśl o znalezieniu pracy i zarobieniu pieniędzy. O tym, że będę w stanie zabezpieczyć finansowo kobietę, którą kocham. Że ułożymy sobie razem życie.

Przesunąłem dłonią po jej plecach, słuchając jej cichego oddechu, i poczułem miłość tak intensywną, że przez moment miałem wrażenie, że mnie zadławi.

– Kocham cię, Maxx – wymruczała w moją skórę, składając delikatne pocałunki na mojej piersi.

– Będziemy razem do końca życia, prawda? – zapytałem nieco rozpaczliwie, przytulając ją mocno do siebie. Potrzebowałem z jej strony tego zapewnienia. Potrzebowałem go bardziej niż powietrza.

Oparła brodę na mojej piersi, podniosła wzrok i spojrzała na mnie przez gęste rzęsy przysłaniające jej oczy. Miała zmęczony, ale zadowolony uśmiech.

– Do końca życia, Maxx. Będziemy razem do końca życia – obiecała, po czym znów ułożyła się wygodnie.

Po tym wszystkim gapilem się przez dłuższą chwilę w sufit, zatopiony w na wpół wariackich myślach.

Serce ścisnęło mi się boleśnie i optymizm, który czułem jeszcze przed chwilą, gdzieś się ulotnił.

– Kiedy przyszłaś posprzątać moje mieszkanie? – zapytałem ją nagle.

Aubrey sturlała się ze mnie na plecy, a jej włosy rozsypały się na poduszce. Obróciła głowę na bok i spojrzała na mnie, skonsternowana.

– Kiedy posprzątałam twoje mieszkanie?

Wyciągnąłem rękę i przesunąłem palcem po linii między jej piersiami, po czym ułożyłem dłoń płasko na jej brzuchu. Pomyślałem o umieszczeniu w niej życia. Naznaczeniu jej w sposób, który na zawsze odmieniłby jej los.

Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, by zostać ojcem, ale przy Aubrey często to rozważałem. By się ożenić i kupić dom. Zapełnić go

dziećmi.

Jakim okazałbym się ojcem?

Jak miałbym zabezpieczyć finansowo rodzinę, skoro nie potrafiłem sobie znaleźć pracy za płacę wyższą niż minimalna?

– Przyszłaś tu, kiedy byłem na odwyku. Posprzątałaś mi mieszkanie, prawda? – Nie wiedziałem, dlaczego tak mi zależy, żeby się dowiedzieć. Może chciałem sobie po prostu przypomnieć, że skoro Aubrey chciała podjąć ryzyko bycia ze mną, to kochała mnie mimo tego wszystkiego, co przeze mnie przeszła. I ja również musiałem podjąć pewne ryzyko.

Aubrey wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po moim boku, aż się zwinąłem ze śmiechu.

– Tak, przyszłam. Byłam wrakiem człowieka, Maxx. Straciłam cię. Zostałam zawieszona w programie terapeutycznym. To był dla mnie naprawdę mroczny czas. Ale jakimś cudem w końcu wylądowałam tutaj. I wiesz co?

Chwyciłem ją za rękę i przyciągnąłem blisko do siebie.

– Co?

– Poczułam się lepiej, po prostu przychodząc tutaj. Poczułam spokój. Czy to nie jest jakieś wariactwo, że po wszystkim, co sobie nawzajem zafundowaliśmy, poczułam się najbezpieczniej w twoim domu?

Przesunąłem kciukiem wzdłuż jej szczęki. Jej słowa zaboląły mnie, chociaż wiedziałem, że nie miała takiej intencji.

– To wariactwo, masz rację.

\*

– Maxx.

Dwa dni później otworzyłem drzwi i napotkałem w nich właściciela mieszkania stojącego na podeście.

– Pan Reese. Dzień dobry – powiedziałem, otwierając drzwi szerzej, by wpuścić go do środka.

– Nie muszę wchodzić do środka. Przyszedłem, żeby dać ci to – powiedział, wręczając mi kopertę.

Nie musiałem jej otwierać, żeby wiedzieć, co w niej znaję.

To było ostateczne wezwanie do zapłaty.

– Masz trzydzieści dni na spłatę zadłużenia, inaczej będziesz musiał opuścić lokal. Staralem się być wyrozumiały, synu, ale nie prowadzę wynajmu z dobroci serca. Mam dzieci. Żonę. Różne bzdury do opłacenia. Więc będziesz musiał wytrzasnąć skądś te pieniądze albo znaleźć sobie inne miejsce do mieszkania – powiedział pan Reese szorstko.

Otworzyłem kopertę i spojrzałem na sumę zaległości: tysiąc pięćset dolarów. Kurde. Kurde. Kurde. Nie było siły, żebym skądś wydobył taką sumę.

Wydałem resztę wypłaty z kawiarni na opłacenie rachunków za prąd i zabranie Landona na kolację. Głupio kupiłem mu obiecany kontroler, odsuwając myśl o tysiącu innych rzeczy, za które musiałem zapłacić.

Bo to uszczęśliwiło mojego brata, a z tego nie byłem gotów zrezygnować.

– Rozumiem, dziękuję za doręczenie mi tego – powiedziałem z sarkazmem.

Pan Reese pogładził się po tłustych, zaczesanych do tyłu włosach i skrzywił się.

– Słuchaj, wyglądasz na miłego chłopaka, Maxx. Naprawdę, nie sprawia mi to żadnej przyjemności, ale tak jak powiedziałem, wszyscy mamy rachunki do zapłacenia.

Nie mówił mi nic, czego bym już wcześniej nie wiedział.

Po jego wyjściu usiadłem na sofie, kompletnie otepiały.

Co ja miałem teraz zrobić?

Ponosilem porażkę.

Nędzną.

I co gorsza, w międzyczasie powoli znikałem.

Tak bardzo zmuszałem się do tego, by stać się innym człowiekiem, że zaczynałem tracić poczucie własnej tożsamości.

Co ja, kurwa, wyprawiałem?

Znalazłem się w dość przygnębiającym położeniu. To właśnie robi z człowiekiem perspektywa nieuchronnej bezdomności.



– Ej, Maxx! Otwieraj! – dobiegł zza drzwi okrzyk Marca jakiś czas później.

Zastanawiałem się, czy go nie zignorować. Ale znając Marca, tak długo robiłby raban, aż wreszcie wpuściłbym go do środka.

Głupi skurwiel.

– Czego chcesz, do diabła? – warknąłem, szarpnięciem otwierając drzwi.

Marco uniósł ręce.

– Człowieku, wyluzuj! – Wcisnął mi w rękę zwitek banknotów.

Spojrzałem na nie ze zdumieniem.

– A teraz uśmiechnij się, bo kasa każdego wprawia w dobry nastrój – powiedział Marco, przepychając się obok mnie jak zawsze.

Stałem tam w otwartych drzwiach i liczyłem pieniądze: pięćset dolarów.

– Za co to? – zapytałem.

Marco przewrócił oczami.

– Czy te wszystkie dragi kompletnie wypaliły ci mózg? To za zwiad w zeszłym tygodniu. Powiedziałem ci przecież, że ci je doniosę. Gotów na powtórkę?

Gapiałem się na trzymaną w rękę forszę. Pięćset dolarów to było sporo szmalu, ale nadal o wiele za mało. Pomyślałem o mojej zupełnie pozbawionej perspektyw pracy w Coffee Jerk i uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie zdołam przeżyć za to, co uda mi się tam zarobić.

Pomyślałem o Aubrey i o wszystkim tym, co mówiła o naszej przyszłości. Pomyślałem o Landonie wyjeżdżającym w przyszłym roku do szkoły plastycznej.

Potrzebowałem więcej.

Znacznie, znacznie więcej.

– Dobra, chodźmy. Czy możesz mnie potem zawieźć do biura Gasha? Muszę z nim pogadać – powiedziałem, chwytając pusty portfel i wsuwając go do kieszeni.

Marco wydał z siebie cichy entuzjastyczny okrzyk.

– Yesss! Wracasz do klubu?

– Na razie po prostu wyjdźmy stąd. Pogadamy o tym później.

\*

– No proszę, syn marnotrawny – powiedział w zamyśleniu Gash z za biurka w swoim zapuszczonym gabinecie.

Zacisnąłem wargi i krótko kiwnąłem głową.

Gash spojrział na Marca i zmrużył oczy.

– Możesz poczekać w korytarzu. I zamknij za sobą drzwi – polecił. Marco wyglądał na zaskoczonego.

– Ale...

– Ale nic. To sprawa między X a mną. I nie potrzebuję tu żadnej cholernej widowni. Za moment będziesz miał swojego przydupasa z powrotem.

Marco nie spierał się. Nikt nigdy nie spierał się z Gashem.

Kiedy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Gash wskazał jedno z krzeseł stojących przed jego biurkiem.

– Siadaj – zakomenderował.

Usiadłem na krześle.

– Cieszę się, że przyjąłeś moją propozycję ponownego zajęcia się wyszukiwaniem miejscówek. Masz najlepsze oko. Ostatni baran nie utrzymał się długo.

Byłem zszokowany pochwałami Gasha. Nie należał do tych, którzy szastali nimi na prawo i lewo.

– No cóż, potrzebowałem forsy. – Nie było sensu owijać w bawełnę. Chciałem przejść do sedna mojej niezapowiedzianej wizyty.

– To właśnie powiedział mi Marco – odrzekł Gash, po czym odchylił się na krześle, założył ręce na brzuchu i przyoblekł na twarz pogardliwy uśmiezek. Znał moje słabości. Zarabiał na życie wykorzystywaniem ludzi. Wiedział, że może mnie dorwać przez moje nałogi: forszę, władzę i narkotyki.

– Domyślam się, że pieniądze, które zarabiasz jako zwiadowca, są przydatne, ale nie załatwiają sprawy. Mam rację? – zapytał.

Jego złośliwy uśmiezek mnie drażnił.

Odchrząknąłem, normalnie nie mogąc uwierzyć, że płaszczę się przed tym gnojem. Przysięgłem sobie, że nigdy więcej nie postawię

nogi w klubie. Że w moim nowym życiu nie ma miejsca na świat, w którym kiedyś żyłem.

Ale to było, zanim dostałem ostateczne wezwanie do zapłaty z groźbą eksmisji. Zanim świat przypomniał mi o tym, jak nieskończenie trudno będzie mi wesprzeć finansowo tak, jak bym chciał, kobietę, którą kochałem.

Potrzebowałem pieniędzy. Rozpaczliwie. Chciałem zaopiekować się ludźmi, których kochałem. Jak miałem to zrobić, skoro nie potrafiłem się zatroszczyć nawet o siebie?

– Masz jakąś robotę w klubie, która pozwoliłaby mi trochę dorobić? Za barem? Na bramce? Nie jestem wybredny. – Nienawidziłem tego płaszczenia się przed nim. Aż mnie mdliło.

Gash uśmiechnął się szerzej.

– Ostatnio sporo ludzi pozwalniałem. Nie wiem, czy Marco ci o tym mówił.

Zakręciłem się na krześle.

– Tak, wspomniał o czymś w tym rodzaju.

– Nie mam takiej dodatkowej roboty. Szczególnie dla kogoś, kto udowodnił, że nie można mu całkowicie zaufać.

Kurde, on się świetnie bawił całą tą sytuacją.

Co przypomniało mi o tym, jak bardzo go nienawidzę.

– Ale... – Gash zawiesił głos i otworzył szufladę biurka.

Wyciągnął plastikową, zapinaną torebeczkę i położył ją przede mną.

Nie dotknąłem jej, chociaż palce zaświerzbiły mnie chęcią złapania jej i zwiania. Widziałem tabletki pobłyskujące biało w świetle jarzeniówki.

– Powiedziałem Marco... – zacząłem, z trudem wydobywając z siebie słowa.

– Wiem, co powiedziałeś Marcowi, i szanuję to. Mówię ci po prostu, że jedyną robotą, którą dla ciebie mam, jest ta, którą porzuciłeś.

Nozdrza mi zadrzały i zacząłem się ślinić.

To był naprawdę fatalny pomysł.

„Jestem dokładnie tu, gdzie mnie zostawiłeś, Maxx. Tęskniłam”.

Ten głos mnie prześladował – jak zawsze.

– Nie. Nie mogę – odparłem stanowczo, dumny z tego, że oparłem się pokusie.

Gash otworzył torebkę i wysypał z niej garść tabletek. To były różne leki na receptę, moje ulubione dragi. Wziął kopertę, wsypał je do środka, starannie zwilżył śliną zamknięcie i zakleił ją.

– Wiesz równie dobrze jak ja, ile kasy możesz na tym zarobić. To nie musi być stała fucha, X. Raz czy dwa. No wiesz, żeby spłacić zaległe rachunki. Dopóki nie znajdziesz lepszej roboty. – Gash przesunął kopertę z tabletkami po blacie biurka. – Po prostu zastanów się nad tym. Ale niezbyt długo. Muszę rozdystrybuować tę transzę w *najbliższy* weekend. To pierwszorzędny towar z Kalifornii. Da znakomity zarobek i chciałbym, żeby upłynnili go moi najlepsi ludzie. A nie ma nikogo lepszego od ciebie, X, i obaj o tym wiemy.

Jego pochlebstwa nie miały znaczenia.

Widziałem tylko kopertę wypchaną maleńkimi, niszczącymi duszę tabletkami.

– Weź je. Uznaj je za premię przy zapisie. – Gash zaśmiał się i był to potworny dźwięk.

– Nie mówię, że to zrobię – zastrzegłem, słysząc słabość we własnym głosie.

– Obaj wiemy, że to, kurwa, nieprawda. – Gash znów się zaśmiał, najwyraźniej uznając moje wahanie za naprawdę zabawne.

Moja dłoń wystrzeliła do przodu, chwyciła kopertę, złożyła ją na pół i wsunęła mi do kieszeni.

Podniosłem się i szybko ruszyłem do drzwi.

Wybranie się tutaj było naprawdę fatalnym pomysłem.

Ale byłem człowiekiem pozbawionym innych opcji. W tej sytuacji najgorsze zaczynały sprawiać wrażenie najlepszych.

– Daj Marcowi znać do czwartku. Ale możesz zachować tabletki, Maxx. Wyglądasz, jakbyś ich potrzebował! – zawołał za mną Gash, kiedy już otwierałem drzwi.

Czułem się tak, jakbym zawarł pakt z diabłem i nie miał już szansy powrotu.

Ani teraz.

Ani kiedykolwiek.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

-Aubrey-

„Kocham cię” – napisałam do Maxxa, idąc przez kampus w kierunku budynku psychologii.

„Ja ciebie bardziej” – odpisał zaledwie minutę później, wywołując mój uśmiech.

Od powrotu z Karoliny Północnej ponad tydzień temu nie potrafiłam się pozbyć dręczącego niepokoju, że coś się między nami zmieniło. Uczucie niepokoju przywołało z powrotem paskudne emocje, z którymi usilnie starałam się walczyć.

Najbardziej zabójczą z nich był brak zaufania.

Prawdopodobieństwo ponownego wpadnięcia w nałóg może sięgać nawet sześćdziesięciu procent. Walkę o zachowanie trzeźwości toczy się przez całe życie. Co każe ci sądzić, że w tym przypadku będzie inaczej?

Ten koszmarne głos dręczył mnie faktami i statystykami, przypominając mi o prawdopodobieństwie, że Maxx w istocie wkracza z powrotem na ścieżkę wiodącą w mrok.

Byliśmy znów razem od tak niedawna. Nienawidziłam myśli o tym, jak szybko skończył się dla nas okres wytchnienia.

Podejrzliwość była toksyczna. Brukała wszystko.

Raz już tego kiedyś doświadczyłam i przysięgam sobie, kiedy zdecydowałam się spróbować znów z Maxxem, że jestem zdecydowana nie zawierać z tą obsesją ponownej znajomości.

Prawdę mówiąc, Maxx nie zrobił niczego, co uzasadniałoby moją czujność. Nadal pracował w Coffee Jerk i szukał innych możliwości zatrudnienia. Nic nie kazało mi sądzić, że znów brał.

Więc skąd brały się te uczucia niepokoju, kiedy byliśmy razem? Przekonałam samą siebie, że intuicja mnie zawodzi. Musiałam nauczyć się mu ufać. Nie kwestionować wszystkiego, co mówił i robił. Ale puszczenie naszej bolesnej przeszłości w niepamięć było

trudne.

Zwłaszcza gdy kierowałam się do gabinetu doktor Lowell na cotygodniową ocenę moich postępów. Nie opowiedziałam jej jeszcze o Maksie, ale wiedziałam, że nie mogę już odkładać tego dłużej.

Dzisiejszy dzień mógł zmienić bieg reszty mojego życia.

– Cześć, Aubrey! Siadaj. – Doktor Lowell kiwnęła na mnie ręką, a ja weszłam do środka i postawiłam torbę na podłodze.

Wręczyłam jej podpisany świstek od doktora Jonesa, wykładowcy *Granic i etyki terapii*.

Doktor Lowell rzuciła na niego okiem i włożyła go do mojej teczki leżącej na jej biurku. Złożyła na niej ręce i posłała mi uśmiech.

– Kilka tygodni temu pojechałam zobaczyć się z rodzicami. – Nie wiem, dlaczego poczułam potrzebę opowiedzenia jej o tym. Może dlatego, że zawsze tak łatwo było się jej zwierzyć. – Mam poczucie, że w końcu udało nam się uporać ze śmiercią Jayme i jako rodzinie pójść naprzód. Wreszcie.

Doktor Lowell uśmiechnęła się szerzej.

– To cudownie, Aubrey. Widzę, że zrobiłaś wiele korzystnych kroków naprzód, co ogromnie mnie cieszy. Myślę, że zdecydowanie możemy zacząć rozmawiać o przyszłym semestrze i o tym, w jaki sposób możesz odzyskać swoje miejsce w programie.

To było to. Moja chwila prawdy. Zmartwiałam, niezdolna wykrztusić słowa.

Doktor Lowell wyglądała na dumną. Od dłuższego czasu nie widziałam tego wyrazu na jej twarzy. Wręczała mi na powrót klucze do mojego wymarzonego królestwa. Wykazałam się w jej oczach i chciała mnie wziąć z powrotem pod swoje skrzydła.

Nie potrafiłam jednak cieszyć się ze zwycięstwa, bo było podszyte kłamstwem.

– Dlaczego chciała pani zostać terapeutką, doktor Lowell? – zapytałam ją.

Wydawała się zaskoczona moim pytaniem.

– Hm. Chyba z takich samych powodów jak ty: by pomagać ludziom – odparła.

– Czy kiedykolwiek pomyślała pani, że być może był to błąd? Że

idzie pani niewłaściwą ścieżką? – ciągnęłam, nie wiedząc właściwie, do czego zmierzam, ale mając świadomość, że muszę wypowiedzieć kilka kwestii, zanim stchórzę.

Doktor Lowell odchyliła się na krześle i wydawała się zastanawiać, o co właściwie ją pytam.

– Nie, Aubrey, nie miałam takich wątpliwości. Zawsze wiedziałam, że taki postawiłam sobie w życiu cel. Ale wątpliwości są absolutnie normalne. To część dojrzewania – powiedziała, patrząc na mnie serdecznie i wyrozumiale.

– Domyślam się, że większość ludzi od czasu do czasu przeżywa chwile zawahania, ale ja po tym wszystkim naprawdę zaczęłam sądzić, że być może wydarzyło się to dlatego, że nie jest mi pisane bycie terapeutą uzależnień. Że być może weszłam w to wszystko z niewłaściwych powodów.

– Skąd ci to przyszło do głowy, Aubrey? Jeśli potrzebujesz więcej czasu, zanim zaczniesz z powrotem brać udział w programie...

– Nie o to chodzi, pani doktor. W szkole średniej zamierzałam pójść na studia pedagogiczne. To było moje marzenie. A potem zmarła moja siostra i wszystko się zmieniło. Zaczęłam mieć coś w rodzaju obsesji na punkcie pomagania innym tak, jak nie zdołałam pomóc jej. Wobec wyrzutów sumienia moje poprzednie marzenia zeszły na dalsze plan. A potem poznałam Maxxa. – Urwałam i wzięłam głęboki wdech. – I uzmysłowiłam sobie, że istnieje coś więcej niż moje tak zwane plany. – Spojrzałam na moją ulubioną wykładowczynię. – Czy kiedykolwiek poznała pani kogoś, kto zmusił panią do zakwestionowania wszystkiego?

Doktor Lowell zmarszczyła brwi.

– Niewiele z tego rozumiem, Aubrey. Czy chcesz mi powiedzieć, że nie interesuje cię już powrót do programu terapeutycznego?

Przygryzłam wargę i przygotowałam się na najbardziej znaczący krok w całym moim życiu.

– Maxx Demelo i ja znów się widujemy – powiedziałam, obserwując, jak doktor Lowell gwałtownie bierze wdech i mruży oczy.

– Aubrey... – zaczęła tonem wyraźnie ostrzegawczym, ale



przerwałam jej.

– I rozumiem, że będzie to miało wpływ na moje szanse powtórnego zapisania się do programu. Sądziłam, że będę tym bardziej zmartwiona, niż faktycznie jestem. Kiedy poważnie rozważyłam porzucenie planu zostania terapeutką, odkryłam, że wcale mnie to tak nie załamuje, jak powinno. Dotarło do mnie, że od początku wcale nie było to moje prawdziwe marzenie. – Wyprostowałam się nieco i spojrzałam doktor Lowell prosto w oczy. – To była moja próba uleczenia samej siebie, ale to nie jest dobry powód, by zdobywać zawód, którego celem jest pomaganie innym. Myślę, że czas zająć się realizacją marzeń, które mnie uszczęśliwią, nie przypominając mi o moim bólu.

Doktor Lowell wyglądała tak, jakby odebrało jej mowę, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Wydawała się zmieszana. Zanim odpowiedziała, kilkakrotnie popukała długopisem o filiżankę kawy.

– Nie mogę powiedzieć, że nie jestem rozczarowana, Aubrey, bo jestem. Boję się, że podejmujesz decyzje w oparciu o związek, który okazał się już destruktywny i niewłaściwy.

Rozumiałam jej obawy. Ale były dalekie od prawdy.

– Tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z Maxxem. Ta decyzja, ten wybór dotyczy mnie. Muszę przestać pozwalać na to, by moja przeszłość wywierała wpływ na moją przyszłość.

Doktor Lowell wzięła łyk kawy i przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Rozumiesz zapewne, że tak późna zmiana kierunku będzie miała wpływ na datę uzyskania dyplomu. Nie wiem doprawdy, jak uda ci się ukończyć studia razem z resztą twojego rocznika – powiedziała zmęczonym i trochę smutnym głosem.

– Rozumiem. Rozumiem również, że będę musiała znaleźć sobie nowego opiekuna naukowego w Katedrze Pedagogiki.

Doktor Lowell skinęła głową.

– Tak, będziesz musiała.

Obie przez jakiś czas milczałyśmy. To był poważny punkt zwrotny i poczułam moment zawahania. A jeśli popełniałam ogromny błąd? Czy naprawdę to robiłam?

Owszem. Robiłam.

– Chcę pani podziękować za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Kiedy pojawiłam się tutaj jako pierwszoroczna, byłam zupełnie zagubiona. Dała mi pani coś, czego mogłam się uchwycić. Ten program na jakiś czas wyznaczył mi cel w życiu i zawsze będę pani za to wdzięczna.

Doktor Lowell wstała i wyszła z za swojego biurka. Zanim zdołałam się zorientować, moja mentorka, moja ulubiona wykładowczyni, objęła mnie i uścisnęła.

– Jesteś niezwykłą, młodą kobietą, Aubrey. Mam nadzieję, że nigdy o tym nie zapomnisz.

Czułam się tak, jakby kończyła się jakaś epoka. Było to jednocześnie przerażające i uskrzydlające.

Po raz pierwszy od lat nie czułam niepokoju, nie wiedząc, jaki będzie następny krok. Patrząc w swoją przeszłość, nie widziałam szkoły ani kariery.

Widziałam tylko Maxxa.

Był moim nowym marzeniem.

I na ten moment naprawdę mu ufałam. Wierzyłam w niego. *W nas.*

Miałam tylko nadzieję, że znów nie okaże się, że się myliłam.

\*

– Mogę wpaść? Mam coś dla ciebie – powiedziałam do Maxxa. Była sobota i miałam nadzieję spędzić ten dzień razem z nim.

Zadzwoiłam do niego, żeby mu powiedzieć o moim wczorajszym spotkaniu. Był dla mnie oparciem i podchodził do zmiany równie entuzjastycznie jak ja.

– Myślę, że to dla ciebie ogromna szansa. I nie musimy się już ukrywać, więc podwójny zysk – podniecał się, kiedy mu już powiedziałam.

– Tak. Trochę to przerażające, ale myślę, że to dla mnie dobry ruch – powiedziałam. Nie czułam się najlepiej na myśl, że właściwie muszę zacząć od początku, ale wiedziałam, że gdybym

kontynuowała ścieżkę terapeutyczną, robiłabym to z najgorszych możliwych powodów. W mojej pracy zawodowej nie powinno chodzić o to, by samej sobie coś udowodnić. Dokonując wyboru, powinnam szukać czegoś, co mnie uszczęśliwia i pozwala na samorealizację.

I jeśli już miałam być ze sobą zupełnie szczerą, doradztwo terapeutyczne nie wzbudzało nigdy we mnie takich uczuć. Chodziło w nim o to, żeby uciec od przeszłości i zadośćuczynić za coś, co – jak się nad tym zastanowiłam, wyszedłszy z gęstego kłębu żałoby – nigdy tak naprawdę nie było moją winą.

Nie byłam winna śmierci Jayme. Zdecydowanie zbyt dużo czasu zajęło mi uzmysłowienie sobie tego.

Wstyd, wyrzuty sumienia, wszystkie te splątane emocje, które ciągnęły mnie w dół przez trzy ostatnie lata, powoli się rozwiewały.

Zapatrzyłam się na trzymane w ręku zdjęcie w ramce i uśmiechnęłam się szeroko. Ukradkiem wyjęłam zdjęcie rodziny Maxxa z dna jego szuflady, zabrałam je do centrum miasta i dałam do oprawienia.

Kiedy już skonfrontowałam się z demonami moich rodziców, poczułam, że czas, żeby Maxx zrobił to samo. Musiał zobaczyć, że wspomnienia o jego rodzicach nie są czymś, przed czym musi uciekać.

– Tak? A co to jest? – zapytał, sprawiając wrażenie, jakby mnie nie słuchał.

– Niespodzianka – powiedziałam zaczepnie, rozdrażniona jego nieuwagą.

– Bardzo bym chciał zobaczyć, ale dziś wieczorem nie mogę.

– Dlaczego nie? – zapytałam, słysząc oskarżycielski ton we własnym głosie.

– Wychodzę, żeby zobaczyć się na chwilę z Landonem – powiedział, a ja się odprężyłam.

– Cieszę się, że znów ze sobą rozmawiacie – powiedziałam.

Wiedziałam, że Maxx bardzo się stara naprawić relacje ze swoim bratem. Jeśli spędzali razem czas, to znaczy, że miał w tym pewne sukcesy.

– Dobra, słuchaj, muszę lecieć. – W jego głosie zabrzmiało coś jakby lekceważenie, ale złożyłam to na karb myśli krążących już wokół wieczornego spotkania z bratem.

Bo przecież nie mogło chodzić o nic innego.

Prawda?

– No dobrze – powiedziałam trochę rozczarowana.

Postawiłam zdjęcie w ramce na nocnym stoliku.

– Wpadnę rano, żeby się z tobą zobaczyć, zanim wyjdę do pracy. Wtedy możesz mi sprawić niespodziankę – zaproponował.

– Brzmi nieźle. W takim razie baw się dobrze dziś wieczorem.

– Kocham cię, Aubrey. Cokolwiek robię, robię to dla ciebie. Wiesz o tym, prawda?

Dlaczego zadał mi to pytanie? Zaniepokoiłam się.

– Tak, wiem. Ale mam nadzieję, że robisz to również dla siebie – odparłam mimowolnie.

– Kocham cię – powtórzył.

– Ja też cię kocham.

Odłożyłam telefon dziwnie rozstrojona. Odepchnęłam od siebie to uczucie i wyszłam do salonu, a przede mną rozciągnęła się perspektywa wieczoru spędzonego na niczym.

Zobaczyłam, że Renee też wisi na telefonie, z uśmiechem na ustach.

– No to widzimy się za chwilę – mówiła właśnie, a ja próbowałam nie podsłuchiwać, ale byłam z natury wścibska.

Rozłączyła się, a ja przemknęłam do kuchni.

– Widzę cię, Aubrey – zawołała, idąc za mną.

Złapałam szklanekę i nalałam do niej wody, starając się zachowywać, jakby nigdy nic. Renee weszła do kuchni i spojrzała na mnie znacząco, unosząc brwi.

– Chcesz wiedzieć, z kim właśnie rozmawiałam. Przyznaj się.

– Do niczego takiego nie zamierzam się przyznawać – powiedziałam, unosząc brodę.

– Rozmawiałam z Iainem – powiedziała Renee, biorąc sobie szklanekę i nalewając do niej soku pomarańczowego.

Jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Iain? Myślałam, że jest po temacie.

– No wiesz, każdemu może się odmienić – powiedziała z kamienną twarzą.

Wylałam resztkę wody do zlewu i odwróciłam się do mojej zblazowanej współlokatorki.

– A co cię tak nagle wzięło?

– Nie zachowuj się tak, jakby tobie nigdy żadne takie pomysły nie przychodziły do głowy – powiedziała Renee.

– Devon? – zapytałam, a Renee kiwnęła głową.

– Uzmysłowiłam sobie błędność własnego postępowania i zmądrzałam, zanim udało mi się wszystko jeszcze bardziej zabagnić.

Sprawiła wrażenie smętnie zrezygnowanej.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, co wydarzyło się w kawiarni? – zapytałam.

Renee nigdy nie wspominała o tym dniu, w którym jej były stał przed witryną kawiarni, i o kłótni, która z tego wynikła.

Renee oparła się plecami o szafki, zamknęła na chwilę oczy, po czym spojrzała na mnie z zjadłością, która mnie zszokowała.

– Byłam głupią, głupią dziewczyną. Myślałam, że miłość potrafi zmienić człowieka takiego jak on. Myliłam się. Kompletnie się, kurwa, myliłam. Zapomniałam się, Aubrey. I wiesz, co się stało?

– Co?

– Okazało się, że jest takim samym dupkiem, jakim był zawsze. Nie zmieni się. Nie wiem, czy w ogóle by mógł. I nie będę dziewczyną, która poczeka, żeby się tego dowiedzieć.

Wydawała się taka pewna siebie, taka zdecydowana. Cieszyło mnie to, ale coś mnie niepokoiło.

– Co się dokładnie stało, Renee?

Renee potarła miejsce na środku czoła.

– Problemem jest jego gniew, Aubrey. Zawsze tak było. Ma zupełnie niekontrolowalne napady zazdrości. Sądziłam, że się zmienił. Przyrzekał mi, że to prawda. Ale bardzo szybko dowiedziałam się, że to kłamstwo. *My* byliśmy kłamstwem.

– Ale co z Iainem?

Renee wzruszyła ramionami.

– Lubię Iaina. Jest słodki, uważny, delikatny. Pod każdym względem całkowite przeciwieństwo Devona. A co najważniejsze, nie cierpię, kochając go. Bo to już na pewno nigdy więcej się nie zdarzy.

– Przykro mi, Renee – powiedziałam cicho.

Rzuciła mi blady uśmiech i wyprostowała się.

– Niech ci nie będzie. To była lekcja, którą chyba musiałam sobie powtórzyć. Ale jedno ci mogę powiedzieć: nigdy więcej nie pozwolę swojemu sercu wodzić się za nos.

Wydawała się taka zdecydowana. Taka pewna, że to właśnie serce zaprowadziło ją na manowce.

– Serce nie zawsze będzie cię zwodzić – powiedziałam jej cicho.

Sądziłam, że moje serce pokochało niewłaściwą osobę. A tymczasem zaprowadziło mnie do domu.

## Rozdział trzydziesty drugi

-Maxx-

Nie myślałem o tym, co oznaczało okłamywanie Aubrey.

Nie mogłem.

Nie zaczynałem dnia z myślą o tym, że skończę go oszustwem.

Że znajdę się niebezpiecznie blisko osunięcia się w moje dawne życie, mój stary świat.

Spędziłem poranek w pracy i poczułem się naprawdę niezłe, gdy dostałem wyższe niż zwykle napiwki. Oczywiście nie było szansy, żeby mogło mi starczyć na czynsz, ale był to niezły punkt wyjścia. Wciąż miałem na koncie tysiąc baksów ze zwiadów zrobionych dla klubu, a na kolejny tydzień planowałem następny zwiad. To była przyzwoita praca i starałem się myśleć o niej optymistycznie.

Jeśli mogłem znajdować miejscówki dla klubu, faktycznie się w nim nie pojawiając, to nie musiałem się wcale czuć tak, jakbym cokolwiek przed Aubrey zatajał. Nie mogłem jej o tym powiedzieć, bo wiedziałem, że tylko zaczniesz się zamartwiać.

Ale w tyle głowy miałem cały czas tę *drugą* propozycję Gasha, która wydawała się opcją bardzo kuszącą. Podobnie jak koperta z tabletkami, którą wciąż trzymałem ukrytą na dnie szafy.

Byłem w całkiem niezłym nastroju, jeśli porównać to z moim ostatnim napadem pesymizmu.

I wtedy z wizytą wpadł mój brat.

– Landon! Co ty tutaj robisz? – zapytałem, otwierając mu drzwi.

Przez wszystkie te lata, które przeżyłem w moim ciasnym mieszkanku, Landon ani razu mnie nie odwiedził. I dokładnie tak miało być.

Stawałem, kurde, na głowie, żeby trzymać go z dala od bagna mojego życia. Nigdy nie chciałem, żeby przekonał się na własne oczy, jak mieszkam. Ale w tym momencie nie było już powodów, by zachowywać pozory.

Wszedł do środka i rozejrzał się.

– Tutaj mieszkasz? – zapytał.

– Owszem. Witam w Casa de Maxx – powiedziałem drwiąco. Poczulem lekki wstyd, kiedy zobaczyłem ledwie skrywany wyraz obrzydzenia na jego twarzy.

– Taka dość zakazana dzielnica, nie?

– Wiesz co, czynsz jest niski. Ale słuchaj, wpadłeś tu skrytykować moje umiejętności w zakresie dekorowania wnętrz? – rzuciłem lekko, próbując puszczać jego komentarze mimo uszu.

Landon przestał się rozglądać i usiadł na mojej kanapie, wyciągając z plecaka jakieś foldery.

– Miałem dłuższą rozmowę z doradcą zawodowym o szkole plastycznej. Pamiętasz, że o tym rozmawialiśmy, prawda? – zapytał nieco zbyt ostro.

Wiedziałem, co sobie myśli. Czy pamiętam tę rozmowę, czy też byłem za bardzo naprany, żeby w ogóle do mnie dotarło?

– Tak, pamiętam – powiedziałem tonem usprawiedliwienia, sadowiając się obok niego.

Wręczył mi plik błyszczących kartek.

– To są broszury trzech szkół, na których najbardziej mi zależy. Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś ich razem ze mną przejrzeć. – W jego głosie zabrzmiała złość. – Wiesz, tak naprawdę nie mam nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić. Żaden z moich kolegów nie chce słuchać o szkole plastycznej, a David, chociaż jest trochę mniejszym dupkiem, nadal jest dupkiem.

– Więc wypadłem ci z rozdania – powiedziałem.

Ależ ten chłopak miał talent do wsadzania mi szpil! Miałem ochotę potrząsnąć nim tak, żeby mu się odechciało.

Landon potarł czoło, myślami był chyba gdzie indziej.

– Taa... – A potem spojrzał mi w twarz. – Nie, właściwie nie – przyznał niechętnie. – Chciałem to przejrzeć razem z tobą. Poznać twoje zdanie. Bo chociaż jesteś pieprzonym łgarzem, wciąż jesteś moim bratem – wymamrotał z nadąsaną miną.

– Wow. Ty to potrafisz zjednywać sobie ludzi – powiedziałem z kamienną twarzą.



– No i chuj – mruknął Landon pod nosem.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeliśmy, po czym wziąłem pierwszą z brzegu broszurę i zacząłem ją pobieżnie przeglądać.

– Więc w jakiej konkretnie sprawie chciałbyś zasięgnąć mojej opinii eksperckiej? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem. Wszystkie te szkoły są niezłe. Chciałbym pojechać i obejrzeć je latem, zanim jesienią złożę do nich papiery. Może mógłbyś wybrać się ze mną? – zaproponował od niechcenia, jakby szczególnie mu na tym nie zależało.

Wzruszyłem ramionami, starając się nie uśmiechać.

– Jasne, pewnie – powiedziałem równie niezobowiązująco.

Landon skinął głową, wyciągnął kolejną stertę papierów i rzucił mi na kolana.

– To jest informacja o zajęciach i tak dalej. Strasznie tego dużo i wszystko mi się miesza od samego patrzenia.

– No dobra, to może coś będę mógł pomóc – zaproponowałem i zacząłem kartkować strony.

I wtedy natrafiłem na informację o wysokości czesnego i szczęka mi opadła.

– Chryste, Landon, to jest wysokość opłaty za uczęszczanie do jednej z tych pieprzonych szkół? – wypaliłem bez zastanowienia.

Landon momentalnie zeszywniał i to był koniec krótkiego okresu ocieplenia naszych stosunków.

– Wiem, ile to kosztuje, Maxx. Tyram jak nienormalny, żeby załapać się na możliwie dużą pulę pomocy finansowej, żebyś nie miał poczucia, że musisz mi pomagać, bo widzieliśmy, jak świetnie to wyszło ostatnim razem – wypalił z nienawiścią.

Zmełłem w ustach wściekłą ripostę, próbując sobie przypomnieć te niezwykle pomocne techniki oddychania, które mi wmuszano na odwyku.

Po kilku minutach poczułem się lepiej.

– Lan, nie ma nic złego w tym, że chciałem ci pomóc.

– Po prostu nie chcę, żebyś myślał, że *musisz* – powiedział ponuro. Spuściłem wzrok na liczbę bijącą ze strony. Zawsze byłem

odpowiedzialny za Landona. Zawsze starałem się robić wszystko dla jego dobra. Ale teraz ledwie udawało mi się zarobić na media i żarcie.

Jak, do kurwy nędzy, miałem utrzymać płynność finansową i mieć jednocześnie poczucie, że robię to, co trzeba, dla ludzi, na których mi zależy?

– Okej, dobra, nie zamartwiajmy się tym teraz i po prostu przyjrzyjmy się bliżej tym szkołom – powiedziała, zmieniając temat, ale poczucie porażki aż mnie paliło w żołądku.

– Dobra, fajnie – odparł Landon, uśmiechając się do mnie nieznacznie.

A ja odwzajemniłem ten uśmiech, chociaż w środku krzyczałem.

\*

Zaparkowałem samochód na polu. Z oddali dochodziło dudnienie klubowej muzyki. Na początku tego tygodnia Marco i ja natknęliśmy się przypadkowo na stary pas startowy. To było prawdziwe odkrycie. W latach sześćdziesiątych znajdowało się tu miejscowe lotnisko, ale ze względu na cięcia zamknięto je zaledwie dekadę później.

Gash i spółka rozstawili wyposażenie w starym hangarze. Widziałem światła błyskające przez rozbite okna, ziemia wibrowała mi pod stopami. Nie było zagrożenia, żeby tak daleko od miasta ktoś nas odkrył. W promieniu wielu mil wokół było kompletnie pusto. Idealna miejscówka.

Marco zobaczył mnie, zanim zdążyłem go wypatrzyć.

– X! – wrzasnął na tyle głośno, by przekrzyczeć dudniącą muzykę.

Cała kolejka odwróciła się jak na komendę w moim kierunku. Spostrzegłem wybałuszone oczy, usłyszałem narastające szepty i mimowolnie uśmiechnąłem się szeroko. Miło było być rozpoznawanym. Tęskniłem za sławą. Za uwagą.

Marco klepnął mnie w ramię i natychmiast wprowadził do środka. Hangar był wielką, otwartą przestrzenią. Na samym końcu ekipa Gasha rozstawiła bar, pod sufitem wisiały migające stroboskopy

i laserowe światła. Budkę didżeja zamontowano na platformie na samym środku sali.

– Co ty tu, kurwa, robisz, człowieku? Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę twoją paskudną gębę po tej stronie drzwi.

Rozejrzałem się za ekipą Gasha. Zwykle instalował się podczas klubowych nocy gdzieś na uboczu: na tyle blisko, by mieć oko na wszystko, ale na tyle daleko, by nie musieć uczestniczyć w całej imprezie. Mimo wszystkich tych swoich podejrzanych interesów nie czerpał przyjemności z przebywania w klubie.

– Wpadłem, żeby pogadać z Gashem! – zawołałem, przekrzykując muzykę.

Marco zmarszczył brwi.

– Tak? A o czym? – zapytał, a ja ze zdumieniem spojrzałem na faceta, który od lat był mi przyjacielem.

– A jak myślisz, głąbie? – warknąłem, wkurzony, że oczekuje ode mnie, żebym powiedział to na głos.

Sądziłem, że Marco będzie skakał z radości na wieść o tym, że wracam na arenę. W końcu od dawna naciskał, żebym dołączył z powrotem do ekipy. Ale nie wydawał się uszczęśliwiony tą wiadomością. Sprawiał wrażenie... zmartwionego.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, człowieku – powiedział, odciągając mnie na bok, z dala od tłumu.

– O czym ty, kurwa, mówisz, Polo? Od miesiący zawracasz mi dupę, żebym wrócił do klubu. Pamiętasz całą tę swoją mówkę: „X, nie ma bardziej niemoralnego gnojka od ciebie!”. O co ci chodzi, do cholery?

Marco zaczął raz za razem pociągać się za kolczyk w brwi, co robił tylko wtedy, gdy był zdenerwowany. Rozejrzał się, po czym nachylił się tuż nad moją twarzą, naruszając moją przestrzeń osobistą w sposób, który wcale mi się nie podobał.

– Pojawiły się takie plotki... – zaczął mówić, ale wtedy usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu.

– X!

Rozejrzałem się i zobaczyłem Vincenta, sługusa Gasha, pokazującego mi na migi, żebym za nim poszedł.

Odwróciłem się z powrotem do Marca.

– Pogadamy później, okej?

Marco wzruszył ramionami, jakby kilka sekund wcześniej wcale się dziwnie nie zachowywał.

– Wszystko jedno. Na razie.

Po czym wtopił się w tłum, wracając na swoje miejsce przy wejściu.

Poszedłem za Vincentem na tył sali i wszedłem do małego biura. W środku z garstką ludzi siedział Gash, paląc skręta.

– X! Dobrze cię widzieć, wchodzi – powiedział głosem napiętym od przetrzymywanego w płucach dymu.

Gestem kazał reszcie wyjść. Zostaliśmy tylko my i Vincent.

– Nie wiedziałem, czy wrócisz – powiedział Gash, chociaż z pełnego wyższości uśmiešku, który odmalował się na jego twarzy, wywnioskowałem, że domyślał się, że znów mnie zobaczy. I wiedział dokładnie, po co przyszedłem.

– No cóż, myślałem o twojej propozycji – zacząłem mówić.

Gash skinął głową Vincentowi, który sięgnął do skórzanej torby i wyciągnął dwie plastikowe torebki wypełnione tabletkami.

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy brałem je od Vincenta. Paliły mi palce poczuciem winy i wstydu.

Nie mogłem uwierzyć w to, do czego się uciekam. Tak ciężko pracowałem, żeby zostawić to wszystko za sobą, a oto proszę: wskakiwałem z powrotem do basenu z rekinami.

Byłem jednak zdesperowany i zmęczony niemożnością zarobienia na sobie. Potrzebowałem tylko tyle, by utrzymać się na powierzchni, dopóki nie wymyślę czegoś innego. To *nie* będzie permanentne rozwiązanie.

Byłem oddany swojemu nowemu życiu. To pomoże mi tylko dopilnować, żebym nie utonął, kiedy spróbuję nim żyć.

W każdym razie udało mi się wzbudzić w sobie takie właśnie przekonanie.

– Ważne, żebyś się tu pojawił w następną sobotę z całym zapasem. Bądź tutaj nie później niż o dziesiątej – powiedział Gash stanowczo.

Zmarszczyłem brwi. Nigdy wcześniej nie wydawał mi tak konkretnych poleceń. Zawsze chodziło tylko o to, żeby sprzedać cały ten gówniany towar i oddać mu pieniądze.

– A konkretnie dlaczego? – zapytałem, wrzucając dragi do torby na podręczniki, którą przyniosłem ze sobą w tym właśnie celu.

– Bo ja tak, kurwa, mówię! Dlatego! – wrzasnął Gash.

Co go tak wkurzyło?

– Dobra, dobra...

Wygładził sobie do tyłu siwiejące włosy i obdarzył mnie swoim charakterystycznym, lepkiem uśmiechem.

– Zarobisz dla nas mnóstwo pieniędzy, X. Dobrze mieć cię z powrotem w zespole.

Zjeżyłem się.

– Nie jestem z powrotem w zespole, Gash. To jednorazowa sprawa. Potrzebuję po prostu trochę forsy, żeby przetrwać. Rozumiesz, czasy są trudne.

Gash zaśmiał się nieszczerze.

– Jasne, rozumiem. Jednorazowa sprawa. Żadnych zobowiązań. Łapię.

Wow. Był nietypowo zgodny. Za odmowę powrotu do pełnoetatowego dilowania spodziewałem się co najmniej gróźb karalnych.

– No dobra, pójdę już. Zobaczymy się w przyszłą sobotę – powiedziałem, wycofując się do drzwi.

– Nie później niż o dziesiątej, X. I mówię, kurwa, poważnie. Inaczej tobie i ludziom, których kochasz, mogą zdarzyć się rzeczy, które nie będą bardzo miłe. Łapiesz?

To był Gash, którego znałem i nienawidziłem.

– Taa, łapię – odparłem, zarzucając sobie torbę na ramię.

Wyszedłem z zaimprovizowanego biura Gasha i ruszyłem do drzwi wejściowych. Wyciągnęły się do mnie ręce próbujące mnie złapać. Dziewczyny przyciskały się do mnie, błagając mnie o to, co zawsze byłem w stanie im dać.

Kiedyś to kochałem. I wciąż czułem płynącą z tego energię. Ale teraz wydawało mi się to obrzydliwe i złe. Zatrzymałem się dopiero,

kiedy wyszedłem z klubu. Nie zawracałem sobie nawet głowy rozmową z Markiem. Za bardzo palił mnie wstyd.

„Tylko jeszcze ten jeden raz” – powtarzałem sobie w myślach przez całą drogę do domu.

Wszedłem do mieszkania, ale zamiast zasnąć, myślałem cały czas o tabletkach w mojej torbie. O tym, jak bardzo ich pragnę. Jak bardzo jestem ich złałniony.

„Tylko jeszcze ten jeden raz”...

## Rozdział trzydziesty trzeci

-Aubrey-

– Czuję się tak, jakbyśmy byli statkami mijającymi się w nocy – powiedziałam zaczepnie w łagodne poniedziałkowe popołudnie.

Maxx, który ledwie się obudził, rzucił mi zmęczony uśmiech i pocałował mnie, gdy tylko weszłam do jego mieszkania. Nie widziałam go cały weekend, spotkaliśmy się po raz pierwszy od wielu dni.

– Jak spotkanie z Landonem w sobotę? – zapytałam.

Udało mi się porozmawiać z nim krótko w niedzielę, a temat jego spotkania z bratem jakoś nie wypłynął.

– Co? – zapytał, przecierając zaspane oczy.

Ostatnio wydawało się, że coraz więcej śpi. Martwiłam się, że zaczyna wpadać w depresję. Próbowałam wyciągać go z łóżka i namawiać na różne aktywności, ale gderał i protestował.

Wiedziałam, że martwi się swoją sytuacją finansową, ale wiedziałam też, że nie mam żadnego sposobu, żeby mu pomóc. Usilnie próbował znaleźć dodatkową pracę, ale raz za razem kończyło się to żalonym niepowodzeniem.

– Twój brat. Chłopak, z którym spędziłeś sobotę – odpowiedziałam z niepewnym uśmiechem.

Maxx uśmiechnął się z zażenowaniem.

– No tak. Był miły. Chce, żebyśmy obejrzał z nim latem kilka szkół plastycznych.

Wyciągnął pudełko płatków śniadaniowych i nasypał sobie do miseczki. Zajrzał do lodówki, ale nie było w niej mleka, więc zaczął je zjadać na sucho. Pomyślałam, żeby zrobić mu zakupy, ale wiedziałam, że duma nie pozwoliłaby mu wziąć ode mnie pieniędzy.

Otoczyłam go ramionami w pasie i wtuliłam się w jego pierś.

– To wspaniale, Maxx.

Pomijając napięcia finansowe, wiedziałam, że zamartwia się tym,

jak naprawić relacje ze swoim bratem. Landon czuł się zdradzony, a ja doskonale rozumiałam, skąd mu się to bierze. I niczym prawdziwy nastolatek potrafił żywić śmiertelną urazę.

Maxx schrupał swoje płatki, przełknął, po czym pochylił się i pocałował mnie w czubek głowy.

– Chciałbym cię gdzieś zabrać w przyszłym tygodniu. W jakieś miłe miejsce – powiedział nagle.

Cofnęłam się i spojrzałam na niego.

– Nie musisz. Jestem równie szczęśliwa, spotykając się z tobą tutaj – zaproponowałam.

Nie chciałam, żeby mnie zapraszał i fundował mi, kiedy ledwie mógł sobie pozwolić na podstawowe zakupy spożywcze.

– Bardzo bym chciał. Nie miałem szansy zabrać cię na randkę, na jaką zasługujesz.

Pocałowałam go w pierś i przyłożyłam policzek do jego serca, bijącego mocno i pewnie pod moim uchem.

– Masz inne rzeczy, za które powinieneś zapłacić. Nie musisz zabierać mnie na żadną wystawną kolację – przekonywałam.

Odstawił swoją miseczkę na blat i przytulił mnie tak, że obejmowaliśmy się nawzajem.

– Nieczęsto postępowałam wobec ciebie uczciwie, Aubrey, ale pozwól mi to zrobić. Poza tym po tym weekendzie będę opływał w kasę – powiedział bez namysłu.

Odchyliłam się w tył, lekko wysuwając się z jego uścisku, i rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Naprawdę? Jak to?

– Mam okazję zarobić naprawdę niezłe pieniądze.

Rozpromieniłam się.

– Zabrałeś swoje obrazy do innej galerii? – zapytałam z nadzieją. Możliwie subtelnie sugerowałam mu, żeby spróbował sprzedać swoje prace innym handlarzom dzieł sztuki. Był popyt na jego prace, musiał go tylko wykorzystać. Po tym, jak został wcześniej odrzucony, odnosił się do tego nieprzychylnie, ale może w końcu dojrzał.

Maxx podrapał się w skroń.



– E, nie. To nie to. Na razie nie chciałbym o tym zbyt dużo mówić, ale mam nadzieję, że czasy życia z dnia na dzień niedługo się skończą i w końcu nasza przyszłość zacznie wyglądać trochę jaśniej.

Miałam ochotę podrażnić trochę temat tej nowej wspaniałej *okazji*. Zaniepokoił mnie ten ogień w jego oczach. Ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, ujął małą prezentową torebkę, którą ze sobą przyniosłam, i podniósł ją.

– Czy to jest właśnie niespodzianka, o której mówiłaś?

– Ach. Tak – powiedziałam, myślami błędząc gdzie indziej.

Uśmiechnął się szeroko i zaczął wyciągać z torebki bibułkę. Ujął w dłoń ciężką ramkę i wbił wzrok w zdjęcie za szkłem. Jego twarz była starannie wyprana z wszelkiego wyrazu, a ja zastanowiłam się, czy nie oceniłam zbyt optymistycznie jego radości z tego prezentu.

– Jak to znalazłaś? – zapytał cicho, nie patrząc na mnie, utkwivszy wzrok w fotografii przedstawiającej cztery osoby.

– Właściwie znalazłam ją przy okazji jednej z moich pierwszych bytności tutaj. Wiem, że trzymałeś ją na dnie szuflady, i pomyślałam po prostu, że czas, żeby ją wreszcie wyciągnąć z ukrycia, nie sądzisz? – zapytałam cicho.

Maxx stał tam przez długą chwilę, a potem bez słowa ruszył korytarzem. Poszłam za nim, nie wiedząc, co ma zamiar zrobić. Podszedł do komody i powoli postawił zdjęcie w ramce na samym środku. Tak długo je obracał, aż stanęło frontem do jego łóżka.

– Ufam, że nie masz nic przeciwko temu, że to zrobiłam. Nie próbowałam naruszać twojej prywatności... – zaczęłam mówić.

Maxx chwycił mnie nagle, przyciągnął do siebie i wpił się wargami w moje usta. Chwilę później oderwał się ode mnie, zostawiając nas oboje bez tchu.

– Dziękuję ci, Aubrey. Bardzo ci dziękuję. Każdego dnia przypominasz mi o tym, co to znaczy dostać drugą szansę. I przysięgam na Boga, że cię nie zawiodę.

A potem na jakiś czas przestaliśmy rozmawiać.

Kiedy wreszcie wynurzyliśmy się na powierzchnię, by zaczerpnąć tchu, leżeliśmy na boku, przyciśnięci do siebie, w jego łóżku. Maxx bawił się moimi włosami, a ja rysowałam leniwie kółka na jego

klatce piersiowej.

– Czy kiedykolwiek zastanawiasz się nad tym, gdzie będziemy za dziesięć lat? – zapytałam.

Maxx przesuwał dłonią w górę i w dół moich pleców.

– Nieustannie – mruknął.

Przewróciłam się na brzuch i oparłam brodę na jego piersi, popatrując na niego zza zasłony rzęs.

– I co widzisz?

Maxx przyciągnął mnie do siebie i nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Widzę ciebie. Widzę siebie. Widzę nas, mieszkających w wielkim domu, z psem, którego uparłaś się nazwać Molly, chociaż mnie podobało się imię Daisy. – Zawiesza spojrzenie w jakiejś nieopisanej dali, a ja obserwuję go, zafascynowana jego opisem życia, którego jeszcze nie przeżyliśmy. – Mamy małą dziewczynkę, pięciolatkę, która wygląda dokładnie jak ty, ale uwielbia malować, dokładnie jak ja. Jesteś w ciąży z naszym małym chłopczykiem i całe weekendy poświęcamy na urządzenie pokoju dziecięcego. Wymalowałam motocykl na ścianie, a ty zawiesiłaś niebieskie zasłonki w oknach. Twój rodzice wpadają w odwiedziny na święta, a mój brat nocuje u nas, kiedy jest w mieście. Ty jesteś nauczycielką, ja artystą i to wszystko działa, bo po dziesięciu latach kochamy się równie mocno jak w tej chwili.

Jego piękna wizja naszej przyszłości przeszła mnie dreszczem.

– Wow, naprawdę masz to przemyślane – powiedziałam cicho, całując go w brodę.

– Myślę o tym codziennie, Aubrey. To pozwala mi przetrwać wszystkie złe chwile. Pozwoliło mi przetrwać odwyk. Coś ci pokażę.  
– Ostrożnie wysunął się spode mnie i wstał z łóżka.

Podszedł do sterty zamalowanych płócien, która powoli narastała w ciągu kilku minionych miesięcy. Wyciągnął płótno gdzieś z tyłu. Przyniósł je do łóżka i usiadł, trzymając je na kolanach.

Podpełzałam do niego, zajrzałam mu przez ramię i aż mi zaparło dech w piersiach.

To był obraz przedstawiający mnie z profilu. Prawdziwie w stylu

X: żywy i szczegółowy. Kolory były znacznie bardziej przygaszone niż w innych jego pracach, ale siłą wyrazu zwał z nóg.

Na obrazie stałam przed oknem i patrzyłam przez ramię, a długie włosy powiewały mi na wietrze, przechodząc w wielkie słońce wiszące na wyobrażonym niebie. Byłam ubrana w długą, lejącą się suknię, która niknęła w kwietnej łące u mych stóp.

Namalowana Aubrey wyciągała dłoń, a długie, męskie palce splatały się z jej szczupłymi. Maxx namalował samego siebie wyłaniającego się z cienia, by mnie chwycić. Nigdy wcześniej nie malował samego siebie. Znaczenie tego obrazu było niepodważalne. Zaparło mi dech.

Maxx spojrzał na mnie.

– Kiedy myślę o swojej przyszłości, widzę właśnie to. Ciebie. Mnie. Razem.

Pocałowałam go w ramię. Postawił obraz obok siebie i dłonią objął moją twarz.

– I dlatego zrobię dla ciebie *wszystko*. Przejdę przez ogień, by dać ci życie, na jakie zasługujesz. Czy ufasz, że się o ciebie zatroszczę? – wyszeptał, całując mnie w policzki, nos i usta.

Czy mu ufałam?

Chciałam.

Nie odpowiedziałam mu więc, wybierając zamiast tego pocałunek i nadzieję, że w tym momencie nie potrzebował już żadnej innej odpowiedzi.

\*

Gapiałam się na listę zajęć Katedry Pedagogiki, kompletnie przytłoczona. Wybór był ogromny, a zmiana kierunku studiów w samym ich środku odsuwała szacowany termin otrzymania dyplomu co najmniej o rok.

Nie wątpiałam jednak w swoją decyzję o rezygnacji z doradztwa terapeutycznego. Naprawdę miałam poczucie, że nie mogłam dokonać lepszego wyboru. Po prostu czułam, że to jest *śluszne*.

Siedziałam w Coffee Jerk, sączyłam latte i ślęczałam nad

katalogiem. Maxx nie pracował i właściwie dobrze się złożyło, bo musiałam się skupić na wymyśleniu, jak mam zorganizować całą tę zmianę kierunku studiów.

– No i nad czym tak siedzisz?

Podniosłam wzrok w chwili, w której Brooks odsunął sobie krzesło naprzeciw mnie i usiadł. Rzadko go widywałam w ciągu kilku ostatnich tygodni – od czasu tej jego deklaracji, która pozostawiła nas z poczuciem zażenowania.

Uniosłam folder do góry.

– Wybieram sobie zajęcia na semestr jesienny.

Brooks zmarszczył brwi.

– Więc naprawdę zmieniasz kierunek studiów?

Przygryzłam wargę i skinęłam głową.

– No tak.

Oczekiwałam wykładu albo zobrzydzonego prychnięcia, ale nic z tego. Brooks po prostu spojrział na mnie z namysłem.

– Nie zamierzasz mi powtórzyć, jaka jestem głupia, marnując trzy ostatnie lata? Żadnych krytycznych komentarzy na temat tego, jak bardzo się cofam?

Brooks potrząsnął głową.

– Nie. Nic z tego. Nie można wymuszać czegoś, co nie działa, Aubrey – powiedział z nutą smutku.

Miałam poczucie, że mówi o czymś więcej niż mój kierunek studiów.

Pociągnął łyk kawy.

– Zdecydowałem się robić studia magisterskie na Uniwersytecie Maryland. W zeszłym tygodniu przyjąłem ich propozycję.

Upuściłam katalog zajęć i spojrzałam na mojego przyjaciela.

– A co z pomysłem robienia dyplomu na LU?

Brooks upił kolejny łyk kawy i spojrział na mnie. Nasze oczy się spotkały.

– Zostałbym tutaj wyłącznie z niewłaściwych powodów. Myślę, że miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że dobrze by było wyjechać.

Poczułam zaciskający mi się na żołądku węzeł, rozpalający we mnie dokuczliwe wyrzuty sumienia.

Potraktowałam Brooksa Hamlina niesprawiedliwie. Zawsze był dla mnie oparciem, prawdziwym przyjacielem, a ja go wykorzystałam, emocjonalnie zmanipulowałam, a potem odrzuciłam, gdy Maxx powtórnie wkroczył w moje życie.

W tym momencie niezbyt się lubiłam. W ogóle się nie lubiłam.

– Wiem, co tam sobie myślisz – powiedział Brooks, wyrrywając mnie z pogardliwych rozmyślań o samej sobie.

– Czyżby? O czym? – zapytałam w napięciu.

– Myślisz, że tu chodzi o ciebie i o to, co ci powiedziałem. Dostyc to narcystyczne, nie sądzisz? – zapytał zaczepnie, lecz dobrodusznie.

– Ale wydawało się, że jesteś taki pewny decyzji o pozostaniu na LU – odparowałam.

– Tak. Może liczyłem na to, że coś się między nami wydarzy. Kocham cię, Aubrey, i to się nie zmieniło. Ale to nie było fajne z mojej strony, wyłożenie kart na stół, skoro wiedziałem, że nie odwzajemniasz tego uczucia.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Zwiodłam cię, Brooks...

– A ja wiedziałem, dlaczego to robisz. Wiedziałem, że kochasz Maxxa i nic się nie zmieniło. Nie znoszę gościa i uważam, że stać cię na więcej, ale taka jest prawda. Nie mogę cię zmusić do tego, żebyś poczuła do mnie coś, czego nie czujesz. Wywieranie na ciebie takiego nacisku nie było w porządku.

Sięgnęłam przez stół, ujęłam go za rękę i ścisnęłam.

– Jesteś takim wspaniałym facetem, Brooks. Jesteś jednym z moich najlepszych przyjaciół i naprawdę mam nadzieję, że to się nigdy nie zmieni, niezależnie od tego, gdzie ostatecznie wylądujemy. Bo to... – Ścisnęłam go za rękę odrobinę mocniej. – To jest przyjaźń z rodzaju tych na całe życie.

Brooks odwzajemnił uścisk.

– Wiem. Mam nadzieję, że rozumiesz, że chcę po prostu twojego dobra. I nawet jeśli nie pojmuję do końca powodów, to najwyraźniej jesteś przekonana, że jest nim Maxx. I muszę się z tym pogodzić. Zaufać, że dokonujesz dla siebie najlepszych wyborów, i przestać traktować cię tak, jakbyś nie była zdolna do samodzielnego

podejmowania decyzji.

Zaufanie.

I znów to słowo. Wyglądało na to, że wszyscy mają problem z jego zrozumieniem.

– Doceniam to, Brooks, naprawdę.

Uśmiechnęliśmy się do siebie w ten swobodny, znajomy sposób, po czym Brooks wziął ze stołu katalog zajęć i zaczął go kartkować.

– Jest tu trochę naprawdę świetnych wykładów. Na jaką ścieżkę się zdecydowałaś? – zapytał, zmieniając temat.

Pozwoliłam mu przekierować rozmowę na tory, na których czułam się najswobodniej. Wiedziałam, że trzeba trochę czasu i może pewnego oddalenia, ale damy sobie radę.

## Rozdział trzydziesty czwarty

-Aubrey-

Był sobotni wieczór i wracałam z Renee do domu z biblioteki uniwersyteckiej. Maxx znów spędzał wieczór z Landonem, więc Renee zapytała, czy nie chciałabym dotrzymać jej towarzystwa, gdy będzie kończyć projekt na zajęcia z marketingu, który miała oddać w poniedziałek.

– Ale z nas szalone laski. W sobotni wieczór przesiadujemy w bibliotece – zaśmiałam się, narzucając sobie płaszczyk na ramiona.

Wkroczyliśmy w pierwszy weekend maja, rok akademicki miał się już ku końcowi i wreszcie zrobiło się na tyle ciepło, żeby wieczorem nie trzeba było wkładać kurтки.

Uwielbiałam lato. To była moja ulubiona pora roku. Zamierzałam zaproponować Maxxowi, żebyśmy po zakończeniu roku akademickiego pojechali na kilka tygodni do moich rodziców. Marshall Creek dzieliła zaledwie godzina drogi samochodem od Outer Banks. Chciałam spędzić z Maxxem trochę czasu i odprężyć się po tych kilku ostatnich stresujących miesiącach.

Od czasu mojej wizyty u rodziców byliśmy w regularnym kontakcie i chociaż czasami nadal bywało niezręcznie, robiliśmy postępy.

– Nie mogę doczekać się lata – powiedziałam do Renee.

– Ja też. Rodzice zaprosili mnie, żebym przyjechała do domu na kilka tygodni. Poważnie się zastanawiam, czy nie skorzystać z tej propozycji. – Renee wzięła swoją torbę z książkami i wyszła za mną z biblioteki.

– A będziesz się w ogóle latem widywać z Iainem? Zostaje w kampusie? – Wciąż nie miałam pojęcia, co właściwie dzieje się z Iainem. Wiedziałam, że Renee poszła z nim kilka razy na randkę, ale znałam swoją przyjaciółkę i widziałam, że świadomie nie

angażuje się w ten związek.

Renee wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Właściwie nie omawialiśmy planów na lato – powiedziała beztrzesko.

– Może moglibyście coś wspólnie zaplanować? – przynagliłam ją. Nie lubiłam patrzeć, jak zamyka się w sobie, tak jak zwykle sama to robiłam. Przecież to ona była tą impulsywną i namiętną, a ja tą stateczną i ograniczoną emocjonalnie. Nie wiedziałam, co sądzić o tym odwróceniu ról.

Martwiłam się o Renee. Jasne, świetnie radziła sobie w szkole i wyglądało na to, że stara się zostawić za sobą tę historię z Devonem, ale niepokoił mnie brak iskry w jej oczach. Spojrzała na mnie z ukosa, wiedząc dokładnie, co sobie myślę.

– Ależ ty jesteś natrętna, Aubrey – powiedziała oskarżycielsko, ale uśmiechnęła się.

– Chciałabym tylko zobaczyć moją przyjaciółkę szczęśliwą – odparłam, trącając ją ramieniem, gdy szliśmy przez kampus.

– *Jestem szczęśliwa* – zaproponowała Renee.

– No dobrze, chciałabym zobaczyć cię *szczęśliwszą* – poprawiłam.

– Nie potrzebuję faceta, żeby być szczęśliwa, Aubrey. Może wyraziłabyś odrobinę więcej uznania dla mojego rozwoju osobistego – skarciła mnie.

– Nie twierdzę, że potrzebujesz faceta. Nie chciałabym tylko, żebyś przeobraziła się w emocjonalne zombi z gatunku Aubrey Duncan – zażartowałam.

– Zombi z gatunku Aubrey Duncan, powiadasz? Ciarki po plecach – roześmiała się.

– A żebyś wiedziała – odparłam całkiem trzeźwo i poważnie.

– Wiem, że twoim zdaniem zamykam się w sobie z powodu tego, co zdarzyło się z Devonem. A to nie to. Przysięgam. Po prostu od tej pory zamierzam chronić samą siebie. I nie sądzę, żeby najlepszym sposobem na realizację tego planu było rzucenie się w jakąś poważną historię. Mogę spotykać się z Iainem i dobrze się bawić, ale to wszystko. Na razie to wszystko, do czego jestem zdolna.

– Dobra, w porządku, nie nalegam.



– Nie mam pretensji, Aubrey. Wiem, że po prostu przejmujesz się, bo mnie kochasz – powiedziała Renee, ujmując mnie pod ramię.

– Do szaleństwa. – Uśmiechnęłam się szeroko.

Renee zachichotała i pokręciła głową.

– Trafiłaś w punkt. Swoją drogą, co tam się dzieje? – Renee wskazała na grupkę ludzi stojących pod ścianą sali gimnastycznej.

– Nie wiem – odpowiedziałam i pociągnęłam ją za rękę. Dopadło mnie nieprzyjemne uczucie déjà vu. – Chodź, zobaczmy – powiedziałam schrypniętym nagle głosem.

– Cokolwiek to jest, budzi wielkie emocje – zauważyła Renee, kiedy podskakiwałyśmy na palcach, żeby zobaczyć coś ponad głowami tłumu.

– Chodź, przedrzemy się do przodu – powiedziałam, wskazując głową na ludzi kotłujących się w stłoczonych grupkach.

– Łokcie w gotowości – zażartowała Renee.

Razem przepchnęłyśmy się ku ceglanej ścianie, która wydawała się ogniskować na sobie uwagę wszystkich.

I wtedy serce we mnie zamarło, a wraz z jego ostatnim uderzeniem przysło przekonanie, że istnieją wiara, nadzieja i miłość.

– Nie – wyszeptalam, nie wierząc własnym oczom.

Wielki malunek zajmował większość ściany. Słowo „Compulsion” zdobiło wymalowane na ceglach chmury. Był to raczej mało wymyślny rysunek przedstawiający ukwieconą łąkę i drzewo, na którego pniu wyraźnie wypisano adres.

Widywałam ładniejsze rysunki, ale znaczenie tego sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze.

– Czy to nie Maxx robił takie rzeczy dla klubu? – zapytała stojąca za mną Renee.

Skinęłam głową. W ustach mi zaschło i niebezpiecznie ścisnęło mnie w gardle. Przepchnęłam się z powrotem przez tłum i oparłam o przeciwległą ścianę, miarowym oddechem starając się odpędzić mdłości.

Przecież to nie mogła być prawda. Nie mogła?

Maxx powiedziałby mi, gdyby znów zaczął pracować dla Compulsion. Prawda?

Nie chciałam dać wiary niezaprzeczalnemu świadectwu własnych oczu.

Dowodowi jego zdrady.

Wściekle uderzyłam dłonią w ścianę, prawie nie zauważając bólu przeszywającego mi ramię.

– Ej, co jest? – zapytała Renee, marszcząc brwi.

Wskazałam na dzieło, o którym wszyscy mówili.

– To jest, kurwa! – zagotowałam się, a oczy zapiekły mnie od łez.

– Nie rozumiem... – zaczęła Renee.

Odepchnęłam się od ściany i przycisnęłam dłonie do oczu.

– Bo jeśli to jest X, to oznacza, że znów pracuje dla klubu. A jeśli znów pracuje dla klubu, to mnie okłamał. Powiedział mi, że nigdy tam nie wróci.

– Oj – powiedziała Renee cicho.

Opuściłam ramiona, kompletnie przybita.

Wyciągnęłam telefon z kieszeni i wybrałam jego numer.

Przełączyło mnie od razu na pocztę głosową.

– Nie zniosę tego po raz drugi!

Serce rozdzierały mi wątpliwości.

– Nie wiesz, czy to on. Chodzi mi o to, że... No wiesz, popatrz na ten rysunek. Jest w ogóle niepodobny do innych jego prac – powiedziała Renee w zamyśleniu.

Ale kto inny mógł to zrobić? To było dzieło Maxxa.

To wyjaśniałoby jego dziwny nastrój.

I ta tajemnicza „praca”, dzięki której miał zarobić tyle pieniędzy.

Znów wybrałam jego numer i jęknęłam z frustracji, kiedy znów przerzuciło mnie na pocztę głosową. Wystukałam krótki esemes.

„Gdzie jesteś?”

A potem czekałam.

I czekałam.

Nic.

Jak mógł to zrobić?

Zakryłam usta dłonią, by powstrzymać skowyt, który niemal wydarł mi się z gardła. Odwróciłam się nieprzytomnie i zaczęłam iść przed siebie, rozpaczliwie pragnąc uciec, kiedy nagle na kogoś

wpadłam.

– Przepraszam – wymamrotałam, odrywając wzrok od malunku.

– Aubrey!

Nieoczekiwanie znalazłam się twarzą w twarz z April.

Nie widziałam jej od czasu starcia z Evanem. Przestała uczęszczać na zajęcia z *Granic i etyki terapii* i szczerze powiedziawszy, byłam zanadto zaabsorbowana własnym życiem, żeby zastanawiać się nad tym, co się z nią stało.

– April, cześć – odpowiedziałam, rozglądając się pospiesznie za jej psychopatycznym chłopakiem.

Odwróciłam się z powrotem i przeżyłam szok. April uśmiechnęła się. Od ucha do ucha. Wyglądała zupełnie... *inaczej*.

Zniknęły różowe kosmyki i kolczyki w twarzy. Jej włosy miały teraz przyjemny, naturalny odcień brązu, a na twarzy nie pozostał nawet ślad zwykłego mocnego makijażu. Jej buzia, niezastłonięta już całym tym metalem, okazała się całkiem ładna.

– Chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała, zerkając nerwowo w kierunku Renee.

Moja współlokatorka zrozumiała aluzję i odeszła kilka kroków.

– Przestałaś pojawiać się na zajęciach – stwierdziłam.

– No tak. Musiałam poświęcić chwilę na uporządkowanie kilku spraw. – Zniżyła głos. – Zostawiłam Evana.

Zamrugłam wstrząśnięta.

– Co? To znaczy... to wspaniale. Naprawdę się cieszę, April. – Mówiłam serio.

Naprawdę chciałam poświęcić jej czas i uwagę, ale mój wzrok ciążył podświadomie w kierunku malowidła za jej plecami. Wpatrywałam się w nie przez chwilę. Rysunek był bardzo schematyczny, zupełnie nieuszczergółowany. Nie było w nim żadnych symbolicznych figur ani głębszego znaczenia, tylko marnie nakreślone drukowane litery, z boku których wystrzeliwały płomienie. Nasuwały skojarzenia z tagowaniem gówniarzerii, a nie z prawdziwą sztuką. April wciąż coś mówiła. Z trudem skupiłam się na jej słowach, ale w głowie miałam kompletny chaos.

Czy to był X?

Czy Maxx poszedł do klubu? Czy to dlatego był nieuchwytny i udzielał tak wymijających odpowiedzi na moje pytania?

„Mam okazję zarobić naprawdę niezłe pieniądze”.

I nie wyjaśnił mi dokładnie, jak zamierza to zrobić. Patrzyłam na malunek jeszcze przez chwilę, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

Nie zrobiłby mi tego. Nie po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, żeby razem znaleźć się w tym miejscu.

Ale moja głowa opierała się mojemu romantyzmowi.

Dowód masz przed sobą! Kłamał! Powiedział ci, że ma szansę zarobić pieniądze. Co sobie wyobrażałaś?

Zamrugłam i spróbowałam odzyskać jasność myślenia, zdecydowanie przenosząc wzrok znów na April.

– No tak. Po tym, co ci zrobił, uświadomiłam sobie, że nie mogę się dalej godzić na cały ten szajs. Wniosłam przeciw niemu oskarżenie o... no, takie tam różne rzeczy, które się wydarzyły. W każdym razie wyjechał. Tak naprawdę nie wiem, gdzie jest. A ja wprowadziłam się z powrotem do rodziców.

Stałam przez chwilę zupełnie zagubiona, próbując odnaleźć się na nowo w naszej rozmowie. I wtedy do mnie dotarło, co przed chwilą powiedziała.

– Naprawdę mnie cieszy to, co mówisz. Czułam się koszmarnie z tym, że wtedy odeszłam, nie wiedząc, czy z tobą wszystko w porządku...

– Nie zadrezczaj się. Przykro mi tylko, że nie potrafiłam go powstrzymać – bąknęła April, zwieszając głowę.

Niepewnie położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Nie obwiniaj się o jego problemy. Łatwo dać się zwieść ładnym słówkom i fałszywym obietnicom przebrany za miłość – powiedziałam, patrząc znów na koszarne graffiti.

Co zrobię, jeśli się okaże, że Maxx jest w klubie? Co zrobię, jeśli się okaże, że kłamał?

I wtedy do mojej świadomości przedarła się jeszcze koszmarniejsza myśl, od której nogi się pode mną ugięły.

Jeśli potrafi kłamać w tej sprawie, to w jakiej jeszcze nie mówi prawdy?

Miał dzisiaj spędzić wieczór z Landonem. Intuicja podpowiadała mi, że to nieprawda. Pomyślałam o minionym tygodniu i o tym, jak dziwnie się zachowywał. Tak szybko to zlekceważyłam. Bezmyślnie wpadałam z powrotem w dawny schemat usprawiedliwiania i wypierania.

Poczułam rozpalający mnie do białości gniew. Zacisnęłam dłonie w pięści, starając się stłumić chęć wrzaśnięcia na całe gardło.

– Idziesz do klubu? – zapytała April nieoczekiwanie.

– Co? – zapytałam, prawie jej nie słuchając.

– Compulsion. Idziesz? Myślałam o tym, żeby się tam wybrać z kilkorgiem przyjaciół. Jeśli masz ochotę, to możesz do nas dołączyć ze swoją ekipą. – Uśmiechnęła się.

– Nie wiem. – Myśli przebiegały mi przez głowę jak szalone.

– Założę się, że Maxx też tam będzie – powiedziała, przywracając mnie gwałtownie do rzeczywistości.

– Co? – szczerknęłam.

April wydawała się zaskoczona moim wybuchem. Renee położyła mi dłoń na ramieniu, próbując mnie uspokoić, ale zdecydowanie *nie* czułam się spokojna.

– Oj, no wiem, że kiedyś ciągle tam chodził, a widziałam go tam jakiś tydzień temu – powiedziała April z wahaniem.

Ziemia usunęła mi się spod nóg.

– Muszę iść – powiedziałam i cofnęłam się, potykając.

– Znałaś już wcześniej adres? – zapytała April, wskazując na potworny malunek.

Wyciągnęła długopis i zapisała adres na kartce papieru, po czym wręczyła skrawek Renee, bo ja nie chciałam go wziąć. April wpatrywała się przez chwilę w obraz na ścianie.

– Tak naprawdę wcale nie wygląda jak jedna z prac X, nie? – powiedziała w zamyśleniu, choć ledwie ją już słyszałam.

– Ej, Aubrey, zwolnij! – zawołała Renee.

– Muszę wziąć swój samochód. Nie masz nic przeciwko, żeby samej wrócić do mieszkania? – zapytałam, wcale nie zwalniając.

– Poczekaj chwilę, dokąd się wybierasz? – wysapała Renee, próbując za mną nadążyć.

– Maxx mnie okłamał. Muszę się dowiedzieć, co jest grane – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Nie miałam zamiaru zwijać się w żalną kulę, jak robiłam to wcześniej. Tym razem zamierzałam go znaleźć i zażądać odpowiedzi.

– Nie możesz iść sama – zaproponowała Renee.

– Nie idziesz ze mną. To, co mam do powiedzenia Maxxowi, jest sprawą między nami dwojgiem – wypaliłam, po czym zatrzymałam się i odwróciłam do mojej najlepszej przyjaciółki. – To nie potrwa długo. I nie zamierzam znów pakować się w to samo. Nic mi nie będzie.

I pobiegłam do swojego samochodu.

## Rozdział trzydziesty piąty

-Maxx-

– Jeśli nie chcesz przyjść dziś wieczorem, zabiorę cały ten towar do Gasha, nie ma problemu – powiedział Marco.

Przyszedł do mojego mieszkania tuż przed siódmą. Szykował się do wyjścia do klubu i wcisnął się już w swoją przerażającą stylówę bramkarza.

– Człowieku, co ty jesteś taki nerwowy z tym moim dzisiejszym przyjściem? Nie rozumiem. – I tak miałem nerwy napięte jak postronki, a nagły niepokój Marca zaczynał mnie irytować.

– Wiesz... Słyszałem, co ci się stało – powiedział nieoczekiwanie Marco, po czym wziął sobie jakiś napój gazowany z lodówki i odkręcił zakrętkę.

– O czym ty mówisz? – zapytałem.

Torebka z tabletkami leżała na blacie. Gapiłem się na nią od kilku godzin, zastanawiając się, w co ja się, do cholery, ładuję.

Nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby ich dotknąć. Wiedziałem, że w takim wypadku nie będzie co ze mnie zbierać. Oderwałem wzrok od dragów i spojrzałem na mojego przyjaciela.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wiesz, co się ze mną stało?

– Wpadłem w zeszłym tygodniu na Landona. Strasznie zadziorny gówniarz się zrobił, nie? – rzucił Marco, wychylając resztę napoju i wrzucając butelkę do kosza. Byłem pod wrażeniem, że udało mu się trafić.

– Fakt, bywa niełatwy. Gdzie go spotkałeś? – zapytałam, nie do końca wiedząc, jak mam się czuć ze świadomością, że Marco rozmawiał z moim bratem. Ale przecież poznali się znacznie wcześniej. Uznałem, że nie jest to jakieś specjalnie dziwaczne.

– Kręci się przy warsztacie blacharskim na piątej ulicy. Mój kumpel Dan jest tam mechanikiem. Landon pomaga Chandlerowi wykonywać jakieś precyzyjne roboty. Ma do tego smykałkę. Pewnie

po swoim głupekowatym bracie – burknął Marco, choć dostrzegłem w tej obeldze komplement.

– Tak, niezły jest – przyznałem.

Marco i ja nie mieliśmy w zwyczaju prowadzić takich rozmów. Cała ta konwersacja zaczęła dryfować na nieznane mi wody.

– No i powiedział mi, że byłeś na odwyku, bo przedawkowałeś czy coś.

No żeż.

– Więc jednak nie zajmowałeś się sprawami Landona. Byłeś, kurwa, na odwyku – powiedział Marco, patrząc na mnie spode łba.

– Tak po prostu wyszedł i powiedział ci o tym? – zapytałem zirytowany.

– Nie. Zapytałem go, co takiego nawyrabiał, że przez to zapadłeś się na miesiąc pod ziemię. Nie miał pojęcia, o czym mówię. A potem powiedział mi, gdzie tak naprawdę byłeś.

– No i dobra, byłem na odwyku. A tobie co do tego? – zapytałem napastliwie.

Marco nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Powinieneś mi powiedzieć, stary – powiedział z urazą.

Roześmiałem się.

– Dlaczego? Żebyśmy mogli sobie porozmawiać o naszych uczuciach i innym gównie? Przecież my tak nie funkcjonujemy. Nie zamierzałem ci się zwierzać z takich rzeczy.

Sprawiał wrażenie nieco dotkniętego.

– No wiesz, zrozumiałbym. Jak byłem dzieckiem, moja matka poszła na odwyk. Nie musiałbyś mi nic tłumaczyć.

Byłem w szoku. Nie znałem przeszłości Marca. Nie byliśmy przyjaciółczkami, które zaplatały sobie warkoczyki i rozmawiały o życiu. Nie wiedziałem nic o jego rodzicach ani jego przeszłości. To nigdy nie miało znaczenia.

Ależ ja byłem płytki.

– Nie wiedziałem. Przykro mi, stary – powiedziałem szczerze.

Marco zbył moje słowa machnięciem ręki.

– Zapomnij. Bez znaczenia. Ale szkoda, że nie byłeś ze mną szczerzy – stwierdził.



- No wiesz co, nie zamierzałem o tym trąbić wszem wobec.
- Ale w takim razie, dlaczego, do cholery, zajmujesz się tym dziś wieczorem? – zapytał, trącając palcem jedną z torebek.
- Potrzebuję kasy. Mam nóż na gardle, a nie jest źle od czasu do czasu coś zjeść i posiedzieć przy zapalonym świetle – odparłem.
- Nie musisz dilować, żeby zarobić, tępa pało – prychnął Marco i założył ręce na piersiach.
- Skończyły mi się pomysły, więc jeśli masz jakieś, zamieniam się w słuch. – Zaczynałem mieć dość tego harcerzykowania. Trochę późno na umoralniające przemowy. Marco zabębnił palcami po blacie, sprawiając wrażenie dziwnie niezadowolonego.
- A co z tymi twoimi pracami? No wiesz, ludzie uwielbiają te rzeczy. Dlaczego nie spróbujesz ich sprzedać prawdziwym kupcom?
- Westchnąłem z irytacją, czując się tak, jakbym walił głową w mur.
- Człowieku, myślisz, że nie próbowałem? Powiedzmy, że w tej jednej galerii, z której właścicielem gadałem, nie zrobiłem najlepszego wrażenia.
- Marco zmarszczył brwi.
- To była jedna galeria, X, jest ich więcej. Dlaczego nie spróbujesz w innej?
- Przygryzłem wargę, rozstrojony jego nagłym zainteresowaniem uczciwymi aspektami mojego życia.
- O co ci chodzi, Marco? Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby zniechęcić mnie do dzisiejszej roboty? Jestem w tym dobry. Znam się na tym. Sądziłem, że będziesz zachwycony, że wróciłem?
- Marco odepchnął się od blatu i zaczął krążyć po pokoju. Nigdy nie widziałem go tak wzburzonego. Coś tu było na rzeczy.
- Co jest, Marco? I nie wciskaj mi kitu. Karty na stół – powiedziałem ostro.
- Marco przestał obsesyjnie krążyć po pokoju i spojrzał na mnie.
- Po prostu słyszałem różne pogłoski... – zaczął.
- Tak, zaczęłaś coś o tym mówić w klubie. Co słyszałaś?
- Marco zaczął się bawić kolczykiem w wardze.
- Po prostu kilku gości powiedziało mi, że Gash został namierzony

przez psy. Wcześniej nigdy nie sprawiali mu kłopotów, ale przy takiej ilości tych cholernych dragów, jaką rozprowadza, nie mogą dalej przymykać oczu na jego akcje.

Cholera. Tego się nie spodziewałem. Ale po części na tym polegał zawsze urok klubu. Adrenalinowy kop towarzyszący robieniu czegoś, o czym wiedziałeś, że jest złe.

– To pewnie tylko takie gadanie, Marco...

– Nie, naprawdę sędzę, że nie. Nie jestem jednym z tych boidudków, którzy ciągle mają złe przeczucia, ale myślę, że to już nie jest tylko gadanie.

Wziąłem ze stołu jedną z torebek z tabletkami. Zaciążyła mi w dłoniach. Powoli ją rozsunałem i wyciągnąłem jedną z mniejszych torebeczek zawierających dziesięć maleńkich niebieskich tabletek. Przez myśl przemknęło mi pytanie, czy kiedykolwiek przyjdzie taki czas, że nie będę ich już pragnął. Czy kiedykolwiek zdołam przeżyć dzień, nie marząc o tym, żeby zafundować sobie odlot?

Jestem zmęczony marzeniem o czymś, co może mnie zabić.

Rzuciłem dragi na blat, chociaż palce mnie świerzbiły, żeby znów ich dotknąć.

– Po prostu sędzę, że w tym momencie powinieneś przyjrzeć się swoim opcjom poza klubem – powiedział Marco szorstko.

– Ale ja potrzebuję forsy, człowieku. Poważnie. Serio, serio. To będzie jednorazowa akcja. I na tym koniec – obiecałem.

Marco zaśmiał się gorzko.

– Zastanów się, do kogo mówisz, Maxx. Takim gadaniem możesz zwodzić swoją laskę, a nie mnie. Przecież widzę ten głód na twojej twarzy. Chcesz tego, człowieku. Masz to wypisane na czole.

Na wspomnienie o Aubrey zrobiło mi się niedobrze.

Czy szybka forsa naprawdę warta jest stracenia jej?

I natychmiast sam sobie odpowiedziałem.

*Nie.*

Tyle że nie miałem pojęcia, co jeszcze mogę zrobić. Marco pokręcił głową i wziął ze stołu dwie torebki narkotyków.

– Co ty robisz? – warknąłem.

– Pozwól mi zabrać je do klubu. Muszę tam pojechać i pomóc

wszystko zorganizować. *Jeśli* dziś przyjedziesz, znajdziesz mnie, a ja ci je oddam. – Urwał i z dziwnym wyrazem twarzy spuścił wzrok na tabletki. – A jeśli nie, to oddam je Gashowi i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie.

– On się wścieknie, Marco, dobrze o tym wiesz – zaproponowałem. Wrzucił torebki do swojej torby i wzruszył ramionami.

– Radzę sobie z nim. – Naprawdę był dziś w bardzo dziwnym nastroju.

Przez moment miałem dziką chęć rzucić się na niego i odebrać mu dragi. „Są moje!” – warknął jakiś głos we mnie.

Zmusiłem się jednak do tego, by zignorować te autodestruktywne podszepty.

– Dobra. Może być – przystałem.

Marco już ruszył do drzwi, ale odwrócił się, by na mnie jeszcze raz spojrzeć.

– Stary, naprawdę mam nadzieję, że cię tam dziś nie zobaczę.

Po czym poszedł sobie, z impetem zatrzaskując za sobą drzwi.

Co tu się, kurde, działo?

W życiu bym się nie spodziewał, że to właśnie Marco da mi szansę się z tego wyrwać. Nie wiedziałem tylko, czy naprawdę chcę z niej skorzystać.

## Rozdział trzydziesty szósty -Aubrey-

W drodze do mieszkania Maxxa przekroczyłam kilkakrotnie ograniczenie prędkości. Serce waliło mi wściekle w piersi. Zaparkowałam na ulicy naprzeciwko Quikki Mart, czując, że tracę nad sobą panowanie.

Chwyciłam torebkę i pobiegłam wąską uliczką. Przeskakując po dwa stopnie, dosłownie przebiegłam po zaćpanym sąsiedzie Maxxa, który schodził po schodach w chwili, gdy wbiegałam na górę.

– Ej, damulko, pali się czy jak? – zapytał, drapiąc się w zimno na wardze. Przeleciałam obok niego, nie siląc się na odpowiedź.

Ręce mi się trzęsły, kiedy gmerałam przy kluczach, trafiając wreszcie na ten właściwy.

„Co mam nadzieję znaleźć, przychodząc tutaj?” – zadałam sobie pytanie, podejmując kilka nieudanych prób otwarcia drzwi.

„Dowód, że kłamie? Świadczenie jego uczciwości? Potwierdzenie, że nie byłam kompletną idiotką, w końcu znów zaczynając mu ufać?”.

Wreszcie odtworzyłam zamek i weszłam do środka, zauważając, że wewnątrz jest ciemno, a Maxxa najwyraźniej nie ma w domu. Włączyłam światła i stanęłam na środku dużego pokoju, zastanawiając się, co powinnam teraz zrobić.

Czego ja właściwie szukałam? Przecież nie sądziłam, że zostawił karteczkę z wiadomością: „Wyszedłem przyćpać, wrócę później”.

Pomaszerowałam zdecydowanie do jego pokoju i otworzyłam drzwi z taką siłą, że walnęły o ścianę. Kipiałam podejrzeniami. To były niebezpieczne uczucia. Rozejrzałam się, ale nic nie rzuciło mi się w oczy.

Przeszłam przez pokój i usiadłam na jego łóżku, a serce w strzępach legło mi u stóp. Wbiłam spojrzenie w przedstawiający nas obraz, który Maxx namalował i zawiesił nad swoim łóżkiem.

Chciałam ufać, że nie odrzuciłby perspektywy tej przyszłości.

Bo Maxx mnie kochał. A ja kochałam jego. To powinno mi wystarczać, by w niego uwierzyć, ale trudno było zapomnieć o tym, co dziś zobaczyłam i usłyszałam: malowidle dla klubu. O rosnącym niepokoju o jego stosunek do mnie i niechęci do opowiedzenia mi o jego tajemniczej pracy.

Wstałam i wyszłam na środek pokoju. Zaplotłam dłonie na karku i obracałam się powoli, przyglądając się uważnie wszystkiemu. Nic się nie zmieniło. Ale to nie oznaczało, że coś nie zostało ukryte. Coś, czego Maxx nie chciał mi pokazać.

Powodowana nieufnością, zaczęłam otwierać szuflady jego komody, grzebiąc w jego T-shirtach i bokserkach. Palce myszkowały wśród jego ubrań, szukając źródła mojego niepokoju. Poczułam przez chwilę ukłucie wyrzutów sumienia z powodu pogwałcenia w ten sposób jego przestrzeni.

Co jeszcze mogę zrobić?

Nie znalazłszy niczego w komodzie, zaczęłam przetrząsać szafkę nocną. Bałam się tego, co mogłam tam znaleźć, ale kontynuowałam swoje poszukiwania, a z każdą przeszukaną bezskutecznie szparą i szufladą robiło mi się coraz lżej na sercu.

Zaczęłam się łąać w duchu za to, że nie zinterpretowałam wątpliwości na korzyść Maxxa. Byłam na siebie wściekła, że tak pośpiesznie wyciągnęłam najgorsze możliwe wnioski.

– Powinnaś się wstydzić, Aubrey Duncan – wymamrotałam pod nosem.

Właściwie gotowa już byłam wyjść, kiedy przesunęłam dłońmi po grzbietach książek stojących na półce. Stare, wystrzępione egzemplarze Tołstoja i Dickensa, a na dokładkę kilka dzieł Jane Austen i Roberta Browninga.

I wtedy to zobaczyłam. Białą kopertę wetknięto w zszargany egzemplarz *Jane Eyre* tak, że ledwie odrobinę wystawała od góry. Początkowo w ogóle jej nie dostrzegłam, ale coś kazało mi przyjrzeć się uważniej.

Wyciągnęłam zakurzoną książkę z przepelnionej półki i ostrożnie ją otworzyłam w miejscu, gdzie pomiędzy kartki wciśnięto kopertę.

Była nierówna i widać było, że coś jest w środku. Rozerwałam ją. Wypadło z niej kilka małych kuleczek, które rozsypały się po podłodze. Pochyliłam się, żeby je podnieść, i zastygłam z palcami zaledwie o kilka centymetrów od nich.

Koperta nie była pusta.

Była pełna maleńkich, nienawistnych odłamków zdrady.

Wpatrywałam się w coś, co musiało być powodem dzisiejszej nieobecności Maxxa.

Narkotyki.

Podniosłam wzrok na wiszący nad jego łóżkiem, przedstawiający mnie obraz, ogłuszona świadomością, że ziarna zaufania, które ledwie zaczęły kiełkować, nigdy się nie zakorzeniają. Zaczęły umierać bolesną śmiercią na podłodze sypialni Maxxa.

Podniosłam torbę drżącymi dłońmi. Zauważyłam, że koperta była zaklejona. Tabletki pozostały nietknięte.

Może znalazły się tu jeszcze poprzednio. Po głowie kołatały mi się różne usprawiedliwienia.

To co w takim razie tutaj robiły? Dlaczego się ich nie pozbył?

Zgarnęłam tabletki z podłogi, zacisnęłam je mocno w pięści i podeszłam do komody. Drugą ręką podniosłam z niej oprawioną fotografię, prezent ode mnie, i zapatrzyłam się na niewinną twarz Maxxa będącego wtedy jeszcze dzieckiem.

Zastanawiałam się setki razy, jak wyglądałoby jego życie, gdyby w tragicznych okolicznościach nie zniknęli z niego ludzie uwiecznieni na tym zdjęciu. Wiedziałam, że nie można zapanować nad śmiercią, ale trudno było nie buntować się przeciw światu, który osierocił dwóch małych chłopców i kazał im samym o sobie zadbać.

„Naprawdę się staram nie być już tym facetem. Facetem, który cię skrzywdził. Który cię rozczarował. Czy pozwolisz mi, żebym był tym facetem dla ciebie? Proszę”.

Rozpaczliwe błagania Maxxa obijały mi się echem po głowie. Mierziła mnie ich nieuczciwość. W ataku wściekłości rzuciłam tabletki na podłogę i przy akompaniamencie kojącego chrzęstu rozgniotłam je obcasami na pył.

Kiedy skończyłam, spuściłam na nie wzrok, marząc o tym, by coś

poczuć. Nie wiedziałam do końca, co to właściwie miałoby być. Wiedziałam tylko, że muszę stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który zmiążdżył moje serce – *po raz kolejny*.

I wiedziałam dokładnie, dokąd muszę się udać.

Przeszłam z powrotem przez mieszkanie, trzasnęłam drzwiami i ruszyłam po schodach. Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, posiedziałam w nim przez chwilę, próbując pozbierać rozbiegane myśli.

Nie zwinę się w kulkę i nie będę oplakiwać tej zdrady. Wydobędę od niego odpowiedzi.

A to oznaczało wybranie się do klubu.

## Rozdział trzydziesty siódmy -Maxx- trzy godziny wcześniej

Po wyjściu Marca nie miałem pojęcia, co powinienem dalej zrobić. Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer Landona.

– Cześć, Maxx – odpowiedział po drugim sygnale.

Miło było nie odbywać już długich konwersacji z jego pocztą głosową.

– Cześć, słuchaj, może wpadłbym na chwilę i pogrzebalibyśmy sobie przy czymś w garażu? – zaproponowałem.

Do otwarcia klubu zostało jeszcze mnóstwo czasu, a ja nie mogłem siedzieć w mieszkaniu i zadrećczać się swoimi koszmarnymi decyzjami.

– No, dobra. Jeśli masz ochotę mi pomóc, to mam tu motorynkę, którą składam do kupy – odparł.

– Super! Będę za kwadrans.

Bezwiednie wyciągnąłem z kieszeni kopertę z tabletkami. Ostatnio zacząłem ją nosić ze sobą. Była dla mnie czymś w rodzaju testu i pociechy jednocześnie. Jeśli udawało mi się oprzeć pokusie, szedłem do łóżka z poczuciem drobnego zwycięstwa. Ale lubiłem czuć, że mam ją przy sobie na wypadek, gdyby zrobiło się zbyt trudno. Gdyby wysiłek życia życiem, które dla siebie budowałem, okazał się zbyt wielki, wciąż miałem starego kumpla, na którego mogłem liczyć.

To był jakiś kosmos. Wróciłem do swojej sypialni, wyciągnąłem stary egzemplarz *Jane Eyre*, który należał do mojej matki, wsunąłem kopertę do środka i odłożyłem książkę z powrotem na półkę.

„Później je wyrzucę” – przyrzekłem sobie, nie chcąc roztrząsać powodów, dla których nie pozbyłem się ich *od razu*.



\*

– Podaj mi klucz – powiedziałem do Landona, wyciągając rękę.

Cały się usmarowałem, ale cieszyła mnie możliwość zajęcia czymś głowy. Dzięki temu nie musiałem usilnie rozmyślać o tym, co konkretnie powinienem zrobić tego wieczoru.

– Co cię naszło, żeby tu tak wpaść? – zapytał, podając mi narzędzie, o które prosiłem. Zacząłem grzebać w malutkim silniku, próbując zmieścić palce w ciasnej przestrzeni.

– Miałem parę godzin luzu – zbyłem go.

– Luzu przed czym? – zapytał, wskakując na wysoki stołek i przyglądając się, jak pracuję.

Otarłem pot z czoła.

– Czy to nie miał być czasem twój projekt? – zapytałem, unikając jego pytania.

– No wiesz, wpadłeś tu i mi go odebrałeś – parsknął Landon.

Podaliśmy mu klucz i zamieniliśmy się miejscami. Landon z łatwością wsunął swoje drobniejsze dłonie w wolną przestrzeń, żeby poluzować uszczelkę.

Nienawidziłem tego okłamywania go, co się u mnie tak naprawdę dzieje.

„Więc dlaczego tu jesteś?” – zadałem sobie pytanie. Odpowiedź na to pytanie jakoś przestała mieć sens.

– Pójdę przynieść coś do picia. Chcesz coś? – zapytałem Landona, kierując się do kuchni.

– Nie, dzięki – odparł, skupiając się na swojej robocie.

Wszedłem do środka, wziąłem sobie jakiś napój gazowany i poszedłem do salonu. Usiadłem i oparłem stopy na niskim stoliku, potrzebując chwili dla siebie.

Powinienem niedługo się zabrać, pojechać do domu i przygotować się na wieczór. Na samą myśl o tym żołądek skręcił mi się ze strachu.

– Zabieraj, kurwa, nogi z mojego stolika.

Do pokoju wszedł mój wuj David. Rzucił kluczyki na wspomniany stolik i spiorunował mnie wzrokiem. Oczywiście nie posłuchałem.

Nigdy nie dałem Davidowi satysfakcji zmuszenia mnie do czegokolwiek.

Obcasem buta zrzucił moje nogi ze stolika. Starąłem się trzymać nerwy na wodzy, ale z moim wujkiem nigdy nie przychodziło mi to łatwo.

– Co jest? Żadnych gróźb skopania mi tyłka? Żadnego pozwania na wielkiego i złego? – Uśmiechnął się pogardliwie.

Powoli podniosłem się i spojrzałem mu prosto w oczy. Byliśmy tego samego wzrostu, ale miałem nad nim dobre dziesięć kilogramów przewagi. Na przestrzeni lat mieliśmy wystarczająco dużo fizycznych starć, żebym wiedział, że mogę go dorwać. Walczyłem nieczysto, ale ja byłem lepszy. Musiałem być. Wiedza, gdzie konkretnie trzeba walnąć, utrzymała mnie przez lata przy życiu.

– Czego ty się mnie czepiasz, David? Rozumiem, że jesteś po prostu chujem, ale możesz mi powiedzieć, co szczególnego jest we mnie, co cię tak wkurwia? – zapytałem na tyle spokojnym głosem, żeby nie usłyszał mnie pracujący w garażu brat.

David zaśmiał się.

– Nie rozmyślałem o tobie, *chłopaku*, na tyle często, dobrze czy źle, żeby się z twojego powodu wkurwiać.

Próbował mnie wyminąć, ale chwyciłem go za ramię i zatrzymałem.

– Zabieraj łapy – warknął.

– Nie rozumiem tego. Byłeś bratem mojej matki. Czy to nie ma znaczenia? Dlaczego ty mnie tak, kurwa, nienawidzisz? – W końcu wyartykułowałem to, co mnie gnębiło przez lata.

David wbił we mnie spojrzenie zmrużonych oczu. Zaśmiał się nieszczerze.

– Nie nienawidzę cię, Maxx. Jest mi cię, kurwa, żal.

Cofnąłem się, jakby mnie uderzył.

– Słucham?

– Jesteś dokładnie taki sam jak ja. – Uśmiechnął się szyderczo.

– *W ogóle* nie jestem taki jak ty! – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

David pochylił się w moją stronę, twarz wykrzywiły mu

wściekłość i rozgoryczenie.

– Jesteś *dokładnie* taki sam jak ja, Maxx. Kompletny nieudacznik. Popelniasz te same głupie błędy co ja. Rozejrzyj się: tak będzie wyglądać twoje życie.

Wyszarpnął ramię z uścisku i wypadł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Landon wszedł z garażu minutę później, a ja wciąż stałem na środku salonu, nie mogąc uwierzyć w to, że mój durny wuj zaserwował mi właśnie ostateczne przebudzenie.

– To był David? Wrócił do domu? – zapytał mój brat.

– No tak. Ale wyszedł. Myślę, że to dobry moment, żebym się zwinął – odpowiedziałem, czując nieprzyjemny ucisk w piersiach.

– Taa, pewnie masz rację. Ja już prawie i tak skończyłem z tą motorynką – powiedział Landon, wycierając ręce w ręcznik.

– Wpadnę w przyszłym tygodniu i zobaczę, jak ci wyszło, okej? – powiedziałem, podnosząc kluczyki i zmierzając do wyjścia.

– Jasne. Napisz mi esemes czy coś.

Zanim wyszedłem, jeszcze raz rozejrzałem się po domu Davida.

„Rozejrzyj się: tak będzie wyglądać twoje życie”.

Wyszedłem do samochodu, ale mojego wuja nigdzie nie było widać.

Wyjąłem telefon i wystukałem szybką wiadomość do Marca.

„Przyjrę się innym opcjom”.

\*

Pojechałem z powrotem do domu i zacząłem grzebać w stercie płócien stojących w rogu sypialni. Kurczę, w ciągu tych kilku ostatnich tygodni naprawdę sporo namalowałem.

Przeglądając je, uzmysłowiłem sobie, że to były najlepsze rzeczy, jakie udało mi się do tej pory zrobić. Wyciągnąłem dwa obrazy, które wpadły mi w oko. Jeden z nich, przedstawiający Aubrey stojącą na łożu węży, odmalowany był długimi, wyrazistymi pociągnięciami. Drugi był autoportretem, który skończyłem zaledwie dwa dni wcześniej.

Nie zwykłem umieszczać się na swoich obrazach. Nie miałem

pojęcia, co mnie naszło, żeby to zrobić. Ale kiedy usiadłem przed sztalugą, powstało właśnie to.

Na tym obrazie sprawiałem wrażenie chorego i zmęczonego, dręczonego narkotykowym głodem i umierającego od środka. Słabego i nędznego. Przez papierową skórę przeświecał zarys kości czaszki.

Patrząc na ten obraz, zobaczyłem śmierć. Przebłysk tego, co mogło się zdarzyć.

Na tym obrazie całkowicie się odsłoniłem. Był surowy, realistyczny, bezlitosny.

Nie zastanawiając się dłużej, chwyciłem obie prace i ruszyłem z powrotem do samochodu.

\*

– Są niesamowite! – Łysy, przysadzisty mężczyzna o imieniu Dandy Veers uniósł mój autoportret i wpatrywał się w niego z zachwytem.

Po wyjściu z mieszkania pojechałem ostatecznie do sąsiedniego miasta, Blackham. Jechałem tak długo, dopóki nie znalazłem galerii sztuki wciąż jeszcze otwartej w ten sobotni wieczór.

Gdybym miał choćby odrobinę zdrowego rozsądku, poczekałbym do poniedziałku i wykonał kilka telefonów, ale prawdę mówiąc, bałem się, że jeśli poczekam, to wyląduję w klubie i odnajdę drogę do Maxxa z obrazu.

Wszedłem do małej galerii w centrum miasta. Trzymając swoje dwa obrazy pod pachą, zapytałem, czy nie byłiby zainteresowani ich kupnem.

Właściciel galerii spojrział na mnie jak na świra, co było całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę niezapowiedziany charakter mojej wizyty.

Pokazałem mu jednak moje prace, a wtedy jego nastawienie do mnie uległo radykalnej zmianie.

– I to ty to namalowałeś? – zapytał, popatrując na mnie z niedowierzaniem.

– Owszem.

Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w mój autoportret, pochrzając i burcząc coś niezrozumiale, po czym uniósł obraz Aubrey.

– To niewiarygodne. Głębia koloru, oddanie szczegółów... Właściwie masz styl zbliżony do tego artysty ulicznego, X. Jego portrety są równie... przejmujące.

Mimowolnie uśmiechnąłem się szeroko.

– No, tak. To właśnie ja.

– Ty jesteś X? I nigdy wcześniej nie pokazywałeś swoich prac w galerii? – zapytał pan Veers sceptycznie.

– No, jakoś się nie złożyło.

Mężczyzna spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Nie do wiary, że wszedłeś dziś wieczorem właśnie do mojej galerii. To *niesamowite!* Ja... jestem wielkim fanem!

Jeszcze przez chwilę przyglądał się mojej pracy.

– Czy byłbyś zainteresowany zorganizowaniem tutaj wystawy? Znam kilka osób, które prawdopodobnie gotowe byłyby nabyć te prace i zapłaciłyby za nie ładną sumkę.

– Naprawdę? – prawie nie mogłem uwierzyć we własne szczęście.

Wszedłem tu, w gruncie nie spodziewałem się niczego. Zabrałem swoje prace do miasta, kierując się chwilowym impulsem. Pan Veers, omyłkowo biorąc moje milczenie za wahanie, zaczął gwałtownie gestykulować, próbując mnie przekonać.

– Posłuchaj, nie musimy robić z tego wielkiego wydarzenia. Wybierzesz prace, które chcesz pokazać, a ja ci je sprzedam. Wspólnie zdecydujemy, ile chciałbyś za nie wziąć, a ja dodam do tego swoją prowizję. Co o tym sądzisz?

Udałem, że niby się zastanawiam. Wskazałem na bardziej kolorowy portret Aubrey.

– Jak pan sądzi, ile mogę za to dostać?

Dandy Veers pogładził się po łysej potylicy i z namysłem objął obraz spojrzeniem.

– Myślę, że bez problemów między pięć a dziesięć tysięcy. Na ten rodzaj sztuki jest teraz duży popyt. A ty masz niewątpliwy talent.

Prawie się zakrztusiłem.

– O kurwa, poważnie? – roześmiałem się, nie mogąc w to uwierzyć.

Pan Veers skinął głową.

– Bardzo poważnie. X... Naprawdę tak masz na imię?

– Nie, nazywam się Maxx. Maxx Demelo.

– No dobra, Maxx, wyrobiłeś sobie renome, a street art jest teraz w modzie. Kilku poważnych kolekcjonerów o niczym innym nie marzy, jak o tym, żeby zostać odkrywcą kolejnego wielkiego talentu. A to możesz być właśnie ty. Właściwie, jak na moje oko, to już jesteś.

Dandy Veers może i był trochę dziwaczny, ale polubiłem go. No i chciał dać szansę nieznanemu artyście, który przeszedł do niego literalnie z ulicy. W życiu się czegoś takiego nie spodziewałem.

– Jasne. Dobra, zrobmy to – powiedziałem, kiwając głową.

Pan Veers rozpromienił się i wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją.

– Świetnie! Pozwól mi zajrzeć do kalendarza i będziemy mogli pogadać o ustaleniu jakiejś daty.

## Rozdział trzydziesty ósmy -Aubrey-

Podczas jazdy do Compulsion ustąpiło otepienie, a górę wziął znowu gniew. Lepiej było czuć się wkurzoną niż unicestwioną.

Niecierpliwie czekałam w kolejce pod starą fabryką, prawie nieświadoma obecności wszystkich tych ludzi wokół mnie. Kiedy przesunęłam się do przodu, zaskoczył mnie brak kpin z mojego mało klubowego stroju. Bramkarz, facet, którego nie rozpoznałam, przystawił mi stempel na rękę i gestem przepuścił mnie do środka.

A więc znów się tu znalazłam. Szukając Maxxa.

Compulsion był naszym początkiem. I okazał się również naszym końcem. Historia zatoczyła smutne koło.

Przepchnęłam się przez rozedrgany tłum, wyciągając szyję, żeby się rozejrzeć. W sali tłoczyło się tego wieczoru mnóstwo ludzi i dosłownie co krok na kogoś wpadałam.

Coś wisiało w powietrzu. Coś, co wytrącało mnie z i tak już chwiejnej równowagi. Przcisnęłam się do baru, ale nie rozpoznałam chłopaka serwującego drinki. Odczekałam w kolejce, a kiedy mężczyzna ubrany w obcisłą skórzaną bluzkę bez pleców i rękawów i bransolety sięgającego do łokci podszedł do mnie, by przyjąć zamówienie, pokręciłam głową.

– Szukam X! – zawołałam, przekrzykując muzykę.

Facet w skórze zmarszczył brwi.

– Kogo?

– X! – wrzasnęłam mu w ucho.

Barman wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz. Ale jestem nowy, więc nie znam wielu stałych bywalców. Zamawiasz coś?

– Nie, dzięki – odparłam.

Odwróciłam się twarzą do parkietu i wbiłam wzrok w tłum, próbując odszukać Maxxa. Miałam dołujące poczucie, że w życiu go

nie znajdę.

– Przyszłaś! – U mojego boku nagle pojawiła się April; mokre od potu, aktualnie brązowe włosy przylepiły jej się z obu stron do twarzy. Oczy miała błyszczące i szeroko otwarte.

– Wpadłam tylko kogoś znaleźć – odparłam wymijająco.

– Naprawdę? Szukasz Maxxa?

Zirytowałam się, że jest to tak oczywiste.

– No owszem. Widziałaś go?

April pokręciła głową, podskakując lekko.

– Nie, nie widziałam. Ale mogę pomóc ci szukać.

– Nie, w porządku...

Gdzieś z przodu budynku wybuchło hałaśliwe zamieszanie, po czym fala ludzi runęła do wyjścia.

– Gliny! – usłyszałam czyjś krzyk.

I wtedy w klubie wybuchł kompletny, absolutny chaos.

– Kurwa! Musimy stąd zjeżdżać, i to natychmiast! – wrzasnęła mi April w ucho, po czym chwyciła mnie za rękę i pociągnęła do przodu.

Ze wszystkich stron popychano mnie i napierano na mnie. Wszyscy próbowaliśmy się wydostać i wszystkich nas ogarniała coraz większa panika.

– Musimy się pospieszyć! Oni zaraz użyją gazu łzawiącego! Już widziałam taką akcję! – krzyknęła April, rozpychając się łokciami, w miarę jak próbowałyśmy przepchnąć się przez salę.

– Gaz łzawiący? – zachłysnęłam się. *Boże!* Gdzie Maxx?

Próbowałam się rozejrzeć, skanując wzrokiem twarze, ale panowało absolutne pandemonium. Ludzie krzyczeli, dziewczyny piszczwały. Widziałam reflektory wycelowane w falujący, dyszący tłum.

– Tędy! – krzyknęła April, ciągnąc mnie za rękę pod ścianę.

Na oślep przesuwaliśmy się wokół sali. Szło nam wolno; w ciemnościach widziałam policjantów aresztujących ludzi i wyciągających ich na zewnątrz.

W końcu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, trafiłyśmy na wyjście ewakuacyjne.



– Chodź, Aubrey! Pospiesz się! – April zaczynała tracić zimną krew.

– Ale Maxx może tam gdzieś być! – zaprotestowałam.

– No to ma przejebane. Chodź wreszcie! – wrzasnęła, pociągając mnie wściekle za sobą, po czym znalazłyśmy się na zewnątrz.

Z wnętrza budynku wciąż dobiegały nas odgłosy rozpętanego szaleństwa.

– O Boże! – zatchnęłam się, opierając dłonie na kolanach i próbując złapać oddech.

– Nie możemy tak tu stać! Musimy iść!

April znów mnie pociągnęła za sobą. Pobiegłyśmy wzdłuż ściany budynku, omijając rozstawioną przez policję barykadę.

– Co się dzieje? – zapytałam, kiedy w końcu mogłyśmy się zatrzymać.

Dotarłyśmy z powrotem na parking. W tym szaleństwie przemknęłyśmy niezauważone i udało nam się zwiać.

April była czerwona na twarzy i ciężko dyszała.

– To wygląda na obławę narkotykową. Popatrz. – Wskazała na wejście do klubu.

Wszędzie błyskały światła. Na terenie starej fabryki roilo się od policjantów, którzy wyciągali imprezowiczów z klubu i zakuwali ich w kajdanki. Innych rzucali na ziemię. Rejwach był ogłuszający.

Dołączyła do nas grupa ludzi, którym podobnie jak nam udało się wymknąć na zewnątrz. Wśród nich byli i przyjaciele April.

– Słyszałem, jak ktoś mówił, że dostali cynk, że miało tu dziś dojść do dużej transakcji narkotykowej – powiedział gość z fioletowymi włosami. Na policzku miał smugę krwi i wyglądało na to, że ktoś mu wyszarpnął z ucha kolczyk.

Chryste! Czy Maxx tam był? Czy brał udział w tej niedoszłej transakcji? Porzuciłam grupkę ludzi i ruszyłam naprzód.

– Aubrey, ja bym się tak nie wrywała! – ostrzegła April, ale zignorowałam ją.

Podeszłam do policyjnej taśmy i patrzyłam, jak rzucają na ziemię ludzi i ich aresztują. W twarzy każdego człowieka wywlekanego z klubu i pakowanego do suki wypatrywałam rysów Maxxa.

Dostrzegłam Marca, przyjaciela Maxxa, wyprowadzanego przez policję. Krzyczał coś i powarkiwał i widziałam, jak szamotał się z człowiekiem, który trzymał go za ramiona i prowadził w kierunku wozu policyjnego.

Jeśli Maxx był w środku, mógł wyjść tylko w jeden sposób. W kajdankach.

W tym momencie dotarło do mnie, że nie mogę czekać, aż wyciągną go z klubu. Jeśli tam był. Nie mogłam się skazać na patrzenie, jak mojego ukochanego mężczyznę wywożą na dołek. Cofnęłam się, potykając i ledwie widząc drogę przez łyzy.

– Hej! Aubrey! – Za swoimi plecami usłyszałam krzyk April. Zatrzymałam się i odwróciłam do niej.

– Co jest? – zapytała, kiedy zobaczyła moją twarz.

– Nic. W porządku. Po prostu muszę już iść. – Ruszyłam w stronę samochodu.

Znów zawołała mnie po imieniu, ale nie zatrzymałam się. Na powrót ogarnęło mnie ośpienie. Serce zaciążyło mi w piersi ołowiem.

Dotarłam do auta i wsiadłam do środka. Siedziałam przez chwilę, a błyski policyjnych kogutów rozświetlały wnętrze mojego samochodu. Chwyciłam za kierownicę, niezdolna zapuścić silnik. Naprawdę sądziłam, że tym razem będzie inaczej.

Jest takie powiedzenie: „dać się zwieść raz to błąd, ale dwa razy to głupota”.

I to była cholerna prawda.

W końcu odjechałam spod klubu. Powinnam pojechać do domu. Byłam wyczerpana. Zamiast tego pojechałam z powrotem do mieszkania Maxxa. Jakby obolałe serce zawsze prowadziło mnie właśnie tam. Powoli wspierałam się po schodach i weszłam do środka, zauważając z roztargnieniem, że wychodząc, musiałam zostawić włączone światła.

Powiodłam spojrzeniem dookoła. Ośpienie zaczęło ustępować.

Wtedy pojawiła się furia. Cierpienie. I ta chwila, w której moje serce rozpadło się na tysiąc kawałków. Krzyczałam. A potem osunęłam się bez sił na podłogę.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

-Maxx-

Nie mogłem się doczekać, kiedy powiem Aubrey o galerii. Miałem nadzieję, że będzie ze mnie dumna.

Wsunąłem klucz do zamka w drzwiach własnego mieszkania i ze zdumieniem odkryłem, że są otwarte. Wszedłem do środka i zobaczyłem, że światła są zapalone, chociaż pamiętałem, że wyłączyłem je, zanim wyszedłem zobaczyć się z Landonem.

– Jest tu kto? – zawołałem, ale nikt nie odpowiedział.

Poszedłem do swojego pokoju i stanąłem tuż za progiem. Nic na mnie nie wyskoczyło, nie rzuciły mi się w oczy żadne zmiany, ale widziałem, że coś jest inaczej. I wtedy to dostrzegłem. Tabletki, które ledwie kilka godzin wcześniej zachomikowałem na półce, leżały rozkruszone na podłodze.

Natychmiast domyśliłem się, co się stało. Aubrey tu była. Z jakiegoś powodu przeszukała mi rzeczy. Natychmiast ogarnęła mnie wściekłość, atawistyczna reakcja, której nie potrafiłem tak naprawdę kontrolować. Jak ona, kurwa, śmiała: przychodzić tutaj i szperać, jakbym był jakimś cholernym kryminalistą! Za kogo ona się ma, do diabła?

Za kobietę, którą kocham.

Ale najwyraźniej przyszła tutaj i grzebała mi w rzeczach, bo zaczęła coś podejrzewać. Nie ufała mi.

A to zabolalo mnie jak pchnięcie nożem w serce.

Chwyciłem telefon i szybko wybrałem jej numer. Dzwonił i dzwonił, przełączając mnie w końcu na pocztę głosową. *Kurwa*. Musiałem ją znaleźć. Musiałem jej wytłumaczyć.

Chwyciłem się za włosy i zwymyślałem w duchu za swoją głupotę. Powinienem spuścić te głupie tabletki w kiblu, jak tylko Gash mi je dał. Dlaczego się ich nie pozbyłem? Bo byłem cholernym narkomanem, który potrzebował życiowej podpórki.

Gapiałem się na biały proszek będący moim nałogiem, kiedy usłyszałem, jak drzwi wejściowe otwierają się i zatrząskują. A potem dobiegł mnie krzyk, głośny i bolesny. To był najkoszmarniejszy dźwięk, jaki w życiu usłyszałem.

Wpadłem do salonu i znalazłem Aubrey skuloną na podłodze. Padłem na kolana obok niej, przerażony widokiem, jaki ukazał się moim oczom.

– Aubrey! – Chwyciłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie. Łkała i trzęsa się na całym ciele. – Aubrey! – krzyknąłem.

Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i zbladła, jakby zobaczyła ducha.

– Maxx?

– A kogo się spodziewałaś? – Serce waliło mi tak głośno, że prawie jej nie usłyszałem.

– Ale myślałam, że... Ja... – rozszłochała się znowu.

Podniosłem ją z podłogi i dosłownie zaniósłem na kanapę. Objąłem ją i przytuliłem, a ona kompletnie i hałaśliwie się rozkleiła.

– Co jest? Co się stało? – gładziłem ją po włosach i mówiłem łagodnie wprost do jej ucha.

Wzięła urywany wdech i wreszcie przestała płakać. Odsunęła się odrobinę, ocierając policzki grzbietem dłoni.

– Znalazłam je – powiedziała.

To nie było oskarżenie, tylko zwykłe stwierdzenie. Nie musiałem pytać, o czym mówi, bo oczywiście wiedziałem.

– Widziałem.

– Gdzie byłeś dziś wieczorem? – zapytała ostro.

Oczy miała wciąż mokre od łez, ale teraz płonął w nich ogień, który mnie trochę przestraszył.

– Powiedziałem ci, byłem z Landonem...

– Przestań wciskać mi kit! – syknęła.

To była ta chwila. Ten moment, w którym mogłem powiedzieć jej prawdę. Powiedzieć jej wszystko. Albo też mogłem być pieprzonym tchórzem i ukryć przed nią wszystkie moje mroczne sekrety.

– No dobra, nie taki miałem początkowo plan, ale faktycznie wylądowałem w domu mojego wuja – zacząłem.

– Co masz na myśli, mówiąc o początkowym planie? – Była zła. Teraz, kiedy się już wyplakała, sprawiała wrażenie kogoś gotowego popełnić morderstwo.

– Jeśli znalazłaś dragi, to zapewne możesz sobie wyobrazić.

Aubrey uwolniła się z moich objęć i odsunęła ode mnie.

– Wybierałeś się do klubu. Wiedziałam o tym, ale nie chciałam w to wierzyć. Ale potem zobaczyłam malowidło...

– Moment. Jakie malowidło? – przerwałem.

Aubrey zmarszczyła brwi.

– To w kampusie. To dla klubu – powiedziała, patrząc na mnie, jakbym postradał zmysły.

– To nie byłem ja, Aubrey – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale jeśli gdzieś był jakiś obraz na budynku namalowany dla Compulsion, to nie był na pewno moim dziełem.

Aubrey nic nie powiedziała. Wzięłem ją za rękę i przytrzymałem z nadzieją, że jej nie cofnie.

– Wierzysz mi, prawda?

– Nie wiedziałam, w co wierzyć – szepnęła, ale nie cofnęła ręki. Uznałem to za mały cud. – Przyszłam tutaj. Znalazłam narkotyki i trochę mnie poniosło. Więc pojechałam do klubu, żeby cię znaleźć. – Głos załamywał się jej ochryple.

– Poszłaś do Compulsion? Aubrey, co ci strzeliło do głowy!

Aubrey poczerwieniała i rzuciła mi urażone spojrzenie.

– No cóż, biorąc pod uwagę moje odkrycie, nie sądzę, żebyś mógł mi prawić kazania na jakikolwiek temat!

Celny strzał.

– No więc poszłam tam i był nalot...

– Czeka! Co? Policyjny nalot?

Marco miał rację. Policja faktycznie obserwowwała klub.

Mogłem tam być. Złapałoby mnie na gorącym uczynku. Będę musiał pamiętać o tym, żeby podziękować mojemu cholernemu wujaszкови za to, że mimowolnie uratował mi tyłek.

– Policja wyciągała ludzi z klubu w kajdankach. Widziałam, jak pakowali do samochodu policyjnego twojego przyjaciela Marca.

– O kurwa, poważnie? – Przeciągnąłem wolną ręką po włosach. *Cholera*. – Myślałaś, że tam jestem. Że mnie aresztowali. – Dotarł do mnie wreszcie powód jej załamania nerwowego.

Aubrey skinęła głową i kolejne łzy pociekły jej po twarzy.

– Gdzie spędziłeś ten wieczór? – powtórzyła.

– No, nie dilowałem, jeśli o tym właśnie myślisz – odpowiedziałem ostrożnie.

– A co ja mam myśleć, Maxx?

– Dobra, dobra. Myślałem o tym, żeby wrócić do klubu, Aubrey. Nie będę cię okłamywał. Gash złożył mi ofertę szybkich pieniędzy, która była naprawdę kusząca. Ledwie wiązałem koniec z końcem, wiesz o tym. Chciałem po prostu być w stanie zarobić na naszą przyszłość.

Aubrey otworzyła usta i wiedziałem, że za chwilę znów się wścieknie.

– Daj mi skończyć, dobra? – uprzedziłem ją błagalnie i po chwili skinęła głową. – Wydawało się, że nic prostszego. Wystarczyło upłynnić trochę towaru, zainkasować forszę i z powrotem się ustawić. Gash powiedział, że to będzie jednorazowa akcja, a ja pomyślałem, że to w sumie najlepsza z dostępnych opcji. – Wzięłem głęboki wdech i pomyślałem o tym, jak inaczej skończyłaby się moja noc, gdybym zdecydował się pojechać. – Ale potem pod wieczór pojechałem zobaczyć się z Landonem. I wpadłem na Davida...

– Twojego wuja? – zapytała, a ja skinąłem głową.

– Tak. I on powiedział coś, co naprawdę dało mi do myślenia, i uzmysłowiłem sobie, że nie zrobię tego. Że w ten sposób na własne życzenie znalazłbym się dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłem parę miesięcy wcześniej. Poza tym nie mogłem tego zrobić tobie. Ani Landonowi. A przede wszystkim nie mogłem tego zrobić samemu sobie.

Ostrożnie przyciągnąłem ją do siebie, a ona pozwoliła otoczyć się ramieniem. Przycisnąłem się do niej, czując potrzebę jej bliskości.

– Wróciłem do domu, wziąłem kilka swoich prac i pojechałem do miasta. Znalazłem galerię sztuki i porozmawiałem z właścicielem. Naprawdę spodobały mu się moje rzeczy, Aubrey. Robi wystawę

kilku moich prac.

Twarz Aubrey, wciąż czerwona i opuchnięta od łez, rozpogodziła się odrobinę.

– Naprawdę? To wspaniale – powiedziała szczerze, ale potem spochmurniała. – Okłamałeś mnie, Maxx – powiedziała z gniewem i napięciem w głosie.

Westchnąłem. Jak mogłem oczekiwać, że mi wybaczy, kiedy znów zawiodłem jej zaufanie?

– To fakt, okłamałem cię. Oszukałem. Ukrywałem przed tobą różne rzeczy, chociaż obiecałem, że nie będę tego robił. Zrozumiem, jeśli będziesz chciała wyjść stąd i nigdy więcej mnie nie oglądać.

Aubrey lekko zmrużyła oczy.

– Może powinnam to zrobić, Maxx. Bo powiedziałam ci, że nie mogę iść tą drogą razem z tobą, już nie. Nie mogę być w związku z kimś, komu nie mogę zaufać.

Przełknąłem z trudem ślinę, czując, jak oczy zaczynają mnie piec od łez. Nie wiedziałem, czy przeżyłbym to, gdyby teraz, po tym wszystkim, Aubrey mnie zostawiła. Tak usilnie walczyłem o to, żeby zrobić wszystko, jak trzeba, a ostatecznie, proszę bardzo, znów udało mi się wszystko spieprzyć.

– Aubrey, jestem nieudacznikiem. Popieprzonym gościem z koszmarnym bagażem życiowym. Trochę czasu zajmie mi rozgryzienie, jak robić to wszystko dobrze. Ale próbuję. Mam nadzieję, że to widzisz. Ale mogę stać się człowiekiem, jakim chcę być, tylko wtedy, gdy będziesz przy mnie, pomagając mi.

Aubrey pokręciła głową.

– Nie biorę. Chociaż każdy dzień to walka. Nie mogę ci obiecać, że znów czegoś nie zawalę. Bo pewnie zawalę. I to nieraz. – Przesunąłem palcami w dół po jej policzku i położyłem dłoń na jej szyi.

Zesztywniała lekko, utkwivszy wzrok w drugim guziku mojej koszuli.

– Nie brzmi to jak szczególnie kusząca zachęta do pozostania – powiedziała cicho.

– Chciałbym móc ci to wszystko obiecać. Ale nie mogę. Mogę

tylko prosić, żebyś to ze mną przetrwała. Może proszenie cię o to to egoizm. Ale naprawdę sędzę, że razem jesteśmy lepsi niż oddzielnie. Wiem, że wydobywasz ze mnie to, co najlepsze.

Przesunąłem kciukiem po jej skórze, pod którą tętnił puls.

– „Kochanie cię uczyniło mnie lepszym człowiekiem” – powiedziałem łagodnie.

Usta Aubrey drgnęły i wiedziałem, że ma ochotę się uśmiechnąć, ale nie zamierza odpuścić.

– Ty i te twoje cholerne cytaty – powiedziała, ale bez zjadliwości.

– Więc może posłuchasz moich własnych słów? Aubrey Duncan, kocham cię. Powiedziałem ci, że nie chcę, żebyś mnie ratowała, a jednak to zrobiłaś. Ocalasz mnie każdego dnia, odwzajemniając moją miłość. Stanę na uszach, żebyś nigdy nie żałowała, że otworzyłaś przede mną serce. Zostałem stworzony, by należeć do ciebie. Tak jak ty zostałaś stworzona, by należeć do mnie. Uzmysłowiłem to sobie w chwili, gdy cię zobaczyłem. I nigdy nie czułem tego tak mocno jak w tej chwili.

Po policzku Aubrey spłynęła łza, którą starła ze złością.

– Muszę być w stanie ci zaufać, Maxx. Nie dam rady, jeśli nie będę mogła.

Uniosłem jej brodę, skłaniając ją, by na mnie spojrzała.

– Do końca życia będę każdego dnia zapracowywał na twoje zaufanie. I mam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, że ufanie mi będzie ci przychodzić równie łatwo jak oddychanie. Bo życie, o którym marzę, które widzę oczyma duszy co noc przed zaśnięciem... Będę walczył, póki sił, żeby się ziściło. Powiedziałem ci, że z ciebie nie zrezygnuję... Nie zrezygnuję z nas. Proszę tylko, żebyś nie rezygnowała ze mnie.

Odsłoniłem się przed nią całkowicie. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić. Teraz wszystko zależało od niej.

– Ja po prostu... Maxx... nie wiem. – Wstała, wzięła klucze i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się na chwilę, nie patrząc na mnie, ze zwieszoną głową.

„Nie odchódź!” – błagałem bezgłośnie, mając wrażenie, jakby waliły się na mnie ściany. Wreszcie Aubrey spojrzała na mnie. Miała



mokre oczy. Odejdzie. To koniec. Wszystko zniszczyłem. Tym razem dokumentnie. A potem, ku memu zaskoczeniu, przeszła z powrotem przez pokój. Uklęła przede mną, siedzącym wciąż na kanapie. Wyciągnęła ręce, prawie dotykając mnie dłońmi... ale *nie do końca*.

– Nie odchodzę, Maxx. Nie zatraskuję nam drzwi. Muszę po prostu poukładać sobie w głowie wszystko, co zdarzyło się dziś wieczorem. Skrzywdziłeś mnie. *Po raz kolejny* – wyszeptała załamującym się głosem.

Chciałem ją objąć, przyciągnąć do siebie i nigdy już nie wypuścić jej z objęć. Powiedziała, że nie odchodzi. Ale wyraz jej oczu kazał mi wątpić w słowa. Pokręciłem głową.

– Nie opuszczaj mnie.

W końcu pokonała dzielący nas fizycznie dystans. Opuszki jej palców przylgnęły do mojego policzka, na zawsze piętnując mnie jej znakiem. W jej dotyku kryła się obietnica.

– Musisz mi zaufać, Maxx. Tak jak ja muszę zaufać tobie – wyznała, odpowiadając na moje niewypowiedziane lęki.

Zaufanie. Wciąż wracaliśmy do tej podstawowej, fundamentalnej idei. Aubrey podniosła się powoli, zawahawszy się tylko na moment. A potem wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Siedziałem tam, a cisza jej odejścia dźwięczała mi w uszach. Miała rację. Musiałem jej zaufać. Musiałem wierzyć w to, że mnie zupełnie nie skreśliła. Musiałem wierzyć w nas oboje. Nigdy nie miałem przed sobą równie trudnego zadania.

## Epilog -Aubrey- dwa lata później

Pod poliestrową togą wszystko mnie swędziało. Pot ściekał mi po skroni. Poprawiłam sobie beret, który ledwie mi się trzymał na głowie. Prześliznęłam się wzrokiem po zgromadzonych, wypatrując tych, których obecności byłam pewna.

Rodzice pomachali mi entuzjastycznie, a ja im odmachałam.

Przyjechali na weekend rozdania dyplomów i po uroczystości zamierzali zabrać mnie na obiad, żeby to uczcić. Trudno było uwierzyć, że był taki czas, kiedy tak serdecznie ich nie znosiłam, że nie potrafiłam się zmusić do tego, żeby się z nimi zobaczyć czy porozmawiać. Jasne, nie było idealnie, ale byłam szczęśliwa, że na powrót pojawili się w moim życiu.

Odchyliłam głowę w tył i spojrzałam w niebo. „Kocham cię, siostrzyczko” – powiedziałam bezgłośnie do dziewczyny, której nie było wśród publiczności.

Powiało nagle i lekka bryza wydeła moją togę, przynosząc mi na krótko ulgę od wszechobecnego upału, a ja wyobraziłam sobie przez moment, że to dar od Jayme. I wiadomość, że nadal mnie kocha. Myślenie o Jayme nie przysparzało mi już takiego cierpienia. Przypuszczałam, że tępy ból w sercu nigdy do końca nie ustąpi, ale każdego dnia czułam się lepiej.

Byłam podenerwowana i niczego nie pragnęłam bardziej niż tego, by ceremonia wreszcie się rozpoczęła. Miałam poczucie, że długo to trwało, ale wreszcie się tu znalazłam, otrzymując dyplom licencjata z pedagogiki. Znalezienie się w tym punkcie kosztowało mnie zaledwie dwa dodatkowe lata nauki.

Dwa tygodnie temu przyjął pracę w szkole podstawowej w sąsiednim mieście. Zacznę jesienią z grupą dwudziestu dwóch pierwszoklasistów. Trochę byłam przerażona, ale to był ten dobry

gatunek przerażenia.

– Cześć, Aubrey! – zawołał znajomy głos z pierwszych rzędów.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Brooksa, który stał z machającą do mnie Renee. Odmachałam, ciesząc się z obecności ich obojga. Nie widziałam ich od miesiący. Renee zdobyła dyplom w terminie, dwa lata temu. Na jakiś czas, zanim znalazła pracę, wprowadziła się z powrotem do rodziców. Ostatecznie objęła stanowisko praktykanta adwokackiego w dużej firmie prawniczej. Wyprowadziła się do własnego mieszkania i twierdziła, że jest szczęśliwa.

Czasem zastanawiałam się, czy tak rzeczywiście jest.

Z Iainem jakoś jej się nie ułożyło, a od tamtego czasu z nikim na poważnie się nie spotykała. Martwiłam się o nią, ale chyba nikt nie wiedział lepiej ode mnie, że musiała iść własną drogą i dojść do siebie we własnym czasie.

Brooks pojechał na studia magisterskie do Maryland. Szczerze mówiąc, sądziłam, że kiedy się stąd wyniesie, stracimy ze sobą kontakt. Chociaż mówiłam serio, przekonując go, że nasza przyjaźń jest z gatunku tych na całe życie, miałam wątpliwości, czy kiedykolwiek wybaczy mi, że wróciłam do Maxxa. Byłam zachwycona, gdy zaledwie kilka tygodni po wyjściu ode mnie zadzwonił, każąc mi włączyć kanał dziesiąty. Postąpiłam zgodnie z poleceniem i odkryłam, że właśnie grają *Boskiego Żigolo*. Obejrzeliśmy razem, cytując fragmenty i zaśmiewając się do rozpuku. Bawiłam się prawie równie dobrze, jakby siedział obok mnie.

I chociaż nie rozmawialiśmy tak często jak kiedyś, wiedziałam, że zawsze będzie obecny w moim życiu. Byłam szczęściarą.

Uniosłam włosy na karku i lekko się nimi powachlowałam. W berecie i todze pociłam się jak mysz. Sukienka, którą miałam pod spodem, była mokra. Miałam nadzieję, że mama i tata zechcą wrócić ze mną na chwilę do mieszkania, abym mogła się przebrać.

Za mną zrobiło się lekkie zamieszanie, po czym poczułam chłodne palce na karku.

– Hej – wyszeptał mi do ucha jakiś głos, a mnie aż przeszedł dreszcz.

Wciąż działał na mnie tak samo. Odwróciłam się i natrafiłam spojrzeniem na Maxxa. Odsunął na bok dwóch studentów i zajął miejsce na krześle tuż za mną. Spojrzał na mnie, a w niebieskich oczach tańczyły mu iskry.

– Co ty tu robisz? Nie możesz tu siedzieć – skarciłam go, uśmiechając się szeroko.

– Tylko na chwilę – powiedział Maxx, niezrażony uwagą, którą na siebie ściągał.

Pochylił się, złapał mnie za rękę i wsunął mi coś na nadgarstek. Spuściłam wzrok i zobaczyłam srebrną bransoletę mankietową, którą dostałam od Jayme.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Uznałem, że w tak ważnym dniu Jayme powinna być jakoś reprezentowana – odpowiedział na moje niezadane pytanie.

Cholera. Zaraz się tu rozplączę. I jeszcze bardziej rozmażę sobie makijaż, który już i tak się częściowo rozpląnął.

– „Zestarzej się przy mnie. Najlepsze dopiero się zdarzy” – zamruczał, pochylając się, by mnie pocałować.

– Przestań cytować Browninga i pójdź znaleźć moich rodziców – poleciłam, nie przestając się szczerzyć od ucha do ucha.

– Zobaczymy się później – powiedział, całując mnie jeszcze raz.

Patrzyłam, jak wślizguje się w tłum i przepycha do siedzenia, które zarezerwowała dla niego Renee. Przypomniałam sobie, jak wyszłam z jego mieszkania dwa lata temu. Nie wiedziałam, czy mogę z nim dalej być po tej jego kolejnej zdradzie. Nie potrafiłam mu tak z miejsca wybaczyć. Moje serce znów zostało zranione.

W końcu jednak dotrzymałam słowa i nie odeszłam. Bo on zasługiwał na więcej. Oboje zasługiwaliśmy. Zbyt ciężko walczyliśmy, żeby się poddać, skoro nie opadliśmy jeszcze z sił. A to wymagało, bym kolejny raz zaufała mężczyźnie, który już mnie tak zranił. Mężczyźnie, który dla mnie próbował rozprawić się ze swoimi demonami. Tocząc jedną bezwzględną bitwę po drugiej.

Ale nie było łatwo. Nie nauczyłam się ufać Maxxowi z dnia na dzień. Wciąż zdarzały się dni, gdy prześladowały mnie wątpliwości, które niemal zniszczyły nasz związek, zanim miał szansę w ogóle się

zacząć. Ale nigdy szczególnie nie pociągały mnie rzeczy *łatwe*.

Na tej ścieżce, którą kroczyliśmy wspólnie, przeżyliśmy kilka mrocznych momentów. Zdarzało się, że walczyliśmy z jego uzależnieniem równie zaciekle jak wówczas, gdy ledwie co przestał brać. Chociaż był nieugięty i nie przerywał prowadzonej poza ośrodkiem terapii, wiedziałam, że to zawsze tam będzie. Nałóg. Do końca życia będzie jego częścią. Nie okaże się jedną z tych przypadłości, z których kiedykolwiek można się całkowicie wyleczyć.

Ale jakimś cudem udawało mu się nad tym wszystkim zapanować. Udawało nam się obojgu. Razem.

Miesiąc temu dostał ostatnią transzę wynagrodzenia za instalację artystyczną wykonaną w Nowym Jorku i miał ochotę uczcić to gdzieś na mieście. Zyskał renomę jako X, tajemniczy przedstawiciel street artu, którego prace osiągały astronomiczne ceny.

Zabrał mnie do kina. Grali właśnie *Stracone pokolenie*. Wszystko zorganizował. I w ciemnej sali, gdzie pierwszy raz byliśmy na randce, wsunął mi pierścionek z diamentem na palec i zapytał, czy zostanę jego żoną. Oczywiście przyjąłam oświadczyzny. Nigdy nie potrafiłam odmawiać Maxxowi.

Zamierzałam wprowadzić się do jego mieszkania po otrzymaniu dyplomu. Kiedy Landon przyjedzie do domu na wakacje ze swojej szkoły plastycznej w Filadelfii, zajmie pokój gościnny. Będziemy spędzać Boże Narodzenia z moimi rodzicami i wydawać kolacje dla przyjaciół. Będziemy mieli takie życie, jakiego zawsze pragnęliśmy.

Takie, jakiego pragnął Maxx.

Takie, za jakim oboje tęskniliśmy.

Jasne, nie zawsze było różowo i nie oczekiwaliśmy, że kiedykolwiek będzie. Musieliśmy nauczyć się akceptować ciemność i brzydotę, którą zawsze będziemy w sobie nosić. Kiedy Maxx upadnie, ja go podtrzymam, idąc za nim. Kiedy zacznę wątpić, będzie przy mnie i przypomni mi, dlaczego poszłabym za nim na koniec świata. Bo wreszcie zrozumiałam, że mogę zaufać mężczyźnie, którego pokochałam. Mogłam zaufać miłości, która zmieniła nasze życie.

Nie potrzebowaliśmy innego szczęśliwego zakończenia.

## Podziękowania

Czas podziękować zwyczajowym podejrzanym.

Iainowi i Gwyn: jesteście na każdej stronie i w każdym słowie. Kocham Was.

Moim rodzicom, którzy zawsze wierzyli, że mogę zrobić wszystko, i moim dziadkom, którzy dali mi narzędzia pozwalające podążać każdą drogą, jaką chciałabym obrać.

Mattowi: może i odszedłeś, ale nigdy nie zostaniesz zapomniany. Byłeś moim pierwszym i największym entuzjastą. Pozostawiłeś po sobie pustkę, której nigdy nie uda się zapełnić.

Moim kumpelkom Amy, Tonyi, Claire, Stacey, Brittainy i Kelsie: Wasze talenty co dzień mnie zachwycają i inspirują. Jestem szczęściarą, że stanowicie część mojego pisarskiego świata.

Kristy, najlepszej asystentce i przyjaciółce, jaką mogłabym sobie wymarzyć: w tym szaleństwie utrzymujesz mnie przy zdrowych zmysłach. Co ja bym bez Ciebie zrobiła?

Michelle, wyjątkowej agentce: jesteś superkobietą! Poważnie. Mogłabyś sprzedawać niesamowitość na metry.

Elanie i Alex, moim niesamowitym redaktorkom z Gallery: Wasze wsparcie i wiara w Maxxa i Aubrey sprawiły, że to wszystko stało się możliwe. Dziękuję Wam za waszą nieskończoną cierpliwość w kierowaniu mną!

Fantastycznym ludziom z Gallery, którzy od początku byli sojusznikami tych historii: pomogliście urzeczywistnić to pisarskie marzenie.

A co najważniejsze, moim czytelnikom, blogerom, ludziom, którzy codziennie okazują mi wsparcie: bez Was to wszystko nie miałoby żadnego znaczenia!

---

<sup>1</sup> Jane Austen, *Perswazje*, Prószyński i Sk-a, Warszawa 2003 (tytuł oryginału: *Persuasion*),  
przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska.



Przekład: Dorota Konowrocka-Sawa  
Redakcja: Małgorzata Domosławska  
Korekta: Ilona Siwak, Anna Jagiełło  
Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Lauren Johnson/Arcangel Images  
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: [www.pagegraph.pl](http://www.pagegraph.pl)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4667-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**